

P I S M A

KRASZEŃSKI

BIAŁY KSIAŻE

CZASY LUDWIKA WĘGIERSKIEGO

5554x

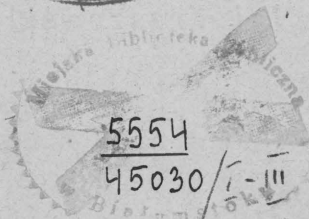
PRZEZ

J. I. Kraszewskiego

TOM I.



WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE



5554

45030/i-III

884-311.6

2007 20 249
18.12.52

I.

Było to dnia dziewiętnastego listopada, roku pańskiego 1370.

Pomimo wiatru mroźnego, który dał z północy i zimę nadchodzącą zapowiadał, cały Kraków wylał się w rynek i ulice. Pomiędzy kościołami Franciszkanów, św. Trójcy i Panny Maryi a katedrą na Wawelu były drogi, wzgórza, dachy i okna tak nabite, jakby głowy ludzkie je wybrukowano. I mało co też więcej rozeznac było można nad głowy, różnie pokrywane, okryte i osłonięte, nad twarze, na których jeden wyraz boleści i trwogi jakiejś był odmalowany.

Na żadnym z tych przemnogich obliczów promyka nawet przelotnej nie widać było wesołości, ni płochego uśmieszku. Wszystko to stało ciche, skamieniałe, odrętwione, a na wielu zaczerwienionych powiekach ślady łez dostrzedz można było.

Ponad głowami tego tłumu, z powiewem nierównym wiatru, to głośniejszy, to ciszey, przerywanie, jęcząco odzywały się kościołów dzwony.

Dnia tego ostatnią część oddawano pamięci wielkiego króla, po którym płakał kraj cały. Po żadnym jeszcze może łez się tyle nie wylało. Z nim krew Piastów schodziła z tronu, który się miał dostać obcemu; grzebano z Kazimierzem cały ten szereg mężów żelaznych, co kraj piersią bronili, a sercem miłowali Piastów, co byli ludu tego ojcami i dziećmi.

Ostatni, jakby chciał pamięć wiekiustą zostawić po sobie, wyrósł nad wszystkich, nie rycerstwem, jak

drudzy, ale miłością wielką dla całej ziemi tej, którą zjednoczył, rozszerzył, obwarował i pokojem ubłogosławił.

Tak mówili po cichu starzy ludzie, oczyma załzawionemi patrzący w dal i nie widzący nic... czuli, że z panowaniem króla tego szczęście i pokój się kończył. Obcy przybysz koronę przyjmował jak z łaski, ani chciał znać kraju tego, którego powietrze dlań, jak mówił, niezdrowem i nieznośnem było.

Szeptano po cichu w gromadkach, że już Hasso, brandeburski starosta, zamek Santocki opanował, że Litwa włodziemski niedokończony zamek oblegała, że Mazury zajęły też grody, które do króla należały. To był początek dopiero... gdy król ledwie przywarł powieki, cóż dopiero dalej być miało?...

Żadne panowanie nowe tak się nie zwiastowało smutnie, takimi przeczuciami poprzedzone nie było.

Ponad szeptami ludu i smutnemi proroctwami jeździącym żałobnym były dzwony. W dali poruszał się zwolna i zbliżał orszak pogrzebowy.

Powiadano w tłumie i o tem, że nie król Ludwik nowy, ani matka jego, Elżbieta, siostra Kazimierzowa, ten uroczysty obchód dla nieboszczyka czci urządzili, ale bolejący po swym panu domownicy jego, dworzanie, bliźcy mu i ukochani.

Zwolna szeregi duchowieństwa ze wszystkich kościołów i klasztorów ciągnąć poczęły, poprzedzane chorągwiami patronów i żałobnemi rydwanami.

Księża szli z ręką na piersi a świecą w drugiej, głowy pochyliwszy, tak smutni jako i lud, bo powszechny żal i ich, od świata oderwanych, przejmował.

Tuż zaczęły się ukazywać wozy żałobne całe kirem obite, konie w czerni, w czerni ludzie — wysoko wyniesione baldachimami, ze srebrnemi lży na osłonach.

Cztery jednak ich ciągnęło, jakby każdy stan chciał niemi żal swój okazać i wszyscy stawali z nim u grobu.

Za temi wozy orszak rycerstwa występował, orszak rycerstwa wspaniały, wyłoczony, na koniach pur-

purą do ziemi okrytych, by okazać, że syn ubogiego Łoktka, państwo ojcowskie wzięwszy w łachmanach i z drzewa, oddawał w szkarłatach i murach. Wiedzieli o tem wszyscy starcy, co dawniejsze pamiętali lata.

Ponad głowami tego soroka rycerzy wiały chorągwie: przodem purpurowa królewska, z orłem białym, dalej jedenaście proporców wszystkich ziem, które Kazimierz zjednoczył i silną dłonią w całość wielką ścisnął.

Lecz nie stało dłoni — szeptano — nie stało... i oto... kruszyły się już i odpadały części państwa tego. Jaka je przyszłość czekała?

Szmer głucho przeszedł po tłumach, zadrgały, poruszyły się, podnosiły głowy, oczy zabłyśły żywiej.

Za orszakiem rycerzy na ulubionym koniu króla pod złotem, perłami szytem okryciem, jechał mąż nieznan, co postać zmarłego wyrażał.

Odgadywano nazwisko jego, a nikt nie umiał powiedzieć, kto był.

Tym, co króla znali, biło serce i lzy płynęły, bo zdało się im, że widzieli jego samego, powstałego z grobu raz ostatni i przychodzącego pożegnać swe dzieci.

On to zdawał się być, jego postawę miał, wzrost, ciemne włosów kędziory, a hełm z przyłbicą spuszczoną, z poza której oczy tylko przeglądały — pozwalał twarz jego widzieć tam, gdzie żelazna krata nie dopuszczała wejrzenia.

Najdroższe szaty i klejnoty ze skarbca okrywały ową króla postać, złotogłów, łańcuchy, szkarłat, zbroja sadzona kamieniami drogiemi, pas dyamentami świecący.

Lecz nikt na ten przepych nie patrzył — zmarłego króla widziano w tem widmie pogrzebowem i jejki wybuchnęły nagle.

Ostatni Piast... ostatni w koronie jechał do grobu, który za nim zawrzeć się miał na wieki. I poszły za nim oczy i serca...

A tuż sześciuset mężów parami poczęło żałobny pochód za panem.

Wszyscy mieli szaty czarne, a każdy z nich oburącz dźwigał ogromną świecę, płonącą mimo wiatru płomieniem niespokojnym i lejącą z siebie strumienie wosku, jak lzy gorące.

Szli i szli, a końca im długo nie było... aż ponad głowami ostatnich ukazało się jakby łoże niesione wysoko, mary, które dźwigali dworzanie królewscy, do ziemi całunem obwieszone, złotem i srebrem przetykanym, na którym wokół spuszczały się pasma sukien szkarłatnych i purpurowych jedwabów.

Dokoła mar cisnął się tłum w żalobie, z głowy odkrytemi, zawodzący pieśń bolesną, dziwną, nie kościelną, nie zwykłą ani dźwiękiem, ni słowy, przejmującą, bo ci, co ją nucili, szlochali śpiewając, dłońmi zakrywali oczy, włosy darli na głowach i ręce wznosili ku niebiosom.

A żał ich niekłamany, straszny, do kości poruszał tych, co byli świadkami, i płacz zaraźliwy wybuchął od niego w tłumach.

O pieśni mówiono, że nieuk jakiś wielkiego serca, z boleści niezmiernej wyśpiewywał ją, a wszyscy za nim powtarzali słowa, na które mądrzejsi ramionami ruszali, bo były proste, jakby z ust ludu wzięte, a szły w piersi, jak żelazo ostrzem bólu swego.

Rozlegała się ta pieśń natchniona a nieforemna, głuszac psalmy, głuszac dzwony i wtórem zwrotkę jej tłum cały powtarzał.

Rodzica ta ziemia straciła,

Straciła rodzica...

Żałoba się cała okryła...

Herold, jadący przed marami, aby im szerszą uczynić drogę i rzucający na prawo i na lewo garściami szerokie grosze pragskie, nie mógł im łatwego przejścia uczynić; gawiedź ledwie schylała się po spadające na ziemię pieniądze, inni stali płacząc i popychać się

dali, nie wiedząc, że na nich następowano. Żał był prawdziwy, powszechny, wielki.

Dopiero straż królewska z wielkimi halabardami poźlocistymi, rozpychająca niemi gromady i wołająca — król! król, — więcej siłą, niż postrachem mogła ścisć wielki rozbić na dwie połowy.

Oczy wszystkich zwróciły się teraz na tę żywą przyszość...

Orszak królewski był wspaniały i świetny, a sam król, gdyby nie wspomnienie Kazimierzowe, mógł wzrok pociągać ku sobie.

Otaczali go duchowni: stary nawpół ociemniały Bogorya, który resztę oczu miał z żalu po ukochanym Kazimierzu wypłakać, Floryan krakowski, Piotr lubelski, i biskupi.

Szedł we zbroi, z podniesioną dumnie głową, z wysoka zimnem wejrzeniem mierząc tłumy, bez żalu i trwogi na twarzy, znudzony tylko i zobojętniały jakiś, białą chustę często przykładając do białego a pięknego oblicza.

Na hełmie świeciła mu korona drogiemi kamieniami sadzona, płaszcz królewski z ramion zwisał. Ręką jedną na rękojeści miecza się spierał.

Ani lud, któremu miał panować, ku niemu, ani on dla tych tłumów nie okazywał tego pragnienia i nadziei miłości wzajemnej, którą związek ojca z dziećmi mógł zapowiadać. Król patrzył obojętnie, na króla spoglądano z obawą.

Wiedział zaprawdę, iż zmarłego chłopów króla nie zastąpi. Tylko okazałością dworu olśniewał i moc swą chciał dowieść.

Świetnym bywał dwór Kazimierzowy w ostatnich czasach, lecz nigdy Ludwikowemu nie dorównał. A jak zmarły pan miłościw był cały, tak i ci, co go otaczali, wszędzie i zawsze bratersko się a serdecznie okazywali. Ludwików dwór miał oblicza pańskie, dumne, pogardliwie patrzące, jak on rycerskie, ale groźne, nasepione i odstrasżające.

Dość było wejrzeń tych węgierskich magnatów, obszytych złotem, by gromady rozpędzić.

Pogrzebowego też smutku ani Ludwik, ni oni nie przywdzieli nawet na ten dzień i chwilę; — ledwie że się pokrzywionemi twarzami nie urągali, mówiąc zachmurzonym i płaczącym: — Teraz myśmy panami waszymi!

Ta groźba panowania ścisłała każdemu, co na nich spojrzał, pierś wzburzoną.

Inne też postacie orszaku pańskiego ukazywano sobie, szepcząc po cichu.

Szedł poza królem Władysław Opolski, który i przy śmierci Kazimierzowej tu był, i Ludwika nie odstępował. Ten też pańsko wyglądał, i Piastowska krew płynęła w nim, ale do starych Piastów serdecznych cale nie był podobny.

W kolebce, czy na zaraniu Niemcy go wzięli na naukę i na swojego przerobili, tak, że mówiono, iż nawet języka swego z trudnością używał, a cale go nie miłował. Rozum, bystrość i męstwo patrzyło mu z oczu, tylko miłości w nich nie było. Szedł za królem, nie patrząc na nic i nie widząc tylko jego, jakby czekał słowa, rozkazu, znaku. Niekiedy też Ludwik spoglądał ku niemu, jakby pytał: — Kiedy się to skończy?

Z drugiego boku postępował za królem mąż piękny, wątlej postawy, niewieściego miłego oblicza, oczu czarnych, gorących, ruchów żywych i niespokojnych. Był to Kaźko, książę Szczeciński, nieboszczyka ulu bieniec, wychowanek i wnuczę.

Ten roztargniony stapał, to tu, to owdzie rzucając oczyma, a na niego ciekawie oglądało się wielu. Był swój — a teraz i on na obcych łasce.

Szeptano cicho, że testament królewski, którym on wielu i to książątko obdarzył, łamać miał Ludwik, a nie myślał woli zmarłego spełnić.

Dalej szły zasłonomi czarnemi cale okryte niewiasty. Stara królowa, wdowa węgierska, Łoktkowa córka, naprzód. Dziw było spojrzeć na nią. Ludzie lata jej wiedzieli i liczyli, syn też, czterdziestoczero-

letni mąż, ją poprzędał, a królowa jeśli nie wydawała się młodą, przynajmniej chciała nią być jeszcze.

Wprawdzie twarz trochę marszczków gdzieś porysowało, ale lice było rumiane, świeże, białe jeszcze, oczy błyszczące, a z pod zasłon widny włos nie okazywał siwizny. Juźci na ten dzień chciała mieć twarz smutną, a nie mogła. Rzucała wejrzeniami tu i owdzie, dawała znaki, a szła, zapominając się, tak żywo, iż co kilka kroków stawać potem musiała, aby ci, co ją poprzędzali, oddalić się czas mieli.

Obok niej stapała powoli, z marmurową twarzą zastygłą, z oczyma spuszczone, wdowa Kazimierzowa, Jadwiga, w czerni cała, zadumana, jakby myślami nie tu już była, a gdzieindziej.

Dwoje jej dziewczątek, córek pańskich, płakało, chustami twarzyczki białe zasłonięte miały, a potykały się coraz na kamieniach i słały biedne sieroty...

Dokoła tłum Węgrów cisnął się, półgłosem, językiem nieznanym rozprawiając, palcami ukazując na ulice i domy, a nie czyniąc sobie żałoby z tego, co dla nich było weselem i rozrywką.

A gdzie się tłum ku nim nasunął, wnet pięść podnosił nań i marszczyli brew i za miecze się brali.

Panami się tu czuli.

Przed trzema kościołami zatrzymał się pochód, mary i tłumy; naostatek na Wawel do katedry ciągnęło wszystko.

Droga do Wawelu, dziedzińce zamkowe, bramy, mury, wszystko już lud zalegał gęsto.

Do kościoła ledwie dostojniejszych wpuszczano. Rycerstwo musiało cisnących się powstrzymywać, a krzyki stłumione słyszeć się dawały co chwila.

Biskup Floryan wyszedł przed ołtarz wielki, rozległy się pieśni i razem z nim do wszystkich, ile było ołtarzy w świątyni, czekający zbliżyli się kapłani, niekrwawą składać za duszę pana ofiarę.

W pośrodku kościoła na dwóch srebrnych misach leżała kupa groszy, z których każdy brał, ile chciał i składał przy ołtarzu za duszę pańską, na modlitwy.

A że w ścisku nie każdy mógł do ołtarza dojść, wyręczało rycerstwo, które służył żałobną sprawiało.

Szli też owi, co mary otaczali, słudzy i urzędnicy nieboszczyka króla, niosąc każdy dań za duszę jego do kościoła, a były one tak obfite i kosztowne, jak wielki był żal po ostatnim Piaście.

Szedł podskarbi zmarłego, Świętosław, z nalewkami srebrnymi i ręcznikami, których król przy ucztach zażywał, i złożył je kościołowi na pamięć. Choć na Wawelu była już jedna, przed zgonem przez samego Kazimierza ofiarowana najcenniejsza pamiątka, złomek tego drzewa, na którym Chrystus Pan za grzechy ludzkie umierał, w szczerozłotym krzyżu, perłami i drogiemi kamieniami ozdobny.

Ża podskarbim przystąpił do ołtarza stolnik Przedbór i podstoli Janusz, niosąc cztery misy srebrne; cześnik Petrko i podczaszy Żegota kubki i puhary; marszałek dworu przyniósł kosztowny naramiennik królewski.

Nabożeństwo ku końcowi się miało, gdy od drzwi lud odtrącać poczęto, aby się obrzęd wedle tradycji i obyczaju rycerskiego dokonał. Wjeżdżał na koniu nieznajomy ów, który osobę króla wyobrażał, z przyłbicą spuszczoną; za nim konia powodnego przywiódł podkomorny, a tuż poczęli po kamiennej posadzce tętniąc kopytami, wjeżdżać chorągowie, jeden za drugim.

Była to chwila najboleśniejsza, gdy u stóp mar królewskich chorągwie naprzód królestwa onego, potem wszystkich ziem kruszyć i łamać poczęto.

Tłumiony płacz ozwał się jękiem i rykiem; chrzęst kruszonych drzewców, rwanie się przestraszonych koni, krzyki tłumu, śpiew księży, wszystko to razem zmieszane w jeden głos dziki i straszny, najtwardszych ludzi dreszczem trwogi i szaleńcem przejmowało.

Zapominali się niektórzy, iż w kościele byli, wielkiemi zawodząc głosami, ręce podnosząc do góry. Ponad szmer i łkanie wzbijały się wyrzekania.

Król Ludwik słuchać już dłużej nie mógł wyrazu tego żalu, —razem z rodziną i dworem usunął się

z kościoła, na zamek powracając. Na Węgrach i na nim znać było jakby obrazę i gniew, że takimi żałami przeszłość grzebano, jakby już żadnej przyszłości nie było.

I mógł zaprawdę nowy król pomyśleć sobie, iż przy największem o swych dwu państwach staraniu, nigdy tego królestwa nie pozyszcze sobie tak, jak zmarły, ani mu go zastąpi...

Z jękiem i płaczem zwolna wylewał się lud i wszyscy pogrzebu uczestnicy na podwórcę. Stali tu u drzwi kościelnych, pod murami, na drodze, nie mogąc jakby porzucić grobu tego i rozstać się z nim. Zewsząd dokoła tylko pochwały zmarłego i srogie żale po nim słychać było.

Starzy słudzy pańscy rozsypywali się, niepotrzebni się czując, bo król i stara Elżbieta już się nowymi otaczali. Mało kto z Kazimierzowych miał przy nich pozostać.

Zawczasu ci, co zgon Kazimierza przewidywali, zbiegli do Budy, starej pani i synowi jej niosąc pochlebstwa i zalecając służby pokorne.

Co było lepszego, stało na uboczu, nie myśląc o sobie, zabiegłęjsi wcześniej miejsca zajęli. Z dawnych ulubieńców i przyjaciół króla ledwie kto miał przystęp do zamku.

Na chleb żałobny dostojniejsi szli do króla i królowej, inni na miasto, które tych dni pełne było nie tylko po gospodach, lecz gdziekolwiek kąt się znalazł jaki. Przybyli bowiem i Wielkopolanie w liczbie dosyć znacznej w nadziei, że nowego króla z sobą, jakby na drugą koronację do Gniezna zabiorą, i Kujawiacy, i Sieradzanie, i Rusini, i Mazurów trocha.

W godzinę po umilknięciu dzwonów żałobnych na zamku już przeważnie Węgrów tylko widzieć było można snujących się po podwórcach; w ulicach lud gwarzył, opowiadając i przypominając, co widział dnia tego.

We dworze drewnianym pana Dobiesława z Kurozwęk, wojewody krakowskiego, natłok gości był wiel-

ki. Tu, mówili sobie ludzie, łaska pańska zorzą nową switała, a na światło takie ludzie się zawsze garną.

Starzy to byli ziemianie tutejsi Różyce, z których Dobiesław ród swój wiódł i niemałych imion ludzie: przecie ani z Toporami i Starżami, ani z Leliwami i Sreniawitami o lepszą iść nie mogli, dlatego też może chodzili żwawo około spraw swoich, aby się wzbić do góry.

Lecz nieboszczyk król, jak miłościwym panem był dla wszystkich, tak pochlebców zbyt zabiegliwych około siebie nie lubił, ani im ufał. Szczególną też łaską jego Różyce się nie chlubil, choć ich służby nagradzał i starszego Dobiesława na pierwsze województwo podniósł.

Ludzie rycerscy byli, szczególniejszy stary, który nie tylko sprawę wojenną, zabawy rycerskie, łowy i turnieje lubił, ale i sam obyczaj ów butny, krzykliwy, pański, świetny, który czasu pokoju zastępuje wrzawę wojenną.

Pan wojewoda był lat około sześćdziesięciu, choć ich na nim znać nie było, bo ruchliwy żywot, dłuższy, czy krótszy, nie daje człowiekowi zgnuśnić i zestarzeć.

Młodo się więc trzymał, choć synów dwu miał dorosłych; występował strojno a błyszcząco, w domu gościnnie i hojnie, i choć możny, nad możność swą chciał się zawsze postawić. Dwór też otaczał go pański, stajnie i woźniki jego sławę miały, zbroje najdroższe naszał, w szkarłatę się odziewał i przed ludźmi popisywać lubił.

Syn Krzesław wdał się całkiem w ojca, i choć twarzą urodziwą młodszy, obyczajem, mową, głosem kubek w kubek był doń podobny. Oba rozumieli się i zgadywali jak najlepiej.

Drugi syn, Zawisza, choć równie gorącej krwi i do nich z charakteru podobny, lepiejby był się do konia i miecza zdał, niż do ołtarza i rewerendy; z woli ojcowskiej musiał do stanu duchownego iść, powołania doń nie mając.

Nie pytał o to ojciec, księdza mu w rodzinie by-

ło potrzebą, bo go zawczasu na wysokie dostojenstwo w kościele naznaczył. Słał więc Zawiszę do Włoch, uczyć mu się kazał i postrzydz go dał; a gdy do kraju powrócił, prędko go na dwór i do kapituły umiał wcisnąć.

Bystrego umysłu, zręczny, przebiegły, młody duchowny szczęśliwie sobie drogę torował, choć żył nie po księżemu. Pachło mu to, co ojcu i bratu: swoboda pańska, ucztowanie, konie, łowy, śpiewki, towarzystwo wesole i niewieście zaloty.

Potrosze przestrzegając, aby nie dać z siebie zgorzelenia, gdy się na wieś wyrwał, cugli popuszczając, Zawisza na ludzkie języki nie zważał wcale. Przyszłości był pewien. Miał za sobą wiele, bo na nauce mu nie zbywało, w piśmie był biegły, ludzi ujmować umiał, i gdy było potrzeba, układał się do nich.

Zaraz po śmierci Kazimierza, gdy ks. Suchywilk z biskupem Floryanem do Budy jechali, przyszedł się do nich Zawisza, aby na dwór dostać się zawczasu.

Królowę starą Elżbietę znał dawniej i pochlebiał sobie, że miał u niej łaski.

Letnia już pani Bezręka lubiła się zabawiać wesoło i młodzieżą otaczać płci obojej. Nie było u niej dnia bez muzyki, śpiewu, piasów i pogadanek trefnych. Zalecała się jej młodzież jak mogła, i rej potem wodziła, gdy na łaskę zasłużyła.

Ale zarazem niemłoda pani poczyniała być pobożną, i zrana do Boga się wdzięczyła, a wieczorem do ludzi.

Młody ksiądz, który modlitwy z nią mógł odmawiać i trefne pogadanki z dowcipem wiódł, a staruszcze pochlebiał, pod niebiosą ją wynosząc, i z piękności nawet sławiąc, wielce sobie ujął królowę.

Pamiętała o nim, i gdy przybiegł do Budy z wieścią o śmierci brata jej, łatwo mu było słówkiem pokornem kanclerstwo sobie u staruszki zapewnić.

Domyślano się już naówczas, że Ludwik sam, Polsce niechętny, mieszkać w niej nie chciał i nie mo-

gąc, spuści matce rządy państwa. Z kanclerstwa u królowej prosta była droga do infuły.

Zawisza przypiął się do sukni Elżbiety i stał jej sługą. Ojciec i brat przyklasnęli. Przez Zawiszę oni dostali się do starej matki, a przez nią do młodego króla.

I teraz już Różyce spoglądali z góry na drugich, wiedząc, że mieli przyszość przed sobą.

II.

Gdy ludzie dojrzel, że się Różycom wiecie, choć około wojewody nigdy pusto nie było, posypali się doń tłumnie. Dobry to był znak. Dobiesław ręce zacierał.

Wiedzano tego dnia napewno, że Ludwik w Polsce miejsca nie zagrzeje, a komukolwiek bądź ją zda, byle ciężar z bark zrzucił.

Matka mu się napierała, mówiono, zostać w Krakowie. Tu jej swobodniej było, bo sama królować mogła, gdy w Budzie druga Elżbieta młoda stała obok. W Polsce przypominała sobie lata młode, ojca, matkę, brata... a i na przyjaciółach staruszcze nie zbywało, którzy szeptali jej, aby Polskę uszczęśliwiła i sama nią rządziła, gdyż ona właściwie na nią spadała pierw, niż na syna przekazaną być miała.

Nęcił Elżbietę i piękny zamek krakowski, nowo przez Kazimierza wspaniale zmurowany i przyozdobiony.

Spodziewali się więc Różyce z panią swą na nim rej wodzić.

Wieczorem dworzec wojewody pełen był, choć miejsca na nim nie brakło i dla tłumnego zebrania.

Jak znaczniejsza część ówczesnych domostw, Dobiesławowy dom z drzewa zbudowany, obszerny, zewnątrz się nie wydawał, czem był. Izby duże nie odznaczały się też niczem, gdy wojewoda ich nie zamieszkiwał. Sprzęt w nich tak był prosty, jak u najmniejszego z ziemian.

Lecz wszystko to przeistaczało się, gdy tylko wojewoda do dworu swojego zajechał, a drzwi jego miał ludziom otworzyć. Nagie ściany obwieszano wspaniałymi oponami, ławy okrywały poduszki i sukna, podłogi zalegały kobierce, stoły zawieszano szytymi obrusami, police napełniały srebra i naczynia drogie. Szopa się na pałac, jakby czarodziejską różdżką, zamieniała.

Tak samo puste komory i zastygłe kuchnie, gdy pan przybył, zasypywano, zarzucano zapasami, i od rana do nocy uczta trwała pod dobrą ochotą.

Syn Krzesław gospodarzył tu wraz z ojcem, a tak się oba rozumieli, iż jako jeden człek, bez słowa i namowy, czynili w myśl swą zgodnie.

Zawisza mieszkał osobno, jako duchowny, a teraz więcej przy starej królowej przesiadywał, dworując, niż u ojca. Przecież dzień żaden nie upłynął, aby się tu z wesołą swą, piękną twarzą nie pokazał i nowinki jakiej nie przyniósł.

W wielkiej izbie pod wieczór gwarno było i niemało dostojnych się ludzi zebrało.

Nie licząc pomniejszych, oprócz wojewody gospodarza i dwu synów jego, u małego stoła z osobną zasiadali Przedysław z Gołuchowa, wojewoda kaliski, który jeszcze za Kazimierza rządy w Wielkiej Polsce sprawował i dotąd je dzierżył; Jaszko Kmita, Pełko Zambra, sędzia sandomierski, Wilczek z Naborowa krakowski i małego wzrostu księżyna, Jan Radlica, który naówczas już jako lekarz uczony słynął.

Ci, co znali otaczających wojewodę, łącznie dojrzeć mogli, iż w kółku tem niemal sam jeden Przedysław z Gołuchowa był, który więcej do starego dworu, niż do nowego należał.

Sędziowie obaj już, jak mówiono, ujęci, mieli przeciw testamentowi króla nieboszczyka wyrokować, ks. Jan też około starej królowej z medycyną swą chadzał, choć ona jej niewiele zdawała się potrzebować, cudowną wodą jakąś, którą się codzień obmywała, utrzymując świeżość pici i zdrowie.

Dla pana Przedysława z Gołuchowa, któremu ja-

ko Kazimierzowemu służyć, niespełna dowierzano, powściągliwie prowadzono o sprawach bierzących rozmowę, oczyma sobie dając znaki.

Opodal nieco od stołu, rycersko a pięknie wyglądający, w sukniach z pięknych tkanin, w półbroi szmelcowanej, stał urodziwy bardzo mężczyzna. Był to Otto z Pilicy.

Ten i dla urody, i dla gładkości obyczajów, a umiejętności przypodobania się, już był na dworze starej królowej widziany dobrze i należał do tych, których jako przyszyłych ulubieńców wytykano.

— Cóż tego! — mówił powolnie, oczyma mierząc otaczających, wielkorządcą poznański — król się nam obiecał do Gniezna?... Trzeba go nam tam koniecznie. Nasi Wielkopolanie zazdrośni są, żeście nam korony z Gniezna zabrali i starą stolicę poniewieracie. Niechbyśmy go choć u grobu Mieszka zobaczyli.

Dobiesław uśmiechnął się.

— Poco króla trudzić? — odparł, — albo to my a wy nie jedno stanowimy ciało? Wszakci Bogorya wasz go nam wszystkim ukoronował?

Westchnął Przedysław.

— A no — rzekł — Wielkopolany nie poniewierajcie. Korona ta, coście ją sobie do Krakowa wzięli, u nas ukuta została. Po Chrobrym ci ją macie i po Przemku naszym...

— Stare dzieje! — wtrącił ksiądz Zawisza, śmiejąc się. — Bądźcie pamiętni tego, że nieboszczyk król, którego pamięć czcicie, chciał jednej Polski...

— My też jej chcemy — odparł Przedysław, — aliści w jednym ciele jest rąk dwoje i oczu dwoje, tak i u nas.

— Cóżby to było? — przerwał Dobiesław żywo, — anoby nowy król, gwoli różnym ziemiom, każdej z osobna chyba koronować się musiał, i jak było jedenaście na pogrzebie chorągwi, takbyście go jedenaście razy namaszczać musieli?

Śmiech się rozległ dokoła, a Przedysław namarzczył się nieco.

— Jużci — rzekł — Kujawy osobno koronować go nie potrzebują, ani się o to Sieradz upomni, ale Wielkopolska, gniazdo polskie... piastowskie...

— Z Piastami się skończyło! — mruknął sędzia krakowski.

Gdzieś w dali ozwało się jakby westchnienie.

Otto z Pilicy słuchał milczący, a gospodarz do dał, łagodząc wielkorządcę wielkopolskiego, który z za stołu wstawał, jakby odchodzić myślał.

— Król do was jedzie, nie frasujcie się, będziecie go mieli u siebie.

Nie chcąc drażliwej przedłużać rozmowy, Przedysław za kołpak wziął i skłonił się naprzód gospodarzowi, potem dokoła i ku drzwiom zmierzał, odprowadzony grzecznie przez Różyców.

Po odejściu jego czas jakiś trwało milczenie, spoglądali po sobie wszyscy, jakby się przekonać chcieli, że teraz sami z sobą są i swobodnie mówić mogą.

— Królowi Ludwikowi będzie co czynić w nowem królestwie — westchnął Dobiesław. — Dziedzictwo wziął piękne i bogate, ale troski z niem sporo... Mazury się oderwały precz, z Rusią się będzie ciężko bronić Litwie, Brandeburgi i Sas już nas kasaają.

Potrząsnął głową.

— Dodajcie i to — cicho bardzo szepnął sędzia krakowski — że choć testament i dawne pakta tron zapewniają Ludwikowi, ale dyabeł nie śpi... Piastów i Piastowiczów jest dosyć i takich, co ino w nich krew królów prawych widzą, także niemało.

— Daremne rzeczy i próżny to strach — odparł żywo wojewoda. — Jużci ani Stanisław Opolski, ani Każko Szczeciński, ani Mazowieccy się nie pokuszają.

— Za nikogo nie ręczę — rzekł sędzia, głową potrząsając. — Samby może żaden się nie poważył, ale warchoły namówią. Śmiech o tem wspominać, a jabym i za Włodka Gniewkowskiego, co się pono zakapturzył kędyś i z mnichami śpiewa w chórze, nie ręczył.

Śmiać się wistocie drudzy zaczęli.

— Chybaby rozum stracił, ktoby go przeciw pa-

nu naszemu chciał prowadzić—ofuknął Otto z Pilicy.— Na Gniewkowie sobie rady dać nie mógł i to księstwo które do lada worka schować można, porzucił, co mu o koronie myśleć?

— Tak ci, tak! — rzekł szydersko sędzia.— Małe księstwo porzucić nie żał, bo, co po niem? wielka trośka! ale o ogromne królestwo warto szyi nadstawić...

— Na to — zawołał Otto z Pilicy—ogromne serce i prawicę mieć trzeba potężną, no a tych właśnie wasz mnich nie miał nigdy.

Znowu zamilkli trochę, a potem ci, co u stoła siedzieli, nacyliwszy głowy ku sobie, cicho coś szeptać poczęli.

Do wojewody schodziło się tylu różnych ludzi, którzy nie wszyscy z nim trzymali i których on nie był pewien, że poufne zwierzenia musiały się szeptami od ucha przenosić do ucha.

Więcej niż kiedykolwiek po śmierci króla Kazimierza zarysowały się dwa obozy przeciwne. Jedni, w nowym panowaniu osobistych szukając korzyści, cieszyli się z niego i starali tylko jak najlepsze ze dworem zawiązać stosunki, drudzy, jaśniej widzący, już upatrywali przyszły kraj uładek, zawiąkania i nieład, na jaki go obojętność Ludwika narazić miała.

Nie ukrywał się węgierski i dalmacki król z tem lekceważeniem spadku po wuju, a raczej po matce, brał go niechętnie, chciał z niego wyciągnąć jak największe dla siebie korzyści, ale serce jego i umysł był gdzieindziej.

Wstręt miał do Polski, śmierdziała mu polskiej szlachty kożuchy i buty; kraj ten miał za barbarzyński, za dziki. Rad był go, jako dziedzictwo dla rodziny zatrzymać, ale nie chciał tu ani mieszkać, ani rządzić.

Rozpowiadano sobie pogardliwe odezwanie się Ludwika i chwymano oznaki niechęci, której nie umiał i nie zadawał sobie pracy zataić.

Już za Kazimierza poczynający kielkować antagonyzm dwu głównych dzielnic, z których się Polska skła-

dała teraz, gdy energicznej, jednoczącej dłoni zabrakło, coraz dobitniej i silniej występował.

Na pogrzebie, jak tłuszcz od wody, wydzielali się osobno chodząc, stając, radząc Wielkopolanie. Zbijali się w osobną gromadę, unikali Małopolanów.

Bogoryę oblegano ciągle, domagając się, aby Ludwika skłonić do ponowienia koronacji, do ukazania się choćby w ornacie koronacyjnym i majestacie całym w Gnieźnie. Król Ludwik zniecierpliwiony, ruszając ramionami, półgębkiem coś przyrzekał.

Bądź co bądź, miał jechać do Wielkopolski, choć Węgrowie, jak on, stęsknieni za domem, zżymali się i łajali.

Goście ci, u boku Ludwika wciąż będący, straż jego i dwór składający, wcale się nie starali pozyskać serca Polaków. Dumne pany patrzyli z wysoka na nich i obchodzili się z nimi, jak gdyby byli nie w dziedzinie, lecz w zawojowanej ziemi.

Wszystko to zniechęcało coraz bardziej.

Zachwianie testamentu nieboszczyka króla, zmiana i poodbieranie legatów, obejście się z wdową po Kazimierzu, której córki odbierała królowa Elżbieta, dzieci oddalając od matki, oburzały wielu.

Najazd Litwy, strata Santoka, oderwanie się zupełne lennego Mazowsza, zachwiana znowu jedność państwa smutną przepowiadały przyszłość. Liczba niezadowolonych rosła, a duma Ludwika serce mu nie pozyskiwała.

Już dnia tego dostrzedz było można w czasie pogrzebu, wśród oznak głębokiego żalu, niemniej widoczne symptomy odrazy.

Na zamku przy żałobnym chlebie, u tego samego stołu, u którego niezapomniany król Kazimierz tak uprzejmie przyjmował gości, przemawiał do nich tak serdecznie własną ich mową, słyhać teraz było język włoski, francuski, niemiecki, łaciński, tylko polskim się nikt nie odzywał.

Na stary dwór Kazimierzowy nikt nie patrzył, służyć mu nie dawano, podczaszy Węgrzyn opanował na-

poje, stolnik, komornicy z Budy przybyli zajęli miejsce Polaków, odepchniętych od sprawowania swych obowiązków.

Jedna stara królowa miała przy sobie kilku młodzieży z tych, co w obcych krajach bywając, języki inne rozumieli, lecz i ci za Węgrami stać musieli.

We wszystkim czuć było panowanie obcych, a pamięć Kazimierza w większym jeszcze blasku przed oczyma stawała.

Pomiędzy gośćmi wojewody Dobiesława był i ten dworzanin króla, wzrostem i postawą do niego podobny, który czasu pochodzenia osobiście zmarłego przedstawiał.

Zrzucił on był swe bogate szaty ze skarbca wzięte i przywdział żałobę, jak wszyscy, co do dworu nieboszczyka należeli. Zwał się Lasotą Nałęczem, a w rodzinie, w której wszyscy obyczajem wieku mieli jakieś przezwiska, z młodu go wołano Mrukiem. Pięknej urody, posępny zawsze i smutny, zachmurzony, milczący, znanym był z tego, że albo milczał, pomrukując tylko niezrozumiale, lub wybuchał z jakąś ognistą wymową straszną, która, jak ukrop, wytrysnąwszy, nagle potem, gdy się opamiętał, ustawała i grobowem, upartem kończyła się milczeniem.

Lasota Nałęcz na dworze Kazimierza był jednym z podkomorzych jego, a że w Krakowie i przy królu mieszkał, matkę mając tylko jedną, tę też tu sprowadziwszy, osadził.

Choć Nałęczów siła już było i w Małej Polsce, Lasota Mruk z Wielkiej Polski pochodził i tam miał dalszą rodzinę.

Wybrano go na obchód ten, jako najpodobniejszego z postawy do króla, aby nieboszczyka przedstawiał. Jemu, jak jemu, zaszczyt ten może nawet był miłym, ale strwożona macierz, uważając to za złą przepowiednię, zrazu pozwolić na to nie chciała, łamała ręce, płakała i potrzeba było persfazyi wymownego Jana z Czarnkowa, podkanclerzego, przyjaciela domu, aby rozłzawiona staruszka syna puściła na pogrzeb.

Lasota też, co z początku do serca nie brał swej

roli, trwogą macierzyńską został zarażony. Od chwili, gdy z kościoła wyszedł i przyłbicę długo spuszczoną podniósł, nie przemówił słowa.

Milczący tak, gdy go wojewoda Dobiesław zaprosił, poszedł doń, słuchał rozmów, nie odzywał się, posiedział, powstał tu, a gdy żwawsze gawędy poczęły na gromadki dzielić gości, nie mający tu co robić, ku drzwiom się posunął.

Był w progu już, gdy syknięcie za sobą posłyszał. Obejrzał się. Szedł za nim mężczyzna od niego starszy, ogorzałej twarzy, brwi krzaczastych, ubrany żalobnie, ale pańsko. Nieznany mu był, sądził więc, że syknięcie dla innych uszu było przeznaczone i dalej iść chciał, gdy ów nieznajomy za rękę go ujął śmiało, jakby do tej poufałości miał prawo.

Mruk zaś z sobą poufale lada komu przestawać nie dawał. Zdziwił się.

Trochę jakby z pośpiechu jękając się, nieznany człek począł:

— Lasota Nałęcz? Mrukiem cię zwą?

Głowy tylko ruchem zatrzymany potwierdził.

— Dobrze, żem cię ujął — rzekł, oddychając ciężko, a czapkę na głowę nakładając i nie puściwszy Mruka, nieznany pan — dość ci wiedzieć, że i ja Nałęcz Dersław z Wielkopolski, powinienes znać, jakie nas powinowactwo wiąże?

Spojrzał mu w oczy. Mruk dotąd dosyć dumnie spoglądający, spokorniał widocznie, do czapki rękę przyłożył.

Starszy ujął go pod rękę. Czegoś mu pilno było i jakby gorąco w tej łaźni wojewodzińskiej, z której wychodził.

— Idźmy kędy razem — odezwał się z cicha, — potrzeba mi cię, mówić o czem mamy... a niekoniecznie dobrze, aby nas wszyscy słuchali i słyszeli.

Okiem pomrugnął. Stali już w ulicy.

— Jeśli nas dwu ma być na rozmowie — odparł Mruk — możebyście do dworu mojej matki raczyli. Nie

mam izb tak wspaniałych, jak pana wojewody, ale ciepły kąć się znajdzie.

— Innym czasem — rzekł żywo Dersław, — a no przedewszystkiem — tu mu bystro spojrzął w oczy. — Mów mi jako ojcu bobym nim mógł być, szczerą prawdę. — Radeś ty z tego Ludwika i z tej starej baby, której młodzieniaszki służą? Widzi ci się, że to z tem dobrze będzie? he?

Zagadnięty Mruk, zwykle do odpowiedzi nieskory, zmarszczył się mocno i zadumał długo.

Dersław nogami tupał.

— A no! — zawołał — dobądź, co masz, z pod wątroby!

— Za żalem po nieboszczyku — począł Mruk — człek nie miał czasu pomyśleć jeszcze o czem innem. Ale co tu się dobrego spodziewać? Obcy ludzie...

Ramionami poruszył.

Dersław, jakby mu tego dosyć było, ujął go znówu pod rękę.

— Chodź ze mną — rzekł.

Przyśpieszyli kroku.

W ulicach miasta, choć wieczór nadchodził i godzina, o której zwykle bramy się zamykały, a ludzie do domów wracali, zbliżała, dla natłoku gości obcych bardzo jeszcze było ruchliwo. Snuły się kupki podchmielonych, niepogrzebowe wyśpiewując piosenki. Tu i owdzie krzyk niewieści, napół ze śmiechem, wybuchał i nagle ucichał.

Przez otwarte drzwi browarów biło pozapalane w nich światło i gwar szedł na ulicę, tak izby jeszcze pełne były. Pacholłowie prowadzili konie od wody; kramarze zapuszczali okiennice i zamykali ławki. Gromady mieszczan, gwarząc stały pode drzwiami domów. Świeciło się wszędzie, ruszało żywo.

Po drodze spotkali jadących z zamku z pocztami ziemian, przeprowadzanych z latarkami przez chłopaków duchownych.

W rynku ulicy Floryańskiej jeszcze gęściej zna-

leźli ludzi, a tu właśnie Lasotę Mruka Dersław prowadził.

W drodze nic prawie do siebie nie mówili, Dersław dyszał zasapany. Doszli wreszcie do okazałego domostwa, któremu starszy Nałęcz przyjrzał się wprzód dobrze, nim do bramy zastukał, bo ta była zawarta.

Niedobrze z miastem obeznany, obawiał się snąć omylić i dopiero znaki balwierza wywieszone zobaczywszy, dwie miski mosiężne nad wroty, dobijać się począł do bramy.

Dworzec balwierza był duży, na dole zamknięte okiennice tylko prążki światła przepuszczały, na wyżkach w izbie górnej troje okiennic przysłoniętych widać, a w nich blask wielki i po błoniach przesuwające się cienie ludzi.

Gdy wrota odparto, a oba weszli do sieni, Dersław się zatrzymał i tchnął, jakby mu powietrza w pierśsiach zabrakło. Położył rękę na ramieniu Mrukowi.

— Jeżeś ty króla kochał, jak należy, — rzekł — no, to ci i jego korona droga i Piastów krew też... i — co posłyszysz, o co się pytają, z tem się po ludziach nosić nie będziesz.

Mruk się ździwił trochę.

— Dosyć mi na tem, że wy, panie ojczu, ze mną jesteście — odezwał się — pójdę po waszej myśli jak się patrzy.

Wschodków na górkę po ciemku domacać się nie było łatwo, począł więc Dersław wołać, jakby u siebie doma był:

— Żuczek! sam tu!

Za drugim huknięciem na górze się drzwi rozwarły, światło z nich potoczyło się ku nim i Dersław, opierając się na Mruku, począł, sapiąc, wspinać się niewygodnymi wschodami na wyżki.

Powołany Żuczek, pacholik, z drzazgą w rękę, naprędce zapaloną, czekał na nich u wnijścia.

Sionka była mała naprzód, za której nieszczelnemi drzwiami wielką wrzawę głosów słychać było.

Kilkanaście różnych odzywało się naprzemian

i głuszyło. Dersław, drzwi popchnąwszy, wszedł, prowadząc za sobą Mruka.

Izba na górze dosyć była przestronna, ale niska, tak, że roślejsi z gości, rękę dobrze podniósłszy, mogli belek dosięgnąć na pułapie. Ogień się palił na ogromnym kominie, z kilku kłód suchych nałożony.

Ludzi tu było pełno. Jedni na ławach siedzieli, drudzy o stół oparci stali, inni się przechadzali, rozprawiając żywo i głośno.

Widać było, że swoi wszyscy, nie obawiali się ni podśluchu, ni zdrady.

Goście to byli poważni, w większej części lat już nie pierwszych, z odzieży mierząc ich, dostatni, z twarzy wnosząc, nawykli rozkazywać, nie słuchać. Gdy Dersław wkroczył, obejrzeni się ciekawie ku niemu i powitali, wołając:

— Toż i on!

Lecz przybysza zobaczywszy, zamilkli.

Dersław Lasotę po ramieniu uderzył.

— Nałęcz jest — rzekł — mój pokrewny, komornik nieboszczyka, świadom tu dobrze wszystkiego, a pewnie myśli to, co i my, bo po panu płacze. On to osobę jego na pogrzebie wystawiał.

Ciekawie popatrzono na przybysza, który stał milczący. Dersław się obrócił ku niemu.

— Wszyscy my tu swoi — rzekł — ludziska dobre. Zeszliśmy się nie o swoją skórę radzić, ale z boleścią naszą się wygadać. Słuchajże, a bądź baczny. Żebyś wiedział, kogo przed sobą masz.

Wskazywać począł.

— Stary ten, Moszczyc się zowie... ten siwy drugi, Oswald jest z Płonikowa, a oto brat Przedpełk ze Staszowa, pan Stefan z Trłaga od jeziora i Wyszota z Kurnika, i...

Począł liczyć innych, a było ich tylu, że Mruk mało mógł spamigać.

Na chwilę przerwany rozmowom pilno musiało być na nowo się zawiązać, bo już niektórzy się wyrzy-

wali, gdy Dersław, jakby w domu był, na Zuczka zawołał:

— W gardle mi zaschło! Napiłbym się piwa innego czasu, a no, kiedy te pany Węgry tylko wino smokeją, już mi wstyd od nich gorszym być. Żuczek, wina dzban.

Śmieli się niektórzy, nikt nie protestował.

— Dobra rzecz wino — ozwał się Przedpełk ze Staszowa — zwłaszcza, gdy je kto umie korzeniami przyprawić i osłodzić, ale jabym się zaklął, pókim żyw go nie kosztować, bylebym tu na Węgrów nie patrzył.

— No, i ja! — rzekł, śmiejąc się, Stefan z Trłaga.

— A ja też — ośmielił się dodać Mruk, na którego za to oświadczenie spojrzeli wszyscy przyjaźnie.

— Dajno pokój — chrapnął z kąta staruszek Moszczyc — jakby wina nie stało, tobyśmy mszy świętej nie mieli, a bez niej żyć nie można.

— Ba — odezwał się drugi stary z Płonikowa — tyle, co do mszy świętej potrzeba, i u nas się znajduje. Nasadzili go Benedyktyni u nas i na Czechach.

Wtem Żuczek wniósł dzban i z pewną ostencją na stole go postawił, a kubki wyciągać poczęto.

III.

Już z pierwszego zakroju rozmowy Mruk się domyślić mógł łatwo, między jakimi ludźmi był i jaki tu duch powiewał.

Jak u wojewody Dobiesława, wśród Ludwikowych i Elżbiety dworaków i ulubieńców ciasno mu było i duszno, — tak tu czuł się między swymi.

Nie sięgał on tak daleko myślami, żeby aż możliwość pozbycia się Węgrów przypuszczał, ale mu z nimi źle było i srom czuł, że oni tu panować przychodzili i żal mu było, że już skarbiec królewski dostał się w ich ręce, a nawet mówiono, że Ludwik wywiezie

z sobą korony do Budy, bojąc się, aby mu niemi innego króla nie ukoronowano, gdy zejdzie z oczów.

Przy kubkach zaraz gwarzyć poczęto.

Dersław na ławie siadł i w boki się podparł.

— Ja przy swoim stoję — rzekł. — Nieboszczyk król pan był złoty, serdeczny, prawy ojciec nasz, Panie Boże daj mu chwałę wieczną, ale że wkońcu pobił, to pewna. Wiele uczynił dla korony tej, bo któż nad niego więcej? alisci miał ją dożywotnią w opiece, i nią, jak suknią, rozporządzać nie mógł. Dokuwała mu siostra, aby ją synowi jej dał, nie dali spokoju, osaczali, męczyli, puścili ją na Węgry. Ależ nie on ostatnim Piastem był, a korona to Piastowska. Łoktkowe państwo nie było — Piastów było. Toćbym wolał Mazura na pana, choć szepleni, wolałbym którego ze Ślązaków, wolałbym Kaźka, wnuka nieboszczyka, którego on sam wychował, wolałbym Władysława Opolczyka, niż tego Węgra Francuza, któremu my śmierzdim i on nam.

— O! o! o! — odezwał się ktoś z kąta głosem grubym — tylko nie Opolczyka! Niemiec jest, choć Piast, jak ślascy. Już się to przekabaciło zupełnie.

— Pan rozumny — wtrącił ktoś.

— Ale rozum ma nie nasz — rzekł Przedpełk. — Gadajcie co chcecie, rozum nie jeden jest; co mi po niemieckim rozumie?

— Każko — przerwał stary Oswald — serdeczne chłopię, ale wątle, ja go znam. Do wszystkiego by się rwał, a przy niczem nie ustoi.

— Co tu gadać o tych Piastach! — wtrącił Wysota z Kurnika. — Ja wam powiem jedno: Opolczyk z Ludwikiem będzie trzymał, to jedna wiara; gdyby mu dawać koronę, nie zechce. Woli spokojne księstwo, a walka długa, nie jego rzecz. Każko też, byle Dobrzyń miał, tego mu dosyć, a nawykł Elżbietę i Ludwika szanować. Mazur, choćby Litwę do siebie ściągnawszy, mógł się wyżyć, nie zechce, boby go Krzyżakami nastrozano, a Węgry-by mu Mazowsze jego plądrowali,

o które stoi. Dla mnie jeden jest tylko, coby go można wziąć i poszedłby.

Wszyscy nań spojrzeli.

— Kto? kto? — poczęli pytać.

— I Piast, i blizki, i taki człek, co nie do stracenia nie ma. Taki pójdzie najłatwiej, gdy mu lada nadzieja zaświeci.

— Któż? — zaczęto naglić.

Wysota dał im czekać i odgadywać, głowę tarł, niepilno mu było odkryć, o kim myślał. Wreszcie zamruczał:

— A no biały, Gniewkowski.

Dersław ręką zamachnął szeroko.

— Toć go postrzygli, mnich jest, co nam po nim! — zawołał.

— Mnich! jakby to Kazimierz też mnichem nie był. Papiież go ze ślubów zwolni dla korony.

Milczano trochę.

— Kto z was Białego lepiej znał? — mruknął, zwracając się ku starym, Dersław.

— Jakbyś nie wiedział — odparł Moszczyc, — żem ja u niego kasztelanem był, a Oswald (wskazał na siedzącego obok) też mu urzędował. Nie tak ci to stare dzieje, lat parę dziesiątków. Nikt go nad nas lepiej nie zna.

Milczano słuchając, a stary Moszczyc, jakby chciał się namyśleć, co dalej powie, kubka nachylił i powoli wino z niego ssał po kropelce.

— O tym Białym książątku — zaczął tymczasem Dersław — tak różne wieści chodziły, tyle o nim prawiono, że nie wiedzieć, czemu wierzyć. Ze wszystkiego, com słyszał, on mi się nie wydaje lepszym od drugih.

— Ani lepszy, ani może gorszy od drugih — przerwał stary Moszczyc, — ale do żadnego innego niepodobny; kto wie, coby z niego było, gdyby mu siłę dać i gdyby nad nim słońko zaświeciło. Z człowiekiem, bracie, jak z drzewem: może być kołkiem w płocie i osadą chorągwi.

Dersław głową potwierdził i uśmiechnął się.

— Tak, prawda-by to była, gdyby człowiek kłosem był, a nie Bożem stworzeniem, które ma przecie wolę i rozumu trochę. Ale no, kiedy go znacie, prawie nam, co on za jeden ten Biały, dobrze to wiedzieć na wszelki raz.

Wszyscy się obejrżeli na Moszczycę, który, splunął, mówić się gotował.

— To przecież wiecie — odezwał się, — że dziad jego, Ziemomysł, był Łoktka rodzonym bratem, ale brat w brata nie wszyscy do siebie podobni. Siedział spokojnie na małym Gniewkowie i mało o nim słyhać było. Synów miał trzech, którzy się jego spuścizną, Bydgoszczą, Gniewkowem i Inowrocławiem podzielili, ale dwu zmarło bezdzietnych, a Kazimierz tylko Gniewkowski dwoje, syna tego od włosów nazwanego Białym, i córkę, którą wydali za Bośniackiego króla, zostawił. Teraz tej Elżbiety córkę, a siostrzenicę jego, wziął ten niby nasz król Ludwik. Biały z początku na swoim dziale siedział.

— Wyście mu wówczas kasztelanowali — dodał Dersław.

— Takci było — uśmiechnął się Moszczycę, — choć księstwo niewielkie dzierżał, ale dwór chciał mieć liczny i nie gorszy, jak drudzy. Jam był kasztelanem, byli i podkomorzowie, i marszałek, i podczaszowie, i kanclerz, i wszystkie urzędy dostojęństwa. Siostra została królową, brat też wysoko patrzył. Naturę miał dziwną. Jakby dwóch ludzi w sobie nosił. Podczas bywał spokojny, cichy, gnuśny niemal, niepragnący nic, obojętny. Robili koło niego co chcieli, słowa nie rzekł. Nagle przychodziło coś nań, jakby go owad zły pokąsał. Budził się z tego zaspania, rwał, targał, byle czem jątrzył, z całego świata nierad był, narzekał i życie sobie zbrzydzał.

Narzucawszy się tak, nakrzycawszy, napadło go nabożeństwo, skrucha, żal, łzy, zwątpienie, obrzydzenie świata i ludzi.

Potrwało to czas jakiś, wracał do życia, więc go-

tuj łowy, dostawaj psów, zbieraj ludzi: dzień i noc w lesie, aż sił zabrakło. Bywał wesół i potrzebował koło siebie ochotczych, to znowu smutny, jak noc i w komorze się zamykał. Na dworze jednego dnia książd miał pierwsze miejsce, potem łowczy, nareszcie lada błazen, który go śmieszył.

Widziałem go w takim gniewie, że oszczepem za ludźmi rzucał, to znów dobrym, choć do rany przyłożył.

Za młodu uczył się dosyć i mówiono, że umiał tyle, co książd. Sam sobie z pergaminów czytał, lektora nie potrzebując. Po polsku mówił, po niemiecku, bodaj po łacinie i po włosku. Wszystko było w nim, bo i twarz i postać miał piękną, tylko — statku nie było. Prawdę rzec, grała w nim wielka krew, wielka pycha, wielkie rządze, których uspokoić czem nie było. Los go drażniąc, takim uczynił.

Gdy go wreszcie ożenili, myśleliśmy, że uspokoi się, gniazdo uściele i siedzieć na niem będzie, nie pragnąc więcej.

Żonę wziął młodziutką, śliczną, wesolą jak dziecko, a że się oboje miłowali, zdało się, iż raj z nią przyszedł.

Włodek się zmienił, stał dobrym, i przy jej krósnach i kądzieli ustawicznie siedział. Śpiewała mu, słuchał; opowiadała, radował się każdemu słowu, przepadał za nią. Za próg dworu od niej odejść ni odjechać nie chciał, prawie go wypędzać musiała.

Jak we wszystkim gwałtownym był, tak i w kochaniu, a myśmy tylko cicho szepotali:

— Daj Boże, aby mu się i to nie przejadło.

Księżna, jak piękna i świeża, tak bardzo wątła była. Niewiadomo z czego wkrótce zaczęła blednąć i słabiec. Przestraszony książę słał do Krakowa po mistrza Mateusza, ściągnął drugiego od Brandeburskiego księcia. Dali jej ziele jakieś pić.

Tymczasem coraz było gorzej a gorzej. Miłość męża jeszcze rosła, ona też i żyć i miłować go chciała, ano, przeciw woli Bożej ani lekarze, ni modlitwy nie pomogły.

Zwiędło nieboraczątko, jak zwarzony kwiat... umarła.

Książę z żalu niepomiernego prawie oszalał. Przytąpić doń, słowa rzec nie było można, przytomności zbył. Baliśmy się, aby sobie czego złego nie uczynił. Posłano cichaczem po Alberta, księcia Strzeleckiego, ojca nieboszczki. Przybył on, ale ani ten, ani żaden człowiek, mocy nad nim nie miał.

Po pogrzebie przywdział szaty żałobne, zamknął się, począł modlić, księżmi otoczył. Nic mu już nie było w smak, mówił, że życie zbrzydło, począł prawić, że dla niego tylko klasztor został i cela mnisza.

My, cośmy go zdawna znali, wiedzieliśmy, że się to jeszcze z czasem wszystko odmienić może. Tak się i stało.

Wszyscy żal nad nim mieli. Był mu przyjacielem zdawna i od niego ulubionym, Bodeza, starosta w Drdzeniu, człek już niemłody, który synów kilku i jedną młodzieuchną córkę miał.

Widząc go tak śmiercią żony zgnębionym, począł Bodeza do niego dojeżdżać, to sam, to z synami, aby go rozerwać i pocieszyć. Ciągnęli go z sobą prawie gwałtem, na łowy, na turnieje różne, zapraszali go do Drdzenia, gdzie czasem po dwa i trzy dni utrzymać go umieli.

Córeczka też, Bodeczanka, młode dziewczę, piękne bardzo, wychodziło doń, gdy u stołu siedzieli; posługiwała, śpiewała, szczebiotała. Książę, choć po żonie rozpaczał, a na niewiasty ani spojrzeć nie mógł, dla wielkiej boleści wspomnienia tej, którą utracił, przecie Bodeczanki Frydy owej pieśniom się przysłuchiwał rad i płakał, słuchając; mówiono, że jej pierścień darował, a ludzie szeptali, iż dziewczę się w nim więcej rozmiłowało, niż było potrzeba. Bo książę pono ani myślał o niej.

Ale że mu w Drdzeniu było lepiej niż w Gniewkowie, bo tam o swej stracie zapominał, dawał się do nich wyciągać. Myśmy prorokowali wówczas, aby bodaj dziewczki staroście nie wziął.

Tymczasem się inaczej stało. Poszedł zatarg o lasy nadgraniczne. Chciano mu je oderznąć, aktami dowodząc, że do księstwa nie należały. Sporu to nie było warte, bo lasu miał dosyć i na drzewo i do łowów, a mało o to zdał się dbać. Lecz pod złą godzinę ktoś mu podszeptał, że Staszko Kiwała, sędzia kujawski, granicę samowolnie na sosnach zarębywać każe.

Książę, usłyszawszy to, rzucił się jak rażony. Konia począł wołać, oszczep pochwycił, ludziom kazano wszystkim się zbierać i na granicę. Gdyśmy zobaczyli, jak wyruszał z podwórca, koniowi ostrogi w boki wraziwszy, prosiliśmy Pana Boga, aby sędziego gdzie nie napotkał, a właśnie Kiwała z Kaliszzanami wistocie sosny znaczył i kopce sypał.

Puścił się nań, zobaczywszy go, książę, łajac odrazu i bezczeszcząc. Kiwała, jak był mocen swem prawem, nie ustąpił. Odparł księciu, że on tu króla osobę na sobie ma. A ten, nie czekając, oszczep podniósł, cisnął i w samą pierś go trafiwszy, w miejscu trupem położył.

Dopiero gdy krew trysnęła i martwy padł, a ludzie, co z nim byli, uchodzić zaczęli, książę osłupiał i poznał, że źle uczynił. Zawrócił konia, o granicę już nie dbając, i pół żyw, na siodle ledwie mogąc usiedzieć, do Gniewkowa powrócił.

Położyli go do łóżka. Kazał księży zawołać i nieustannie msze za duszę Kiwały odprawiać.

Tymczasem do Krakowa doniesiono, co się stało, wdowa Staszka pojechała ze łzami do króla, wojewoda kaliski zawziął się. Król kazał pozwać księcia przed się, a groźnie.

Chciał Włodek zrazu jechać, zerwał się, potem został. Dzień i noc po izbie się tłukł, sam do siebie gadając, to na ławę padłszy, to na łożo, to w kącie mruczając, to okna odsuwając, aby powietrza wpuścić, to ognia paląc.

Naostatek księdza Jeremę, kapelana, który u niego kanclerzem był razem, zawoławszy, z listem go do króla Kazimierza odprawił i nagle się uspokoił. Z czem

pojechał, nie wiedział nikt, bo Jeremie pod przysięgą nakazał słowem się nie zdradzić nikomu.

Dosyć prędko powrócił posłany, aż zaraz wieść gruchnęła, której zrazu nikt wierzyć nie chciał, że książę swoją dzielnicę królowi za kilka tysięcy grzywien sprzedawszy, sam rzuca na zawsze kraj i do Ziemi świętej iść chce, a potem bodaj do klasztoru.

Popłoch się stał, nikt wierzyć nie chciał, a no prawda była. Natychmiast poczęto do drogi wszystko sposobić, sprzedawać ruchomości, inne książę rozdawać począł; koni siła i sprzętu Bodczy do Drdzenia posłał.

A tak mu Gniewków i nas pilno było opuścić, że najmniejsza zwłoka do szalu go drażniła i gniew wywoływała. Dzień i noc gotowano konie i ludzi, choć wiele ich z sobą nie brał, bo kosztu chciał uniknąć. Czterech młodych dworzan i mało co więcej pacholków od koni było mu na teraz dosyć.

Suknię sobie pielgrzymią czarną, z krzyżem na piersi dał szyć. Na piersi też i na hełm krzyż wziął i obdarzwszy niektórych, drugich, jakby znać nie chcąc, w świat pociągnął. Tu się dopiero wydało, jak owa Fryda ze Drdzenia rozmiłowana w nim była, bo gdy już w podróż wyruszywszy, do Bodczy zajechał, a żegnali go, powiadali, że padła, jak nieżywa.

Ale o tem pono Biały nie wiedział, bo go inni obstawili, a rodzina dziewczynę zakryła, sromając się tej miłości jej.

Tu Moszczyc spoczął trochę, winem usta odwilżył i po chwili westchnawszy, ciągnął dalej:

— Co się z nim potem działo, tylkośmy od ludzi wiedzieli i to nierychło. W początku, jako w wodę był wpadł; dopiero gdy z Ziemi świętej wrócił, Kaczka Jurek, który z nim aż tam był, odprawiony do domu się przywłókł i począł rozpowiadać, ile doznał utrapienia, niewygód, różnych niebezpieczeństw, i jak za łaską Bożą cudem się dostał napowrót, gdy już nigdy się nie spodziewał swoich widzieć.

Książę wprost dojechał przez niemieckie ziemie aż do na morzu zbudowanego miasta Winedzii, o któ-

rem Kaczka cuda opowiadał, iż tam domy w wodzie stoją, a ludzie, zamiast wozów i koni, członów używają kirem obitych. Stąd na statek wielki siadły, za morze się puścili, a burza sroga miotła nimi długi czas tak, że tylko śmierci już wyglądali, gdy cudem wyrzuciwszy w morze jednego złego czarownika, który na okręcie był i wszystkiego stał się przyczyną, wnet się ono uspokoiło i na ląd się dostali.

Jak potem po tej Ziemi świętej o wielkim głodzie i skwarze, często garścią maki, figami i suchemi owocami żyjąc tylko, na osłach, wielbłądach i pieszo całą pielgrzymkę odbywali, Grób Zbawiciela i kolebkę i wszystkie miejsca święte pobożnie zwiedzając, cało wyszli, choć ich rozbójnicy ścigali, i choroby z wody tamtejszej i upałów trapiły, ani spamiętam dziś.

Dosyć, że książę, napowrót statku dostawszy, znowu do owego miasta w morzu przybył, i stamtąd na cesarski dwór do Wiednia ciągnął.

Kaczka powiadał, że niepewien był jeszcze, co z sobą uczyni. Jednego dnia się do klasztoru wybierał, drugiego rycerskie rzemiosło przekładał. Z księżmi obcując, ich obyczaj przybierał, trafiwszy na ludzi innego rzemiosła, do nich się garnał. A że na dworze cesarskim tak jak powinowatym był, spodziewał się tu może wielkiego losu. Zawiodły go pono nadzieje, gdyż rychło się na nim poznano, że jak był serca wielkiego, dumi znacznej, tak statku żadnego.

Przechyliła się jakoś waga ku rycerskiej sprawie. Może też szukając, co lepszego dlań było, w krzyżakim zakonie razem i mniszy habit i orężne rzemiosło myślał znaleźć.

A że podówczas właśnie z całego świata ochotnicy się zbierali do Malborgu, na wyprawę przeciwko Litwie, posłyszeliśmy nagle, że nasz książę tu przybywa.

Kaczka, dowiedziawszy się o nim, nie strzymał, i że go miłował bardzo, choć zobaczyć pragnął i pociągnął do niego.

Było to właśnie jakoś po tem, gdy Kiejstut napadł na Angerburg i grodek dobył, a okolice spusto-

szyl strasznie. Chcieli Krzyżacy odwetu, a że gości im naściagało dosyć, bo nawet z za morza, z Anglii jeden znaczny przybył, puścili się na Ejragołę i Pa-stów, gdzie i książę był z nimi.

Wiadomo, jaka to ta wojna Litwy z Krzyżakami, gdzie nigdy prawie do boju nie przychodzi. Wpadnie Litwin na krzyżackie ziemie, spali, zniszczy, nabierze ludu i ujdzie; pójdą w odwet Krzyżacy, toż samo czyniąc. Tak i tym razem było.

Ledwie książę zwycięsko wrócił z tymi Anglika-mi, a może zamyślał do zakonu wstępować, bo pono się już o to z mistrzem układał, gdy wieść przyszła do Malborgu, że Kiejstut z Olgierdem i Patrykiem, mszcząc się za Ejragołę, około Ragnedy ogniem i mie-czem przeszli, a pochwycawszy jednego rycerza Krzyża-ka, podobno Hensla z Neuensztejnu, jako stał we zbroi na koniu, bogom swoim na ofiarę żywcem go spalili.

Dopieroż książę, gdy się o tem dowiedział, my-sleć począł, że na podobną śmierć narażać się nie by-ło rozumne dla cudzej sprawy. Krzyżacy go też bar-dzo nie trzymali za poły, bo, oprócz książęcego imie-nia, mało co im z sobą mógł przynieść.

I tak znowu nasz książę od Krzyżaków ruszył w świat.

— Trudno mu snąć miejsca zagrzać! — szepnął Dersław.

— A niebardzo się temu i dziwić, że Krzyżaków nie pokochał — dodał Moszczyc. — Jechał pono do Awinionu do papieża, od niego się tam czegoś spo-dziewając. Tu go też nie przyjęto, jako pragnął. Znu-żywszy się, z namowy mnichów Cystersów udawszy się do któregoś ich klasztoru, do zakonu ich wstąpił.

— Myśmy bo słyszeli, że Benedyktynem został — rzekł Dersław — choć między szarą a czarną suknią róż-nica niewielka.

— A no poczekajcie — rozśmiał się Moszczyc — i do Benedyktynów trafimy.

Inni milczeli, potrzebując głowami; losy te księ-cia, na którym nadzieje jakieś zdawano się pokładać,

niebardzo się podobały tym, co mu dobrze życzyli.

— Co za dziw, że u Cystersów nie strzymał — wtrącił Przedpełk — zakon bardzo surowy, a ludzie nie względni. Przecie dla takiego, jak on, winni byli coś uczynić.

— Nie wiem, jak do tego przyszło — mruknął Moszczyc, — ale pono siódmego miesiąca książę z klasz-toru, w którym już pierwsze był złożył śluby, uszedł do Benedyktynów do Dyżonu, gdzie go, przywdziewa-jącego już nowy czarny habit, napędzili Cystersi, gdy przysięgę miał składać.

Słyszałem, że się wielki spór wszczął niemal przy ołtarzu, bo Cystersi gwałtem zbiega odbierać chcieli, a Benedyktyni go bronili. Mnichy się skłócili, ale ci, co na swoim gruncie, a liczniejsi byli, zwyciężyli, i ksią-żę u św. Benedykta po dziś dzień pozostali.

Gdy Moszczyc dokończył, milczenie panowało dłu-gie. Dersław dziwnie głową potrząsał.

— Nie wiem — rzekł wreszcie, — czy na biednego, skołatanego tyłu wypadkami, zniechęconego do życia, liczyć nam co można. Mnich nie mnich, juści by go nam papież oddał, gdyby pięknie poprosić, ale co nam po takim człowieku!

— Nie mówcie tak gorąco — wyrwał się Przed-pełk ze Staszowa — właśnie człowiek, jak on, najlepszy dla nas, bo nam wszystko winien będzie. Po świecie się kręcił, prawda, miejsca nie zagrzewał, bo mu ni-gdzie los nie dopisał. Cóż miał czynić?

Stefan z Trłaga toż samo począł.

— Meżny jest, to wszyscy świadczą; krew Pias-towska w nim. Czego więcej chcecie?

— A no — rzekł Dersław, — przy krwi tej jabym i głowy chciał Piastowskiej. Wiemci, że o innego Piasta trudno, ale bym już Każka wolał.

Drudzy się podnieśli i zakrzyczeli.

— Temu złote góry dawajcie, to go nie zwabicie. Ujął go już Ludwik, jego on jest, a o koronie ani myśli.

— I niema drugiego, krom tego — dokończył Przedpełk.

Zadumał się Dersław.

— Czasu dosyć—rzekł,—dziś się to ogaduje tylko, a stanowić zawczasie. Na Ludwika się porwać z lada kim i lada czem trudno.

— Wątpię—ozwał się po raz pierwszy, ale gorąco, milczący dotąd i słuchający z uwagą Lasota Nałęcz.—Wątpię ja, abyśmy z królem Ludwikiem, a on z nami do ładu przyszedł. Pan dla Węgrów, dla Dalmatów i Włochów może taki, jakiego im potrzeba, a nam się nie zdał na nic. Zobaczycie...

— I my tak sądzimy—zwracając się ku mówiącemu, odezwał się Przedpełk.—My, co nas jest Wielkopolan, tego Małopolskiego, krakowskiego króla nie chcemy. A gdy my poczniemy, to i Małopolanie się opatrzą. Króla nam trzeba, coby u nas mieszkał, z nami żył i nas rozumiał. Ten niechaj sobie do Włoch ciągnie, aby mu cieplej było... my innego, w kozuchu sobie wyszukamy, co mu też nasze kozuchy śmierzdieć nie będą!

Gwar się stał i śmiechy.

— Ino poczekajmy a rozpatrzmy się — powtórzył Dersław.—Tego, czy innego wybierzemy, a kogoś mieć musimy, i takiego, żebyśmy go już mieniać nie potrzebowali.

Poczęli tedy drudzy z miejsc powstawać, żegnać się i wychodzić, a Lasota wkrótce sam na sam z Dersławem na górze pozostał.

IV.

Dersław Nałęcz nie był ani w swej rodzinie, ani w swej okolicy, ani w ziemi swojej człowiekiem wielkiego znaczenia.

Z ludźmi żył dobrze, słuchano go chętnie, ale mu wpływu żadnego nie przypisywano, a on sam, gdy

mu kto dał poznać, że on na wpływ ten rachował, wypierał się go jak najmocniej.

Ziemianin był zamożny i należał do szczytu rozrodzonego, który wiele w kraju znaczył, obchodziły go więcej może niż inne losy rodu i dola kraju, lecz krzątając się około obojga, zdawał się umyślnie zasłaniać drugimi. Wolał, ażeby to, co czynił, szło na karb cudzy, sławy z tego nie szukał, a może i troski, jaką ona za sobą ciągnie, chciał uniknąć.

Ci, co go blisko znali, zwali chytrym, czasem li sem, śmiejąc się, a nie było to sprawiedliwem, gdyż Dersław fałszu ani zażywał, ani go innym przebaczał, szedł prostą drogą zawsze, nie lubił tylko zanadto się widocznym czynić dla świętego spokoju.

Mało kto wiedział, jak wiele Dersław mógł i czynił, ile myśli poddał, jak ludzi poruszyć i popychać umiał, przecież żadna sprawa ważniejsza nie obeszła się bez niego. Przyznawano ją potem komu innemu, nie upominał się, uśmiechał tylko.

Chociaż do domu i do żony przywiązany, choć dzieci kochający, a już wiekiem mógłby się być tłómaczyć, że spoczynek sobie zapewnił, Dersław z wyknięcia do zabiegów i krzątania nie mógł zaspać. Był szlachecki zjazd jaki, nigdy Dersława tam nie zabrakło; ruszyło się co i zakotłowało, biegł zaraz. Zawołano do Krakowa, gotów był zawsze.

Czasy to, od Przemkowych począwszy, nie mówiąc o dawniejszych, były w Wielkopolsce niespokojne. Za piecem siedzieć mało kto mógł, samotrzeć na gościniec wyjechać trudno się było ważyć. Ponad granicami Sasi i Brandeburczyki łotrowali, od Śląska też wpadali zbóje. W samej Wielkopolsce od Borkowicza się ich namnożyło, brat jego i syn mścili się za umorzzonego. Inni za ich przykładem puszczały się na łatwy zarobek po drogach. Obdzierano kupców obcych, a gdy tych nie stało, rzucano się i na swoich. Poważniły się rodziny z sobą, wnet nie szukając sprawiedliwości po sądach, same ją sobie orężem zdobywały.

Zajeżdżano dobra duchownym, zagarniano lasy i nieosiadłe ziemie królewskie.

Nieład coraz większy się mnożył, któremu wielkorządcy za oczyma króla podołać nie mogli. Za Kazimierza już, który rzadko do Wielkopolski zaglądał, Borkowicz począł burzyć umysły, jęcząc swoich ziomków przeciw Małopolanom, Krakowowi i władzy królewskiej.

Tam właśnie, gdzie dla blizkiego sąsiedztwa Krzyżaków, Brandeburgów z ich Sasami i Śląskiem, trzeba było największego ładu i czuwania, najmniej było obojga. Wielkorządca żaden sobie rady z Wielkopolanami dać nie mógł. Bałamucili ich często sąsiedzi, a warchołom dobrze z tem było, gdy się zamąciło, i łowili ryby w mętnej wodzie.

Panu Dersławowi, choćby był chciał spokojnie u ogniska siedzieć, czas-by nie dopuścił, a i on sam do tego ochoty nie miał.

Jeszcze przed przybyciem do Krakowa na koronację przekonał się w Poznaniu, że przyszedł król Ludwik prawie wszystkich miał przeciwko sobie. Wielkopolska daleko mocniej od Krakowian i reszty Polski stała przy krwi Piastów. Krzyczano, że król nieboszczyk nie miał prawa ziemią, którą dożywotnie rządził, rozporządzać. Potem zaczęto się domagać, aby przy najmniej koronował się w Gnieźnie, aby sam mieszkał w Polsce; naostatek, czasu koronacji i pogrzebu, dumy i lekceważenie doznane od Węgrów, dopełniły miary. Zaczęto mówić o innym Piaście i innego sobie króla szukać.

Dersław tego nie wymyślił, ale kość z kości Wielkopolanin, podzielał ich uczucia, a gdy raz na tę drogę weszli, kroczył i on z nimi. Przechylała się waga na stronę tego Władysława Białego, o którym Moszczyc taką długą opowiadał historię. Niebardzo on był do smaku Dersławowi, ale innego pod ręką nie mieli, więc na wszelki przypadek trzeba było lepiej tę rzecz roztrząsać i bliżej poznać.

Gdy z Lasotą sam na sam pozostali, Dersław, na

kominie ognia poprawiwszy, pas rozwiązał, wina sobie i jemu nalął, i nogi grzejąc, począł cichą rozmowę.

— Tyś bywał we dworze—rzekł do Lasoty—cóż myślisz, jak nam z tym Ludwikiem będzie? Przypatrzyłeś mu się? co tam koło niego słychać?

Lasocie mówić tak odrazu łatwo nie było, potrzebował, aby go podpalono. Ruszył ramionami, zamruczał coś niewyraźnego.

Dersław patrzył nań pilno; zmiarkował, że z Mruka nie dobędzie słowa, chyba go potrosze za język ciągnąc i biorąc na spytki.

— Co na dworze mówią, naprzód o królewskim testamentcie? strzymują go czy nie?

Lasota głową potrząsał, ale jeszcze się nie odezwał.

— Jak tam na ks. Suchywilka patrzą — dodał Dersław.

Lasota zrobił minę dwuznaczną i jęknął.

— Muszą go szczerdzić, boć znaczenie ma, ale nie lubią go.

Dersław ręce zatarł, śnać go to pocieszyło.

— Niech testament pokruszą—rzekł,—tem ci lepiej, król sobie nieprzyjaciół przysporzy.

Pomyślał chwilę i westchnął, a zwracając się do Lasoty, dodał:

— Tylko że to u nas po staremu, na języku dużo. Ludzie się wykrzyczą, nałają, naburzą, warchołom król nadaniami gęby pozamyka, nie zechcą się na guza narażać i słuchać go będą.

Zarumienił się Lasota i dopiero z niego buchnęło, aż się starszy zadziwił.

— No, chyba nie — rzekł głośno, — chyba nie! Z tym królem my nie wytrwamy. Gdy po niego ks. biskup Floryan z ks. Janem do Budy pojechali, choć mu koronę wieźli, której stara Elżbieta tak długo nie łaknęła, zrazu nawet na podróż do Krakowa nakłonić go było trudno. Drożył się, namawiał, ociągał. Matka dopiero go napędziła... i żeby nie mógł się wymawiać, sama pojechała przodem. Przyjmowali go w Sączu i w Krakowie wiecie jak... jak zbawcę, jak ojca,

a on—nosem na wszystko kręcił. Teraz co najrychlejby chcieli skarbiec zabrać, pieniądze zagarnąć—i Ludwik myśli tylko, jakby co prędzej powrócił do Budy...

— A któż tu będzie rządził?—zapytał Dersław.

— Jużci stara pani—odparł Lasota pogardliwie—i jej młodzi ulubieńcy... Zawisza, syn Dobkowy, a innych siła w wielkich łaskach. Babie, aby się kłaniano a prawiono słodycze i zabawiano ją, na wszystko zezwoli. Opolczyka może na Rusi posadzą i do Wielkopolski poślą też pewnie kogoś im milszego.

Ręką zamachnął Lasota.

— Zaznamy teraz, co to pod obcym być—mruknął i siadł.

Dersław nic nie odpowiedział.

— Ty z sobą co myślisz?—zapytał. — Zostaniesz przy dworze, czy nie?

— Nie—stanowczo i z pewnem oburzeniem odparł Lasota.—Ja lizłapą być nie potrafię, a tu teraz takich potrzeba, co i kłaniać się i kłamać będą umieli.

— Cóż poczniesz?

— Ha! — zawołał Lasota—sam spełna nie wiem. Ojcowizna szczupła, na wieś powracać mi tęskno, do ludzi nawykłem... Służby rycerskiej będę szukał i lepszego czasu czekał.

Dersław głową pokiwał.

— Słuchaj — rzekł — nam w Wielkopolsce teraz będzie potrzeba siła ludzi takich, jak ty... Czas jakiś pociągnie się może spokojnie, potem zamąci się i zawichrzy. Wracaj ze mną, siedź w Poznaniu, zapisz się tam bodaj do wojewody, jaki on będzie... Zdasz się nam... Prawda, że mówny niebardzo jesteś, ale nam pono więcej ręki niż języka będzie potrzeba.

Lasota się zadumał.

— Na dworze nieboszczyka było nas Wielkopolan dosyć... nieźleby było, żebyś ich z sobą wyciągnął. Krakowianie nam chcą panować sami, my tego nie zniesiemy, przyjdzie się z nimi rozbratać, trzeba swoich stąd powybierać, niech nie przepadają.

I pomyślawszy trochę, Dersław dolożył:

— Ze wszystkiego widzę, że nasi bracia na Białego chorują, i choć spróbują sobie go ściągnąć, my się od swoich odczepić nie możemy. Niech sobie będzie i Biały, aby Wielkopolanie okazali, że też coś ważą. Bodaj zawichrzyć, będą nas potem lepiej szanować. A na naszego Przecława z Gołuchowa jak tam patrzą?—zapytał stary.

Lasota był znów w usposobieniu milczącym i nieprędko na odpowiedź się zebrał.

— Koso nań patrzą — rzekł nareszcie. Nic nie wiem, ale mi się zda, że on niedługo na wielkorządach posiedzi.

Dersław się rozśmiał.

— Tem lepiej — rzekł — bo i jego nam dadzą, a jest potrzebny i Krakowiaka nam przysła, to już miary nam doleją!... Ma być co, niechże będzie na dobre!

Wstał Dersław i ziewnął zmęczony, wyciągając się.

— Późno do kata—rzekł,—jabym już spał, a ty pewnie po dzisiejszej służbie wyciągnąłbyś się rad. Do zamku ci nie pora iść, a tam też Węgrzy może na twojej pościeli się wyciągają; każe ci tu słomy przynieść i kobierczyk zasłać.

Stało się, jak gospodarz chciał i po kubku jeszcze na sen dopiwszy, legli oba.

Nazajutrz, gdy Dersław chrapał jeszcze w najlepsze, Lasota już zerwał się z łóża swego, na palcach wyszedł i na zamek pociągnął. Stary jakby wyprorokował, bo gdy do swej izby śpieszył, pacholę owinięte w starą opończę i śpiące w sieniach u drzwi, przebudziwszy się, oznajmiło mu, że Węgrzy, podpiwszy, nadedniem drzwi u niego wyłamali i gwałtem do izby wpadłszy, spalili.

Było ich, jak mówił, trzech, więc Lasota sam bójki z napastnikami zuchwałymi rozpocząć nie myślał, a że się już we dworze ruszano, poszedł do marszałka Węgrów królewskich na skargę.

Z tym, który już nad polewką gorącą siedział, rozmówić się było trudno. Zamiast w pomoc przyjść

wypartemu z własnego mieszkania, poczał go jeszcze łajac za niegościnność i odgrzązać się.

Z niczem więc odszedł Lasota; musiał swoich zebrać kilku chłopów co najtęższych, a takich, którym już Węgrowie dokuczali, i z nimi dopiero do izby swojej wpadłszy, przebudzonych i do oręża się porywających Węgrów precz wyrzucił.

Nie odbyło się to bez wrzasku, bójk i bez krzyków, na które więcej jeszcze Węgrów w pomoc swoim nadbiegło.

Poczęli też i Polacy zewsząd pośpieszać, radzi, iż zuchwałych przetrzepią, i byłoby krwawo zajście się skończyło, gdyby starszy nad Węgrami nie przypadł i zmiarkowawszy, że bójka wkońcu na niekorzyść wypaść może, swoich z sobą gwałtem zabrał.

Lasocie już po tem zajściu nie było się co dłużej trzymać zamku, gdzie się więcej nic, oprócz pomsty nie spodziewał; natychmiast więc co miał, ściągając poczał, konie swe przyprowadzać kazał, i juki na nie kłaść, aby z zamku precz iść.

Spostrzegłszy to i inni starzy dworzanie Kaziemierzowi, także na gwałt rzucili się z zamku wynosić.

Stała się wrzawa znaczna, i co spało jeszcze o tej porze, pobudziło się. Węgierski dwór, zobaczywszy hurmem Polaków skupionych i zabierających się gromadnie zamek opuszczać, pomiarkował, że z tego nic dobrego nie urośnie.

Ten i ów ze starszyny węgierskiej przyszedł badać i namawiać do zgody, ale słuchać ich nie chciano.

Musieli tedy uciec się do pośrednictwa jakiegoś Węgra, i posłano po Krzesława Różyca, syna Dąbkowego, aby im w pomoc przybywał.

Zdyszany nadbiegł, i gdy mu oznajmiono, o co szło, pośpieszył do dworzan, o przyczynę pytając.

Lasota nawet odpowiadać nie chciał, ale na jego miejsce, dobrze wyprawną mając gębę, Pełka Sreniawczyk, zwany Pokrzywką, wystąpił.

— Dla nas bo miejsca na zamku niema — zawołał. — Wolimy my sami opuścić go, niż czekać, aby nas

wyżeniono... Panom Węgom ciasno, muszą się szeroko rozłożyć... Wyrwali drzwi Lasocie i rozgościli się u niego nieproszeni, jutro mnie to uczynią. U ks. Jana z Czarnkowa, gdyby nie żelazne drzwi, toż samoby było, bo się dobijali... Wczas trzeba, co kto ma, zabierać, bo i kaptura jutro stąd nie wyniesiemy.

Inni, pokrzykując, potakiwali Pełce, tak, że Krzesław nie wiedział już, co im rzec.

— Pamiętajcie ino — odezwał się, — że sobie tem łaski króla nie zaskarbicie, a przecie jej potrzebujecie.

Lasota dopiero zawołał w gniewie:

— Jako żywo!

Zmieszał się Krzesław.

— Skarżyć było potrzeba, gdy się krzywda stała.

— Aby nas łajano! — zawarczał Lasota.

I tak Krzesław to groźbami, to prośbami na próżno usiłując tumult powstrzymać, nie wskórał nic. Wszyscy, co z Lasotą trzymali, konie swe obładowawszy, natychmiast z zamku na miasto ruszyli.

Niektórzy bojaźliwsi odłożyli to, ociągając się.

Dano znać królowi, który ramionami poruszył, uśmiechnął się i zdawał mało dbać o to.

A że i stara królowa plotki wszelkie lubiła, o wszystkim chcąc być zaraz uwiadomioną, Zawisza, nadbiegłszy za bratem, z doniesieniem pośpieszył do niej.

Trochę więcej wzięła to z początku do serca, ale nie poradziła nic, a po godzinie zapomniiała, co zaszło.

Królewski dwór tegoż dnia już czynił przygotowania do podróży, bo Ludwikowi pilno było wielce zbyć się wycieczki do Gniezna i Wielkopolski, dokąd go ks. arcybiskup Bogorya ciągnął. Węgry więc nie mieli czasu dokazywać, i dzień ten upłynął jakoś spokojnie.

Wieczorem, jak zwykle, stara królowa zabawiała się.

Słychać było muzykę, widać pływających, a śmiechy aż na podwórce dolatywały. Król u matki nie bawił długo; drudzy, szczególnież ci, co się przyszłej pani w łaski zapisać chcieli, dosiadali, póki śpiewać kazała i słuchała pochlebców.

Ze starego dworu nieboszczyka mało kto tam był, lecz nowych ludzi, dawniej mniej znanych, zbiegło się dosyć, i na Polakach nie zbywało.

Tu już można było zgadnąć, kto w przyszłości pójdzie w górę, a kto w niełasce popadnie. Tych, co się garnęli do starej pani, przyjmowała bardzo wdzięcznie. Wesołością i pochlebstwem a piękną powierzchownością ująć ją było łatwo. Młodzież też po większej części ją otaczała.

Gdy się to działo na zamku, Lasota, precz odjechawszy, gospodę sobie najął u znajomego na Grodzkiej ulicy, przeodział się i siedł do Dersława, bo teraz już nie miał co innego do czynienia, tylko swoich się trzymać.

Zastał go nad misą, zajądającego, co mu doma uwarzono.

Zobaczywszy Lasotę, Dersław, który już o rannej przygodzie wiedział, bo się to po mieście rozniosło, przywitał go.

— A co? Węgry górą...

— Do czasu — rzekł Lasota — jam z zamku się wyniosł.

— No, i ze mną do Poznania?

— Jak każecie, ojcze.

— Masz rozum — odparł Dersław. — Dobądź łyżkę z za pasa, bo juźci bez niej nie chodzisz, kromkę chleba sobie odkrój i jedz, co Bóg dał. Stanie dla dwóch, bo na czterech gotowano.

Lasota, nie dając się prosić, przysiadł się do misy, jak należało.

— Król bodaj jutro do Gniezna z arcybiskupem jedzie — rzekł, — wozy już gotują.

— O! o! — zawołał Dersław, przestając jeść, — a nie wiecie, czy i korony z sobą wiozą? — Ludziomby wielu gębę zamknął, gdyby się dał w Gnieźnie ukoronować.

— Chyba to nie może być — odezwał się Lasota. — Słyszałem po dworze, iż królowi ta dwoista koronacya

śmieszna się widzi. Ale do grobu św. Wojciecha pokłonić się pojedzie.

— Hm — rzekł Dersław — nam też potrzeba być, żebyśmy widzieli, jak się to odbędzie. Co mamy za królem gonić, lepiej go wyprzedzić. — Ja już tu robić co nie mam. Pan Przedysław z Gołuchowa też dziś rusza przodem. Gotoweś z końmi?

— Jam zawsze gotów — rzekł Lasota — nic mnie tu nie trzyma.

— Ba! — rozśmiał się stary, który żartować czasem lubił — nie masz to żadnej mieszczki, z którąbyś na cztery oczy się chciał pożegnać?

Ruszył ramionami Lasota.

— Już mi to nie w głowie! — odparł.

— A kędyż poszło? — zagadnął stary, i nie czekając odpowiedzi, otarł usta, przeżegnał się a na chłopca począł wołać:

— Sakwy wiązać, w drogę! słyszysz, niezdaro... za godzinę na gościńcu być musimy.

Zwrócił się do Lasoty, pasa popuszczanego ścągając.

— I was za godzinę czekam — rzekł, — czapkę biorąc, — a teraz trzeba po swoich pójść i dać hasło: Wielkopolany w drogę!...

Tegoż dnia z przymrozkiem, który od południa zaczął brać, przy wypogodzonym niebie, co było Wielkopolan, którzy się kupy trzymali, ruszać zaczęło z Krakowa.

Wojewoda kaliski wyprzedzał ich i króla. Szły wozy arcybiskupa i ks. Suchywilka; jechali też gromadnie i Nałęcz.

Śpieszyło się Dersławowi i bardzo, ale nie zawsze idzie człowiekowi po myśli; tak i jemu w tym razie. Zmęczył się niemało w Krakowie, a może co niezdrowego zjadł po drodze w gospodzie, dosyć, że drugiego dnia dla wielkich boleści dalej nie mogąc ciągnąć, w lichej karczmie na gościńcu obległ. Lasota też przy nim pozostał, bo inni, którym pilniej było, pędzili do Gniezna i Poznania.

I stało się tak, że Dersław, który miał króla wyprzedzić, teraz ledwie się go spodziewał napędzić. Nie tyle mu szło o chorobę i cierpienie, bo choć się kulił z bólu, lekcewał go sobie, nie nowiną mu to było, ale na to utyskiwał, iż wszystkiego świadkiem nie będzie i z drugimi w kole nie stanie.

Na gwałt zaś ruszyć nie było sposobu, bo na koniu usiedzieć nie mógł.

Gospoda, w której obległ, oddalona od wioski, samotna, tak przypadała, iż w niej orszakowi królewskiemu spoczynek byłznaczony, o czym nie wiedział Dersław ani Lasota.

Rozłożyli się w niej, jak u siebie, gdy Węgrowie królewscy, co poprzedzali pana, nadbiegli.

Jednemu z nich koń w drodze nogę zwichnął. Napatrzwszy w stajni deresza, co pod Dersławem chodził, nie pytając nawet, czyj był, Węgier go zaraz pochwycił.

Ludzie Lasoty i Dersławowi rzucili się odbierać. Węgry do mieczów, a była ich siła większa, tak, że kilku z czeladzi porąbali, i nim Lasota wybiegł, nie tylko konia z siedzeniem, lecz opon nachwytawszy, beczukę z winem i srebrny kubek, na gościniec uskoczyli.

Ani dogadać się z nimi nie było sposobu, ani ich przemódz, bo w dwójnasób tyle mieli rąk, co Nałęczowie.

Stanowniczy Polak, napiły i bezprzytomny, choć się do niego Lasota czepiał, nic nie umiał poradzić, kłął tylko.

— Co ty z tymi madziarami myślisz się zadziierać! — wołał do Lasoty, — dziękuj Bogu, gdy ci głowy z karku nie zdejmą. O konia się będziesz upominał? Patrz, żebyś go krwią jeszcze nie dopłacił.

Węgry ze śmiechem i urąganiem pojechali i na tem się skończyło.

Dopieroż chorego Dersława widzieć trzeba było, gdy mu dano znać, że jego ulubiony deresz, który miał nogi osobliwe, a mimo to niósł, jak w kołysce,

przepadł. Pięści obie ścisnął, zęby zaciął, kłął i, wnet pomiarkowawszy się, rzekł:

— Ziemianinowi konia wziąć, co znaczy, ten tylko wie, kto miał wierzchowego, a kochał go, jak dziecko swe.

Tę tylko miał Dersław korzyść ze straty, że co chorym był, z gniewu i poruszenia, zamiast mocniej zapasć, odrazu pozdrowiał. Konia od pachółka wzięwszy, natychmiast ruszył dalej.

Ciągnęli tedy za królem już, który pośpiesznie do Gniezna dążył, a po drodze napatrzeć się mogli i nasłuchać, co Węgry dokazywały w pochodzie. Kędy przeszli, nie pozostał po nich ani stóg siana cały, ani chata i domostwo, w któremby na ich gospodarstwo, gwałty i zabory nie narzekano.

Rosła stąd wielce niechęć do króla, już i tak nie-lubionego, a że przy nim stanowniczowie i urzędnicy Małopolskanie byli, którzy na zbytki patrzyli, nie nie radząc, ani zapobiegając, i na nich burzyli się ludzie.

I, coby ta podróż Ludwikowa miała mu serce pozyskać, więcej ich jeszcze podrażniła.

Gdyby tylko kmieci uciskali, którzy dawne czasy na prawie polskiem, podwoły, przewód, i pogonie pamiętali, nie tyleby to raziło, lecz dostawało się i ziemiańskim dworom, i rycerstwu, i duchownym, bo maziary nikogo nie poszanowali.

Więc lamenty rozwodzono srogie, a Dersław słuchając ich, to się gniewał, to radował, bo myślał, iż stronę króla mało kto tu teraz trzymać będzie.

Nie jadąc w ślad za Ludwikiem do Gniezna, Nałęczowie w Poznaniu się zatrzymali, gdzie jedni przygotowania czynili do przyjęcia króla, a drudzy się z nich na ową mniemaną do Gniezna koronację wybierali, bo byli i tacy, co w nią wierzyli.

Wiedziano, iż z rozkazu arcybiskupa tron w gnieźnieńskim kościele, złotogłowem i purpurą okryty, był przygotowany. Wieść chodziła, że koronę Chrobrego Ludwik z sobą przywiezie do Krakowa.

Tymczasem zawiodły nadzieje. Na nalegania ar-

cybiskupa, który żądał, aby król w ornacie koronacyjnym uroczystym zasiadł na tronie, Ludwik z uśmiechem odpowiedział, iż tego nie uczyni, boby koronację swą pierwszą w wątpliwość podał.

W zwyczajnem ubraniu znajdował się Ludwik na nabożeństwie w katedrze u grobu św. Wojciecha, złożył przy nim skromną ofiarę i krótko zabawiwszy u Bogoryi, natychmiast do Poznania wyruszył.

Wielkopolscy ziemianie, już zrażeni tem, że ich żądanie lekceważono w stolicy ziemi swej, niezbyt licznie, ani tak ochoczo przyjęli króla, jak się spodziewał.

Wszędzie też bawił, jak mógł najkrócej, widocznie się śpiesząc, mało komu łaskawsze okazując oblicze, zbywając się ludzi z niechęcią i obojętnością.

Zostawiły więc po sobie odwiedziny królewskie zaród wzajemnej urazy i można było przewidzieć, że między panującym a Wielkopolską rozbrat coraz większy nastąpić musi.

Przedysław z Gołuchowa, który lepszego się spodziewał, ośmielił się królowi powiedzieć, co myśleli wszyscy i chciał go skłonić, aby łaskawszym okazał się dla Wielkopolski — lecz Ludwik ramionami poruszył i prawie go nie słuchał.

Węgrowie zaś otaczający, którym wszystkiego zawsze za mało było, na Przedysława i Wielkopolan krzyżeli jeszcze i na kraj wydziwiali.

Dersław, tego wszystkiego wysłuchawszy i napałtrzywszy się, po kilku dniach Lasotę z sobą zabrał i do domu do Wielkiej Wsi wyruszył.

V.

W Wielkiej Wsi Dersławowej, lasami dokoła otoczonej, a ponad jeziorem rybnem osiadłej, pokój panował szczęśliwy, który ona winna była temu, że ją samo położenie broniło. Szlaki uczęszczane zdala szły

od niej, otaczające mokre puszcze dostęp trudnym czyniły i nawet czasu rozruchów i najazdów, które się w Wielkopolsce zagnieździły, Wielka Wieś bezpieczna była. Nie lada też kupą ważyć się na nią mógł napastnik, bo sioło było ludne, ludność zaś mężna i takiego ducha, że jej ku obronie wołać nie było potrzeba. Dwa czy trzy przysiółki, Wólka Złota, Wólka nadbrzeżna i Koleśnicy, tak dokoła były rozłożone, że uchowaj Boże najazdu, stały na straży, minąć ich nie mógł nikt, a znani ludzie ścieżynami zaraz mogli dać znać i na gwałt uderzyć.

W ostatecznym razie stare grodzisko obszerne, wałem obsypane, mogło się bronić i zawrzeć w sobie немало ludzi.

Na grodzisku stał i kościółek pod jego obroną i szop siła było, do których się schronić z dobytkiem mogli wieśniacy.

Dersław mieszkał w domu starym, poprawionym i przybudowanym, który bardzo dziwnie wyglądał, jak czasem grzyby na drzewie, gdy w kupie urosną ściśnięte. Dachów, daszków, sieni, przejść, podsieni różnych, ścian nierównych wyższych i niższych, okien małych i wielkich, sterczących dymników, nie naliczyć tam było. Do niektórych mieszkań dostawało się po drabinach, do innych trudno było zgadnąć którędy ludzie wślizli.

Z jednej strony przyparta była stara i już rozeschła, a świecąca szparami wieża drewniana, która pono jeszcze za jakiegoś wojny i niebezpieczeństwa wznieśiona została, a teraz w niej baby mokre chusty wiszały, gdy słońce było na dworze.

Na takich wygodach, jakich owe czasy wymagały, nie zbywało tu. Był i ład w domu, lecz dla oka nikt starej kleci przybierać nie myślał.

Poczerniała od deszczów, okopcona od dymu, gdzieś niedzie w ziemię zapadająca ze ścianami skoszonymi i popodpieranymi, jużby może nowemu pokąźniejszemu domostwu miejsca musiała ustąpić, gdyby Dersław,

który ją taką po ojcu wziął, a bardzo był do niej przywiązany, nie obronił i nie uchwalił.

Syn jego, Wierusz, gwałtem chciał nowy dwór stawić, Dersław się uparł i na tem stało, że póki on żył, dom stać będzie, ani go da palcem tknąć. Wierusz, który gospodarował ojcu i zastępował go musiał się do tej woli zastosować.

Jak ten dom, tak i mienie Dersławowe nie narzucało się oczom. Wszędzie był dostatek, który nikogo zazdrosnym nie mógł uczynić. Po komorach i zakomórkach pełno było wszystkiego, ale o tem mało kto wiedział.

Dersławowa żona, Jagna, która też z Nałęczów domu była, niewiasta spokojna, jako cień chodziła za mężem, który do niej przywiązany był, i powolny, ale swą powagę czasem czuć dawał, trzymając, iż niewiastom rzędzić i dawać się prowadzić nie należało.

Oprócz syna Wierusza, Dersławowie mieli córkę zwaną Piotruszą; dziewczę, które się w matkę wdało, ciche było, łagodne a skromne.

Może dlatego, że ani ona się ze swą pięknością pochłubić nie umiała, ani ojciec z dostatkim, Piotrusza już dwadzieścia lat liczyła, a nikt się o nią nie starał i w domu siedziała.

Wiedziała o niej młodzież, ale młodym blask i rozgłos miłsze nad wszystko; a Piotrusza nie słynęła niczem, tylko tem, że matce była prawą ręką, a ojcu dzieckiem najmilszem.

Dersławowi i Jagnie pozbyć się córki z domucale nie było pilno. Wierusz też, że żonaty nie był, siostrę w domu rad widział.

Gdy stary Nałęcz do Wielkiej Wsi z sobą Lasotę zabierał, może mu na myśl to przyszło, że córce męża prowadzi; może niekoniecznie rad był ją zaswatać namiętnemu i na dworactwie nawyktemu do lepszego żywota powinowatemu, lecz potrzebował go, nie miał gdzie osadzić, i mimo obawy, wioził z sobą.

Po drodze tylko w rozmowie przebąkał stary, że dla córki ma już upatrzonego czelaka, aby Lasota się

bardzo do niej nie zbliżał. A chociaż tak nie było, z kłamstwa się rozgrzeszył dla bezpieczeństwa dziecka swego. Słyszał bo dwór Kazimierzów, jak pan jego, ze swawolnego obyczaju. Lecz Lasota młodzieńcze szaleństwa już był za sobą i o niewiastach myślał mało, teraz zaś myślał o sobie, bo nie wiedział jeszcze, co pocnie.

Do Wielkiej Wsi przybywszy, stary się zaraz załatwił pomieszczeniem Lasoty. Dano mu izbę osobną, która od tyłów wniósł się miała, sień własną i komory, stajnie dla koni, pomieszkankę dla służby, a Wierusz, który podobny był do ojca, przyjął go jak brata.

Rad był temu towarzyszyć, który mógł mu o dworze i o krajach, jakie z Kazimierzem zwiadał, albo do których przez niego posyłanym bywał z innymi, opowiadać.

Nawykły do życia na Wawelu, gdzie zawsze było gwarno i tłumno, skąd trzy kroki tylko było do ożywionego miasta, Lasota Wielką Wieś znajdował pustą i głuchą, lecz miło mu tu było wypocząć i młode lata na wsi spędzone sobie przypominać.

Dersław zaś ciągle mu powtarzał, że go tu nie uwiezi na wieki, i że będzie miał co do czynienia.

Oprócz starego gospodarza, jego syna, żony i córek, a proboszcza, który na grodzisku mieszkał i gościem był codziennym, mało tu kogo widywano. Przecież różne wiadomości ze świata, od Poznania i Gniezna nadlatywały. Zawadzali ziemianie o Wielką Wieś, bywali księża u proboszcza, kmiecie z wsi i lasów sąsiednich także czasem plotkę przyniesli.

Postrzegł wprędce Lasota, jakie usposobienie było w kraju, bo wszystko, cokolwiek tu przyszło, co powtarzano, świadczyło o niechęci do Małopolan i króla. Takie tylko wieści powtarzano chętnie, które Wielkopolanom dogadzały.

Dowiedzieli się tu wprędce, że Przemysław z Gólułchowa, który miał wielkorządy, już został podkopany i na jego miejsce Krakowianina obiecywano, co ogromnie umysły wzburzało.

— Niech spróbują nam tu nasłać obcego — mówił Dersław, — a zobaczą, czy długo u nas wytrzyma! Wykurzimy go... choćby najlepszym był, bo w swej ziemi cudzym ludziom rządzić nie damy. Wielkopolan dosyć jest, i z nich człeka wybrać powinni.

Innego dnia przyszła wiadomość, iż król Ludwik, korony zabrawszy z sobą, do Budy odjechał, a starą matkę swą w Krakowie zostawił. Zaś jak ta rządziła, nie mówiono. Śmiano się i ramionami poruszano. Domyslał się każdy łatwo, że nie jej rządy, ale gładkich ulubieńców nastąpić muszą.

Kilka razy stary po język się wymykał to do Poznania, to do Gniezna, to do sąsiadów, którzy nad gościńcami siedzieli. Jednego też zimowego wieczora gość się zjawił.

Był to duchowny lat średnich mężczyzna, w którym potomka rodu rycerskiego na pierwsze wejście widać było, bo ramiona i piersi do zbroi miał raczej niż pod rewerendę stworzone. Powinowały panu Dersławowi, bo do Nałęczów rodu należał, Jan z Czarnkowa dosyć już wysokie zajmował stanowisko, bo podkanclerski urząd piastował. Sławny też był z nauki, z prawości i nieskazitelnego życia, ale krwi gorącej, porywczy, języka niepohamowanego, więcej miał nieprzyjaciół, niż druhów.

Gdy go z sań wysiadającego Dersław zobaczył, zdziwił się wielce, bo wiedział, że na próżne wędrówki czasu nie miał, nierad się z Krakowa oddalał, a dla urzędu nie mógł.

— Ojcie mój! a was tu co do nas przyniosło? — schylając się do ręki jego, rzekł Dersław. — Gościem mi jesteście najmilszym, lecz Bóg świadek, niespodzianym.

Głosem grubym i mową gwałtowną odparł Janek z Czarnkowa.

— Ja sam, bracie mój, też się nie spodziewałem was nawiedzić... Cóż chcesz? takie czasy nastały, że ci, przed którymi uciekano niegdyś, dziś uciekać

muszą. Proszę was o schronienie na czas jakiś, bo mnie bodaj więzić chcą! Ale...

Dersław osłupiał.

— Żarty prawicie!

Weszli do izby.

— Ba, nie żarty — zawołał przybyły podkanclerzy — umiano tak chodzić około starej, takimi okładając potwarzami, że gdyby mnie suknia duchowna nie obroniła...

Zeszli się tymczasem wszyscy: Wierusz, Lasota, przyszła się pokłonić duchownemu Dersławowa Jagna, skupili się około gościa, którego przyjmowano serdecznie.

Ten, rozjątrzony i poruszony, ledwie gniew w sobie mógł utrzymać.

Poczęły się tedy opowiadania, pytania i okrzyki podziwienia.

Janko z Czarnkowa na przemiany lament podnosił wielki i boską pomstą groził.

— Na zgubę prowadzą królestwo, na upadek i rozzerwanie. Niedołężnej babie dał król rządy, obsiedli ją pochlebcy, opanowali źli ludzie, więc dla starych sług miejsca niema i nietylko precz iść potrzeba, lecz życie chronić...

— Lecz cóż oni do was mieć mogli? co zarzucić? — pochwycił Dersław.

— Zamysłili co chcieli, by się pozbyć — wołał przybyły — nie o mnie idzie, ale o podkanclerstwo, by mi je wydrzeć, a dać je Zawiszy. Cóż ich kosztuje skłamać i potwarz cisnąć? Zadali mi, żem po śmierci króla jakieś grzywny sobie przywłaszczył, gadają, że czarownicami się posługuję, że od Żyda Lewka pierścień czarodziejski podarowany noszę... Czy ja wiem zresztą, co mi zarzucają — rozśmiał się gorzko podkanclerzy. Musiałem im z oczu zniść, więc póki nie spocznie nieco, u was pobędę, a potem do arcybiskupa ruszę.

Dersław ledwie uszom wierzyć chciał.

— To, co ze mną — dodał podkanclerzy — dzieje się z drugimi, Przedysław ustąpić musiał.

— Komu? — pochwycił Dersław.

— Jednemu z tych, których twarz i obyczaj królowej się podobały—śmiejąc się, mówił Janko. — No, niema się co dziwić. Otto z Pilicy, człowiek rycerski, nic mu zarzucić nie można, oprócz, że dworuje, gdzie nie powinien.

— Otto z Pilicy! Małopolanin! — zakrzyknął Dersław — na wielkorządach w Poznaniu. Znam go, wszędzieby dobry był, ale u nas nie usiedzi... nie damy się.

Raz począwszy, gość nieprzebraną wysypał mnogość jednych nad drugie osobliwszych nowin o przemianach, które stara królowa poczyniła. Dawnych urzędników oddalano, stanowiono nowych, Różyce, ojciec i syn, z nimi ksiądz Mikołaj z Kurnika i siła innych, do królowej przystępu nie dając, swoich przyjaciół wszędzie podstawiali.

Janko z Czarnkowa malował starą, zdzieciniałą królowę z większem politowaniem, niż niechęcią, winę składając na tych, co ją okłamywali.

— Litwa napadła — mówił — to wiecie, myślicie, że wojsko przeciwko niej posłano? Dano pustoszyć aż po Łysą Górę, a doradcy starej pani nauczyli ją, ażeby posłów wyprawiła do kunigasów litewskich i zagroziła im potęgą swojego syna! Litwini się z nich naśmieli, poszło tysiące ludzi w niewolę, tysiące domów w perzynę, a królowa cytarzysty słucha, śpiewem się lubuje, płasom przypatruje i słodkich słów słucha. Nie takiego nam króla było potrzeba! — westchnął Jan z Czarnkowa.—Na pokaranie nasze dał nam tę piękną lalkę Pan Bóg, a serce się ściska na to, że dla nas on lalką jest, dla nas on niczem być nie chce, gdy u siebie, na Węgrzech, sławi się jako pan mądry, dobry i silny, więc nawet skardze naszej i boleści nikt wierzyć nie zechce.

— A my nie wierzymy—wtrącił Dersław, — ażeby on gdziekolwiek mądrym być mógł i dobrym. Niechaj sobie zresztą Francuz ten Węgrom i Dalmatom i Włochom szczęśliwie panuje, a Piastowską dzielnicę Piastom odda.

Słuchając, ks. Jan podkanclerzy szeroką swą pierśią westchnął i głową trząść począł.

— Kędyż się Piasty podziały!—począł, jakby sam do siebie.—Gdyby nawet możność była nowego pana wybierać i szukać, gdzie my go znajdziemy? Rozprysła się ta krew na drobne kropelki, na słabe poniki, a dziś nam po wielkim panu, co tyle lat nami rządził szczęśliwie, lada karłem się obejść, lada słabemu w ręce dać władzy nie można. Zły Ludwik, bo lekceważy nas, zła Elżbieta, bo starej babie zabawki w głowie i za słabą ma rękę, aby w niej wodze utrzymała, aliści te najgorsze rządy tem dobre, że się Polsce na kawały rozlecieć nie dadzą.

Dersław aż syknął, tak go ta obrona Ludwika zabolala.

— Ojcze mój—zawołał — wybyście mieli, na sobie ich niesprawiedliwości doświadczywszy, bronić?

— Bronię nie ich, ale całości naszej korony — rzekł Janko z Czarnkowa. — Dajcie mi potężnego Piasta... ale takiego nie macie... na świecie go niema.

Dersław, choć nieraad się był zdradzać z tem, co sam i jego przyjaciele myśleli, przed poważnym duchownym, którego rozum cenil, tać się nie mógł.

— My inaczej myślimy — rzekł, — przebaczcie, ojcze mój; Małopolanie nas lekceważą, chcą nam prawa narzucać. Zaczęło się to od Kazimierza, tego my nie ścierpimy. Może stać samo przez się Mazowsze, dla-czegobyśmy też sobie pana nie poszukali? Piasta znajdziemy.

— Pokażcież mi go—odpowiedział, uśmiechając się, podkanclerzy. — Zdaje mi się, że na dworze wciąż przebywając, gdzie za nieboszczyka przewijali się i siedzieli wszyscy Piastowicze, — znam ich najlepiej. Na małych udziałach zrośli i wielkiej sprawie nie podolają.

Dersław się poruszył mocno.

— Ojcze miłościwy—zawołał — czytaliście jużciż błogosławionego Kadłubka historię, bo nas wszystkich na niej w szkołach uczono. Przecież gdy do korony pierwszego Piasta wzięli ludzie, małym był i rolą a pa-

sieką jeno się parał, jednak z pomocą Bożą wielkie państwo przez niego urosło.

Janko z Czarnkowa uśmiechnął się.

— Stary mój — rzekł — widzę, że z waści nie lada dyalektyk, a no, posłuchaj mnie. Czasy były inne, świat prosty ludzi takichże wymagał, dziś nie to, co po Popielach wziąć dziedzictwo.

Dersław mruzczał nieprzekonany.

— Cóżbyście mieli przeciwko Mazowieckiemu Ziemowitowi?

— Ino to — rzekł Janko, — iż gdybyście wy go chcieli, on was nie zechce. Odzyskał świeżo Płock, zbył się lenności, zostawiono go w pokoju, na Ludwika się nie porwie, dość ma doma roboty.

Nie nalegał gospodarz.

— Kałka Szczecińskiego sam nieboszczyk król wychował — rzekł, — pan jest możny i serca wielkiego.

— Ten też się nie porwie przeciw Ludwikowi — odparł Janko, — ze Ślązaków rozrodzonych żaden; Władysław Opolski jak i drudzy, zwłaszcza, że mu albo Ruś lub inna dzielnica bez trudu się dostanie.

Dersław już miał się wydać z tem, o kim myśłano w niedostatku innych, i wymienić Władysława Białego, lecz pomiarkował się, głowę spuścił i zamilkł.

Janko z Czarnkowa siedział smutny. Cały tak wieczór o różnych sprawach i ludziach mówiono i smutek się tylko ze słów sączył; nadziei polepszenia rychłego żaden z nich nie miał.

Wiedzieli wszyscy naokół, że Dersław, nie chcąc niczem przodować, nie przyznając się do kierownictwa żadnego, potajemnie najwięcej się około wielkopolskich spraw krzątał. Nie było więc dziwnem, gdy we dwa dni po podkanclerzym, w kilka koni tylko, około południa zjawił się wojewoda kaliski, Przedysław z Gółuchowa, którego miano właśnie z wielkorządów wyrzucić dla Ottona z Pilcy.

Możny pan, mąż w sile wieku, znaczenia niemałego między swoimi, wojewoda kaliski, choć u dworu

rad był łaski nie tracić, przecież wolał trzymać ze swymi i w ogólnych sprawach od nich się nie odłączał.

Temu zapewne winien był, że śmiało się o prawa Wielkopolski upomniawszy, aby ich nie zacierano i ziemi tej nie lekceważono, począł być źle widzianym u króla i u starej królowej. A że Kazimierzowe sługi wszystkie podejrzowano i zamieniano, jego też ten los, co innych miał spotkać.

Zsiadł z konia pan wojewoda i ze śniegu się otrząsał, mając się z wychodzącym gospodarzem powitać, gdy poza nim spostrzegł Janka z Czarnkowa.

Zdumiał się nieco.

— Wiecie albo nie — odezwał się, nogę ze strzemiesienia dobywając — co mnie spotkało?

Dersław głową potrząsnął potakująco.

— Więc i tego się dorozumiecie, pocom do was przybył. Szukam dobrej rady.

Wprowadzono go uroczyście do izby. Dersław okazywał mu uszanowanie wielkie, może zbytne nawet, lecz miał zwyczaj ten, że się lubił małym czynić, czując, iż nim nie był. Więc najlepsze siedzenie przeciw ognia dano panu wojewodzie, który, jakby wcale nie czuł tego, iż go z wielkorządów zrzuceno i odebrano mu dostojeństwo i władzę, uśmiechał się wesoło.

— No, cóż wy na to? — odezwał się — będziemy mieli Małopolanina w Poznaniu! Brak tego, aby mnie do Krakowa posłali z łaski swej, ale jabym tam nie pojechał. Otto z Pilcy godny człęk, pan wielkiego rycerskiego ducha; szkoda go zaprawdę, bo...

— Bo my go znać nie chcemy! — przerwał Dersław. — Jeżeli jakie prawo jest, przy którym stać musimy, to te, ażeby nas obcymi ludźmi nie obsyłano. W Wielkopolsce tylko my do urzędów i rządów mamy prawo.

Przedysław ręce zmarzłe zagrzewał. Podano kubki na powitanie, Dersław nalewał i nalewając szepnął:

— Trzeba nam się nie we dwu, ale w kupie naradzić, bo jest nad czem.

Spojrzeli sobie w oczy i wojewoda zmiarkował, że

Janko z Czarnkowa musiał z gospodarzem nie jednej być myśli.

Porozumienie to milczące nie uszło oka podkancelerzego, który się domyślał, iż Wielkopolanie knuli może coś takiego, do czego by mieszać się nie chciał. Wkrótce też pod pozorem, iż proboszcza nawiedzić chce, wyszedł z izby.

Sam na sam zostali z sobą wojewoda i stary Nałęcz.

— Ottona z Piley się zbyć, rzecz mała — rzekł Dersław otwarcie — mybyśmy radzi zbyć się i rządów starej baby i tego króla, który nas nie zna.

Przedysław nie dał po sobie poznać, by go to, co słyszał, zbyt zadziwiło, milcząc, czekał objaśnienia.

— Panie wojewodo — odezwał się Dersław — zjechać nam się wypada kędyś i pomyśleć o sobie... Wielka Wieś niedogodna... dwór u mnie szczupły, a gdyby ludzie doń ciągnąć zaczęli, wpadłoby to w oczy. W Poznaniu stara królowa swoich ma, co nas podsłuchają i doniosą.

— Dokądże myślicie się gromadzić? — spytał wojewoda, nie sprzeciwiając się.

— Na nabożeństwo do Gniezna — rzekł Dersław — każdemu człeku jechać wolno, ani to kogo zadziwi, gdy się tam do starego arcybiskupa ziemian trochę ściągnie... Przybędziecie i wy?

— Kędy drudzy, tam i ja pewnie — odparł wojewoda. — Naznaczcie dzień, ludzi słusznych zbierzcie, przyjadę i ja do Gniezna, tak, jakom do was przybył... Albo Wielkopolska straci wszystkie starodawne prawa swe, lub dziś się o nie upomnieć musi.

To mówiąc, smutnie się jakoś zadumał.

— Lecz co tu o prawach naszych mówić — dodał — i jak szacować je ma Ludwik, gdy dla dzieci tego króla, któremu państwo to winien, nie ma miłosierdzia i sprawiedliwym być nie chce... Słyszeliście, że córki królowej Jadwidze odebrano, że je do Węgier zabierają, tak jak zabrano korony, i że jawnie głoszą, iż król z obawy, by o spadek po ojcu nie upominały się

kiedy, chce je ogłosić jako z nieprawego małżeństwa narodzone i nieprawe.

Dersław porwał się z siedzenia.

— Testament króla połamano! — zawołał, — co za dziw, że na domiar z dziećmi się obejdą okrutnie. Świętego u nich niema nic... Lecz król Ludwik też czuć powinien, że się na tronie tym słabo trzyma. Syna mu Bóg nie dał, a na córki jego dziedzictwo nie spada. Zejdzie więc korona znowu do Piastów, byleśmy za wczasu jej dziedzica opatrzyli.

Przedysław obejrzał się dokoła.

— Z siebie to mówisz? — zapytał.

— Z siebie, lecz wielu to samo powiada, jak i ja. O Piastach słyhać wszędzie... do nich nas stara powinność ciągnie.

— Milczcież do czasu — palce na ustach kładąc, odezwał się wojewoda. — Gdy kto chce co skutecznie dokonać, nie powinien się zdradzać zawczasu, pilniej sza dziś rzecz tak Ottona z Piley przyjąć w Poznaniu, aby mu ochota odeszła nam się narzucać. Niech wraca dworować starej babie, razem z Zawiszą, Dobiesławem i innymi...

Nim wojewoda wyjechał z Wielkiej Wsi, już Lasota ruszał z niej, opatrzony przez Dersława nauką, do których dworów zajechać ma i komu szepnąć, aby się do Gniezna gromadzano na Gromniczną.

Jankowi z Czarnowa nie przyznali się dwaj spiskujący, co zamierzali.

VI.

Chociaż zawsze najtrudniej u nas było ziemianom język za zębami utrzymać, zwłaszcza gdy serce w pierśiach zagrało, choć zarówno Wielko jak Małopoleanie grzeszyli tem zawsze, że tajemnicy, gdyby o gardło szło, nie umieli uchować, ów zjazd na Gromniczną

w Gnieźnie rozszedł się jakoś, nie zdradziwszy, co na na nim uradzono.

Być też mogło, iż gdzie zdań tyle różnych było, na nic nie umiano się zgodzić i dlatego milczano. Dostyć, że ziemianie, każdy w swą drogę ciągnąc, nie chwaili się z tem, co postanowili.

Choć nie razem, większa część tych, którzy w Gnieźnie obradowali, pociągnęła do Poznania. Tu się lada chwila oznajmionego już Ottona z Pilcy spodziewano. Miasto zawczasu pełnem było, jakby się na przyjęcie jego przysposabiano.

Wielkiego domu Toporczyków dziecię, na dworach cudzoziemskich i w podróżach po krajach obcych wykształcony, rycerskiej postawy i ducha, uprzejmy, miłość ludzką zaskarbiać sobie chętny, był ten Otto z Pilcy jakby dla pojednania dobrze z sobą zwaśnionych Wielko i Małopolan, najlepiej na oko dobranym. Tylko, że już tu, przy swem prawie stojąc, jako Krakowianina, narzuconego przez królowę, znać go nawet nie chciano. Wprawdzie za sobą zjednane duchowieństwo miał, które za zgodą przemawiało, lecz nikt go słuchać nie myślał.

Umyślił Otto z Pilcy pańskim orszakiem Poznańczykom okazać, co zacz był. Wysilił się więc na poczet liczny i pięknie odziany, na konie cudne, na wozy i woźniki postrojone, na otoczenie świetne, i jak to już wówczas zwyczajem być poczynano, wjazd swój na wielkorządy z wielką zarządził wspaniałością.

Przed nim już na zamek, dla przyjęcia ziemian przybyły kuchnie, beczki i służba mnoga. Spodziewano się, iż przez ciekawość samą, zbiegowisko będzie wielkie.

Przed miastem na konia szkarłatnego, obwieszonego siadłszy, w orszaku pańskim, z uroczystością wielką zajechał Otto z Pilcy na Przemysławowski gród.

Po drodze gawiedzi milczącej stało siła, mieszczan, Żydów i okolicznych kmieci powychodziły z domostw gromady, ziemianie tylko wcale się nie pokazali.

Na zamku były pustki. Nie witał nikt, nie przy-

był nikt. Dopiero nierychło biskup sam z kilku kanonikami znalazł się u nowego wielkorządcy.

To przyjęcie milczące, dziwne więcej może dumnego Toporczyka obeszło, niż opór i jawna niechęć, gdyby mu je objawiono. Było coś pogardliwego w tem usunięciu się, które mówiło:

— Nie nasz jesteś, nie znamy cię.

Biskup starał się go pocieszyć, obiecując, iż się to wszystko, zwolna a łagodnie postępując, zmienić może.

Wielkorządcza na pustym grodzie, wezwawszy do siebie tych, co z urzędu musieli mu się stawić, i z tych słowa nie dobył. Przybywali milczący, słuchali zachmurzeni, odchodzili, nic nie obiecując.

Z walczącymi jawnie sprawa lepsza; z takim biernym oporem wielkiej cierpliwości potrzeba, a na tej właśnie Toporczykowi, krwi żywej i umysłu pańskiego, zbywało.

Z pomniejszych ludzi niejedenby może zwrócił się ku niemu, i w nadziei, że coś uzyszcze, posłusznymby mu był, lecz każdy się obawiał pójść przeciw swoim, wiedząc, że wielkorządcy łatwo się zmieniają, ze swoimi po wiek wieków żyć potrzeba.

Nie znano i znać nie chciano Ottona z Pilcy.

Nie miał on, jadąc, nadziei, aby go zbyt mile przyjęto, lecz ufał sobie, że uprzejmnością i gościnnością powoli serca zjedna. Trafiwszy na ten pogardliwy niemal opór, nie wiedział spełna, co czynić.

Ponieważ z biskupem dobrze był, jego pytał o radę. Ten, westchnąwszy do Boga, złożywszy ręce, nic więcej nie rzekł nad to, że czekać potrzeba, i nie okazywać gniewu.

Tymczasem na zamku ciągle pustki były. Oprócz swoich kilku Krakowian, nie miał nikogo, a ci, próbując się do Wielkopolan zbliżyć, odprawieni ostro, zostali sami, jak on.

Po gospodach napróżno szukali znajomości; gdzie się który śmielszy wcisnął, przychodziło do waśni, kilku porąbano, reszta na zamku siedzieć musiała. Na-

wet ci, co powinowatych mieli w Wielkopolsce, nie znaleźli lepszego od nich przyjęcia.

Tymczasem, jak przed przybyciem Ottona z Pilcy, tak po jego przyjeździe, rozboje i napady, gwałty i najazdy trwały ciągle. Mało było ziemian, co z dworem trzymali, na palcach można było policzyć, ci zaś szczególnie na gwałtowności wystawieni byli.

Otto z Pilcy chciał moc swą i powagę okazać, zarządził pogonę, wyprawił oddziały; nie powiodło mu się zupełnie. Jego ludzie ani języka dostać, ni pomocy od nikogo doprosić się nie mogli, odprawiano ich jak nieprzyjaciół, znać nie chcąc. Nawet ci, którym w pomoc przychodzili, pozbyć się ich byli radzi.

Cierpiało tak czas jakiś Otto z Pilcy, a coraz bardziej niepokojące wieści go dochodziły.

Duchowieństwo, na które rachował, bezsilne było, wkońcu i ono swoim się narażać i z nimi dla wielkorządcy zrywać nie chciało.

Radził biskup z Przedysławem z Gołuchowa mówić i przez niego sobie innych zjednać.

Otto z Pilcy, wiedząc, że powoływać go do siebie byłoby próżnem, bo wojewoda pewnoby się nie stawiał, sam dowiedziawszy się, kiedy w Gołuchowie się znajdzie, z małym pocztem doń pojechał.

Nie byli obcy sobie, bo się już w życiu nieraz spotykali; lecz teraz zaszyły stosunki nowe i poprzednik na wielkorządach ani się już w Poznaniu pokazał.

Jednego dnia wczesnej wiosny, niespodziewanie z gradem i ulewą a wichrem w złą godzinę przybył Otto z Pilcy na zamek gołuchowski.

Nie wiedziano, kto był, gdy zajeżdżał, a że gościnność u nas zawsze cnotą była najpierwszą, ani spytano nawet, spuszczać brone.

Wyszedł pan Przedysław, pewnie się kogo innego domyślając, i zdumiał mocno, gdy Ottona zobaczył. Rad coś nierad, do domu wpuścić i witać musiał.

Toporczyk już tak był podrażniony tem, co go tu a nawet po drodze spotykało, iż nie usiadł, ani gościu nie przyjął, póki, co miał na sercu, nie zrzucił.

— Panie wojewodo! — zawołał, stojąc w przedsienu — wiem, że mi nie jesteście radzi, żem wam gościem nie miłym, lecz... wybyście do mnie nie chcieli, ja do was musiałem.

Sklonił się Przedysław. Weszli do wielkiej izby dolnej, sklepionej. Gospodarz siedzenie pierwsze wskazał. Otto nie siadł.

— Przybyłem do was po radę — odezwał się. — Królowa Elżbieta, na którą król nasz rządy tego królestwa zdał, z porady panów komesów swych i baronów zesłała mnie tu w miejsce wasze. Chciejcie wierzyć, żem się ja o to ani starał, ani dobijał. Wiedziałem, że mnie niewdzięczną przyjmiecie twarzą... Królowej posłuszny być musiałem. Radbym tylko to czynić, co wam miłem i dobrem być może. Dlaczego wszyscy, jakobyście słowo sobie dali, odsuwacie się ode mnie?

Przedysław pomyślał chwilę.

— Naprzód muszę wam to rzec, co mi najwięcej na sercu leży — odezwał się, — a to, że ja też wielkorządy sprawowałem, jako powinność, ale nie żebym się ich napierał i o nie ubiegał. Dziśbym ich nie wziął. Byćże to może, abyście nie wiedzieli sami, dlaczego was tak Wielkopolanie przyjmują? Ziemia ta, gniazdo Piastowskie, od której całe to państwo wzięło imię i królów, wydziedziczone ze wszystkiego, nawet z tego przywileju, że korony w Gnieźnie strzegło... zostało przy tem jednym, że je zawsze Wielkopolanin rządził. Nie mając udzielnych książąt, chciało i chce mieć nad sobą takiego, coby się tu zrodził i wychował.

— Albośmy to w całej tej koronie nie wszyscy bracia? — zapytał Otton. — Przecie Toporów naszych siła w Śląsku i tu u was. Jam tu obcy?

— Jeśliśmy bracia, to... stryjeczna — rozśmiał się Przedysław, — daremna to rzecz inaczej dowodzić, kiedy nas po mowie i obyczaju każdy pozna, że nas nie jedna kwoka wysiedziała. Zresztą tu o prawo idzie, a nie o miłość. Gdyby wam Wielkopolanina posłali do Krakowa, tak samobyście się nań zzymali. Królo-

wa ani król tego nie rozumieją; wy, miłośnicy mój, powinniście byli zawczasu wiedzieć, co was czeka.

Otto z Pilcy potrząsał dumnie głową.

— Tem zawiniłem, że tego nie przewidział — rzekł, — stało się. Dziś dać się wam wygnać, mnie, z ramienia króla posłanemu, srom-by było. Zawierzcie mi, że dobra pragnę i...

Ręką skinąwszy, nie dał mu mówić Przedysław.

— To nic nie pomoże — przerwał. — Obraliście złe stanowisko. Żal mi was, lecz rady na to niema.

— Cześć moja nie pozwala mi go opuścić.

— A nasza cześć nie dopuszcza, byśmy inaczej was przyjęli, tylko tak, jako widzicie.

— Znać mnie więc nie chcecie?

— Ottona z Pilcy szanuję — rzekł Przedysław, — ale wielkorządcy w Poznaniu Krakowianina... nie znam.

— Gdzież ono prawo, którego się trzymacie?

— Wieki je zapisały... a czy na karcie gdzie stoi czy nie, my go sobie odebrać nie damy.

A po chwili dodał wojewoda:

— Przyjdzie do tego, że gdy dziś wszystko pisać i pieczętować potrzeba, bo żadne słowo nie waży, postaramy się o to na przyszłym, da Bóg, zjeździe jakim, aby obyczaj w pisane prawo się obrócił.

Stali tak naprzeciwko siebie, a wojewoda ciągle gościowi siedzenie wskazywał, gdy on już ku oknu otwartemu patrzył, ażali grad i ślota nie przejdą, aby nie mieszkając, się oddalić.

Podano kubki powitalne, nie tknął swego Otton.

— Panie wojewodo — rzekł — mnie się widzi, że wola królewska jest ponad prawo. Starajcie się odmienić, lecz słuchać jej potrzeba.

— A mnie się widzi, że rycerstwo tych ziem prawa swe miało i nawet u swych własnych panów upominało się o nie, cóż dopiero u obcego?

— Ale tenci królem naszym jest! — odparł Otto.

— Węgierskim i Dalmackim więcej jeszcze — szepnął wojewoda.

Otto się zwolna przeszedł po izbie zadumany.

— Powinniście na to pomnieć — rzekł, — że póki żył król Kazimierz, o to się najlepiej starał, aby z rozerwanego państwa jedność stworzył, bo to siłę mu daje. Chcecie więc rozerwać, co połączył, godzicie na bezpieczeństwo i potęgę korony tej?..

— Nie oddzielamy się przecie, ani królowi posłuszeństwa nie wypowiadamy — odparł Przedysław, lecz chcemy, aby zarówno wielkopolskim był, jak krakowskim.

Poruszył ramionami Otto.

Na dworze szalał jeszcze wichur i grad z deszczem bił o ściany; lecz, nie zważając na to, dłużej już rozprawiać nie chcąc, Otto kołpak swój, który był na stole położył, wziął w rękę, skłonił się i zmierzał do wyjścia.

— Bez gniewu — odezwał się Przedysław — chcieście porady ode mnie, musiałem wam ją dać. Czyńcie, co słusznem widzicie.

— Na stanowisku wytrwać muszę — odparł dumnie Toporczyk. — Wy też rozmyśleć się powinniście, czy walkę wam z królem i królową rozpoczynać się godzi.

— Wyzwano nas — krótko odezwał się Przedysław.

W obu widać było, że nie czuli się nieprzyjaciółmi, i że raczej pociąg ku sobie mieli, niż niechęć, lecz żaden z nich ustąpić nie mógł.

Grad ciągle na dachach i po ścianach warczał i szumiał.

— Nie czyńcie mi tej krzywdy, abyście dom mój w taką porę opuszczać mieli — ozwał się wojewoda. — Z wielkorządcą rozmowa skończona, a Otto Toporczyk gościem dla mnie miłym.

Dał się przybły skłonić i rzuciwszy czapkę, usiadł. Spojrzeli na siebie.

— Wielkopolska więc — rzekł — na króla i królowę zagniewana?

— Inaczej być nie mogło — począł gospodarz. — Król Ludwik wprawdzie odwiedził nas, tak samo, jak

Łęczycę i Sieradz, ale w Gnieźnie nawet na przygotowanym dla siebie tronie usiąść nie chciał...

Otto zamilczał.

— Niesłuszne uprzedzenie wasze — odezwał się po chwili. — Król Ludwik pan jest mądry i dobry, płynie w nim kropla krwi Piastów; królowa stara, Kazimierzowa siostra, Łoktkowa córa, pani wielce łaskawa.

— Miły mój — rozśmiał się Przedysław — policzcie jej lata, czy w tym wieku takim, jak nasze królestwo, rządzić jej przystało? Dobra jest.. ale i sama dobroć ta dla nas się w złość obróci, bo źli ludzie z niej korzystać będą i już korzystają. Prawdy do niej nie dopuszczają, kraj się zawichrzy.

Nie dokończył. Smutnie na stół patrzył Otto z Pilcy.

— Gorzko prawicie — szepnął.

— Bo nam goryczą serce zapływa — odparł Przedysław.

Tymczasem rozjaśniło się nieco, chmura niesiona szybkim wiatrem, w stronę odeszła.

Otto z Pilcy powstał, rękę podając gospodarzowi.

— Zaprawdę, nie wiem, co pocznę — rzekł — ale z wami rozstać się nie chcę jako obcy. Prawdę usłyszeć zawsze dobrze.

Szli tedy razem ku sieni, gdzie służba wojewodzińska czekała, i Otto z Pilcy, nie zatrzymując się dłużej, konia sobie podać kazali.

O tej bytności jego u siebie nie rozpowiadał wojewoda. Żał mu było człeka, który tem zawinił, że się lekko porwał na sprawę, której nie rozważył.

Pozostał jeszcze Otto z Pilcy na wielkorządnictwie swem miesiąc kilka, lecz siłą się napróżno przygarnać ludzi ku sobie. Oprócz biskupa i kilku duchownych nikt doń nie zajrzał.

Tymczasem nieład coraz większy szerzył się po kraju, o którym on napróżno zawsze się dowiadując, zapobiedz mu nie mógł. Każdy sobie sam sprawiedliwość domierzał, nie uciekając się do niego.

Silą zmóźd nie mógł ludzi, bo nie miał innej nad

tę, jaką mu rycerstwo wielkopolskie dawało, a to szło niechętnie lub wcale nie przybywało, i rozkazy jego spełniało tak, aby skutku nie miały.

Ruszył w końcu Otto z Pilcy do Krakowa, do królowej, zniechęcony wielce.

Gdy się to działo, Nałęcz, a z nimi znaczniejsza część ojców tutejszych, już coraz pilniej nad tem radzili, aby sobie Piastą wybrać i postawić go przeciw Ludwikowi.

Dersław, który na Mazurach pokrewnych miał i znajomych wielu, nimby z drugimi do Białego księżęcia, za którym wielu było, głosował, umyślił, gdy wiosna nadeszła, do Płocka się udać, kędy przyjacielem miał Mikołaja z Milanowa, skarbnika przy starszym księciu Ziemowicie.

Zwyczajem swym z tem, z czem jechał, wydawać się nie chciał. Za pozór dobry służyć mu miało, iż Lasotę powinowatego, który ze śmiercią Kazimierzową, został bez służby, przy mazowieckich księżętach chciał umieścić. Ani też Lasocie się nie zwierzył z czego innego, tylko mu myśl tę poddał.

— Nim się co innego znajdzie — rzekł mu, — abyś nie tęsknił w tej dziurze u mnie bezczynny, czemu by na Mazurach nie spróbować? Księżęta są nasi, a urosli teraz w moc większą. Służą u nich ludzie i — dobrze im się dzieje.

— Takci — z małym uśmiechem odparł Lasota — słyszeliśmy o tem, jako tam pod ks. Ziemowitem zdrowo i bezpiecznie... kogo końmi nie roztargają albo nie powieszą, temu zdrowo.

— Ks. Ziemowit — żywo przerwał Dersław — nie ten już, co był, złagodniał dużo. Zresztą sami zobaczymy, co się tam dzieje. Stary księżę na zajęty po śmierci króla Płocku siedzi i obwarowuje się, młodzi w Czersku i w Warszawie. Przy starym mój Mikołaj z Milanowa skarbnikiem, odwiedzić go pojedziemy. Nie spodoba się nam, siłą nas nie zatrzymają.

Lasota odgadł może, iż nie dla niego samego jechał powinowaty, lecz nie dał tego znać po sobie.

Mazowsze onego czasu, dopiero, można powiedzieć, zaludniać się, karczować, i tak jak drugie ziemie, osadzać zaczęło. Mało co przed tem, gdy z Litwą zgody i pewnej granicy nie było, ze skraju szczególniej pias-ki i lasy pustynią stały.

Osiedlać się ludzie nie radzi byli, bezpiecznymi nie czując. Wielu stąd Litwa nachwytała i w niewolę nauprowadzała, tak że w głąb puszczy rzadka ludność chronić się musiała. Teraz dopiero gęściej wioski stawały, i potrosze pola wydzierano, choć z nich wielkiego pożytku nie było, i po latach kilku zapuszczono nowiny, wydzierając z pod lasu żyzniejsze role. Miasteczka też, wprzód ubogie, potrosze się zabudowały, a i zameczki z kamienia i cegły na wzór Kazimierzowski stawić poczęto.

Wziął książę Ziemowit po królu Płock i całą tę dzielnicę dobrze zagospodarowaną, więc i swoje Mazowsze na wzór jej podnosił.

Z Piastów ówczesnych ta gałąź odszczepiona najbujniej i najsilniej się krzewiła. Dlatego na nią spoglądano nie bez myśli, aby jej przyszłe losy korony całej powierzyć. Nie zdradzano się z tem jeszcze. Derśław i przypatrzeć się chciał dworowi, przysłuchać, co tam tętniało, i wymiarkować, czy na Mazowieckich Wielkopolska rachować może.

Bywali tam z Wielkiej Polski niejedni, ziemianie się kumali i żenili, przecież Mazury jakoś odrębnie stały i zbliżenia zupełnego nie było. Wielkopolanina od Mazura łatwo było rozpoznać.

Powolniej tam w te puszcze, na te wydmy piaszczyste, do tych wsi rzadko rozrzuconych, dochodził obyczaj europejski, którego Krakowianie już dużo i Wielkopolska potrosze chwyciła.

Ziemianie na Mazurach żyli z prosta, stary obyczaj, odzież, język, odwieczne obrządki różne się tam, zwłaszcza u uboższych uchowały. Stosunki z Litwą ponad granicami, nawet pogańskiego dużo poprzynosiły i stare bałwochwalcze zwyczaje odżywiały. W niektórych wioskach, choć książdz był, choć się ludzie żegnali,

choć do kościoła zaglądali, Pan Bóg prawdziwy razem u nich stał z dawno wygnanymi. Przy weselach, chrztach, pogrzebach proboszcze na wiele obyczajów i pieśni uszy zatykać musieli.

Ponad większymi gościńcami, kędy kupiectwo ciągnęło, u brzegu rzek, które też drogi stanowiły, lud się już trochę ogładził; w puszczech jeszcze, zobaczywszy obcego, a zwłaszcza zbrojnego, krył się i uciekał. Z chat całemi rodzinami zbiegali wieśniacy na widok podróżnych.

Wioski też te, do których rzadko obcy zaglądał, takimi tu pozostały, jakimi przed wieki były; chałupy w nich dymne stawiono, a w zagrodzie ludzie, bydło i owce razem na kupie żyło.

I pół niewiele jeszcze widać było, bo się około nich praca rzadko opłacała. Z trzody, z lasu, z rzeki żył włościanin, i z nowin, które na popielisku ledwie radełkiem poruszywszy, a łada gałęzią zabronowawszy, rad był, gdy mu choć rzadki kłós wydały.

Wśród takiego ludu żyjąc, i ziemianin i książdz stawał mu się potrosze podobnym.

Więc tu, oprócz książęcego dworu, niełatwo było ujrzeć suknię kosztowną, zbroję lśniąca i strój wykwintny. Proste grube sukno, płótno szare i kozuch panowały. Oręż też staroświecki, oszczep drewniany, kęsem żelaznym zaostrzony, najpospolitsze były.

Po wsiach wielu żelazo za drogi kruszec uchodziło, na który się łakomiono, jakby na srebro i złoto. Nie każdy mógł mieć nóż, lecz się bez niego umiano obchodzić. Na wozach długo potem jeszcze okowy żadnej nie znano, a siekiera w domu wielkim skarbem była.

Ubóstwo to pozorne przecież nie czyniło Mazurów nędzniejszymi od innego ludu. Las był wielką skarbnicą, on dostarczał wszystkiego: jadła, opału, budulca, obuwia i wici. Był niby dymem, niby twierdzą. Na gołych górach i niezarosłych miejscach ledwie kto się budować ośmielił, bo ten tylko bezpiecznym się sądził, którego dojrzeć i wyszukać było trudno.

Stary Dersław zwykł był się w podróż wybierać, nie gromadząc ludzi wielu, bo wiedział, że poczet wielki a świetny wałęsających się po lasach zbójów przynęcał. On, Lasota, około dziesiątka czeladzi, odzianych niepokaznie, wyjechali z Wielkiej Wsi do Płocka.

Drogę mniej więcej starym zwyczajem przepowiedzianą sobie mieli: do brodu jakiegoś wprost, od niego nad ruczajem w lewo od wzgórzy piaszczystych, potem doliną na przełaj, nad łąką i tym podobnie. Na polach też gdzieśniedzie spotykało się pastucha, parobka z radłem lub wędrownego dziada, którzy drogę do najbliższego miejsca pokazywali.

Spuszczano się na to.

I tym razem Dersław, trochę na Opatrzność Bożą rachując, z miejsca wyruszył, a choć się wskazówek w prawo i lewo trzymano, ku wieczorowi zapadłszy w puszcę dziką, tak dobrze zabłądzili, iż gdy noc nadchodzić zaczęła, już myśleli o noclegu pod gołem niebem na polanie.

W tej porze roku nocleg w lesie wielkiem nie szczęściem nie był, bo konie napaść na trawie mogli, a woń rozpuszczających brzoź i rozkwitających czeremch nie była przykrą. Miejsce, w którem się znajdowali, ciągle kołując dla natrafienia na jaką ścieżynę, śladu ludzkiej stopy nie okazywało. Las stał wyrosły pod niebo wiekami, miejscami podszyty gąszczami i zawalony łomem, który przebyć było ciężko. Ostępy dawno nie plądrowane, gdyby nie wieczór, zmusiłoby ich do polowania, bo zwierz tu, zabezpieczony, leżał spokojnie w barłogach i ledwie na ciśnienie oszczepu zrywał się do ucieczki.

Dersław powiadał, że takiego dzikiego lasu zdawna nie widział, i że chyba bardzo się z drogi zbicz musieli, gdy się w taką zapadlinę dostali.

Szukano tylko miejsca sposobnego na spoczynek, gdy z pomiędzy drzew ukazała się rzeczulka, wśród moczarów, a poza nią, na piaskowatym wzgórzu, coś jakby stare, opuszczone horodyszcze.

Wiele podobnych już naówczas po kraju spotykać

było można, co niegdyś za pogańskich czasów za schronienie i gromadzenie się wieców służyły, a teraz trawą porastały.

Błoto i rzeczulka dzieliła podróżnych od pagórka. Lasota się rzucił naprzód, szukając brodu, i wkrótce poczał wołać ku sobie Dersława, gdyż na moczarach znalazł hać i rodzaj drożyny.

Był to już ślad, że tu w pobliżu ludzie żyć musieli. Puścili się więc podróżni, spodziewając się znaleźć domostwo jakie, lub choćby na wzgórku suche legowisko.

VII.

Słońce już zachodziło jaskrawo i złocisto, ale na dworze jasno jeszcze było, jak we dnie, i okolicy dobrze się przypatrzeć mogli. Nie ulegało wątpliwości, iż się ku osadzie jakiejś zbliżać musieli. Hać świeżo gałęziami narzucona była tego dowodem. Rzeczka w tem miejscu koniom ledwie po brzuchy sięgała, choć woda była wiosenna.

Na przeciwnym brzegu i kopyt końskich i nóg ludzkich w piasku widoczne były ślady. Wiodły one ku górze, na której dotąd zabudowań żadnych i gródka ani wałów widać nie było.

Lecz gdy, rozmawiając głośno, wdrapywać się zaczęli na ów kopiec piaszczysty, w chwili, gdy się tego najmniej spodziewali, zjawił się przed nimi dziwnie przyodziany i uzbrojony mąż, który im na drodze stanął, jakby chciał dalszy pochód tamować.

Mąż był letni, z długim, siwym włosem, spływającym mu na barki, silny i barczysty, w kołpaku na głowie, podobnym do litewskich, w krótkim przyodziewku z brunatnego, grubego sukna, skórzanym pasem podciągniętym; nogi miał osznurowane, jak wieśniacy, i w chodaki odziane. U boku wisiał mu szeroki miecz w ciemnej pochwie, a w ręku jednym miał grubą pałkę, nabijaną krzemieniami.

Chociaż strój ten prawie dzikim go czynił, twarz wcale nie była pospolitą, rysy miała szlachetne i niegdyś piękne, a dziś jeszcze smutną dumą napiętnowane. Bródka i wąs ciemniejsze od włosów, podstrzyżone, nie osłaniały ust, których wyraz, równie jak namarszczonego czoła, niemal gniew zdradzał.

— He! — zawołał — dokąd? kto? stój! Co was tu zagnało?

Dersław, który naprzód wystąpił, z wymowy poznał, że nie z Mazurem miał do czynienia.

— Na Boga — odparł — cóż tu u was drogi podróżnym nie wolne? Gdzieżeśmy się tu dostali?

Po chwili hamujący ich zawołał:

— Dostaliście się, kędy ani was nie potrzebowano, ani wam było potrzeba.

— Więc już zablakany nawet drogi nie pokazacie?

— Gotówem nawet poprowadzić — ofuknął stojący, — ale tu wam nie po tem jechać. Tu niema ani gościńca, ani gospody. — Skąd wy? — dodał gniewnie.

— Z Poznania do Płocka — rzekł Dersław.

— Lichoż was tu zaniósł!? Wstąpił do piekłów, po drodze mu było! — krzyknął zastępujący ścieżynę.

— No, a gdzież jesteście i kto wy jesteście? toć wiedzieć wolno — rzekł łagodnie Dersław. — Co u licha, zbójami nie jesteście.

— Kto ja, to wam na nie niepotrzebne — wołał nieznajomy. — Nie jesteście zbójami, ale na zbójów możecie natrafić.

Mówiąc to, przyglądał się pilno Dersławowi i jego ludziom.

— Zawracajcież stąd — począł znowu, — tędy wam nie droga... a chcecie nocować, to na drugiej stronie rzeki wypas dla koni znajdziecie.

— Na pagórku by nam lepiej było — wtrącił Dersław.

Gniewny człek cały się zatrząsł.

— Powiadam wam, na pagórku niema dla was

nic. Z Bogiem, z Bogiem ruszajcie, skąd przyszlście. — I palcem im pokazał w przeciwną stronę.

W spokojnym Dersławie krew grać zaczęła.

— Z mowy waszej — rzekł — widać, żeście nie lada prostym parobkiem, a obchodziecie się z nami gorzej chłopą. Czegoż nas stąd pędzicie?

— Boście tu ani wy, ani nikt niepotrzebny — począł głośno wołać mężczyzna. — Tu pustynia, tu niema nic. A ktom ja, parobek czy ziemianin, nikomu nie do tego.

— Ależ to u nas nie bywało — wtrącił niecierpliwszy Lasota, — żeby gdziekolwiek zapierano podróżnemu drogę i nie dawano mu nawet spocząć a popaść koni.

— Spoczywajcie! konie paście tam za rzeczką — krzyknął, tupiąc nogą i podnosząc oszczep, nieznajomy. — U nas, co nie bywało nigdy, to się może stać. Droge do Płocka gotówem wam jutro powiedzieć.

I drżącą ręką znów pokazał na rzeczkę. Dersław patrzył nań, jak w tęczę, i odrazu uśmiechać się począł.

— Słuchaj, Okoń, a toś ty oszalał, czy co?

Gdy to imię wymówił, stary się rzucił gwałtownie, przypadł ku niemu z takim ruchem, że się Lasota miał już do miecza. Dersław pozostał spokojnym.

— Bylbym gardło dał, że ciebie na świecie niema! — zawołał.

— Tak, bo Okonia na waszym świecie niema... niema — począł gniewnie stary.

Lecz powiedziawszy to, jakoś ochłonął, opamiętał się.

Dersław podszedł ku niemu.

— Jeśli o to idzie — szepnął mu, — abym cię ja nie zdradził, toć mnie znasz... Udobruchajże się; ludzi, kiedy chcesz, za rzeczką noclegować odprawię, a mnie nie odpędzaj tak bezczesznie.

Okoń zdawał się namyślać.

— No, ludzie, za rzeczkę — zawołał, — za rzeczkę, i żeby mi się tu nie napychali... niema po co!

— To mój powinowaty, młody Lasota Nałęcz — rzekł, wskazując, Dersław — mógłby i on z nami zostać.

— A co on tu robić będzie? — syknął Okoń, — tam ludziom potrzebniejszy, niż tu nam.

Stało się, jak chciał; zwolna czeladź Dersławowa i Lasota zwrócili się назад, wyrzekając i mrucząc; stary Nałęcz pozostał z tym, którego Okoniem był nazwał.

Nie mówili do siebie nic, bo ten jeszcze zapezrony i niespokojny, do siebie przyjąć nie mógł. Spluwał i rzucał się, pomrukując tylko:

— Licho was tu naniosło.

Dersław czekał spokojnie, aby mu odeszły gniewy.

Po chwili Okoń zbliżył się z ręką wyciągniętą do niego.

Rękę mi daj i poprzysiąż, że ani ty, ani twój o mnie tu... o tem miejscu i spotkaniu mówić nie będziecie. Okoń zmarł... co wam do Okonia! I powtórzył: lichu was tu naniosło.

— Pewno, że lichu — odparł Dersław, — ale ja cię nie zdradzę, ani moi... Powiedzże mi co ty tu robisz?

Na Chrystusa mi przysięgasz? — pochwycił Okoń.

— I na Ewangelię Jego — palce w krzyż składając i całując je, rzekł Dersław.

Okoń pomyślał chwilę, obejrzał się na odjeżdżającego Lasotę i czeladź, którzy już rzeczkę przebywali, powstał milczący, aż gdy na zawrocie wierzby ich zakryły, za uddę wziął konia Dersława i milczący począł go za sobą prowadzić.

Nałęcz dawał z sobą czynić, co chciał. Szli tak ku górze zwolna, aż wreszcie Okoń się odezwał:

— Oto widzicie, gdzie się ja zabił. Ziemia była bezpańska, czart jeden wie, do kogo ona należała, ja po dziś dzień o tem nie wiem. Na ziemi bezpańskiej człowiek bez służby i bez pana siedział i siedzi. Nikogom o pozwolenie nie pytał, pusty grodek zajmując, więcem nie rad, gdy mnie tu kto widzi, a rozgada i potem upomni się kto jeszcze albo wyżenie, albo z kim będę wojnę krwawą miał.

— Ale na Boga, Okoniu mój! — przerwał Dersław, — jakże ty, coś urzędy na książęcych dworach sprawował, coś do ludzi przywykł był, mogłeś tu sięść, tak...

Nie dokończył.

— Właśnie dlatego, że na dworach zęby zjadł, że pański gorzki chleb za długo gryzł, że ludzi zbrzydził, poszedłem na tę pustynię — zawołał.

— I żyć tu możesz? sam?...

Na to pytanie Dersława nie odpowiedział Okoń. Właśnie drożyna kręta, którą się na wzgórce spinali, zakręcała się, i w wąwozie, jakby między przerwanymi starymi wałami, w dół nieco się spuściwszy, ujrzał Nałęcz jakby misę ogromną, wklęsłą, starego grodziska podwórze, trawą zarosłe. Do jednego z usypów przyparta była chałupa napół w ziemi, napół z bierwion grubych, ponad nią wystająca.

Dokoła też szop i kleci było dosyć, ale to wszystko biednie i nędznie wyglądało.

Gdy w dziedziniec, zewsząd osłonięty wałami, wjeżdżali, ludzi kilku, jakby na pogotowiu stojących z toporami w rękę, wyjrzało, i na dany przez Okonia znak pochowali się, oprócz przygarbionego parobczaka na krzywych nogach, który Dersławowego konia wziął.

Okoń gościa swojego prowadził do głównej chałupy. Tu niewiasta w białej namitce, niestara jeszcze, stojąca w progu, z przekleństwem jakimś, obcego najrzawszy, pierzchnęła.

Chata była nędzna zewnątrz, ale świetlica w niej mała, chędogą i cała zawieszona orężem, zbroją i skórami, podobną była do namiotu w obozie, kiedy czas go rozbić na dłużej.

Kwaśno Okoń przyjmował starego znajomego.

Miodu dla niego poszedł do kąta sam utoczyć, chleb czarny i sól przed nim postawił, i na niskiej ławie siadł przy nim. Sparł się na rękę, zdjawszy kołpak, i nierychło się odezwał:

— Widzicie to moje państwo... U moich dawnych panów psy lepiej mieszkały, ale mnie tu dobrze,

bom ja tu panem też. Co było robić? służyłem Mazowieckim, o małym życiu nie postradał niewinnie, byłem wprzód u Białego, włóczyłem się z nim po świecie. Ten się z księcia mnichem zrobił, już nowych panów szukać nie chciałem. Natrafiłem na tę wydmy pustą; powiadam wam, była bezpańska, spodobała mi się, że tu naokół ludzi niema, obszary ogromne, wszystko moje... poluj kędy chcesz, bij co chcesz, karczuj, siej, ryby łów, nikt ni słowa nie powie... A dla kogoż Pan Bóg ziemię stworzył? Teraz ona moja... Osiedliłem się. Ludzi trochę do mnie przystało, prawda, że włóczęgi i zbóje, ale ja ich trzymam, jak bydło, bijąc i karząc... chleb mają, słuchać muszą. No, i babem napytałem, żeby było komu chusty uprać. Jakby się ludzie dowiedzieli, że na pustkowiu ktoś siadł, do gotowego ktoby mi się przypytał. Mnie tu nikt nie widział, nie wie o mnie nikt, dlatego i wam nierad.

Dersław ruszył ramionami.

— Ktoby wam tej wydmy pozazdrościł! — rzekł pogardliwie.

— Tem lepiej, zostanę w mojej dziurze, a po mnie...

Machnął ręką.

— Niech będzie co chce... Parobkom zimą kazałem dąb srogi spuścić i żłób z niego zrobić na trumnę. Wieko jest... gwoździe są... Pochowają mnie tu... i koniec wszystkiemu temu życiu głupiemu.

— Mój Boże! — westchnął Dersław — ktoby się w was tego Okonia dawnego domyślił, który dziewczom głowy zawracał i tak strojno występował, a tak na koniu harcował i oszczepem dzielnie ciskał!

Uśmiechnął się temu wspomnieniu Okoń.

— Ha! — rzekł — konia ja jeszcze i dziś dosiędę i oszczepem rzucę, jak dawniej, tylko od niewiast i od dworów ochota mi odeszła.

Milczeli nieco, aż Okoń, głowę podniósłszy, spytał:

— Do Płocka? po coś wy do Płocka?

— Alboby wam to rzec, albo nie — odparł Der-

sław. — Wy nie chcecie, aby o was ludzie wiedzieli, ja też nie radem się spowiadać.

— No to kat cię bierz — rzekł Okoń obojętnie, — jedź sobie i do Płocka, i do Czerska, i do Warszawy, mnie to wszystko jedno.

— Nie wiesz, co się u nas dzieje? — wtrącił Dersław.

— A mnie co po tem? — rozśmiał się Okoń. — Nie chcę wiedzieć o niczem, byle o mnie nie wiadano.

— Juści o tem choć musiało do was dojść, że król Kazimierz umarł — rzekł Dersław.

— Wieczny mu odpoczynek — zamruczał Okoń. — Pan był dobry, ale pono, jak ja, mówił, niech po mnie co chce będzie.

— Tak, i panuje nam Ludwik węgierski, a raczej baba, stara matka jego.

— Stara? a no jej do klasztoru już i pacierze klepać, nie panować!

— Ba, żebyście wiedzieli, jak świeżo wygląda, a co gachów koło tego trupa się kręci — mówił Dersław. — Ino śpiewy, płasy i ucztowanie a śmiechy.

— Koło niej to zawsze tak bywało — przerwał Okoń, — tylko już ustąpić powinno... Czas...

— Ta nam króluje — ciągnął Dersław dalej, — miarkujcie, jak nam z nią i jej synem.

— I cóż myślicie?

— Jeszcześmy nie wymyślili nic — rzekł Dersław.

Okoń, popatrzywszy nań bacznie, głową potrząsał.

— Niceście nie wymyślili, a wy jedziecie do Płocka? — mruknął. — Odgadnąć łatwo, po co! Chcielibyście może Mazura skosztować, gdy wam Węgier nie smakuje. Dersław milczał.

— Ten nie lepszy — ciągnął Okoń. — Baba wam za miękka, a on będzie za twardy... To kat, nie pan.

Zachnął się na te słowa Dersław.

— Co prawicie? — zawołał.

— To, co najlepiej wiem — mruknął Okoń. — Przecież długo panem moim był, a ja u niego cześnikiem. Nie daj Boże w jego ręce się dostać.

— Mówią, że na starość spowolniał.

Okoń się rozśmiał.

— Siły nie ma, to i złość w sobie kryje—rzekł.

Zmierzchało się coraz bardziej i gospodarz poszedł do komina drzazgi zapalić dla oświetlenia ciemnej izby.

— Ochotę mi odejmujecie jechać do Płocka — rzekł Dersław, — lecz on, nie on, dwu synów ma.

— Byle się w niego nie wdali — syknął Okoń, — nie dwu, ale i trzech się znajdzie.

Dersław siedział trochę zamyślony.

— Przed wami się taić nie chcę — rzekł wkońcu, — wy mi możecie dać radę dobrą. Wielkopolanie Piasta sobie szukają, aby go królem zrobić... Pomyśleliśmy o Ziemowicie. Jakby ten nie chciał, albo my go nie mogli... gotowiliśmy waszego Białego z klasztoru wyciągnąć.

Usłyszawszy to, Okoń się z ławy zerwał i śmiać począł dziwnie, aż się zanosił.

— O! krętoż około was być musi, kiedy szczupaka nie mając, taką płocigę na stół kładzicie! — zawołał. — Białe? a toć to taki książę, że nigdy nie wiedzieć, co zrobi jutro. — Zechcecie? pójdzie z klasztoru, zbroję wdzieje — dwa dni się będzie bił, trzeciego się klęknie modlić, czwartego się gotów żenić, a piątego żonkę porzucić.

Śmiał się urągliwie Okoń.

— Wy bo — wtrącił urażony Dersław — na nikim nitki nie zostawicie pocziwej, krzywi wam wszyscy.

— Jako żywo! Białego kochałem i kocham, służyłem mu. Człek niezły podczas, ale jutro się gotów wściec, choćby pojutrze płakał za to. Takim się rodził.

— Klasztor ci go uśmierzył i odmienił pewnie — rzekł Nałęcz.

— Bóg wie! — westchnął gospodarz, — mnieby się temu wierzyć nie chciało. Zmieniają się ludzie, tylko nie tacy, u których żaden dzień do drugiego niepodobny. Na króla taki pan najgorszy, a choć Mazur

ciężką rękę ma i gwałtowny jest, i życie ludzkie u niego słomki niewarte... już i ten byłby lepszy.

Okoń siadł na ławie i w ogień patrząc, dumiał.

— Ja bo, przyznam się wam — począł znowu Dersław — o Mazurach mało co wiem. Dopiero do starego druha, do Mikołaja z Milanowa jadę, języka wziąć.

— Na to nie potrzebujecie Mikołaja — westchnął Okoń, — ja ich lepiej od niego znam, bom bliżej sypialni i stoła był. Znacie historię jego i onej drugiej żony... a tego syna, którego on teraz tak kocha?

To mówiąc, uśmiechnął się złośliwie Okoń, i wnet, poprawiając się, dodał:

— A no, lepiej pono, żebyście się o tem nie ode mnie dowiadawali.

Wstał i za drzwi się wychyliwszy, o wieczerzę zawołał, na co mu baba swarnym krzykiem coś odparła.

Nim podano wieczerzę, po chłopsku zgotowaną i starą słoniną zaprawną, Dersław miał czas się odezwąć.

— Uczynilibyście mi łaskę, Okoniu, gdybyście mnie Mazura waszego nauczili. Choć Mikołaj z Milanowa zna go, jak wy, ale jest u niego w służbie, całej mi prawdy nie powie. O tej jego drugiej żonie głuche wieści chodziły tylko, mało co wiem i z głowy mi wywietrzało.

— Jam na to wszystko patrzył — westchnął Okoń.

Możeby się zdziaczały już człek niebardzo rozgadał, ale stary miód był na stole, rozgrzał go i język mu rozwiązał.

Stare przysłowie trzyma o Polakach, że źli są, gdy głodni, możnaby do niego dodać, że gdy trzeźwi, nieradzi mówią, a wino lub miód nadto ich otworzyły czynią. Ta już natura nasza.

Począł więc Okoń po długiem milczeniu wywnętrzać się.

— Prawda — rzekł — po dworach książęcych gdy służywał rycersko i z kluczami, człowiek więcej

miał dostatku, życie było łatwiejsze, lecz niech tam te pieszczoty kat porwie, gdy nigdy głowa na karku nie jest bezpieczną, a lada zły język niewinnego może obalić. Pośliźnie ci się noga, nie znajdziesz, ktoby ratował, uciekną wszyscy jak od zapowietrzonego. Więc już ja na pustyni żyć wolę, kędy oprócz Pana Boga niema nikogo nade mną.

Gdy tak rozmawiali, wszedł parobek krzywonożny, bo się zrobiło późno, a na noc jakieś rozkazy miał wydać Okoń.

Choć tam nigdy prawie ludzie nie zaglądali, strzeżonego Pan Bóg strzeże; co noc musiała straż chodzić około gródka. Wyznaczył więc Okoń, kto miał czuwać do rana.

Rozmowa się na czas przerwała, wyszli nawet na próg, skąd gospodarz na czeladź zawołał, spytał, kędy na nocleg konie odprawiono, pogroził niedbałym i stanął nieco, wedle zwyczaju, powietrzem świeżem odechnąć.

Noc wiosenna piękna była bardzo, woniejąca, a żaby w moczarach pod górą i słowiki w krzakach na wypródki chórem nuciły pieśń swą i gwiazdy mrugały dziwnie na ciemnych niebiosach.

— Nie kłaść nam się spać w taką noc, która boudaj od dnia jest piękniejsza — odezwał się Dersław. — Siądźmy gdzie i praw mi Ziemowitowe dzieje, bom ich żądnym.

Przed wejściem do chałupy leżało kilka kamieni, które tam przywędrowały, gdy gródek jeszcze przed wieki obwarowywano. Siedli na nich, i Okoń po chwili powoli rozpoczął, już się prosić nie dając.

Przyszła mu ochota swoje omszone wspomnienie odżywić.

VIII.

— To wam nie tajno — począł Okoń — że Mażowsze ostatnimi czasy dopiero zaludniać się i dźwigać poczęło, bo przez długi czas samemi klęskami nawiedzane było. Wpadali i łupili je Litwini, dwa razy srogi mór i straszne wrzody spustoszyły całe obszary, tak że z niektórych wiosek żywa nie pozostała dusza. Ze wszystkich stron nieprzyjacioły było otoczone. Każdy je sobie chciał przywłaszczyć. Musieli radzi nie radzi książęta kłaniać się i dworować, z Litwą się brać i Kazimierzowi, nie mogąc się oprzeć, hołdować.

Ziemowit tak nawpół pokorą, wpół oporem wypraszając się i broniąc Kazimierzowi królowi, utrzymał się przy całym księstwie, bo teraz już i Płock zajął. Krzyżaków też trzeba było zagadzać i żyć z nimi tak, aby nie napastowali.

Brzemie takie na ramionach mając, może i nie dziw, że książę Ziemowit stał się podejrzliwym, porywczym, a podczas nawet okrutnym.

Z poddanych też ciągnął pobory wielkie, bo skarb musiał mieć zapaśny, aby się tam, gdzie zawojować nie mógł, okupić.

Jeszcze za młodu ożenił się był książę z Ofką, Opawskiego córką, z którą żył bardzo długo i czworo z niej miał potomstwa, córek dwie i dwu synów.

Miał już naówczas prawie sześćdziesiąt lat, gdy mu Ofka zmarła, po której bolał wielce, i z żalu się po niej utulić nie mógł. Dzieci miał już dorosłe, a synowie patrzali tylko, rychło im dzielnice wypuści, aby pójść na wolę.

Trafiło się naówczas, że z Krzyżakami, od których nikt nigdy spokoju nie miał, przyszło do sporu o granicę, a choć Ziemowit z nimi w zgodzie żył, lecz że go posadzać zaczęli, iż z Litwą się zwąchał, co prawdą było, dokuczać mu zaczęli.

Więc posły nie posły, listy i groźby i wymagania

były takie, że choć ksiązę ustępował im i przejednać chciał, niczem ich nie mógł uspokoić.

Wybrał się więc z prośbą o pośrednictwo na dwór cesarza Karola IV do Pragi, z pięknym poczem i jak na Piasta królewskiego rodu przystało.

Cesarz go przyjął miłościwie, pomoc obiecał i na dworze swym gościnnie zatrzymał. Jaki to dwór był, wy też wiecie, bo głośna o nim po świecie całym sława chodziła. Pięknych niewiast i rozumnych ludzi pełno na nim było; na jedne patrzeć, drugich słuchać mógł człowiek i nie nasycić się. A że obojga pono u siebie Ziemowitowi brakło, rad się stary krzepił i bawił. Miał już naówczas lat sześćdziesiąt, jakom rzekł, ale ich na nim znać nie było. Wszyscy ci Piastowie, jak Łoktek, jak Kazimierz, do późnych lat umieją zachować się młodo. Ten też starym się nie czuł.

Na dworze cesarskim przebywała naówczas z siostrą swą, księżną Cieszyńską, Heleną, młodziuchna Ludomiła, córka księcia na Ziembicy, nie mająca jeszcze lat dwudziestu. Była dziewczeczka piękności nadzwyczajnej, a więcej niż urodą, ludzi ku sobie urokiem jakimś przyciągająca, tak, że jednym głosem ją tam pod niebiosy wynoszono.

Pomimo wieku swojego ksiązę Ziemowit, gdy ją ujrzął, natychmiast ku niej gorzeć zaczął, lecz sam z początku do tego się nie przyznawał przed sobą, bo czyste szaleństwo było sześćdziesięcioletniemu kusić się o dwudziestoletnią dziewczkę.

Dworzanie, którzy tam z nim byli, a dobrze go znali, zaraz się dopatrzyli, iż mu bardzo w oko wpadła. Szczególniej ulubieniec księcia, Bawor, przewrotna sztuka, podczaszy starego, pochlebca i wróg wszystkich, co się o łaski pana ubiegać mogli, sam pono w młodej księżniczce szatańsko się rozmiłowawszy, umyślił ją staremu swatać, w nadziei, że ją potem sobie pozyszcze.

Wiedział on dobrze, jak z Ziemowitem postępować było potrzeba; dał mu się upoić tem miłowaniem i dopiero, gdy stary zmysły postradał, szeptać mu po-

czął, że byleby chciał ubogą księżniczkę, za pośrednictwem siostry dostanie łatwo. Sam zaś, niewiadomo, jakimi drogami, Cieszyńskiej moc, bogactwa i potęgę pana swego tak odmalował, że ją pozyskał.

Z synów żadnego nie miał podówczas Ziemowit przy sobie, boby ci, jak później, wystąpili przeciw temu małżeństwu z obawy, aby ich więcej nie przybyło do podziału Mazowsza.

Gdy tylko staremu zabłysła nadzieja, iż Ludomiłę poślubić może, wnet na wszelki sposób, podarkami i przez ludzi księżną Cieszyńską sobie zyskiwać począł.

Do dziewczeczki też zbliżył się, choć z trwogą, od niego uchodziła i samego cesarza Karola pono w dziewosłęby sobie uprosił.

Słowem, iż nalegania były tak natarczywe i wielkie, że księżna Cieszyńska swoją pomoc przyrzekła. Siostrę jakoś potrafiła do powolności skłonić, wielką jej rokując przyszłość, i gdy Ziemowit z Pragi wyjeżdżał, już wiozł wszelką nadzieję, że umiłowaną dziewczkę mu dadzą.

Bawor też cieszył się tem, rachując na młodość księżnej i na mądrość swoją. Lecz gdy stary do Warszawy powrócił, a synowie i córki o małżeństwie się dowiedzieli, wrzawę i lament podnieśli wielki.

Nasadzili nań duchownych, nasłali zięciów, — wszystko to nie pomogło nic; Ziemowit rozsierdził się okrutnie, dzieciom zagroził i milezenie nakazał.

Natychmiast do Ziembicy posłał Bawora o małżeństwo się układać, podarki śląc wielkie, obietnice czyniąc księżniczce złote.

Więc choć Ludomiła oplakała krwawo ten związek swój, iść musiała.

Wydano ją za starego, z czego łotr Bawor najwięcej się ucieszył, zabiegając o łaski młodej pani. Lecz próżne to były starania, bo księżna patrzeć ani na niego, ani na nikogo nie chciała.

Z samej obawy męża, który, jak wszyscy starzy, zazdrośnym był i podejrzewającym, oczów na nikogo podnieść nie śmiała.

Był wówczas na dworze naszym młody chłopak, którego i książę i wszyscy lubili, bo był i pięknym bardzo, i miał w sobie takiego coś, co do niego przyciągało.

Włosów jasnych, oczów niebieskich, białej twarzy tak, że się więcej niewieścią niż męską wydawała, był ten Dobek wszystkim miły, a kobiety za nim przepadały. Naturę miał łagodną, bojaźliwą prawie, miłosierną nad miarę, a chętnie usłużną.

Przytem nie głupi był i nad wszystkich dworzan księcia więcej umiał. Wychował go sierotą na plebanii proboszcz w Słońsku, a byli tacy, którzy domyślali się i powiadali, że księżyna ojcem był.

Miłował go też nadzwyczajnie, sam uczył, z domu nie odpuszczał i ledwie na książęcy dwór, gdy Ziemowit tego zażądał, na służbę go oddał.

Tu z pacholęcia, że się umiał zasługiwać, a nieprzyjaciela nie miał, począł zaraz do góry iść, książę go od siebie nie odpuszczał, wreszcie podчасzym uczynił.

A no prawda, iż Dobka tego nie można było nie pokochać, tak za serce chwycił: mową, głosem, uprzejmością i dobrocią.

Gdy księżna Ludomiła na dwór nasz przybyła, a dano jej do posług Dobka, i ona też bardzo go sobie podobała, tak, że wkrótce obejść się bez niego nie mogła.

Bawor tedy zazdrość wielką uczuł, i najprzód przeciw podчасzemu knować, różne przeciw niemu winy wynajdywać, księciu podszeptywać — co się nie powiodło.

Myśmy na to patrzyli, a przewidywali, iż się źle skończy, bośmy znali naturę Bawora złą, mściwą i podstępą, a Dobek nieopatrzny był i księżna także.

Choćby był może rad od niej uciekał, dla złych języków nie mógł. Księżna go raz wraz do siebie wołać kazała; czasem późno w noc musiał u niej służbę pełnić i ludzie szemrali.

Bawor pierwszy się z tego wyśmiewać począł

i rzucać ostreimi słowami, ale Ziemowitowi nie ważył się sam nic rzec. Próbował wprzódy, czy inaczej nie skorzysta, i mówią, jakoby raz księżnę samą zszedłszy, zuchwałem słowem ją zaczepił tak, że mu precz iść kazała i więcej się sobie nie pokazywać na oczy. Dobek zaś, jak był w tych łaskach, tak pozostał, i więcej teraz pani niż panu podчасzował.

Lecz że i księżnę Ludomiłę kochali wszyscy i Dobka lubili, kto mógł ich zakrywał, osłaniał, nie dopuszczając, aby Baworowi dać pozór do oskarżenia.

Stało się wtenczas, iż księżna młoda w błogosławionym będąc stanie od kilku miesięcy, gdy mąż do Cieszyna, do siostry jej w odwiedzinę pojechał, towarzyszyć mu nie mogła.

Bawor tak ułożył podróż, iż Ziemowit Dobka z sobą wziąć zapragnął, za którym księżna Ludomiła prosić przyszła, aby go jej do usług zostawił. Ziemowit, nie się jeszcze nie domyślając, przystał na to, Bawor wziął z sobą, który ze złości zemstę już okrutną układał.

Gdy na dwór księżnej Heleny przybyli a Ziemowit się tam zabawiał, korzystał z tego Bawor, aby między ludźmi puścić gadkę, że księżna nie przyjechała, bo wołała wieczory spędzać z Dobkiem, który jawnie i bezwstydnie kochankiem jej był, o czem świat cały miał wiedzieć.

Zaczęto o tem mówić tak głośno, iż księżna Helena i syn jej Przemysław dowiedzieli się o tem.

Ubodła ich ta niesława młodej pani, choć nie wierzyli, by słusznie ją oskarżono, i księżna Helena wprost Ziemowita o to zagadnęła.

Starzec, który żonę nad wyraz wszelki miłował, a o nią wściekle był zazdrośnym, jakby mu się nagle oczy otworzyły, oszalał.

Tegoż wieczora, gdy cały drżący dał się Baworowi rozdziewać, napadł nań, aby mu prawdę mówił, nie nie tań, i skądby ta wiadomość urosła, pod gardłem natychmiast wyznał.

Bawor, niby przestraszony, do nóg mu padł, pła-

cząc i łkając, i począł dopiero okłamywać księżnę, iż się po nocach z Dobkiem zamykała, że tam on przy niej musiał być nieustannie, że ludzie wielką poufałość jego widzieli, i że starzec niegodziwie był oszukany.

Bawor tak dowodnie wszystko to opisał, dnie i godziny przywoził, tak jawnie tę zbrodnię wystawił, iż Ziemowit mu uwierzył.

Spytał go tylko, dlaczego mu wprzód tej tajemnicy nie wyjawił, na co zdradny człek ze łzami, nogi jego obejmując, rzekł, iż tak dobrego pana się li-tował i t. p.

Tejże nocy księżę Ziemowit natychmiast Bawora samotrzeć odprawił z rozkazem, aby Dobka ujął i do więzienia dał. Sam zaś drugiego dnia wybrał się do Płocka.

Gdy się owa rozmowa w sypialni księcia w Cieszynie wiodła, przy której głosu swego Ziemowit nie miarkował, wykrzykiwał i burzył się okrutnie, jeden z dworzan podsłuchał ją, a że Dobka przyjacielem był, pobiegł i za wielkie pieniądze najawszy posłańca, odprawił go wprzód, nim Bawor wyjechać mógł, dać znać Dobkowi, by natychmiast uchodził.

Stało się, że choć Bawor dniem i nocą śpieszył do Płocka, gdy tam przybył, już Dobka nie zastał. Rzeczono mu, że podczaszy właśnie był na Pomorze pojechał, listy tylko do obojga książąt zostawiwszy, w których o przebaczenie prosił, iż z pewnym kapłanem udając się do Ziemi świętej, pielgrzymkę tę miał odprawić.

Zniknięcie to Dobka, pomimo listów, w większe jeszcze podejrzenie księżnę podało.

Przybył stary Ziemowit i żony widzieć ani słuchać jej nie chcąc, rozżalony, nieubłagany, służebne dziewczki kazał wiązać na spytki okrutne, a choć nic nie wyznały i niewinność księżnej świadczyły, żonę wysłał do zamku Rawskiego, w więzieniu ją tam trzymać przykazując.

Mało było tej zemsty Baworowi, który nie rad,

że mu Dobek z rąk uszedł, tak okrutnego Ziemowita umiał w gniewie i zjadłości utrzymać, że gdy księżna synaczka na świat wydała, udusić ją kazał.

Byłoby i dziecię padło ofiarą złego człowieka, gdyby litościwe ręce nie ocaliły mu życia. Rozgłoszono bowiem, że nieżywym na świat przyszło i potajemnie dano je na wychowanie na wieś o kilka mil od Rawy do szlachcianki Hińczowej, która jak około własnego, około sieroty chodziła.

Dowiedziała się o tem Salomea, księżna Szczecińska, siostra jego przyrodnia, a że wielką litość miała nad zmarłą i o jej niewinności przekonana była, postanowiła wziąć je do siebie.

Ułożono tak, iż nocą nasłani przez księżnę Salomeę ludzie na dwór Hińczów najechali i dziecię uwięzili, nie dając się poznać nikomu.

Siedm już lat upłynęło od śmierci Ludomiły, gdy Bawor, który zawsze w wielkich łaskach był u starego, dowiedział się, że Dobek, powróciwszy z pielgrzymki do Ziemi świętej, w Prusach się kędyś znajdował.

Więc gniew, już uśmierzony latami, znowu wybuchnął w księciu. Umiał go podniecać jeszcze Bawor.

— Choćby nie wiedzieć co kosztować miało, mieć go muszę — krzyknął księżę, — aby się bezkarnością nie uragał!

Bawor sam zajął się tą sprawą. Wysłał więc jednego z dworzan tak umówionego, aby Dobkowi zaręczył, że lat siedm pamięć wszystkiego zatarło, że księżę niewinność jego uznał, przebaczył nieszczęście, którego był mimowolną przyczyną i widzieć go a nagrodzić pragnie.

Nie skłonił się zrazu Dobek do powrotu, lecz gdy posłańcy jeden za drugim podjeżdżać, powtarzać i upewniać go zaczęli, naostatek dał się przekonać i pociągnął do Płocka.

Przybywał najpewniejszy, iż go tu łaska spotka i oczyszczenie, a tu nań czekano z krwawym wyrokiem.

Ratować go nie było sposobu, a nikt też z nas

ani się domyślał, by stary książe taką straszną zemstę żywił w sercu.

Zaledwie zjawił się w Płocku, gdy już czatujący nań Bawor z kilku pachółkami chwyciwszy go, pociągnął na zamek.

Stałem u drzwi samych, gdy bladego i drżącego, z rękami załamanemi, nie mogącego już nawet o litość prosić, bo mu trwoga mowę odjęła, wepchnięto do izby.

Książe stał w pośrodku blady, czekan w rękę chwyciwszy. Oczy mu zaciekły krwią i usta dygotały. Wiedzieliśmy, że gdy go taki gniew straszny opanuje, na nic nie pomni i własne dziecię gotów mordować.

Dobek, zobaczywszy go, padł na kolana, złożył ręce i ostatkiem sił zawołał:

— Panie, na krew Chrystusa, Zbawiciela naszego, przysięgam, jestem niewinny.

Zamiast odpowiedzi, książe podniósł czekan do góry i z całych sił uderzył go nim w głowę. Krew trysnęła, a Dobek padł na ziemię z krzykiem, od którego włosy mi na głowie powstały.

Pachółkowie podchwycili padającego, gdyż krew jego księcia obryzgała.

Ziemowit chciał mówić, ale z gardła mu się tylko krzyk straszny wyrwał. Dopiero odstąpiwszy krok, sparł się o stół i nie patrząc na Dobka, zawołał:

— Precz, końmi go rozerwać na szmaty.

Bawor, który to usłyszał, dał znak i bróczęcego krwią na rękach w dziedziniec zamkowy wynieśli ludzie.

Około starego zaraz się zebrali urzędnicy, kapelan, jego poufni, ale wszystkich odpychał, nie słysząc nie chciał, i bijąc w stół rękami, krzyczał ciągle:

— W szmaty zdrajcę rozerwać!

W podwórce też już siepacze gotowi wyrok spełniali.

Nikt na to okrucieństwo patrzeć nie miał siły, oprócz Bawora i oprawców.

Mnie, choć na wojnie i w różnych przygodach życia na krew i na męki nieraz przychodziło spoglą-

dać, ogarnął jakiś strach i obrzydzenie takie, żem zbiegł do komory, aby wrzasku męczonemu nie słyszeć.

Gdym potem wysunął się z izby, bojąc się spytać, lękając wyjść w podwórcę, znalazłem wszystkich milczących, więcej może strwożonych, niż ja. Zbliżyłem się ku izbie księcia i usłyszałem jęki i narzekania rozpaczliwe.

Stało się, jakom zmiarkował, coś takiego, czego zrozumieć było trudno.

Nie śmiałem pytać, gdy Szymczak, który był moim sługą, przystąpił do mnie.

— Wiecie, co się stało? — szepnął mi.

Spojrzałem nań.

— Zamordowano go!

Szymczak ręce podniósł do góry.

— Aliści nie wiecie, bo go śmierć oczyściła. Gdy końmi ciało rozerwano, okazało się, że niewiastą był, a nie mężczyzną. Do księcia kapelan przybiegł, wyrzucając mu jego okrucieństwo, oznajmić o tem... Stary leży, wyrzekając, krzyżem na ziemi.

Bawor ze dworu zniknął.

Książe długo nikomu się nie pokazywał, do niko go nie mówił, pokutę chciał odprawiać w klasztorze, ale czas zatarł wszystko. Zakazano tylko w jakikolwiek sposób o tem wspominać przed nim. Dopieroż zaczęto śledzić, kto był, skąd pochodził Dobek i wydało się, że ksiądz, ojciec jego, aby go nie oddalać od siebie, w tej sukni męskiej go wychował.

Ksiądz ten wistocie za grzechy pokutując, do Ziemi świętej się udał, i zabrał z sobą mniemanego Dobka. W tej podróży zmarł on, zostawiając testament, w którym wszystko to zeznawał. Syn powrócił już sam do kraju i dopiero miał coś przedsięwziąć z sobą, gdy go Bawor ściągnął podstępnie naprzód do Rypina, a potem do Płocka.

Długo Ziemowit przyjść nie mógł do siebie, dwa niewinnych żywoty mając na sumieniu. Lecz na tem nie koniec jeszcze.

Książe chory leżał, nieustannie modląc się i mo-

dlitwy nakazując po kościołach, gdy dnia jednego oznajmiono, że z Cieszyńska przybył Franciszkanin, ojciec Rajmund, który się z nim widzieć dopraszał.

Ponieważ mnicha z pobożności znano, puszczono go do księcia. Sam na sam z nim był, ale tajemnicy nie czyniono z tego, co przyniósł.

Bawor, po roztarganiu końmi nieszczęśliwej, uszedłszy, schronił się do Cieszyńska. Tu go sumienie dręczyło i strach ogarniał taki, że jeść nie spać nie mogąc, od najmniejszego szelestu w szal wpadając, nakoniec zachorzał śmiertelnie i przed zgonem ks. Rajmunda wezwał dla spowiedzi.

Wyznał wtedy przed nim, iż fałszywie księżnę spotwarzył przez zemstę za to, że go słuchać nie chciała.

Żeby zaś wiarę dano temu, co Franciszkanin przyniósł, zarazem mu wiele rzeczy takich, pod tajemnicą spowiedzi, powierzył, aby je księciu powtórzył, o których nikt w świecie wiedzieć nie mógł.

Mówią, że książę, słuchając tego, porwał się i zawołał:

— Chyba zły duch objawił ci, książę, to, o czym, prócz mnie i jednego człeka, nikt wiedzieć nie mógł, boby to był życiem przypłacił.

— Ze złym duchem nie mamy do czynienia, my słudzy Chrystusowi a dzieci Franciszka świętego — odparł mnich surowo, — ale to dowód, że iście mi to objawił, który był w części przyczyną złego.

Zaczął O. Rajmund księcia do pokuty zachęcać i taką skrucę dobył z zatwardziałego, że rzewnemi łzami oplakiwał okrucieństwo swoje.

Natychmiast po wszystkich kościołach zamówiono nabożeństwa żałobne za duszę księżnej, poczynił książę zapisy na klasztory; a że okazało się, iż dziecię ocalone było przez starego Jarosza, sługę Ziemowita, i oddane do Hińczów, nakazano szukać dziecięcia.

Jarosz natychmiast pobiegł na zwiady, ale tu znowu wieści żadnej już o niem nie znalazł, krom, że czasu nocnego napadu przez nieznanomych ludzi dziecię porwane zostało.

Domyślano się w tem sprawę Bawora i Jarosza ze smutku i żalości zmarł także.

Wśród tych utrapień, dowiedziawszy się o chorobie ojca, przybyła doń księżna Salomea Szczecińska, i aby go oderwać od miejsca, w którym wspomnienia straszne go prześladowały, zaczęła namawiać, aby z nią na czas jechał do Szczecina. Nie mówiła mu nic, tylko jedno, że się spodziewa, a jest prawie pewną, iż mu ta podróż przyniesie pociechę.

Stary był tak przygnębiony, iż się córce dał namówić do podróży. Jechaliśmy też pospół wszyscy małemi dniami powoli, a księżna Salomea przodem posłała ludzi, aby ojcu przyjęcie zgotowano.

Zdaje się, iż czas tak obrachowany był, abyśmy nie pod noc, a za dnia do zamku stanęli. Stary przez całą drogę mało co mówił, a co mu się nie trafiało, pacierze tylko na koronce drewnianej, którą mu O. Rajmund zostawił, odmawiał.

Gdyśmy u wnijszcia stanęli, na powitanie nasze wyszedł młody chłopak, cudnej urody, skromnie, ale bardzo pięknie przystrojony, który starego księcia, podszedłszy doń, mową bardzo układną powitał.

Wszyscyśmy nań oczy ciekawie zwrócili, a książę pobladał i oniemiał, tak nadzwyczajne podobieństwo było owego młodzieńca i do niego i do całej rodziny.

Ziemowit miał łzy w oczach... Chciał pytać o chłopię, gdy księżna, wzięwszy go za rękę, z nim razem padła na kolana.

— Kochany ojeze... to syn Ludomiły.. Jam go to porwać kazała i u mnie się on wychował. Przebacz mi, a jemu nie skąp łaski swej.

Książę się rzucił ku niemu i ścisnąć go począł, nie mogąc się napatrzeć i nasłuchać.

— Otóż macie całą ową historię krwawą a łzawą, która jakby te brzmi, co je stare baby wieczernicami wymyśleć i opowiadać zwykły.

Tamże na zamku w Szczecinie zaraz książę Ziemowit nazwał młodego Henryka synem swoim, ale nając krew własną, i obawiając się, aby synowie starsi

nie knowali przeciwko temu, który im miał część spadku ich odjąć, postanowił, aby księdzem był i duchowną suknię wdział.

Zawczasu mu wyznaczył probostwo płockie, obiecując znaczniejsze jeszcze wyposażenie.

Dalej już co zaszło, na tom nie patrzył — dodał Okoń, — ale mi się widzi, że księża suknią młodego nie uczyni duchownym, gdyż całe mu się nie chciało jej oblekać i tylko przez posłuszeństwo dla ojca musiał stan ten obrać.

Noc już była, gdy swe opowiadanie dokończył Okoń, zapraszając Dersława, aby przy nim spoczął w izbie, gdyż pościeli na dwu było dosyć.

— Mnie już sen nie bierze — odparł Nałęcz, — lada chwila dzień pocznie, pojedę do swoich i byleście mi dali człowieka, co na drogę do Płocka przeprowadzi, ruszę dalej, bo tu robić nie mam co, a i was chcę uwolnić od niemilej gościny.

— Nie wyście mi Niemili, ale wszelakiego oka ludzkiego radbym ująć — rzekł Okoń. — Nie chcę mieć, pókim żyw, do czynienia ani z księżętą, ani z ich urzędnikami! Gotówbym jak Gniewkowski Biały ubić sędziego, gdyby mnie chciał stąd wyganiać.

Zamyślił się Dersław.

— Cóż na to mówicie, jeśli Wielkopoleanie mazowieckich Piastów zechcą?

— Sami powinni obrachować, w czyje się ręce oddadzą — rzekł Okoń. — Jakim jest stary Ziemowit, takim będzie młody Ziemiaszko... Janusz powolniejczy, ale i w tym krew odezwać się może... Pomnę księdza w Płocku uczonego, który jednego wieczora bajkę nam opowiadał, jakoby żaby u Pana Boga o króla prosiły. Znudzony skrzekotaniem, kazał im belkę zrzuć... Nierychło się do niej zbliżyć ośmieliły, lecz gdy spostrzegły, że nieruchoma leży, jedna i druga skoczyła na nią. Nuż w krzyk, że im nie kloca, ale żywego pana potrzeba. Co Pan Bóg usłyszawszy, bocią im posłał, a ten z nich dobrą brał dziesięcinę.

Otóż obyście i wy Ludwika na Ziemowita mieniając, tak na tem nie wyszli, jak żaby.

Potrząsł głową Dersław, nic na tę powieść nie odpowiadając. Byłby może, tu języka zasięgnąwszy, do Płocka podróży zaniechał, lecz pana Mikołaja z Milanowa chciał też rozpytać i dotrzeć do samego księcia, a dowiedzieć się, co też onby rzekł na to, gdyby go na tron wezwać chciano?

Dniało już dobrze, gdy Dersław wraz z Okoniem do swoich ludzi za rzeczką przybył; Lasotę znalazł już w pogotowiu do dalszej podróży. Stary dziwak przeprowadzać ich nie chciał dać nikomu, miał bowiem na myśli takimi poplątaniami wieść ich drogami, ażeby drugi raz na gródek jego trafić nie mogli.

Nic im o tem nie mówiąc, tak też uczynił, że niby sam nie będąc pewien dróg, do pół dnia ich wodził naprzód, w tył, na prawo i lewo, aby się tem obłąkali, i dopiero wymęczwszy dobrze, gdy Dersław, domyślając się podstęp, począł wyrzekać i dąsać się, na gościniec wywiódł, a tu nie czekając podziękowania, z oczów im zniknął.

IX.

Było naówczas zamczysko płockie, dzięki Kazimierzowi królowi, tak pięknie z murów grubych wzniesione, obwarowane, wieżami i bramami umocnione, iż mało równych mu było na całej polskiej przestrzeni. Sam nieboszczyk przebywał tu niekiedy, a lubował się tem wielce, że nowa twierdza teraz bodaj Krzyżakom się oprzeć mogła.

Cała ona bardzo wysokimi murami była opasana, a dla większego bezpieczeństwa nie jedną ścianę obwodową miała, ale dwie, tak, że gdyby pierwszą zdobył nieprzyjaciół, stanąłby u drugiej mocniejszej jeszcze, i na nowo szturmować musiał.

Mury oba u góry po pięć łokci, a w dole więcej jeszcze miały grubości i wszędzie blankami a wyżkami

opatrzone były... Narożne wieżyce patrzyły daleko naokół, dwoista brama na wałach i przekopach wodą zalanych, tak była mocną i warowną, że nieprzyjacieli do niej niełatwo mógł się ważyć przystąpić, bo tu wszystkie środki obrony najsilniejsze nagromadzone były.

Miasto toż samo, krom nędznych przedmieść, z których lud łatwo mógł zbiedz, dobrym murem i okopem obwiedzione było.

Na owe czasy Płock przedstawiał się bardzo poważnie i pięknie, a że miał czas w pokoju się zaludnić i zbożać, życie w nim dosyć było wielkie i ruch znaczny. Przyczyniało się do tego, iż po śmierci Kazimierzowej zajmując je, Ziemowit sam tu przebywał, a nie był nigdy bez kilku secin dobrze uzbrojonych ludzi, na wzór niemiecki, których choćby przeciw Krzyżakom stawić można było.

Gdy synowie Ziemiaszko młodszy i Janusz w Czersku i Warszawie już rządzili i gospodarzyli, stary Płocka z rąk nie puszczał, a i na to, co dzieciom oddał, pilno patrzył.

Chociaż na Mazowsze i na Płock nie napadał nikt, i jeszcze się nie było czego obawiać od Ludwika, czujność około miasta i zamku była wielka, zaledwie też w bramie ze swymi ludźmi ukazał się Dersław, natychmiast mu się spowiadać kazano, skąd, za czem i dokąd jechał.

Z prosta więc, dążąc do gospody na miasto, Nałęcz stary opowiedział się, iż od Poznania przybywa dla widzenia powinowatego (choć dalekie to bardzo było pokrewieństwo) pana Mikołaja z Milanowa.

Ten, co u wrót języka u niego wziął, śnać zaraz o tem podskarbiemu oznajmić musiał na zamek, gdyż nim Dersław w gospodzie, ledwie ją wynalazłszy, miał się czas rozmieścić, gdy już od zamku staruszek siwołosy, niespokojnie pytając o gości, nadążył.

Zobaczysz Dersława, zdumiał się mocno, gdyż mu powinowatego oznajmiono, a z tym się nie czuł krewnym; powitali się jako starzy druhowie.

Nałęcz, zręczny zawsze człek, półżartem mu się wytłómaczył, iż nieopodal będąc u Nałęcza, którego Zbikiem zwano, do Płocka dla widzenia go nawrócił.

Zerknął pan Mikołaj tak, znając człowieka, iż niebardzo chciał wierzyć temu, lecz pokłonił się, dziękując.

Mąż był pod żelazną ręką księcia Ziemowita do wielkiej baczności na wszystko przywykły, i w mowie wstrzemięźliwy.

Siedli na stołach prostych... i poczęła się rozmowa, jak zwykle u starych, od przypominania dawnych czasów i ludzi, których im nie stało.

Mikołaj z Milanowa dopytywał o tych, których w Wielkopolsce dawniej znał, Dersław zagadywał, jak się jemu wiodło. Stary, choć bardzo jeszcze żwawy, na wiek swój utyskiwał, mówiąc, że tylko dla starego księcia, któremu do obucha służyć rad, trzyma się przy kluczach.

Ponieważ w gospodzie na dłuższe gawędy miejsce niedogodne było, pan Mikołaj na zamek do siebie prosił.

— Żona i dzieci moje na wsi, doma; jam tu sam jeden jako patyk — mówił podskarbi — na książęcym chlebie, więc i przyjęcie będzie, na jakie mnie stało.

Dersław tedy Lasotę swojego przedstawił przyjacielowi jako krewniaka, który po śmierci króla służbę utracił.

— Możebyście wy potrzebowali dworaka, który już dobrą odbył szkołę? — rzekł, śmiejąc się.

Mikołaj spojrział na młodzieńca i nie odpowiedział zrazu.

— Nie tak to łatwo u nas nowemu człowiekowi się umieścić — rzekł po chwili. — Nasz stary książę młodym niedowierza, niełatwo też do nich nawyka.

— Mój ci takim młodzieniaszkiem nie jest, — dodał, ukazując, Dersław.

— Prędzejby w Czersku lub w Warszawie służyła się znalazła, niż u nas — rzekł pan Mikołaj.

— Nam też z nią nie pilno — wtrącił Dersław.

Gdy wkrótce potem na zamek się wybierali, a Mi-

kołaj podskarbi Lasotę też zapraszał, wymówił się ten, iż dla dozoru ludzi pozostać chciał w gospodzie.

Szli tedy starzy na zamek, a po drodze nic baczego oka Dersława nie uchodziło.

Wiedział on o tem dobrze, iż chcąc poznać człowieka, tembardziej takiego, który potęgę w rękę dzierżał, na wszystko, co go otaczało, pilno należało spozierać, bo tu każda rzecz miała swe znaczenie. Tak dobrze odarty kaftan sługi, jak chudy koń żołnierza i obejście się ludzi, a głosy ich, zaraz o panu, do którego należeli, oznajmywały.

Około zamku cicho było, czysto, ład wielki, a karność widoczna. Choć służby i pacholków kręciło się dosyć, wrzawy żadnej nie słyszał. W bramach i u wnijszcia, choć pokój był, strażę stały, zbrojni miejsca swe zajmowali.

Drugie wrota przeszedłszy, większą jeszcze cichość w podwórku znaleźli; tu w pośrodku murowany, okazały stał dworzec książęcy, pięknie kryty i dosyć rozległy.

W przedsieniach trochę czeladzi siedziało, jakby na rozkazy czekając i ust prawie nie otwierając.

Jak na wszystkich dworach książęcych, które z zachodnimi państwami miały stosunki, i tu dwornia a rycerstwo więcej z niemiecka i cudzoziemska poprzybierana była, niż dawnym obyczajem domowym.

Pominąwszy główne wnijscie dworu, pan Mikołaj na prawo szedł z gościem swym, do skrzydła, w którym miał mieszkanie.

Położone ono było tuż przy książęcym skarbcu, który we dwu urzędnicy dozоровали. Nie było przepychu żadnego w kilku izbach pana Mikołaja, mało nawet wygody i szczupło sprzętu, bo stary, rodzinę wyprawiający na wieś, żył tu tylko jak na popasie.

W komorze sklepionej, do której gospodarz wprowadził Dersława, wisiał tylko Chrystus ukrzyżowany na ścianie i wygodniejsze siedzenie usłane było we wgłębieniu okna, z którego poza mury na łąki i lasy oko mogło wyjść z tego więzienia.

Pan Mikołaj siadywał tu pewnie, tęskniąc za wsią swą, za lasami, za polami, za swobodą, bo jest we krwi ziemianina polskiego, że zawsze za szerokimi obszary wdycha, i w mieścisku a w murach wędnieje. Nie zdradził tej tęsknicy baczny pan Mikołaj, boby to książę wziął za złe, ale się ona na obliczu jego wycisnęła.

Starzy przyjaciele poufalej jeszcze rozpoczęli swe wspominki z czasów młodości, i Nałęcz miał rozpocząć zręczne badanie, gdy pacholę w kusym stroju niemieckim, obcisłym, wpadło jakby przestraszone i dyszące, powołując podskarbiego do księcia.

Mikołaj, zaledwie przemówiwszy słów parę uniewinnienia, natychmiast na zawołanie pośpieszył do pana.

Dersław tymczasem, siadłszy w oknie, mógł się bez przeszkody zamkowi przypatrzeć i przekonać, iż surowy w nim panował porządek, a i dostatek pewien, choć nie świecący, widać było.

Wszystko, co tu oglądał, potwierdzało w przekonaniu, że ten właśnie Piast stworzony był dla Polski, w której porządku byłoomal i żelaznej potrzebowała dłoni.

Dobry czas zabawiwszy, wolnym krokiem powrócił wreszcie zadumany podskarbi.

— Jeżeli wam co zlecono i macie do czynienia — odezwał się Dersław, — odprawcie mnie. Pierwsza służba książęca, niż powolność dla przyjaciela.

— Nie mam nic — odparł pan Mikołaj — książę tylko miał wiadomość, czyli też zobaczył, że nie sam wróciłem na zamek, chciał zaraz wiedzieć, kogo miałem u siebie i z czym przybyliście. Jak widzisz, czujni jesteśmy.

Po chwili zaś dodał podskarbi:

— Książę was widzieć chce.

Dersławowi tego było potrzeba, lecz nie dał poznać po sobie, że go to uradowało, skłonił tylko głowę.

Nieobojetna dla nas rzecz — mówił dalej Mikołaj, — co się u nas w Wielkiej Polsce dzieje, co na dworze królowej, o czem wy lepiej od nas musicie być uwiadomieni.

— Nie wiem, boć wasz Janusz podobno z Ludwikiem i jego matką dobrze jest i często tam zagląda.

— Lecz dwoje oczu nie zawsze wszystko widzieć mogą.

Dersław, nic już nie mówiąc o tem, oświadczył, że na zawołanie księcia jest gotowym.

Tymczasem podskarbi go przyjmował przekąską i winem, które o wielkim zbytku na dworze nie świadczyły. Jedzenie nieszczególne, a wino było kwaśne.

W godzinę może potem toż samo pacholę przyszło im oznajmić, że stary książę gościa wielkopolskiego rad był widzieć u siebie.

Szli tedy z podskarbim razem do głównego gmachu, i z wielkiej sieni, w której mnoga służba siedziała, cicho się zachowując, przez duże puste izby zaprowadzeni zostali do sypialni starego księcia. Ta była niewielka, sklepiona, z jednym oknem dosyć wysoko umieszczonem, tak że do siedzenia przy nim w murze przez parę wschodów wstępować było potrzeba.

Książę — mąż letni, wzrostu wielkiego, z brodą siwą, podparty na wyschłej, żylastej ręce, w długiej czarnej sukni, siedział przy stole.

Twarz jego przeciągła, czoło i czaszka wyniosłe, wyraz oczów ostry i przenikający, miały w sobie coś pańskiego, dumnego i nakazującego. Na obliczu tem widać było, że pan jego rozkazywać nawykł i większym się czuł nad losy swoje. Powaga krwi królewskiej okrywała tę całą postać, zmuszającą do poszanowania, obudzającą trudną do pojęcia trwogę.

Nawet ktoby historii tego człowieka nie znał, domyślałby się w nim nie umiającego ustąpić ani losom ani ludziom męża wielkiej woli i gwałtownego charakteru.

Nogi starca spoczywały na podesłanej skórze niedźwiedzia. Suknia ciemna i jakby żałobna, bez żadnych wyszywań i ozdób, prawie ubogą się wydawała. Obok ręki, na której był sparty, na stole leżał różaniec drewniany, przypominający ten, o którym mówił Okoń, że mu O. Rajmund zostawił.

Czekan też, na którym się zwykł był opierać, gdy wstawał, tu był sparty o jego siedzenie. Laska to była razem i broń straszna.

W izbie starca, pomimo wiosny i trochę odsuniętego okna, panował zaduch i zapach jakichś ziół czy kadzidła.

Gdy weszli a podskarbi przedstawił księciu Dersława, pokornie mu się do kolan kłaniającego, Ziemiowit dosyć długo ani się odezwał, ni poruszył. Ściągawszy brwi, wpatrywał się pilnie w przybyłego, jakby i jego i myśli w nim zamknięte chciał odgadnąć.

Z pańską obojętnością go przyjmował. Nareszcie gdy już Dersław tem zimnem milczeniem był potrosze zmieszany, stary książę głowę ku niemu zwrócił nieco, i grobowym głosem odezwał się:

— Skąd jedziecie?

— Od Poznania — rzekł Nałęcz. — Rodzina nasza rozmnożona i rozsypana, a pod te czasy niespokojne rody muszą i wiedzieć o sobie i trzymać się gromady. Jeździłem po swoich, a niedaleko będąc Płocka, starego druha zamyśliłem nawiedzić.

Odpowiedź ta czy zaspokoili księcia, czy nie, niewiadomo; zmilczał po niej znowu. Utkwiło w nim to wyrażenie o czasach niespokojnych.

— Dlaczego to u was niespokojnie? — zapytał.

Nie od dziś dnia tak u nas — odparł Nałęcz. — Kraj daleko od oka pańskiego, wielkorządcy mu nie zawsze podolają. A co dopiero, gdy, jak ten, którego teraz mamy, obcy nam są. Od granicy wpadają rozbójnicy Sasi i Brandeburgi, a za ich przykładem i ziemianie nasi puszczają się na łotrostwa.

Dersław westchnął.

— Czuje to Wielkopolska, iż pod obce poszła panowanie — dodał.

Stary książę powiódł chudą ręką po czole, zmarszczył się, nie odpowiadał.

Nałęcz, czy ośmielony, czy próbując, dorzucił jeszcze:

— Piasta nam trzeba było.

I na to stary nie rzekł jeszcze, rękę schylił i począł nią, zamyślony, przebierać różaniec.

Nastało przykre milczenie. Nałęcz już się więcej mówić nie ważył, czekał.

Książę swym grobowym głosem rzucił pytanie:

— Kogóż wam za wielkorządcę dali?

— Ottona z Pilcy, Krakowianina — rzekł Dersław, nie tając niechęci. — Nie bywało to u nas jeszcze, aby ze wzdargą swej ziemi, obcych przysyłano, ale niewiasta rządzi.

Na twarzy Ziemowita, który siedział plecami do okna zwrócony, poruszenie jakieś widzieć się dało, lecz na ukrytych w cieniu rysach Dersław rozpoznać nie mógł, czy uśmiech przebiegł, czy pogardliwie skrzywiły się usta.

— Widzę, żeście nowemu panu niebardzo radzi — przebaknął.

— On też nam nie ojcem, ale ojczymem jest — rzekł swobodnie Dersław. — Węgry mu milsze.

Książę poprawił się na siedzeniu.

— Trudno dwom i tak wielkim państwom panować razem — począł bardzo powoli. — Na jedno i mniej — sze ledwie człowiek starczy, dniem i nocą czuwając.

— Wielkopolska-by rada, jak to już bywało — odezwał się Nałęcz — swojego pana i ze swej krwi mieć. Dotąd Ludwik męskiego potomka nie ma, spadnie więc to kiedyś na Piastów.

Słyszając po raz już wtóry tę przygrywkę, Ziemowit odprostował się, sparł na wysokiej krzesła poręczy, ręce założył na piersiach i zadumał.

— Wam — rzekł chmurno — byle panów mieniać. Nigdyście nie radzi temu, którego macie, a pachnie wam inny. Znam ja was ziemian wszystkich. Jeden wam za surowy, drugi za powolny. Chcielibyście sami pono a bezpańscy być... aby was Niemcy zjadły.

— Miłościwy książę — przerwał Dersław, — surowegobyśmy się nie ulekli, ani powolnym nie gardzili, byle nasz był własny. Obcego nie chcemy... bo on nas nie rozumie.

— A kto was rozumie? — rzekł szydersko stary. Nałęcz obrażony nieco spuścił głowę. Milczeli znowu.

— Siedzielibyście spokojnie z tym panem, jakiego wam Pan Bóg i wola króla nieboszczyka naznaczyła — powoli począł książę, wpatrując się bystro zasępionymi oczyma w Dersława. — Nie znajdziecie takiego Piasta, któryby dla miłości waszej ważył to, co ma pewnego, o niepewne się dobijając. Król Ludwik mocnym jest. Tego co ma, wydrzeć sobie nie da. Ze śląskich naszych żaden przeciwko niemu nie pójdzie.. ani ja, ani moi synowie. Jeżeli Ludwik bezpotomnie zemrze lub córki tylko zostawi... to rzecz inna. A i naówczas zięciowie się korony dobijać będą, a ci zaś pewnie możni i mocni się znajdą. Mówią już o tem.

Dersław słuchał ze spuszczoną głową. Przykro mu było, lecz tłómaczył to sobie tem, iż książę myśli swej przed nieznanym człowiekiem nie chciał wyjawić.

Książę, dokończywszy powolnej mowy, którą przerywał kilkakroć, badając oczyma, jakie na słuchaczu uczyni wrażenie, zakaszał się, podparł na rękę jak wprzód i wpadł w zadumę, zdając się zapominać, że człowieka obcego miał przed sobą.

Potem jakby zbudzony zwrócił się ku niemu i spytał:

— Chleb tego roku mieć będziecie?

— Na polach niezgorzej u nas — rzekł Nałęcz.

— O pomorku nie słyhać? — dodał Ziemowit.

— Dzięki Bogu.

— A ludzie zamiast pokoju używać — rzekł książę — wicherzą się i mordują?

— Na to my sami nie poradzimy — odparł Nałęcz — dosyć, że każdy życia swojego i mienia ustrzeże.

— A wielkorządca?

— Jakby go nie było... innego nam dać muszą, tego słuchać nikt nie chce — rzekł Dersław.

Ziemowit potrząsnął głową.

— Jedźcie z żałobą do Krakowa — ozwał się pomilczawszy — juści królowa ulituje się wam.

— Wielkopolanie tam ucha nie mają — począł Dersław. — Węgry naprzód, a po nich Krakowianie... nam tam za drzwiami stać każą, jeśli i od tych nie odpędzą.

Ziemowit uśmiechnął się.

— Zazdrośni jesteście, boć tam pono na dworze Elżbiety wesoło czas drudzy trawia. Pan Bóg dał Elżbiecie jakąś cudowną młodość, którą, powiadają, że czarami utrzymuje a wodą.

Dersław ramionami poruszył.

— Królowa stara, ale doradców młodych lubi — rzekł — i to nas gubi. Lada chłystek, co ją zabawi, łaskę i zaufanie ma, starych sług poodprawiała.

Ziemowit wysłuchał tych skarg, a że z całego rozmowy toku mógł się domyślić, iż Dersław przybył tu na zwiady, podniósł się więc znowu i powtórzył:

— Radźcie sobie, jak możecie, na Piastów żadnych nie rachujcie. Chybabyście (tu się rozśmiał) biedaka tego z pod kaptura wywlekli, który nic do stracenia nie ma.

Dersław, jakby wstrzymać się nie mógł, wtrącił:

— Jakby nas bieda zmusiła, kto wie? Ma on dawnych przyjaciół! gotowi sprowadzić i tego.

Ziemowit głową potrząsł.

— Papież go wam nie da — rzekł, — a on też przeciwko siostrzenicy, Ludwikowej żonie i dzieciom jej oręża nie podniesie, nie mówiąc już o potędze króla. I nie człek to do wojowania a panowania, do których więcej siły potrzeba i wytrwania, niż on ma.

Ręką uderzył po stole, sparł się i zamyślił.

Milczenie trwało długo, a rozmowa tak przykre uczyniła wrażenie na Nałęczu, iż kroków parę ku progowi ustąpiwszy, gotów był żegnać się i odchodzić.

Domyślając się tego, stary książę powstał, ująwszy czekan, który stał przy siedzeniu, czekan ten przypominający Dersławowi niedawno słyszaną Dobka historię.

Gdy podniósł się, wyprostął, siłę w nim jeszcze

męską, mimo wieku, widać było, i postawę przybrał pańską a rycerską. Głos jego złagodniał.

— Idźcie z Bogiem — odezwał się do Dersława. — Niedobreście mi wieści przynieśli z Wielkopolski, — życzę, by się wam lepiej działo, choćby przez wdzięczność, że o Piastach nie zapominacie.

— Cóż, gdy oni o nas myśleć nie chcą! — odważył się wtrącić Dersław.

— Nie chcą? — podchwycił z dziwnym wyrazem Ziemowit — mów, — nie mogą.

Skinął głową i zwolna się ku oknu odwrócił. Nałęcz pokłonił się nisko. Książę już nań nie patrzył.

Wyszli z komory a Nałęcz aż do podwórza słowa nie rzekł, tak był strapiony.

— Na tych niema co rachować — mówił w duchu.

Podskarbi go poprowadził nazad do swej izby, i z pochmurnej twarzy domyślił się, że posłuchanie przykre na nim czyniło wrażenie.

— Książę wasz — otwarcie rzekł Dersław — kli-
na mi ostrego zabił w serce.

— He? — spytał podskarbi.

— Nie ja jeden, ale większa część ziemian naszych na niego rachowała.

Podskarbi słuchał, nie odzywając się.

— Zmusi nas za mnichem gonić! — mruknął Dersław.

— Toć go znać powinniście, iż statku nie miał — przerwał podskarbi. — Nawet i z rozpaczey za pana go wybierać się nie godzi.

Nałęcz siadł i w okno począł patrzeć.

— Krew w nim zastygła — rzekł smutnie, — pańskiego ducha nie mają. Łoktkowego ducha, tego, co o głodzie i chłodzie, bez ludzi państwa się dobijał i dobił. Maluczkim był, a wielkim się stał. Toć nie królewscy synowie są, ale gospodarze i ziemianie, którzy nie ważą kawałka ziemi dla korony, bo im ich miękkiego spokoju żal.

To było słowo ostatnie Dersława, który za po-

dany sobie kubek pochwycił, zmuszając się do wesołości.

— Bądź co bądź — zawołał — ja Piastom piję prze zdrowie! Jeden się przecież znajdzie, co nas i swój ród ratować zechce, aby ta krew, co nam tyle wieków panowała, nie zmarniała na drobnych udziałach i po siołach się nie rozlała.

Podskarbi, uderzywszy w kubek, wychylił go także w milczeniu.

Inną może myśl miał tu przybywając Nałęcz, lecz gdy z ust Ziemowita stanowczą wziął odpawę, już gościć tu dłużej nie chciał.

— Miły mój — rzekł do podskarbiego, — nie wskórawszy u was nic, bo i mojemu Lasocie na dworze waszym trudnoby się było pomieścić, jutro mi trzeba nazad w drogę.

Nie próbował go zatrzymać podskarbi. Przesiedzieli tak, rozmawiając pocichu, do wieczora, pan Mikołaj gościa odprowadził do gospody i pożegnali się smutni.

Lasota swemu staremu z oczów wyczytał zaraz, że nadąsany powracał, przekonał się o tem mocniej jeszcze, usłyszawszy, że nazajutrz o świcie kazał się do podróży sposobić.

Gdy Mikołaj z Milanowa odszedł, Dersław mu rzekł:

— Niema tu co robić. Piastów tu nie szukać. Zniemczeli i postarzelili... indziej ich potrzeba patrzeć. Tak się skończyła próżna do Płocka wyprawa.

Drugiego dnia jechał już stary Nałęcz milczący i zasępiony, z Lasotą ledwie kilka słów obojętnych zamieniając. Lecz, że naturę miał, która długo markotną być nie mogła, zawsze sobie jakieś szukając pociechy, gdy jeden dzień się tak nagryzł, wstał potem orzeźwiony i weselszy. Oko mu się znowu zaśmiało i usta powoli odmykać zaczęły.

— Pomieścić się waści nie udało — rzekł do Lasoty — ale bo też zmarniećby ci tu przyszło na dworze tym, który jak klasztor wygląda... i z Mazurami-

byś nigdy nie doszedł sprawy. Rodzili się wszyscy pod ciemną gwiazdą, jak mówi przysłowie. Ale na tem nie koniec. My ludzie jesteśmy uparci. Gdy nas od jednych drzwi odegnają, drugich szukamy, a gotowiśmy i oknem wleźć. Piastowiczów jest siła, dworów i służby nie zabraknie, prędzej ludzi dla nich nie stanie.

Tak, niby się nie zdradzając przed Lasotą, i udając, że dla jego tylko sprawy podróż przedsiębrał, pośpieszał Nałęcz do Wielkiej Wsi. Po drodze tylko na chwilę do kilku dworów wstąpił, ziemianom spotykanym coś podszeptnął, a w domu ledwie przenocowawszy, nazajutrz sam do Poznania pociągnął.

KONIEC TOMU I-go.

I.

Orszak, złożony z kilku rycerzy i kilkunastu czeladzi, zatrzymał się na gościńcu, w dolinie, ponad którą łańcuch wzgórz panował w dali.

Jadący przodem na mule czelczek palcem wskazywał, śmiejąc się, na znaczne miasto, które stąd do brze teraz widać było.

Dokoła roztaczał się krajobraz zielony, dosyć wdzięczny, acz mało urozmaicony. Oprócz szarego gór łańcucha, zamykającego z jednej strony widnokrąg, z panującą nad wyżynami górą wyniosłą, małe tylko pochyłości widać było w dolinie, winnicami dokoła zasadzonej. W pośród nich niewielkie zbóż kawałki, gdzie-niegdzie drzew kupki i białe, nędzne domki leżały roz-pierzchłe.

Miasto, na które przewodnik jadącym wskazywał, na owe czasy wcale okazałe i poważnie przedstawiało się przybywającym. Wokoło mocnymi murami i basztami otoczone, wpośrodku jeżyło się wieżycami kościołów, podniesionymi zębatymi szczytami gmachów, dzwonicami i różnych kształtów wieżami.

Stało ono na niewielkim pagórku, a poza ścianami murów jego rozsiadły się przedmieścia, całe w cieniach i ogrodach.

Widok był piękny, bo gród na stolicę wyglądał i zdawał się wyzywać nieprzyjaciół, tak zbroja jego kamienna była mocno na nim opięta i najeżona piętrami bastyonów. Piękny wieczór letni ze złoceniem niebem, które prawie w tej porze miało barwę połu-

dniowych stref, blaskiem swym dodawał jeszcze wyrazistości widokowi.

Każda z wieżyc, każdy załom muru, dach i szczyt, każda pręga kamienna, rzucając cień silny, uwydatniała się na tle nieba i sinawego oddalenia. Niektóre części budowli stały prawie sino czarne, utopione w mroku, inne zdawały się złocone, a gdzieś tam słońce, bijąc w błony okien, zapalało na nich jakby ogniska czerwone i płomienne.

Światło, padające z góry, najjaskrawsze na szczytach, powolnym stopniowaniem bladeło w dole i rozlewało się w półmroku. Drzewa na wierzchołkach, tak że jakby pokropione złotem, układały się we wdzięczne grupy fantastycznych kształtów, to pozaokrągłane, to strzelające do góry, zbite w gęste masy i rozwiane jakby we mgłę zielonawą.

Podróżni, stojący na wzgórzu, z jakimś uczuciem religijnem wszyscy zwolna krzyż zakreślili na piersiach, wlepiając oczy w miasto, z którego dzwonnice właśnie na jakieś nabożeństwo wołające ozwały się dzwony.

Stali daleko, ruchu miejskiego wcale stąd dojrzyć nie było można, głos ten tylko, jakby mowa grodu, witał przybywających powolną jakąś, niezrozumiałą piosenką.

Podróżni, jako łatwo poznać było po ich okurzonej odzieży, znużonych koniach, opalonych trudem i słońcem twarzach, musieli przybywać z daleka. Czterech ich przodowało orszakowi, reszta jako i czeladź i służba trzymała się dalej nieco.

Trzej z rycerzy byli już ludzie niemłodzi, jeden nawet siwy włos miał u skroni, czwarty młodszy i najweselszego oblicza, może z największą ciekawością przypatrywał się nowemu dla siebie krajobrazowi. Starsi — to Wielkopolanie: Przedpełk ze Staszowa, Szczepan z Trłaga, Wyszota z Kurnika; młodszy i towarzyszący im był nie kto inny, jak Lasota Nałęcz.

Po długiej i nużącej podróży stali blisko jej celu i nie bez pewnej obawy wpatrywali się w mury tego miasta, poza któremi były ich nadzieje. Aż tu

w klasztornej klauzurze szli oni szukać tego Piasta, którego u siebie nigdzie znaleźć nie mogli.

Zeszli na ostatniego, na tego Włodka, zwanego Białym księciem, o którym nie wszyscy jednak mówili.

Przykładem tych, co niegdyś Kazimierza od Benedyktynów na tron wzięli, i oni jechali wyzwolić zamkniętego, aby mu do tronu otworzyć wrota. Skutek był bardzo wątpliwy, lecz panowanie i władza mają urok wielki; przychodzili kusić, spodziewali się, że blaskiem korony pociągną, mieli nadzieję, że ze słabego człowieka uczynią potężnego, że z niestałego i chwającego się w postanowieniach mocnego bojownika zrobią.

Wszyscy oni znali go niegdyś, wiedzieli, że dziwacznym był i rzucającym się łatwo na to, co mu zabłysło i zrażającym również prędko łada przeciwnością, lecz naówczas był on maluczkim panem na Gniewkowie, a oni mu przynosili nadzieję polskiej korony.

Cała niemal Wielkopolska go wzywała, cała chciała iść z nim i za nim, cała się wzdygała pokrzywdzona, przeciw rządowi króla Ludwika i jego matki.

Przedpełk, Szczepan i Wyszota pamiętali go młodszym i zdawało się im, że podróże, spoczynek, klasztor, cierpienie ukołysały krew gorącą, a dały mu spokój ducha i wytrwałość.

Lasota, dodany przez Dersława, wziął rozkaz patrzeć, słuchać, pomagać, lecz sam występować czynnie nie miał ni zlecenia, ni ochoty.

Najstarszy, Przedpełk, najmocniej był o tem przekonany, że to, co on wymarzył, miało się znaleźć w Białym księciu. Mówił, że go nauczyło doświadczenie podobnego dojrzwania charakterów.

Szczepan z Trłaga więcej niż na samego księcia, któremu mniej ufał, rachował na to, że oni go otoczą, dozorować będą i kierować nim, że każdy z nich coś mu ze swej siły wleje.

Wyszota z Kurnika miał też nadzieje dobre, lecz je opierał na tem, że się w Białym obudzić musi żądza panowania, będąca we krwi.

Trzej posłowie Wielkopolan mniej więcej godzili się ze sobą w nadziejach, lecz nie w sposobie, jakiego zażyć było potrzeba, aby się one ziściły. Stary Przedpełk myślał, że zapanuje nad słabym księciem, Szczepan chciał go ująć swobodą, dostatkiem, słowem, światową pokusą. Wyszota sądził, iż pokorą, padaniem do nóg, oddawaniem mu czci najłatwiej go rozbudzą do czynów.

Choć wszyscy oni, głośno mówiąc, nie przypuszczali, ażeby im się mogło nie powieść i dowodzili, że niema człowieka, coby koronę przynoszoną mu odrzucił, jednak każdy z nich, gdy sam z sobą i myślami pozostał, frasował się i wątpił.

Wszyscy, choć się do tego nie przyznawali głośno, wiedzieli, że na dziwaczного Włodka Białego trudno było rachować na pewno. A jakim go klasztor uczynił, tego się tylko domyslać mogli. Od powrotu z Ziemi świętej nikt nie widział księcia.

W chwili, gdy stolica Burgundyi, którą jedni z francuska Dijonem, drudzy z łacińska Dywionem zwali, pokazała się wreszcie oczom, długo się już tęsknie jej wpatrującym, gdy przewodnik Francuz pokazał im najwyższą wieżę kościoła św. Benigna, przy którym był klasztor Benedyktynów, a w nim ów książe, wygnaniec dobrowolny, nadzieja Wielkopolan, — wszyscy oni posmutnieli.

Losy ich poselstwa wprędce się rozstrzygnąć miały.

Każdemu z nich teraz stanęły trudności zadania, od czego począć, jak postąpić.

Przedpełk pierwszy przeżegnał się, znakiem tym wzywając niejako opieki Bożej, za nim poszli drudzy.

Przewodnik, mały człek, twarzy czerwonej, okrągłej, wesołej, lśniącej, zbliżył się do nich w przekonaniu, iż oni też równie powinni być weseli, i zdziwił się mocno, zobaczwszy zasępionych.

— Tak, tak, miłościwy panie — wołał w swoim języku, głos coraz podnosząc, — to jest stolica Burgundyi i wielkich książąt zachodu (Grands Ducs d'o-

ccident). Tam około miasta, chociaż stąd ich nie widać, płyną rzeki nasze, Ouche i Suzon, tam dalej dolina Saony. Ta wieża, górująca nad innemi, to kościół patrona św. Benigna, choć nie mniejszy od niego św. Urban, którego grób ma kościół św. Jana... oto ten... za murami. Widać go stąd dobrze. Tam dalej kościół św. Michała, a tu... N. Panna Targowa (du Marché), a te mury duże, to klasztor Kartuzów, którzy robią doskonałe wino dla Ojca świętego i co roku mu je posyłają, bo takiego jak nasze cały świat nie ma. Inne wina to kwas i piquetka przy burgundzkim, a Kartuzi mają sekret, że go lepiej niż inni robią.

Stary, rozgadawszy się, nie mógł się powstrzymać, zwłaszcza wpadłszy na wino, które lubił.

— Zobaczycie, miłościwi panowie, gdy wam Benedyktyni, bo podobno do nich jedziecie, dadzą pokosztować tego, co oni sami piją... he! Chenove, Vosne, Pomard, Volnay, — po szklaneczce człowiek odmłodzi się. To życie daje.

Czy tych pochwał winnic burgundzkich słuchali posłowie, którzy, konie trochę powstrzymawszy, w zadumie ciągle na miasto patrzyli, przewodnik nie umiał odgadnąć; widząc jednak, że dość obojętnie przyjmowano jego objaśnienia, zabierał się ruszyć naprzód.

Tymczasem Przedpełk, cichą dokończywszy modlitwę, odezwał się do Szczepana:

— A co, bracie, nie wystoimy tu nic, jedźmy, trzeba raz to skończyć.

— Tak, — odparł pan z Trłaga — co nalano, wypić musimy.

Westchnął.

Wyszota, który czasem się lubił sprzeczać, choć niewiele od nich mężniejszy, podchwycił:

— Tylko śmiało! Przedpełkowi teraz coś markotno i trwożno, no, a ja najlepszą mam otuchę. Z rana baba nam drogę przeszła z pełniuteńkami dzbanami, z których się lało. Dobry omen.

Roześmiał się Lasota i dodał:

— Lepszy jeszcze znak, że zając, który się już

nam wysforował drogę przebieg, uląkłszy się... zawrócił.

Jechali tedy, nie spuszczać z miasta oka; a ono się im coraz wyraźniej rysowało, chociaż ostry blask zachodzącego słońca spełził już był, cały krajobraz leżał w półmroku i w dali tylko ostatni promień światła, oddaleniem zamglony, blade na wierzchołku góry, Afryką zwanej, zawisnął.

— Oni tu te swe grody jak kościoły budują! — westchnął, przyglądając się, Przedpełk, — co za gmachy, co za wieże! a jacy to budowniczkowie, co kamień umieją wyrzynać, jak kość słoniową i rzeźbić tak miśternie! Kiedy my coś podobnego potrafimy!

— Jak gdyby — sprzeciwił się Wysota — nasze kościoły także piękne, choć na inny sposób, nie były. Dajemy Panu Bogu, co mamy. On nam kamienia poskąpił, musimy Mu z cegły wznosić świątynie.

— Tak — rzekł Przedpełk, — ale my bo i cegły tak jak Krzyżacy nie umiemy wypieć, polewają ją okryć i tak się z nią obejść, jak ci czarownicy. Oni piszą na murach ceglami, a ci, co z królem Kazimierzem w Malborgu byli, mówią, że z maleńkich kamyków nawet obraz Matki Boskiej ułożyli, przed którym ino na twarz padać: stoi jak żywa, jakby się zjawiała.

— No — odparł Wyszota, — juści temu, co Kazimierz nieboszyk pobudował, nic zarzucić nie można. Gmachy są przepiękne, a niech nam drugiego Kazimierza Bóg da, będą jeszcze wspanialsze.

— Otóż! otóż! — westchnął Szczepan. — Drugiego nam takiego Piasta tylko brak.

Lasota, który pana dotąd oplakiwał, zawołał z wyrazem wielkiej boleści:

— Takiego, jakim Kazimierz był, nie znajdziemy i wieki miną, a nie będzie. Kazimierze tacy mra bezdzietni!

Jadący przodem na mule, coraz pośpieszał, oglądając się na nich, i tak ich aż do wrót doprowadził. Stała w nich straż miejska, lecz że dzień był go-

raczy, a czasy spokojne, na przybywających niewielką zwracała uwagę.

Wyszedł, przecierając oczy, zaspany człek, w półzbroi, z halabardą a bosy, posłuchał, niewiele zważając, co mu mówiono, i ręką im pokazał na miasto.

Przewodnik się był zobowiązał zawieść ich do dobrej gospody niedaleko św. Benigna, o której opowiadał, że równej sobie nie miała, zwłaszcza piwnicę, gdy tam zamkowa dwornia uczęszczała. Gospoda była pod znakiem Złotej tarczy i szlachta a rycerstwo stawało w niej. Burgundczyk ręczył, że u Urbana Bonjean'a ani głodni ni spragnieni nie będą.

Jechali tymczasem ciasnemi i dosyć krętymi uliczkami, które otaczały wysokie a nierówne domostwa dziwniej budowy, z galeryami, znakami, wyskokami murów, klatkami zawieszonymi nad ulicą, z ogromnemi niskimi czarnymi bramami, w których widać było ciemności popstrzone światelkami dziwacznie.

W tych przejściach już ludno było i gwarno; przed niektórymi domami stali ludzie, poubierani w najosobliwszy sposób, rozmawiając głośno; pędzono bydło, prowadzono konie, tu i owdzie pokazywał się zbrojny jeździec, który drzewcem włóczni zapierających mu drogę rozpychał.

Na naszych podróżnych, po których poznawano łatwo, że zdaleka przybywać musieli, oglądano się ciekawie. A że przewodnik im drogę torował, dowiadzano się od niego o ich pochodzeniu, o którym on pono też mało wiedział. W ten sposób zwolna musieli przebyć znaczną część miasta, nim się na plac przy katedrze dostali.

Lecz po drodze było na co patrzeć, bo choć większa część uliczek brudna była i niepozorna, mijali też gmachy wspaniałe i budowy piękne. Kilka razy Przedpełk się musiał zatrzymać, bo przy rogach domów i po placach spotkali to mękę Pańską, to obraz N. Panny, to wizerunek jakiego świętego, przed którym się pokłonić musieli.

Burgundczyk naostatek z równą pociechą i rów-

nie wesołym uśmiechem, jak wprzód było miasto, tak teraz wskazywał im gospodę pod Złotą tarczą.

Wistocie nad szeroką, otwartą bramą domu rozległego, przez którego okna widać było ogień rozpalony we wnętrzu, wisiała tarcza wyślaczana. Opasły człek, rumiany, jasno ubrany, w czarnym berecie na głowie, stał u wrót, jakby na podróżnego czatując, chociaż gospoda próżną już nie była. We wrotach ludzi zjawilo się dużo, z okien buchał gwar.

Gdy się zbliżyli podróżni nasi, a Lasota, który język lepiej umiał, wystąpił dla umowy z gospodarzem Urbanem, znalazł u niego uśmiech uprzejmy, ukłon nizki i przyjęcie wiele obiecujące.

Pan Urban zaręczył, iż nigdzie im lepiej, bezpiecznie, wygodniej, ani taniej być nie może. Zachwalał przytem swoje wino.

Poziadali wszyscy z koni, i oddawszy je służbie, która do stajni prowadziła, sami za p. Urbanem weszli do wielkiej izby gościnnej, bo innej wówczas, nad wspólną dla wszystkich nie miano.

Tu na oko, trudno miejsce upatrzyć było, tak wszystkie stoły osadzili goście różni, lecz dla dostojnych cudzoziemców Urban postarał się jeden kąt opróżnić.

Wszyscy się im ciekawie przypatrywali.

W głębi izby, starym obyczajem, pod oczyma gości była kuchnia. Mogli być świadkami, jak się dla nich przygotowywało jadło i zawczasie nasycić jego wonią. Skwar i zaduch, mimo okien otwartych, panował wielki, a i wrzawa przy stołach nie mniejsza. Znaczniejsza część gości już była szkostowała doskonałego Chenove, którym gospodarz słusznie był dumny, języki rozwiązały się i głosy spotęgniały, a miarkować ich nikt nie myślał, bo w gospodzie każdy panem i wszystko wolno.

Żołnierze zamkowi, właściciele winnic i posiadłości z okolicy, nawet księży kilku znalazło się za stołami.

Wśród tego natłoku nikt z przybyłych, gdy się ze zbroi rozdzielali, pasów popuszczali i mieścili na

twardych ławach, nie zważał na człowieka małego, pękatego, z dużą głową, jak kręgła utoczona, a trocha łysa, z oczyma wielkimi i ustami szeroko rozciągniętymi, który od wniścia podróżnych nadzwyczaj się im pilno i z wielkiem przypatrywał zdumieniem. Tak się zdawał żdziwiony i niemal przelękły, zobaczywszy ich, iż usta wielkie otwarłszy mimowolnie, stał osłupiały, nie spuszczać już z nich oka.

Człek był lat średnich, spasy, ubrany osobliwie, bo miał suknię czarną i jakby mniszą, podpasaną skórzanym paskiem, a na nogach proste trzewiki bez pończoch, na boso wdziane.

Gdy podróżni nasi usiedli, człowiek ten z wolna i nieznacznie kołując, tocząc się, podsunął jak mógł najbliższemu nim, i ucho skierowawszy w ich stronę, choć udawał czem innem zajętego, pilno nasłuchiwać zaczął.

Przedpełk z Wyszotą mówili z sobą dosyć głośno po polsku; jakiś wyraz doleciał do uszu ciekawych i mały człek drgnął, zaśmiał się, ręce mu tłuste i mięsiste mimowolnie się złożyły jak do modlitwy, twarz zwróciła ku przybyłym. Z wyrazu jej wnosić było można, iż jakaś nadzwyczajna szczęśliwość całą jego istotą wstrząsała. Uśmiech, który wszystkie zęby białe i gęste obnażył, rozlał się po policzkach, czole, zmienił tę pyzată twarz w promieniejący obraz zachwyconia. Ktoby go był naówczas zobaczył, sądziłby, że miał widzenie niebieskie.

Chwilę postawszy, nagle rzucił się do najbliższego stojącego Wyszoty, pochwycił rękę jego i nic nie mówiąc, całować ją począł. Łzy mu na nią strumieniem z oczów płynęły.

Wyszota patrzył nań, nie rozumiejąc, co to znaczyć mogło i czego chciał ten napastliwy człeczyna, gdy z ust tego wyrwało się:

— Boże miłosierny! nasi! nasi!

Po polsku wymówione wyrazy te wszyscy usłyszeli i obrócili się ku niemu.

Tłusty ów człek począł się dwoma kułakami bić po piersiach, śmiać się i wołać:

— A toć ja jestem Buśław... Buśko! a toć ja z tamtych, co i wy! Ach! Boże, myślałem, że nie dojdę, gdy m tę mowę posłyszał. Niema na świecie takiej muzyki, jak ta mowa. Miłościwi panowie, przez rany Zbawiciela, mówcie jeszcze, abym słuchał. Skąd wy tu? skąd? skąd?

— My? my? — odparł Przedpełk, zbliżając się — co my... ale ty skąd się tu wziąłeś u licha?

Śmiejąc się, ruszył ramionami mały, jak gdyby litował się temu zapytaniu.

— Ależ ja jestem Buśko! Buśko! a któż nie wie o Buśku? Boże miłosierny!

Spojrzeni po sobie wszyscy, ale o tym Buśku nikt nie wiedział i nie słyszał. Wyszota tylko domyslać się począł i wpadł na przypuszczenie, że chyba z Białym tu przywędrował. Tylko trudno było posądzać księcia, aby tak niepozornego prawie karłowatego sługę, mógł sobie upodobać, za sobą ciągnąć i zatrzymywać. Rzekł tedy Wyszota:

— Słuchaj i miej rozum... Żaden z nas o Buśku nie wie. Kat cię zna, skądś się tu wziął? Mów.

Buśko z wesołego stał się nagle dziwnie zaspionym.

— A to mi miłość wasza słiczną rzecz powiadacie — zawołał, — że już o Buśku nikt na świecie nie wie, że o nim, a chyba już i o jego panu wszyscy zapomnieli.

— A któż twój pan? — zapytał Przedpełk.

Ruszył ramionami oburzony Buśko.

— Mój pan — rzekł — a! a prawda! sam się wy-rzekł dobrowolnie tego, czem był... dziś ma w zakonie imię Benigna... ale przecież słyszeliście o Gniewkowskim księciu Włodzisławie? Tak! tak! to był... no i jest mój pan. Ja z nim aż za morze pływałem do świętej Ziemi i wszędzie, gdzie on był, tam ja byłem. Opuścili go ludzie, on się wszystkich wyrzekł, a mnie so-

bie wyprosił, że mi przy nim pozwolono zostać w klasztorze i czasem mu posłużyć, choć mnisi sług nie mają.

Tu westchnął.

— Buśka wszyscy dawniej znali, że on księciu bajki prawil i pieśni śpiewał. No i teraz w klasztorze, gdy nikt nie słucha, w wielkiej tajemnicy ja mu czasem starą pieśń półgłosem zanucę. Dla niego ja w tym przekętym klasztorze się duszę, bo mi tu jak w więzieniu, i nie wiem, jak książę w nim wytrzymać może. On, co był księciem i panem, a tu lada mnich z nim za pan brat i gorzej, gorzej. Przyjdzie czasem opat... i ja tam nie rozumiem, co gada, ale z miny widzę, że nałaje. Książę musi stać, słuchać, z rękami na piersiach złożonemi, ani mru-mru.. jeszcze potem przykleknąć i starego księdza w łapę całować.

Spoglądając po sobie, posłowie nasi porozumiewali się oczyma, ciesząc z tego, że im traf owego Buśka nastreczył, a Wyszota się odezwał:

— Mybyśmy bardzo się księciu pokłonić chcieli.

— A no! czemuż nie — odezwał się ochotczo Buśko, — ja i tak muszę zaraz powracać do klasztoru, bo jak bramę zamkną, to nie puszczą, śpij gdzie chcesz, pod murem; to darmo! Powiem księciu, że panowie są z Polski i chcą go pozdrowić, a jutro rano po na-bożeństwie opat pozwoli.

— Trzebaż go o pozwolenie pytać? — zapytał Przedpełk.

— A jakże! — rzekł Buśko, głową potrząsając. — Oni na księcia nic nie zważają, słuchać tu każdy musi.

— I cóż wasz książę rad ze swojego życia w klasztorze? — podchwycił Wyszota.

Buśko zrobił minę dwuznaczną i chwilę się namyslał nad odpowiedzią.

— Albo ja wiem — rzekł; — ja od dzieciństwa księciu służę, a co w nim siedzi, nigdy nie wiem, takim go Pan Bóg stworzył. Są takie dni, że on zupełnie już zdaje się mnichem. Modli się, aż jęczy, bije w piersi, płacze, posługi pełni, jak najprostszy człek, a potem... coś się w nim przewróci i narzeka, aż żal

nań patrzeć. Czasem piosnkę gdy zaczął nucić, tupnie nogą, rękę podniesie: — Won mi! won mi! precz z tem pogaństwem. We dwa dni woła, drzwi zamyka i prosi: — Śpiewaj, zlituj się. Słucha, oczy zakrywszy i płacze. Czasem mu pozwalają wychodzić z drugim mnichem na miasto, za mury, gdzie stare drzewa... Spotka jadącego rycerza, to się odprostuje, ogień mu z oczów tryska, inny człowiek... skoczyłby na konia... a nazajutrz... dyscypliną sobie ciało porzeże aż strach.

Byłby może Buśko opowiadał dłużej, gdyby głucho, zdala dzwonek się jakiś nie odezwał. Rzucił się żegnać, szybko mówiąc:

— Powiem panu o was... zmiłujcie się, nie jedźcie, nie widząc się z nim. Opat pozwoli.

Pokłonił się wszystkim z kolei, Wyszotę najbliższego w rękę pocałował i jak kula potoczył się, przedzierając przez tłum, a śpiesząc z powrotem do klasztoru.

Dopieroż zawiązała się żywa rozmowa o księciu i o tym Buśku, którego sobie Przedpełk przypominał z dawniejszych czasów, że przy księciu błazna, sługi, powiernika i przyjaciela pełnił obowiązki, i że Białą, jak mówiono, niekiedy go bił, a czasami obsypywał łaskami — i obejść się nie mógł bez niego.

Walał się teraz ów ulubieniec księcia w klasztorze między czeladzią, aby swojego pana, któremu tyle lat służył, nie opuścić.

Przedpełk bardzo winszował sobie, iż go spotkali i wnosili, aby przed księciem z początku o poselstwie nie mówić nic, przyjść jako goście, wybadać go i dopiero, gdy się okaże skłonny jechać z nimi, wyjawiać mu, z czem przybywali. Wyszota niebardzo się na to zgadzał; rozprawiano długo, naostatek zdano jutrzejsze widzenie na łaskę Bożą.

— Okaże się, co robić mamy, gdy go zobaczymy — rzekł Przedpełk. — Mnie się zdaje, iż łatwo się domyśli, żeśmy tu nie z przypadku zawędrowali, bo tędy żadna droga nie prowadzi tam, kędy my jeździć nawykliśmy.

W izbie powoli przerzedziło się. W jednym jej kącie zostali kupcy, jadący z Paryża do Awinionu; w drugim nasi panowie posłowie sobie kazali rozłożyć na ziemi. Na kuchni ogień dogasał, a wkrótce i stróż poczęli obwoływać gaszenie i pilność nocną.

II.

Cela była dosyć obszerna, z jednym oknem na ogród wychodzącym; znać po niej było, że na ród i pochodzenie tego, który się w niej zamknął, pewien wzgląd miano. Ale reguła, której zwłaszcza z nowicyuszami trzymać się musiano, nie dozwalała zakonnikowi mieć więcej nad jedną izbę, ani w niej sprzętu wygodniejszego nad pospolity klasztorny.

Łóżko twarde stało w jednym rogu, a przy niem klęcznik z Ukrzyżowanym; u okna był stół okryty, na którym kilka ksiąg leżało, lampka włoska i drobnostek kilka z pobożnymi godłami. Na jednej ze ścian odmalowany na tle złotem modlący się św. Benedykt miał mnichowi przypominać jego powołanie.

W pośrodku izby tej nazajutrz zrana stał słusznego wzrostu mężczyzna, zbudowany silnie, szerokich ramion, w czarnym habicie zakonników św. Benedykta. Twarz jego piękna, blada, z postrzyżonym włosiem jasnym, z ram tej sukni mniszej wychodziła, malując się wyraziście na szarem tle murów celi. Rysy jej regularne, oczy niebieskie duże i wydatne, czoło wyniosłe, usta zapadłe i ściśnięte stanowiły fizyognomię uderzającą wyrazem, charakterem niełatwym do odgadnienia, lecz wcale z suknią i powołaniem zakonnika niezgodnym.

Namiętności gwałtowne całe to oblicze zmęczyły i porysowały niezatartymi śladami przejścia swojego. Coś po nich zostało niespokojnego, podrażnionego, nieokielzanego jeszcze. Czasem, gdy czoło i oczy się zdawały ukołysane i rozpogodzone, w ustach porusza-

jących się i krzywiących, jak gdyby gorycz je struła, ból, ironia, gniew burzyły się niepokahowane.

Białe, z długimi kościstymi palcami ręce to habit na piersi targwały, to się przesuwwały po czole dum-nem, to zaciskały się namiętnie. Chodził, stawał, przy-słuchiwał się.

Być może, iż w ten stan podrażnienia wprowadziła go wczoraj przez Buśka przyniesiona wiadomość, iż ja-cyś polscy panowie przybyli do Dyżonu, i że się daw-nemu księciu, dziś mnichowi, pokłonić chcieli.

Usłyszawszy to, Biały rzucił się poruszony i przejęty.

— Jakto? — zawołał — więc tam jeszcze nie za-pomniano o mnie? Wiedzą? znają? pamiętają?

Buśko od rana czatował przy bramie, aby tych gości pożądaných wprowadzić; dano mu rozkaz taki. Opat był uwiadomiony; nie obawiał się on i nie do-myślał nic; nie sądził, aby potrzeba było wzbraniać księciu pociechy widzenia ziomków swoich. Może pa-mięć na to, iż zbytnia surowość Cystersów wygnała go stamtąd, czyniła opata łagodniejszym.

Posłowie, przyodziawszy się pięknie, poszli zrana do katedry wysłuchać mszy świętej i dopiero po niej stawili się u furty opactwa.

Buśko, tak nędznie przyodziany, jak wczoraj, już tu na nich oczekiwał. Wprawdzie brat Lzydor był wyznaczonym, aby przy odwiezinach jako świadek się znajdował, lecz nie śpieszono mu dać znać, gdyż język, w którym rozmowa się toczyć miała, bytność jego czy-nił zbyteczną.

Posłowie, których prowadził starszy Przedpełk z Lasotą, razem weszli na próg celi, niskim ukłonem witając księcia.

Gdy ich zobaczył, na bladą jego twarz na chwilę rumieniec wypłynął, oblał ją całą i zniknął.

Książę stał nie jak mnich, ale jak Piast, — któ-ry swoich wiernych ziemian przyjmuje. Jedną ręką o stół oparty, postawę miał prawie dumną.

Po przywitaniu niecierpliwym książę sam ich, nie czekając, zagadnął:

— Cóż wy tu macie do czynienia? jakie was tu losy zagnały?

Wyrazy te wymówił po polsku, ale w ich dźwię-ku i pewnym przymusie a zająknięciu czuć było, iż się od mowy tej odzwyczaił, że mu przychodziła z trud-nością. Na nim samym uczyniło to przykre wraże-nie, spuścił oczy.

— Długo by o tem mówić miłości waszej, jakieś-my się tu do obcego kraju dostali — rzekł Przedpełk, — ale raz już będąc w Dyżonie, chcieliśmy naszego Pia-sta nawiedzić i pozdrowić.

Twarc księcia pofałdowała się nagle.

— Piasta? — pochwycił — Piasta? Niema tu już, pod tą suknią — potrząsł mocno habitem, jak gdyby go chciał poszarpać — niema tu już ani Piasta, ani księcia, ale biedny sługa Boży, brat Benignus.

Skończył tu ciężkiem westchnieniem. Czy jego przebiegły żywo po przybyłych, szukając znajomej twa-rzy czy jakiegoś przypomnienia.

— Z kraju, z Polski jedziecie! — zawołał, — co słyhać? Jak tam siostrzan mój?, tak, — boć siostrze-nicę moją Ludwik poślubił — rządzi się u was, radzi mu jesteście?

— Król Ludwik wcale u nas nie rządzi — prze-rwał Wyszota, — nie ma na to czasu. Więcej pono za-jęty Włochami, Neapolem i Węgry... niż Polską. Sta-ra królowa u nas panuje za niego.

Ton, jakim to wymówił, więcej znaczył niż słowa.

Książę zrozumiał go, pół uśmiechu gorzkiego przebiegło mu po ustach.

— A w Gniewkowie, w Złotoryi kto siedzi? — spytał.

— Starostowie — odparł Przedpełk — księstwo wasze na króla idzie.

Ręka księcia, sparta na stoliku, zadrgała.

Przedpełk patrzył nań jak w tęczę, badając wy-raz twarzy i wrażenia przechodzące po niej, których ukryć nie umiał.

Czas jakiś milczeli wszyscy, Lasota się zebrał na odwagę.

— Muszę miłości waszej — rzekł — pozdrowienie oddać od starego Bodeczy z Drdzenka, widziałem go i rzekł mi: A gdybyście tak księcia mojego Władysława spotkali, pokłon mu oddajcie i mówcie, że my go nie zapomnieliśmy, tęsknimy za nim.

Książę, cały zwrócony ku mówiącemu, zdawał się chciwie połykać te słowa. Zarumienił się, rękę do piersi przyłożył.

— Poczciwy Bodecza stary — zawołał, — gdym najnieszcześniejszym był po stracie żony, on jeden żał dzielił ze mną i w jego domu najmiłszą miałem gościnę.

— Córnka też jego, Fryda — dodał Lasota — miłości waszej ukłon zasła.

Rzucił się mnich i krok cofnął, brwi mu się zmarszczyły.

— Fryda Bodeczanka — rzekł głosem zmienionym, — ależ ta... dawno być musi komu poślubiona? Kto jej mężem?

— Nie ma męża — odparł Lasota. — Mówią, że wielu możnym rycerzom, pomimo nalegania ojcowskiego, odmówiła. Dziewicą pozostała dotąd, a co dziwniej, tak jeszcze gładką jest i wydaje się młodą, jakby nie miała więcej lat dwudziestu.

Książę spuścił oczy, zagryzł wargi, rozmowa ta widocznie przykra mu była.

Przedpełk, Szczepan, Wyszota milczeli, zdawszy rozmowę na Lasotę, który, jak im się zdało, zręcznie nią pokierował, wedle ich myśli.

— Stary Bodecza — dodał Nałęcz — choć wiedział, że miłość wasza wdzieliście suknię zakonną, wszelako, jak uważałem, cale nadziei się nie zbył, że miłość waszą zobaczy u nas. Mamy przecież benedyktyńskie klasztory.

Biały cofnął się aż do okna i wnet znów ku posłom się zbliżył.

— Radbym być jak najdalej, najdalej od was —

począł namiętnie, — aby przeszłość zapomnieć, bo ona wrócić nie może.

— Jako? jako? — wtrącił żywo Przedpełk. — Bóg jeden wie przyszłość. Król Ludwik, jak nasz nieboszczyk Kazimierz, męskiego nie ma potomstwa, a królestwo nasze nie pójdzie po kądzieli. Nie! Będziemy mu może Piasta szukać musieli!... Kto naówczas wie?

Biały z obu stron habit swój pochwyił i począł nim trząść.

— Ta suknia, kto ją raz włożył, do ciała przyrastał — zawołał. — Nie można jej zrzucić.

— Przebaczy mi miłość wasza — odezwał się Wyszota. — Ojciec święty, zastępca Chrystusa na ziemi, może ze ślubów zwolnić i rozwiązać. Mieliśmy tego przykład na Kazimierzu, na mnichu, który tak jak miłość wasza w zakonie św. Benedykta śluby złożył.

— Nie mąćcie mi spokoju — przerwał gwałtownie książę — pokusami temi. Światam się zdrażliwego i znikomego raz wyrzekł. Kusicielami nie bądźcie.

Przedpełk zwolna krok naprzód postąpił, rola mu się zdała przygotowaną i czyniąc pokłon, odezwał się:

— Otóż czas miłości waszej wyznać prawdę całą. Wistocie kusić przybyliśmy, ale nie z własnej naprawy, tylko od ziemi naszej Wielkopolskiej, utrapionej wielce, upokorzonej, nieszczęśliwej. Pana potrzebujemy, Piasta chcemy... na waszą miłość oczy się obróciły.

Wielkie swe niebieskie źrenice wlepił książę w mówiącego, zdziwiony, przełękły, zmieszany, drżący. Gdy Przedpełk umilkł, on odpowiedzieć nie mógł. Słychać było oddech przyśpieszony, dyszenie ciężkie.

— Coście rzekli! — począł cicho — coście rzekli!... Ślub mój wiąże mnie jak kajdany, a iść tam, znaczyłoby to przeciw siostrzeńca, przeciw koronowanemu króla. Nie godzi mi się.

— Papież rozwiąże sumienie... — rzekł Wyszota.

— Mylicie się — odparł Biały. — Ojciec święty we francuskich jest rękach, andegaweskiemu domowi oddany.

— Na dziś jeszcze o porywaniu się przeciw nie-

mu — rzekł Przedpełk — mowy niema. Tymczasem książę odzyskałbyś swoją dzielnicę, gdy i Każko Szczeciński ją dostał, i Włodek Opolski wziął też na Rusi. Potem, gdyby godzina wybiła...

Książę uszy sobie zatknął. Na twarzy jego przetrach się malował i wzruszenie nadzwyczajne; drżał cały.

— Szukałem tu spokoju — zawołał — w tych murach zdala od kraju, gdzie mnie żaden głos z niego dojść nie mógł. Żywy zamurowałem się w ten grób, a wy mnie z niego wyciągnąć chcecie, abym z mnicha stał się znowu pospolitym grzesznikiem i duszę zgubił. Precz ode mnie, kusiciele!

Odwrócił się; posłowie stali nieruchomi.

— Grzech miłości waszej — odezwał się Wyszota — my rozbierzemy na siebie, niech tylko miłość wasza próśb nie odrzuca. Piasta nam potrzeba, aż tuśmy za nim przyszli; nie godzi się odpychać, co z prawa i z widomej łaski Bożej na was spływa. Mnichów, coby chwałę Pańską głosili, dosyć jest, a krwi Piastów nam braknie.

Książę to uszy zatykał, to słuchał, rzucił się w tym szczupłym kącie między stołem a oknem, to cofając, to podchodząc, łamiąc ręce i uciskając piersi.

— Dość — rzekł — dość... na teraz już, proszę was, dosyć tej mowy. — Dajcie mi się rozmyśleć, Bóżeżo wezwać natchnienia, Ducha świętego pomocy. Idźcie z Bogiem, czekajcie... wezwę was.

Przedpełk dał znak towarzyszom. On sam i oni mieli pewne politowanie nad nieszczęśliwym, który był zmęczony i poruszony straszliwie; pot kroplami występował mu na czoło, chwiał się na nogach, chwycił za stół.

Nie mówiąc nic, stąpając ostrożnie, posłowie zaczęli iść ku drzwiom. Pierwszy Lasota, co je powoli uchylił, spłoszył od progu przytulonego uchem do drzwi Buśka, który odskoczył jak oparzony i pędem zbiegł w drugi koniec kurtyarza. Nieprzeprowadzani już przez niego, zadumani, trochę smutni, wszyscy wy-

sunęli się z klasztoru z bardzo różnemi myślami i domysłami.

— Nie będzie z tego nic! — zawołał, za furte wychodząc, Szczepan z Trłaga.

— Któż ci to powiedział? — ofuknął Wyszota. — Owszem! Przysiędłem gotów, że się rozmyśli. Gdyby nie chciał, nie kazałby nam czekać, dałby odprawę i zakazał powracać.

— A gdyby ją nawet dał — wtrącił Przedpełk, — jabym go nie posłuchał i kusił powtórę, po trzecie... Owszem, jam dobrej myśli... weźmiemy go.

— I ja też tak sądzę — dodał Lasota. — Uśmiechnie mu się swoboda... Mówił, że suknia przyrasta; snąc mu cięży. Gniewków jak Gniewków, nie skusiłby, ale więcej się czegoś spodziewać będzie.

Gwarzyli, tak powracając do gospody, gdy Buśko, ledwie ochłonawszy ze strachu, bo go na uczynku podsłuchu schwytano, zawrócił się, podbiegł znowu pode drzwi celi, powstał chwilę przy nich, przyciągnął się i otworzywszy je, wśliznął się ostrożnie do środka.

Książę klęczał przy łóżku zatopiony w modlitwie, z głową spuszczoną, a rękami nad nią wyciągniętymi. Słyszał czy nie, gdy się drzwi otwierały, nie poruszał się, nie obejrzał, modlił się. Ze znużenia na duchu, osunął się zwolna ku ziemi i przysiadł. Modlitwa skończyła się zadumą głęboką.

Buśko stał i śledził każde poruszenie, którego znaczenie długi pobyt przy księciu nauczył go tłómaczyć.

Po pewnym przeciągu czasu Biały powstał nagle, odprostował się, przybrał postawę niewłaściwą mnichowi, ujął się w bok i spoglądając ku drzwiom, zobaczył Buśka, który zdala próbował mu się uśmiechać. Nie odważył się jeszcze go zagadnąć.

Książę, którego podpatrzył wśród walki dusznej, groźnie nań patrzył.

— Paneczku! paneczku! — cicho począł od progu Buśko. — A co? a co? nie dobrych ja wam gości wprowadziłem? Oni nas stąd chcą zabrać! Jak Bóg

miły, dobrzeby to było! ach! dobrze! Skończyłyby się nasze męki... Wróciłibyśmy panować do Gniewkowa. Co Panu Bogu po nas, kiedy my się do tej służby nie rodzili, ani książę, ani ja... Jabym wolał drwa rąbać w czystym polu, tu więzienie i niewola. Lada gbur przewodzi księciu, a mnie lada kleryk w kark tłucze i obchodzi się jak z bydlęciem, dlatego, że ja po łacinie nie umiem.

Złożył ręce.

— Paneczku... jedźmy z nimi! Popróbujemy szczęścia. Klasztor, no klasztor, kiedy już koniecznie ma być, to choć tam w tej ziemi, gdzie nasi ludzie, a tu...

Książę marszczył się, słuchając.

— Milcz-że mil — zawołał.

Począł się po izbie przechadzać.

— Gdybym i chciał, nie puszczą mnie stąd — począł napół do siebie, wpół do Buśka, przy którym zwykł był mówić, co mu na myśl przychodziło. — Pokazują mnie tu jak kość wielkoluda, co wisi w kruchcie, za osobliwość gościom swoim, chlubią się, że mają krew królów polskich w zakonie. Musiałem porzucić Cystersów... jeżeli od Benedyktynów ujdę, co powiedzą ludzie?

— Paneczku — żywo przerwał Buśko — a niech oni sobie tu gadają, co chcą, my ich stamtąd słyszeć nie będziemy. Kiedy po nas te pany przyjechały, jedźmy! jedźmy!

Książę milczał. Ośmielony Buśko zbliżył się do niego.

— Niech paneczek przypomni — rzekł cicho — te dni straszne, kiedy mu habit cięży i piecze, kiedy w nocy zasnąć nie można, bo się Gniewków śni i Polska śni... Wiele to razy chcieliście boso bodaj i o kiju się stąd wyrwać? albo tak nie było? albowiem ja nie słyszał i nie widział? Lepiejże z nimi teraz jechać, niż gdy ich nie będzie jęczeć i żałować.

Książę spojrzał nań pogardliwie, gniewnie, lecz

nie odpowiedział nic, uczuł słusność tych uwag błazna swego.

Przed wieczorem Buśko, posłany do gospody pod Złotą tarczę, nazad z sobą jednego tylko Przedpełka prowadził. Książę chciał z nim mówić sam na sam.

Stawił się powołany. Zastał Białego po walce odbytej, po rozmyślach, po wewnętrznych z sobą samym rozterkach, uspokojonym na pozór.

Zobaczwszy wchodzącego, Białý podszedł uprzejmie ku niemu i odezwał się, jakby naprzód był przygotowany do tego.

— Rozważyłem, coście mi przynieśli. Nie mówię ani tak, ani nie. Mnich, złożywszy śluby, wyrzekłem się własnej, nie władam sobą. Mówcie z opatem, poddany mu jestem...

Przedpełk pomyślał mało.

— A jeżeli opat pozwolenia odmówi?

Białý zamilkł.

Milczenie było znaczącem. Przedpełk je wolał, niż odpowiedź.

— Dziś mam mówić z opatem? — zapytał.

— Dziś lub jutro — odparł książę. — Pora wieczorna może mniej właściwa, dziś ja go uprzedzę o przybyciu waszem, nie mówiąc z czem przyjechaliście, jutro was przyjmie.

Stary poseł mało co już więcej mógł dobyć z księcia dnia tego; pożegnał go i wyszedł.

Buśko, który wszystko podsłuchiwał i namiętnie śledził każdy ruch przybyłych, pobiegł w ślad za Przedpełkiem do furty.

— Z opatem będziecie mówili? — począł szeptać. — O! o! to bardzo kuty człek i wielka potęga... Ludzie przed nim drżą, myśli zgaduje, a srogi jest... ale (tu głos zniżył) klasztor potrzebuje wiele... łakomi są, podarkiem wiele zrobić można...

Oczyma dał znak i zniknął.

Przedpełk, powróciwszy do swoich, opowiedział, z czem go odprawiono. Do opata sam iść nie życzył. Więcej powagi miało poselstwo całe, a rozmowa, któ-

raża trzeba było prowadzić po łacinie, lub z pomocą Lasoty jako tłumacza, bo ten język Francuzów trochę umiał, — łatwiejszą być mogła.

Znowu więc na mszę świętą ranną przybywszy wszyscy w strojach swych paradnych, z niej wprost udali się do klasztoru.

Tu już na nich oczekiwać musiano i zakonnik od furty krużgankami sklepieniami powiodł ich do izb, w których opat uroczyście zwykł był gości przyjmować. Gmachy te, ozdobione wielce, pełne rzeźb i malowań, okryte godłami i napisami, wspaniałością swą musiały na przybyłych wielkie uczynić wrażenie. Nawet ozdobny zamek krakowski, który za cudo uchodził, nie mógł się równać benedyktyńskiego klasztoru wytwornemu budowaniu i misternemu przyozdobieniu.

Opat Zacharyasz, rodem z południowej Francji, mąż wielkiego ducha, rozumu i nauki, którego nieraz do rady Walezyusze wzywali, osobą swoją mógł też wrazić poszanowanie. Książęca była postać dumna, piękna, a przytem dziwnie pogodna i siłą a energią imponująca.

Z nadzwyczajną uprzejmością, ale z majestatem biskupim przyjął gości twarzą wesołą, wzrokiem ciekawym.

Ponieważ rozmowa była trudną po łacinie, Lasota jako orator wystąpić musiał. W krótkiej przemowie swej wyraził, że kraj, z którego przybywali, tęsknił, pozbawiony panujących krwi swej, za potomkami rodu, z którym go wieki wspólnego życia łączyły. Z tego powodu chcieli odwiedzić księcia, a zarazem radziły go mieć u siebie choćby w którym benedyktyńskim klasztorze. Dodatek ten uczynił Lasota, aby złągodzić nieco żądanie, z którym przychodzili.

Opat w odpowiedzi ostrożnej pochwalił przywiązanie do swych monarchów ziemi im wiernej, lecz zarazem ubolewał nad tem, iż mnich każdy, zerwawszy ze światem, już żadnym względem spraw świeckich ulegać nie może.

Na to przygotowany Lasota, odpowiedział przy-

kładem Kazimierza Mnicha i odwołał się do władzy nieograniczonej papieża.

Opat zmarszczył się nieco... rozmowa splątała się.

Lasota wyczerpał argumenta przygotowane. Posłuchanie przedłużyło się nadaremnie, gdyż ze wszystkiego widać było, że opat ani się chciał dać przekonać, ani nawet wdać w rozprawy. Począwszy rozmowę wesoło, zakończył ją również uprzejmie, pobłogosławił, dał białą rękę ucałować i z niczem odprawił.

Wyszedłszy, dopiero spostrzegli, iż z daleko mocniejszym od siebie mieli do czynienia, z człowiekiem, co ich odgadywał, zbijał to, czego jeszcze nie powiedzieli i przełamać się dać nie myślał. Od opata zaszli do księcia zafrasowani.

Biały przyjął ich pogrążony, smutny, niespokojny. Mogli tylko postrzedz po nim, że opór przełożonego podzielał nań, jako bodziec.

Mówił już o możliwości swego wyjazdu, jakby o rzeczy postanowionej i tylko od zgodzenia się opata zależnej.

Wielki więc krok dokonał się dziwnym sposobem, z łatwością niespodziewaną. Pozostawało wyjednanie przyzwolenia opata. Zgodzono się na to, aby doń wysłać Lasotę, który podjął się tego.

Cały dzień upłynął na przygotowaniach, na radach, wywiadywaniu się ubocznem o różne szczegóły.

Lasota nazajutrz z pokorą młodego człowieka, ale z wprawą dworaka, który na świecie bywał i z ludźmi mówić umiał — stawiał się przed opatem.

Nie miał jego przebiegłości i nie myślał też nią walczyć z nim. Począł mu się wynurzać otwarcie, dając z siebie dobywać wszystko, co miał powiedzieć. Był szczerym i naiwnym. Opatowi się podobał, zatrzymał go dłużej. Rozmowa zamiast pół godziny, trwała dwie całe.

Oczekujący na powrót jego w gospodzie pod Złotą tarczą niespokojni być zaczęli, gdy uznojony parlamentarz ich nareszcie z dosyć wesołą powrócił twarzą.

Było to tajemnicą Lasoty, w jaki sposób zdołał wymóżyć na opacie pozwolenie dla księcia, aby się udał do Ojca św. do Awinionu i tam przełożył mu żądanie swoje.

Chociaż więc nie tryumfowali jeszcze, krok był znowu uczyniony stanowczy, a ważność jego oceniliby lepiej, gdyby byli wiedzieli, co się w klasztorze działo.

Po odprawieniu Lasoty opat wezwał do siebie Białego.

Nikt nie był świadkiem ich rozmowy, która trwała długo — lecz gdy u drzwi czekający Buško zobaczył swego pana wychodzącego, pomimo otyłości swej poskoczył.

Księżę wybiegł na korytarz zmieniony, z twarzą jasną, rozpromienioną, zapomniawszy tych ruchów powolnych i pokornych, do których nawyknienie w klasztorze tyle go kosztowało. Krokiem pośpiesznym pobiegł do celi.

Tu było mu ciasno, było mu duszno... śmiał się, chodził... Buška poklepał po ramieniu.

— Jedziemy! — rzekł.

Wysłał go do gospody oznajmić tam, aby mu konie i co potrzeba do podróży przysposabiano. Gdyby to było możliwem — wyjechałby natychmiast, lecz wyjazd odłożono do jutra, czekając na listy, które opat miał kazać wygotować, na towarzysza, którego chciał dać księciu na przygotowanie do podróży.

Buško, który księcia nie opuszczał nigdy, rozumiało się to samo z siebie, sposobił się też do wyjazdu, nie kryjąc z radością swoją. Jakkolwiek ciężko mu było usiedzieć na koniu z jego krótkimi nogami, a droga, od której odwykł, była dlań okrutnie męczącą, cieszył się z wyzwolenia.

I na księciu widać było odżywienie jakąś nadzieją. Wczoraj jako mnich, dziś przybrał postawę, ton i oblicze książęce.

Przedpełk i towarzysze jego mocno się tem radowali, bo obudzenie w nim rycerskiego ducha rokowało wiele.

Dodnia, po nabożeństwie i błogosławieństwie opata, Biały wraz z towarzyszem swym mnichem, któremu listy do papieża powierzone były, w orszaku polskim zawrócił ku Awinionowi.

Gdy na pagórek wyjechali, z którego Diżon i jego kościoły widać było, Buško, na końcu kalwakaty jadący, odwrócił się ku miastu, zdjął czapkę z głowy, pokłonił mu się i pożegnał je...

— Bogdajby oczy moje więcej murów waszych nie widziały... tylko wina trochę żal będzie.

Z jakim uczuciem żegnał Biały ten klasztor, w którym czas jakiś pokoju zażywał — nikt, nawet towarzysz odgadnąć nie mógł. Płakał chwilami i śmiał się, zasnęła i rozmową wcale nie mniszą zabawił z Lasotą, który więcej mu mówił o pięknej Frydzie Bodczance, o łowach w okolicach Gniewkowa, o rycerskich zabawach, niż o tym żywocie zakonnym, z którego obowiązzków księżę nie był wyzwolonym jeszcze.

III.

Dwa całe lata upłynęły od tej chwili, gdy polscy posłowie Władysława Białego uprowadzili z opactwa św. Benigna, a ani w Gniewkowie o nim, ani w Wielkopolsce słyhać nie było.

Oczekiwano go też napróżno z powrotem do klasztoru. W Awinionie papież Grzegorz XI, Francuz rodem, dla dynastji panującej we Francji wylany, z którą tak blisko spokrewnionym był Ludwik Węgierski — prośby Białego księcia wysłuchać nie chciał. Próżne były nalegania i zabiegi; przewidując zawikłania, jakie sekularyzacja księcia mogła na Polskę ściągnąć — Grzegorz XI stanowczo się oparł uwolnieniu od ślubów.

Posłowie polscy napróżno tu oczekiwali zmiany. Biały oświadczył im, że dłużej w Awinionie pozostać nie i odprawił do Strasburga jednych, drugich do Bazylei, tam się z nimi obiecując połączyć. Miał bowiem nadzieję zawsze, iż papieża ubłaga.

Minął tak czas jakiś.

Książę nakoniec znużony, wykradł się tajemnie z Awinionu z jednym podobno Buśkiem, i choć od słubów uwolnionym nie był, suknię zrzuciwszy, w stroju jakimś podróznym, napół rycerskim, z mieczem u boku zjawił się oczekującym.

Lasota chciał go z sobą do Polski pociągnąć. Była jakaś nadzieja, że się może da skłonić do tego.

Potem jednego poranku, nie opowiedziawszy się nikomu, książę uszedł, zostawując list tylko, iż musi wprzód udać się na dwór króla Ludwika. Nagonił go uchodzącego Lasota, pragnąc zawrócić, lecz nie mogąc dokonać tego, sam się poświęcił i musiał z nim jechać do Budy.

Od tej pory ani o księciu, ani o Lasocie słyhać nie było.

Przedpełk ze Staszowa, Szczepan z Trłaga, Wyszota z Kurnika powrócili do domów z narzekaniem wielkiem na niestałość umysłu człowieka, który gorączkowo chwycił myśl każdą i wkrótce ją równie namiętnie odpychał.

Niewiele można było rachować na charakter taki, którego wybryków i zmian nagłych obliczyć nigdy nie było podobna.

W ostatniej swej rozmowie z posłami on, co ich, jadąc do Awinionu, śmiałością swych pomysłów zadziwiał, co marzył już o zdobyciu korony i przypomniał im Łokietka — niespodzianie — nagle zmienił zupełnie plany swoje.

— Niech mi mój Gniewków oddadzą — wołał — nie chcę więcej nic... potrzebuję spoczynku... przyjaćiół dosyć nie mam, zapomniano o mnie, porywać się nie chcę na to, czego nie dokonam... Ludwik mi Gniewków oddać musi.

Z tą już myślą, niedaleko sięgającą, Władysław pojechał do Budy.

Dwa lata upłynęło, w Polsce się go przestano spodziewać. Dochodziły wieści, że książę w Budzie

na łasce siostrzenicy siedział, nie u Ludwika nie mogąc wyprosić, nawet małego Gniewkowa.

Wstawiała się za nim królowa napróżno — Ludwik go lekcewał i śmiejąc się żartobliwie, mówił mu:

— Mniczem jesteś... dam ci na Węgrzech opactwo w lasach, abyś miał gdzie polować i skryć się w gąszczach, gdy ci klauzura dokuczy. Wierz mi, to dla ciebie lepsze od Gniewkowa, gdzie ci ludzie głowę zawracać będą, a ty, powolny im, głupstwa możesz robić. Żal mi cię... Bądź na Węgrzech opatem.

Mówiono też, iż Władysław, jak opatem być nie chciał, tak i o ślubach zakonnych, od których uwolnionym nie był — zapomniął. Suknię zrzucił samowolnie, nosił się po świecku, włosy zapuścił, miecz przypasał i do panien dworu młodej królowej Elżbiety się przysiadł. Lecz fantazyje te u niego nie były trwałe.

Czasem dosyć było głosu dzwonka, otwartych drzwi kościoła, rozmowy z zakonnikiem, by nagle napadła go skrucha. Zaczynał pokutować, modlić się, mówił niespokojny o powrocie do celi, dopóki piosenka Buśka i nowi towarzysze z tej drogi go nie sprowadzili.

Buśko, choćby był rad wrócić do Gniewkowa, z którego był rodem, godził się z losem, jaki ich spotkał w Budzie. Wino węgierskie przypominało mu Chenove i Vosne, choć czasem żałował Pomard'a, a o panu swym wyrażał się, podpiswszy, że on takim umrze, jakim żył, na pstrym jeżdżąc koniu.

W Wielkopolsce w inną stronę Nałęczę zwracali oczy. Nie rozpaczano, że się Mazowieccy do czegoś skusić dadzą.

Tymczasem Otto z Pilcy sam się rzekł wielkorządów, na których usiedzieć nie mógł. Doradcy królowej Elżbiety przekonali się, iż Wielkopolsce dać potrzeba było Wielkopolanina. Mianowano w miejsce jego Sędziwoja z Szubina, którego przyjęto, ciesząc się nim, jak otrzymanem nad Małopolany zwycięstwem.

Było to wczesną a najbrzydszą wiosną 1373 ro-

ku. Dersław Nałęcz, któremu starania o pozyskanie jednego z Piastów nie powiodły się — siedział w swej Wielkiej Wsi, mniej teraz ogólnie zajmując się sprawami. Całą pociechą jego było słuchać obfitych plotek o rozmaitych niepowodzeniach króla Ludwika i starej królowej. Cieszyło go niepomiernie, gdy narzekania na ich rządy słyszał, a żale po Piastach.

Cała też niemal Wielkopolska, choć nic nie mogła przedsięwziąć, aby się z pod obcego, jak mówiono, panowania wyzwolić, toż co Dersław, myślała i czuła. Była nieprzejednaną, była niechętną, najmniejsza niezręczność mogła tu wybuch sprawdzić.

Dersław miał zwyczaj mówić i powtarzać z tą jakąś pewnością proroczą, którą czasem przybierają ludzie starzy.

— Zobaczycie! zobaczycie! powiadam wam, nie umrę, aż znowu Piasta zobaczę na tronie. Wróci nasza krew, powróci!

Śmieli się z niego niektórzy, ramionami podrzucali inni; słysząc go z taką stanowczością powtarzającego zawsze jedno, gotowi byli mu uwierzyć. I wielu w Wielkopolsce powiadało naówczas:

— Dersław Nałęcz ciągle prawi, że nie umrze, póki znowu na tronie Piastów nie zobaczy.

Ludzie wierzyli w powrót starego pańskiego rodu, choć nikt go sobie nie umiał wytłómaczyć, ani się domyślał, jak to przyjdzie.

— Pan Bóg wszechmocny! Bóg czyni cuda! — powiadano. — Czemu by nie miał nam Piastów powrócić.

Jednego dnia tej brzydkiej wiosny 1373 roku Dersław gniewał się po szlachecku na Pana Boga, na deszcz, na zimno, na wiatr, które mu z domu nie dawały wyruszyć. A siedzieć w domu z synem i żoną samemu, bez nadziei, żeby kto w pluchę taką przywiózł plotkę, bez możności wybrania się po nią w sąsiedztwo, Dersław nie lubił. Gryzł się tą nudą tak, że i jeść nie mógł i wszystkich lajał a gderał.

Wtem, gdy raz jeszcze, zrozpaczony, wyglądał przez małe okienko w podwórze, ujrzał z podziwieniem

wielkiem przed oknem samem łeb koński, a na łbie tym bardzo sobie dobrze znane rzemieńne z mosiądzem ozdoby, których, choć od wielu lat nie widział, był pewnym, że je u Lasoty pamiętał.

A tego nieszczęsnego Lasoty już lat przeszło dwa nie było, przywiązał się do Białego i z nim pozostał.

Dersław natychmiast wpadł do sieni, i tu mu do kolan się pokłonił obmokły Lasota, na którego twarzy trudów długiej włóczęgi niebardzo znać było. Wyglądał zdrowo, tylko się na Węgrzech opalił:

— A ty tu co robisz, niewierny człeczko? — zawołał wesoło Dersław — ściskając go.

Lasota palec na ustach położył, znać dając, że podróż jego cel miała jakiś tajemny. Weszli do izby. Tu dla powitania ulubionego powinowatego zaraz się zbiegli wszyscy; stary Dersław zauważył, że szczególnie córka Piotruszka rumieńcem i uśmiechem przyjaznym przyjęła gościa. Nie w smak mu to było.

Przed rodziną Lasota o powodach przybycia swojego nie powiedział nic nad to więcej, iż mu się do nich stęskniło, ale Dersław dobrze wiedział, iż coś ukrywać musi. Poszli więc we dwu do komory starego.

— Co się z tym szalonym księciem stało? — pytał Dersław.

Nałęcz ruszył ramionami.

— Ba — rzekł — szalonym go zowiecie, a ja bym chciał w nim trochę więcej szaleństwa, a mniej rozmyśłów. Dotąd, oto już lat dwa siedzimy w Budzie, prosząc się do Gniewkowa. Królowa nas zwodzi, obiecuje, męża męczy, a Ludwik się w oczy Białemu śmieje, do klasztoru go pędząc. Ani mnich ni świecki człek, to habit przywdziewa, to zbroję, to się myśli żenić, to chce pokutować...

— Niechże go... — przerwał zniecierpliwiony Dersław — nie mów już o nim.

— Właśnie muszę — odparł Lasota, — bo choć tak rzeczy dotąd źle stały, nareszcie mu się uprzykrzyły obietnki próżne, — przekonał się, że królowa

nie może nic, a król nie chce. Pogniewał się na Ludwika... gotów siłą iść zdobywać, choć swą dzielnicę.

— To dobrze — krzyknął Dersław — to dobrze, gdy Gniewków weźmie, o co, spodziewam się, będzie łatwo, ochoty nabierze i do dalszych zdobyczy. Zadarłszy się z królem... naszym się stanie.

— I ja tak sędzę — rzekł Lasota, — alem ja z tem do was przybył, abyście mu dali o czem i z kim się wydobyć z Budy. Oprócz Buśka, który mu piosenki śpiewa i niedorzeczności prawi, nie ma nikogo. Królowa mu skąpo daje na utrzymanie, król umyślnie morzy go, aby opactwo wziął i nie bródził mu. Trzeba grosza i trzeba ludzi. Wielu ich przyprowadzić nie można, boby to oczy zwróciło, choć kilku mieć musi, aby nas lada zbój na drodze nie odparł.

Dersław potarł włosy.

— A no — zawołał — jak tylko deszcz ustanie, który przecież wiecznie padać nie może, trzeba do Przedpełka, Szczepana i Wyszoty się udać... Oni coś obmyślą.

Deszcz wistocie ustał nazajutrz, a choć pora była jeszcze chłodna i wietrzna, Dersław wyruszył z Lasotą po dworach tych ziemian, którzy dawniej Białego chcieli.

Ale tu — znalazł zrażonych, narzekających nań, zniechęconych i Lasota miał wiele z nimi kłopotu, nim ich nawrócić potrafił. Przedpełk sam jechać już nie chciał, wybrano trzech młodzieży, złożono trochę grosza. Lasota się ofiarował prowadzić.

Pomimo roztopów wiosennych, ruszyli zaraz na Węgry znanymi gościńcami, któredy od Krakowa handel szedł. Do Budy samej wszystkich nie przyprowadził ostrożny Lasota, zostawił w pierwszej wsi pod miastem, gdzie miał znajomego Węgra, który z Krakowem kupczył.

Sam, jak znikł był jednego dnia niepostrzeżony ze dworu króla Ludwika, tak nieznacznie się na nim zjawił. Nie było w tem nic dziwnego, gdyż dla spraw włoskich, dla stosunków swych z całym światem, wę-

gierski król otoczony był nieustannie przybyszami ze wszystkich stron Europy.

Dwór był świetny, liczny, ożywiony, a że się tu sprawy wielkiej wagi ciągle układały, niebardzo na ludzi pomniejszych zważano.

Biały książę, którego jedna tylko królowa siostrzenica miała w opiece, bardzo podrzędne na dworze zajmował stanowisko.

Niekiedy tylko Ludwik, który uczonych lubił, naukę cenił, a w powinowatym trochę więcej jej znajdował, niż w pospolitych ludziach otoczenia swojego, zagadywał ks. Władysława o różne kwestye. Ten, choć wiele wiedział, słyszał i czytał, najczęściej go niecierpliwił tem, że maleńkiej nauki swej zaraz chciał zażywać dla okazania swej wyższości nad królem.

Tak w kwestyi, która Ludwikowi na sercu leżała, w sprawie sądów Bożych, Ordaliów, które on chciał u siebie znieść i dowodził ich niewłaściwości, książę Biały upierał się, broniąc instytucji tej, jako przez Kościół uznanej. Król Ludwik utrzymywał, że Boga tak samo jak wzywać nadaremnie zabraniało przykazanie, tak Go też do lada walki powoływać nie godziło się... Książę obyczaju dawnego, dowodzącego wielkiej ufności w Bogu i sąd zdającego Nań, uparcie bronił.

Wąsnili się tak o wiele innych rzeczy, a wkońcu książę całkiem serce do niego stracił. W jednej z tych chwil rozdrażnienia postanowił ujść z Budy i wyprawił Lasotę po pieniądze i ludzi. Kilka tygodni upłynęło, nim Nałęcz powrócił, i gdy się przed księciem stawił — z wielkiem zdumieniem swem znalazł go już ze zmienionem zdaniem.

— Ludzi kilku i pieniądze księciu przywożę — rzekł, witając.

Biały przyjął go chłodno.

Po chwili począł bąkać, iż pora wiosenna nie sprzyjała wyprawie, że królowa znowu zapewniała go, iż dla niego wyrobi dział w Polsce; — zakończył tem,

by pieniądze mu oddano, a ludzie powrócili i czekali, aż ich wezwie.

Lasota miał już dość tego nieustannego wahania się i zmienności.

— Miłościwy książę — rzekł — Wielkopoleanie przysłali trochę grosza, ale z tem, aby był użyty natychmiast na podróż... Jeżeli książę zmienileś zamiar... ludzie i pieniądze nazad powrócą, a i ja z nimi, bo też nie mam co tu robić.

Zarumienił się i zawstydził książę i nic nie odpowiedział. Lasota gniewny wyszedł. Wistocie zbierał się do odjazdu, gdy nazajutrz Buško nadbiegł, do księcia go wzywając.

Biały namyślił się. Wróciła chęć wyprawy do Polski, miał tym razem najmocniejsze już postanowienie ucieczki z Budy. Dwa dni żądał tylko zwłoki. W ciągu nich książę dwa razy jeszcze wahał się, rzucał poczęty przybór, a w ostatku nagle, pod pozorem polowania wymknął się z Buśkiem razem na wskazane miejsce i -- ruszyli ku Krakowu.

Pełen był najgorętszego zapału i najpiękniejszych nadziei. Wyobrażnia jego snuła już na szczupłym wątku najwzorzystszą tkaninę. Lasota, choć w duszy się uśmiechał, z tych marzeń nie śmiał go rozczarowywać.

Jechało się małemi dniami, trochę lękając pogoni, zbaczając z gościńców, a że pora była niebardzo sprzyjająca podróży, książę nim do Krakowa przybył, znużył się, zniechęcił, opadł na siłach.

Musiel go towarzysze podtrzymywać, zachęcać, namawiać. Na noclegi powracali zrozpaczeni; gdy się trafił spoczynek dobry, męstwo powracało.

Tak się wlekli ku Wielkopolsce. Już się do niej zbliżali, gdy spór wynikł z tego, od czego poczynąć i skąd należało. Lasota i inni wszyscy radzili księciu, aby od Gniewkowa swojego rozpoczął, gdzie miał przychylnych ludzi, sługi stare.

Książę natomiast, choć łatwo się zrażał, gdy teraz nabrał jakiejś nadzwyczajnej otuchy, nie znał granic fantazyi bujnej.

Chciał ubiedz z czterema ludźmi ni mniej, ni więcej, jak Gnieszno. Dowodził, iż miał tam znajomych, oddanych sobie, iż mieszczanie mu pomogą a duchowieństwo się ulęknie i jeden z najważniejszych grodów wielkopolskich odda w jego ręce.

Było to tak nieprawdopodobnem i dziecinnem, że towarzysze osłupieli, lecz Biały ani mówić z sobą dozwalał, upierał się, stał przy swoim, zmuszał ich do tego kroku. Szczególniej na jednego mieszczanina, Hanke, rachował Biały.

Ojciec Hanki tego, a byli ludzie zamożni, pochodził z Gniewkowa i rodzina miała wielką miłość zachować dla swojego księcia.

Hanko wprowadzie tak młodym był, gdy książę z kraju się oddalał, że mógł go nawet nie poznać, wszelako u niego on się bezpiecznym czuł, i — w najgorszym razie, pewnego języka chciał tu dostać.

W sam dzień Narodzenia Najświętszej Panny, który przypadał w piątek, wieczorem przesunęli się niepostrzeżeni przez bramę miasta, a zapytawszy o Hanke, prosili u niego o gospodę. Nie było jeszcze późno.

Bogaty mieszczanin gromadkę, która mu się wydała być ziemianami z okolicy, przyjął uprzejmie.

Książę wszedł do izby z gospodarzem, rozochocony, iż mu się tu bez przeszkody dostać udało, najlepszej myśli — wesoly.

Z gościnnością starodawną, Hanko, młody człek, żywy, roztropny, ludzki — kazał natychmiast podać jedzenie, sam przyjmując swych gości i usiłując dowiedzieć się, skąd przybywali.

Zrazu nie poznał on wcale, ani się domyślał księcia, lecz po jakimś czasie Biały postrzegł, iż mu się bardzo pilno i z wielkiem podziwieniem przypatrywać zaczął. Uderzyło go i przypomnienie podobieństwa jakiegoś, i to może, iż goście nie umieli opowiedzieć się, skąd jechali. Bo osobno, każdy prawił co innego.

Książę, nie myśląc się ukrywać bardzo przed Hankiem, gdy się sam na sam zostali, coś przebąknął o Gniewkowie. Wzmianka ta utwierdziła Hanke w od-

mysłach. Przyskoczył do kolan księcia, wzruszony wielce.

— Ja poznałem miłość waszą — zawołał, — nie ukrywajcie się przed sługą swym. Jesteście księciem z Gniewkowa. Ale u nas mówiono, iż do klasztoru zamknęliście się dobrowolnie.

Książę rad, że go z takim uczuciem przyjmowano, nieostrożny i zawsze pod pierwszego wrażenia wpływem działający, porywczo, odparł, śmiejąc się:

— Nie będę zaprzeczał... Tak! Chcę odzyskać, co mi Kazimierz wydarł niesłusznie... a — kto wie, może i co więcej.

Nieopatrznie to wyznanie, w początku bardzo rozczulonego Hanka — ostudziło. Ułękł się.

Wtem książę, położywszy mu rękę na ramieniu, i sądząc, że go już ma całego, począł szeptać:

— Jest u was załoga? Jak myślą mieszczanie? Co słyhać między duchownymi?... Gdybyście mi pomogli, od Gniezna-bym począł.

Hanko struchlał—długo odpowiedzieć nie mogąc.

— Miłościwy panie — szepnął. — Arcybiskupich ludzi jest z półtorasta głów... a nasze mieszczaństwo nierycerskiego ducha i boi się wszelkiego zamieszania. Na miłość Bożą, nie narażajcie siebie i nas.

Mówiąc to, drżał cały Hanko. Książę spojrzał nań nieledwie z pogardą, zmilczał.

Tymczasem mieszczanin, który i księciu się narażać nie chciał, a miał resztę przywiązania do niego, począł mu powoli opowiadać o Gnieźnie, o siłach przeciwnych, o mnogości ludu, któryby przeciw niemu się mógł podnieść, razem poddając inną myśl.

— Ja to wiem z pewnością — rzekł — że na Włocławku załogi tak jak niema. Ledwie kilku ludzi, zamek otworem, ani wątpić, że gdyby książę wjechał, poddałoby się.

Z równą gorącością jak przed chwilą chciał zdobywać Gniezno, Władysław chwycił się myśli opowania Włocławka.

Hanko mówił prawdę, bo istotnie Włocławek stał

prawie bezbronnym i mógł być ucieżonym, lecz chcąc się Białego pozbyć z Gniezna, tem goręcej mówił, dodając, iż potrzeba było natychmiast korzystać z czasu, bo lada dzień mogą przyjść rozkazy, aby się na czujności miano z powodu ucieczki księcia.

Noc jeszcze nie zapadła była zupełnie, gdy książę, rozgorzawszy ogromnie poddaną myślą opanowania Włocławka, zawołał Lasotę i tej chwili w drogę się wybierać rozkazał.

Tymczasem Hanko, istotnie przejęty tem, że dawnego pana miał pod swoim dachem, na jak najświetniejsze zmagał się przyjęcie. Posłał po najstarszy miod, po wino, mięsiwem zastawił stoły, rozradowany był i poruszony.

Uczucie to podziało i na księcia. Widział się tak dobrze przyjętym, witany tak radośnie i serdecznie, iż uważał to za najlepszą wróżbę, i ani wątpił, że Gniewków go przyjmie otwartymi rękami, że wszyscy pójdą z nim, że w dni kilka zbierze seciny zbrojnych.

Zapalony tem, Biały, pomimo nadchodzącej nocy, nagle o najspieszniejszy wyjazd. Widząc go tak usposobionym, ani Lasota, ani towarzysze jego nie chcieli ostudzać — gotowi byli iść z nim, gdzie ich powiedzie.

Książę w tej chwili okazywał coś w sobie tak rycerskiego, taką siłę miał i w drugich wlewał, że wszyscy czuli się jak on gotowi, choć w liczbie szczupłej, rzucić się na najszańsze kroki. Nie było też bezprzykładnem naówczas ucieżenie zamków przez kilku zuchwałych a zręcznych ludzi. Lasota rad był, że Białego nareszcie widział takim, jakim go tu mieć chciano.

Zaledwie dokończywszy wieczerzy, książę konie kazał przyprowadzić. Hanko ofiarował się do bramy im towarzyszyć i postarać, aby ją otwarto. Czuł się też biedny człek w obowiązku, ugościwszy pana, jakimś podarkiem, wedle ówczesnego zwyczaju, go uczcić.

Na samem wyjeździe biegł, łamiąc sobie głowę, coby mu mógł ofiarować i wreszcie najulubieńszego sokoła, który do łowów był unoszony, przyniósł księciu, gdy już na koniu siedział.

Dar to był w tej chwili, gdy nocą śpieszyć musiano, i niebardzo komu było ptaka doglądać, dosyć kłopotliwy, lecz ksiązę i sokoła za dobrą wróżbę uważał. Kazał go jednemu z towarzyszków na rękawicę wziąć, oczy mu kapturkiem przysłoniwszy i wdzięcznie od Hanki go przyjął.

Tak tedy w Gnieźnie zyskawszy, zamiast rycerzy, tylko ptaka, którego później Buśkowi oddano w opiekę, i choć się opierał, kazano mu go piastować, ruszyli o gwiazdach ku bramie, przeprowadzeni przez Hankę, drogę im do Włocławka rozpowiadającego.

Noc miała starczyć na dostanie się do grodu, który jak Hanko zaręczał, stał pusty niemal i bronić się nie mógł. We wrotach znajomy stróżom mieszcza- nin otworzyć je kazał, a nikt się z jadących nie potrzebował ani pokazywać, ni prosić. Zaledwie za wrota wybiegłszy, ksiązę sam stanął na czele szczupłej gromadki, ręką wskazał kierunek drogi i wyciągniętym puścił się kłusem.

IV.

Już gródek Włocławski widać było na wyniosłym brzegu Wisły, z miasteczkiem okrążającym go, dosyć szeroko a ubogo rozsiadłem, gdy na gościńcu, którym jechali, Lasota postrzegł gromadkę konnych, poprzedzającą ich i także ku miastu zdążającą.

Chociaż rozpoznać dosyć było trudno jadących, wprawne oko mogło się w nich domyślać rycerskich i zbrojnych ludzi.

Spotkanie to nie na rękę było im wszystkim; Lasota radził zwolnić koniom kroku i dać się wyprzedzić, ale ksiązę, dotąd trwający w usposobieniu jakimś niepomierne zuchwałem, przeciwnie, wyprzedzić ich żądał.

Nie dał sobie mówić nic, i koniowi wraziwszy

ostrogę, popędził wprost na jadących, inni też opuszczać go nie mogli.

Gromadka, która ku Włocławkowi zwolna się zbliżała, składała się wistocie ze zbrojnej czeladzi, na której czele jechał sędziwy mężczyzna, okryty kozuchem z kun, dostatnim, z różańcem w ręku.

Wyrazista to była twarz, z oczyma przymrużonemi, ogromnemi usty wół otwartemi, nosem niewielkim i policzkami wystającemi. Ten, kto ją raz widział, poznałby ją zawsze, tak charakterystyczny miała wyraz jakiejś osłupiałej, flegmatycznej zadumy.

Ksiązę, pomijając starego, odwrócił się ku niemu, i zobaczywszy go, koniowi cugli skrócił.

Stary oczyma, które już niezbyt dobrze widzieć musiały, i zmrużyły się, z wysiłkiem patrząc, począł Białemu się przyglądać, gdy ten nagle zawołał doń:

— Gniewosz?

Usłyszawszy ten głos, jeździec drgnął cały.

— Z tamtego świata wołanie? — krzyknął. — W imię Ojca!... Postaci nie widzę, a głos słyszę Gniewkowskiego pana! Toć nie może być.

— A jest! — zawołał ksiązę, stając przy nim. — Gniewosz! jam jest.

Staremu się dwie łzy toczyły po bladych policzkach.

— Cud więc się stał — rzekł głosem drżącym.

— Stanie się jeszcze większy, jeżeli wy mi, wierne dochowawszy pamięci, pomożecie. Jadę moją dzielnicę odbierać. Król mi ją oddał...

Bez rozmysłu fałsz ten wyrwał mu się z ust.

— Wy, stary Gniewoszu, ze mną, naprzód do Włocławka. Zamek obejmuję na siebie.

Gniewosz, który różaniec co prędzej, przeżegnawszy się, do pasa przyczepił, cugle zagarnął, skrócił i trochę niespokojny, obejrzał się, ilu ksiązę ludzi miał na zajęcie zamku. Zobaczywszy kupkę nie liczniejszą od swojej — odezwał się:

— Gdzież rycerstwo księcia?

— Nadciąga! — odparł Biały — tymczasem go

nie potrzebujemy. Włocławek przecie słowu memu zawierzy... i opierać się nie będzie. Ze mną, stary!

Gniewosz też opierać się nie myślał, mocno wzruszony jechał obok księcia. Czelaź jego pomnożyła liczbę tych, co warowny, bądź co bądź gródek opanować mieli.

Nie było to zameczysko zbyt silnie naówczas obronne, spalone kilkakrotnie przez Krzyżaków, naprędce, na nowo osypane wałem i opasane ostrokołami, niewiele miało murów nadwerężonych, ogorzałych i polepionych dość niedbale.

Tyle podobnych twierdz stało po granicach i domagało się przerobienia ich z gruntu, iż na wszystkie rąk i kosztów nie stawało. Co pilniejsze i co ważniejsze muiowano, reszta kolei oczekiwać musiała. Tak i Włocławek.

Książę, któremu się zdawało, że wpadł na myśl bardzo szczęśliwą, zmyśliwszy, iż mu król sam powrócił jego dzielnicę, pośpieszał co żywiej, spodziewając się, że tym sposobem nietylko Włocławek, ale natychmiast i sąsiednie potrafi ubiedz warownie. Tu już miał przyjaciół, rachował na swoich.

Gniewosz stary, święcie uwierzywszy w to, co usłyszał, a miał przywiązanie do krwi i do tego domu Piastów, u których na dworze młode lata przebył, odżył i poruszył się wielce.

— Miłościwy książę — zawołał, gdy się już do zamku zbliżali — a po co ja wam tu potrzebny? Włocławek, gdy się tylko ukażecie, napewno wam zdadzą, czy nie lepiej było, abym ja z moimi przodem pośpieszył do Gniewkowa z radosną nowiną, i tam się do was ludziom kazał gromadzić na przyjęcie pana?

Książę pomyślał trochę. Stary Gniewosz dawał wprawdzie szczupłemu orszakowi powagi, lecz w razie oporu nicby mu nie pomógł. Przygotować zaś mieszczan i sąsiednich około Gniewkowa ziemian mogło być bardzo przydatnem.

— Gniewków to nic — ciągnął dalej stary. — Tam księcia otwartymi rękami przyjmą, boć inaczej

im było za was, niż teraz za starostów królewskich. Ze Złotoryą ciężiej będzie, bo na tej Romlik siedzi z ręki króla, a że mu się dobrze dzieje, gotów trudności robić... i opór stawić.

— Gniewoszu mój, przyjacielu stary — krzyknął książę, który nabierał odwagi coraz więcej — jedź przodem do Gniewkowa, ale ostrożnym bądź. Będiesz wiedział, komu się zwierzyć. Zbierz ludzi co najwięcej. O Złotoryi dowiemy się w Gniewkowie. Jedź w imię Boże!

Starowina Gniewosz, w którego też duch wielki wstąpił, już dojeżdżając do miasteczka, zawrócił, cały przejęty posłannictwem swem, na prost do Gniewkowa.

Biały pozostał sam. Lasota poznać go nie mógł.

— Kupą teraz a śmiało! — zawołał — wpadniemy na zamek... a tam! zuchwale a śmiało... nikt się przeciwko mnie porwać nie waży. Naprzód!

W małym już oddaleniu od wrót byli, widzieli je od gościńca otwarte na oścież, brona była podniesiona... ludzi prawie nie widać. Czasu pokoju nie potrzebowano się zamykać po całych dniach, i na noc tylko spuszczano bronę.

Kłusem wyciągniętym, książę przodem, za nim wszyscy jego towarzysze, czelaź, na końcu Buśko z sołkolem trzępiącym mu się na rękę, popędzili na most. Zadudniało, wpadli już w dziedziniec, dopiero ludzi kilku bez zbroi, bosych wyrwało się z kątów, zaglądając, kto to taki przybywał. Biały krzyczał, stojąc na koniu.

— Sam tu, do mnie, kto tu starszy?

Za księcia przykładem Lasota i inni podnieśli głosy ogromne, wrzawa się zrobiła, i w tej chwili, przestraszony nią, z mieczem w rękę, ale bez zbroi też i hełmu, wyskoczył z bocznego zabudowania Gąska, dowodzący na zamku.

Był to człek mężny, ale zardzewiały w spokoju, powolny już, bo podstarzały, umysłu tępego trochę. Widząc wpadających na zamek ludzi niewielu, a gospodarujących tu i wołających nań, jakby do tego prawo

mieli, nie mógł przypuścić, aby się tu działo coś nieprawidłowego, napaść taka zdawała mu się niemożliwą.

Biały z koniem podjechał ku niemu.

— Wyście tu starszym? — zawołał groźnie.

— A ja!

— Nie znacie mnie?

Gaska popatrzał nań.

— Skądbym miał znać! — odparł.

— To drudzy mnie poznają — rzekł książę. —

Przyjeżdżam z rozkazem królewskim, aby mi zamek był oddany. Rozumiesz. Jestem książę Gniewkowski. Król Ludwik puścił mi moją dzielnicę z Włocławkiem i innemi grodami. Zajmuję zamek od tej chwili.

Stary Gaska pogładził wąsa. Cóż miał na to odpowiedzieć, nie domyślał się podstępny i zdrady.

— Każ się stawić załodze całej, aby mi wierność ślubowała natychmiast — dodał książę. — Czasu nie mam do stracenia, bo na mnie już w Gniewkowie czekają. — Odwrócił się do Lasoty.

— Jedź na miasto do sołtysa i wójta, niech mi się mieszczenie zaraz tu stawia!

Nałęcz zawrócił konia i pobiegł. Gaska stał, nie wiedząc, co począć. Ludzie zamkowi nie wołani, na sam krzyk i wrzawę zbiegli się niemal wszyscy. Niektórzy z nich poznali dawniej widzianego księcia; innym też zmiana smakowała, bo w pierwszej chwili zawsze nowe panowanie ucztą się poczyna i piwem oblewa.

Głosy po podwórzu odzywały się radosne ku księciu. Opierać się nikt nie myślał. Biały więc śmiało z konia zsiadł, a zobaczywszy to pierwszy Buśko, który jazdy nie lubił także, z ptakiem swym z siodła się stoczył.

— Prowadźcie mnie do izb, gdzie one są — zawołał książę do Gaski.

Ten, jak stał napół odziany, ruszył się posłuszny i drzwi główne popchnął, torując drogę.

Biały dał znać swoim, aby u wrót pozostali, a sam z Gaską wszedł do środka.

Tymczasem Lasota, wbiegłszy do miasteczka, rów-

nie zuchwale począł wołać wójta, ławników, sołtysa i alarm zrobił wielki, opowiadając, że księżę zamek zajął i powołuje ich do siebie.

Wiadomość ta jak piorun spadła na mieszkańców Włocławka. Nic się podobnego nie spodziewano, lecz, że zawsze książęce rządy łżejsze bywają, niż starostów, a mają urok jakiś, nie przestraszyli się wójt i ławnicy. Wieść po mieście gruchnęła.

— Na zamek! na zamek!

Z dawnych czasów znajomych i przyjaznych księciu, znalazło się ludzi trochę, ci innych pociągnęli. Kto żyw, wdziawszy opończę, przyczesał włosy, świętecznego dobywszy kołpaka, pośpieszał do zamku, aby pierwszym być do powitania przyszłego pana.

Pomiędzy rybakami, którzy się tu uważali, wedle podania, za najstarszych osady założycieli, wielu było majątnych, inni handlem nad Wisłą dorabiali się grosza i równie byli zamożni. Starszyzna ta groszowa nie ociągała się też. Mieć swojego własnego księcia wydawało się im wcale pięknem. Miasto się mogło podźwignąć i podnieść. Rybacy i kupcy myśleli już o tem, jakichby się przywilejów i swobód od księcia domagać mogli.

Z tak różnemi myślami, lecz wogóle jak najlepiej usposobieni mieszczenie, kupcy, wójt, ławnicy, wszelkiego zawołania lud, poczęli żywo zdążyć do zamku.

Lasota też powracał, spełniwszy polecenie. Ogół ludu z radosnemi twarzami szedł witać pana, a było go już we wrotach, na podwórzu, na gościńcu, na zamku tyle, iż wszelkie niebezpieczeństwo oporu ze strony załogi ustało. Gaska też nie myślał o niczem, tylko o spełnieniu rozkazów księcia.

Biały, nim jeszcze wyszedł do tłumu, który na niego czekał w podwórzu, zawołał Gaskę, który zbroiczkę i hełm przynieść sobie kazał, aby mu ludzi natychmiast zebrał i gotowych stawiał do zajazdu Gniewkowa.

Część załogi nielicznej miała pod dowództwem Ścioborka Poboga, z orszaku księcia, zostać we Włoc-

ławku, stary Gaska w pięćdziesiąt zbrojnych ludzi szedł na Gniewków.

I to rozporządzenie, wydane śmiało, nie znalazło najmniejszego oporu. Szczęśliwa widocznie gwiazda świeciła powrotowi Piasta do swej dzielnicy, wiodło mu się nad spodziewanie wszelkie. Zuchwalstwo jego popłacało, miał więc prawo zostać przy nim i podwoić je jeszcze.

Ktoby go widział tego poranka silnego, śmiałego, rozkazującego, nigdyby się nie domyślał, że cała ta energia była ogniem słomianym, który gorzał jasno, ale trwać nie mógł długo. Nawet Lasota sądził, że naostatek człowiek uśpiony w nim odżył, i że teraz jest tym, jakim ma być już na przyszłość. Jeden może biedny, zmęczony Buśko, który z równie jak on sam smutnym, najeżonym ptakiem, siedział osowiały w pierwszej komorze i wszystkim do niej zaglądającym powtarzał:

— Dawajcie jeść i pić, — jeden Buśko przeczuwał coś złego, i jego podniesiony, wesoły głos księcia nie łudził.

Gromada mieszczan, kupców, rybaków, różnego ludu zalegała już podwórcę całe, gdy książę, namyśliwszy się, nareszcie wyszedł na przedsienie do niej. Przybrał postać, oblicze, dumę, wzrok nakazujący panującego. Łatwem mu to było — miał wistocie urok pewien, który, choć baczniejszego wejrzenia nie mógł oszukać, dla tłumu miał w sobie coś poszanowanie obudzającego. Panem się urodził, a choć natura ta już siły wewnętrznej swej pozbawioną była, zachowała blask powierzchowny. Z uśmiechem na ustach, pańsko, łaskawie, majestatycznie począł witać Białą odkryte przed nim głowy. Wójt pierwszy kołpak podniósł do góry i zawołał: — Żywie!

Cały gmin z niezmiernym zapalem powtórzył za nim okrzyk. Skłonił się książę.

Buśko, korzystając z tak dobrego usposobienia, odsunął trochę okna i do bliżej stojących z ruchem niecierpliwym zawołał półgłosem:

— Pić i jeść dawajcie!

Nikt go słuchać nie miał czasu, gdyż wszystkich oczy były w księcia wlepione, uszy wszystkich zwrócone ku niemu.

Polszczyznę trochę łamaną, ale zawsze zrozumiałą, książę przemówił do starszyny, ciesząc się, iż powraca na swą ojcowiznę, do nich, zalecając im dotrzymanie wiary, obiecując łaski wielkie. Nic go to nie kosztowało, a mogło mu pomódz wiele. Przyobiecował więc swobody Włocławkowi, jakich żadne miasto nie miało; myto dla niego na rzece, pobierać się mające, skład towaru przymusowy, uwolnienie od opłat wielu.

Okrzyknięto znowu księcia, zapal rosnał ogromnie.

Starszyna teraz dopiero pomiarkowała, jak się znalazła nieprzyzwoicie, idąc bez podarku na powitanie księcia. Było to przeciw tradycjom odwiecznym, które wymagały, aby podwładny ani do pana, ani do sędziego, bodaj do wójta i sołtysa nie szedł nigdy z próżnemi rękami.

Rybacy także zmiarkowali, że cześć ich wymagała przynajmniej szczupaka dla pana, a coś mniejszych płotek dla czeladzi. Zaczęto się w tym ważnym przedmiocie naradzać po cichu, myśląc wyprawić do miasta kogoś, coby tę omyłkę starał się naprawić i ściągnął coś od mieszkańców, ale czasu było mało.

Książę wołał, aby mu, co było na podorędziu dać do jedzenia, i zapowiadał, że się natychmiast z Gaską udać musi do Gniewkowa.

W podwórzu już szykowali się posłuszni wojacy Gaski, wywodząc konie, chwytając oręż, jaki się dał znaleźć i mocno wbici w pychę tem, że straż przyboczną księcia stanowić mieli. Stary półkównica także przejęty był tem, że u boku pana po długim wypoczynku, powołany jest do czynności.

Orszak ten, który miał towarzyszyć Białemu, wprawdzie po świetnych rycerzach, jakich się on natrzył na dworze Ludwika, nie wydawał mu się bardzo okazałym, prawdę rzekłszy, był lichym, zawsze jednak wart był więcej, niż czterej ludzie z dodatkiem

Buśka, z którymi tak szczęśliwie Włocławek zająć się udało.

O przyszłości nie wątpił już książę; zdawało mu się, że tak samo powinny mu się poddawać wszystkie zamki królewskie. Przypisywał urokowi swojego imienia, co było dziełem przypadku. Gniewków, do którego poprzedził go Gniewosz, zdawało się, że go już miał w ręku. Tłum, okrzykujący go tutaj, zapowiadał ogólne uznanie i prędkie skupienie się sił znacznych. Nietylko Gaska z ludźmi wyznaczonymi miał stąd towarzyszyć księciu, różnego ochotnika znalazła się w mieście garść spora.

I nim rybacy ze swą daniną, a ławnicy z podarkiem z miasteczka pośpieszyć mogli, Biały już Ściborka Poboga nad zamkiem stanowiąc swoim starostą i zdawał mu resztę załogi, a sam co śpieszniej na koni się siadać zabierał, do Gniewkowa.

Buśko zmęczony, byłby chętnie pozostał z sokolem, jako część załogi na Włocławku, lecz obawiał się księcia opuścić i zostać osieroconym. On jeden w to nadzwyczajne szczęście pana swojego nie wierzył.

— Gdzieby się jemu poszczęścić co miało? — mruzczał sobie. — My jeszcze pewnie na Chenowskie wino do Dyżonu powrócimy.

Smutnych tych myśli nie dzielił jakoś nikt.

Zalecając na zamku pilność, w mieście posłuszeństwo i wierność, książę po drodze wyposażony barylką miodu, puścił się ku Gniewkowi. Prowadził z sobą więcej kopy ludzi zbrojnych, miał już we władaniu zamek jeden, drugiego był tak jak pewnym.

Ponieważ Lasota w ostatnich czasach często mu czynił wyrzuty i okazywał nieufność, książę w tej chwili skorzystał, aby przywoławszy go do swego boku, wskazać na swe wojsko, i rzec z uśmiechem zwycięskim:

— A co, Nałęcz? powiecie wy mnie jeszcze, że nie umiem działać, gdy potrzeba?

— Miłościwy książę — odparł Lasota — zdumiewam się, cieszę i tylko życzę, aby tak szło dalej.

— Pierwszy krok najtrudniejszy — śmiejąc się, zawołał Biały. — Gniewkowa jestem pewny. Czekają tam już na nas. Z dwoma temi zamkami już się trzymać mogę, ale nie myślę na tem poprzestać; nim się wieść rozniesie, zajmę ich jeszcze kilka. Potem Ludwik się będzie musiał rachować ze mną; Wielkopolan mam za sobą.

Gdy to mówił książę, twarz mu pałała i promieniała, zdawał się odmłodzony, rumieniec miał na ustach. Uderzył po mieczu u boku i dodał:

— Reszty żelazo dokona!

Lasota, zmianę szczęśliwą widząc, skłaniał głowę i przyznawał księciu wszystko. Tylko Buśko jechał smutny.

Drogę do Gniewkowa, nie żałując koni, przerynając się najprostszymi bezdrożami, książę i jego orszak odbył w krótszym czasie, niż się sam spodziewał.

Zbliżając się ku temu staremu gniazdu swojemu, Biały spowaźniał trochę. Spotykały go tu co krok wspomnienia młodości, szczęścia, pierwszych lat życia niepowrotnych, ożłoconych nadziejami tyłu. Pomimo zwycięstwa, smutek i jakieś złowrogie przeczucie zaczęły w nim zawładywać. Czuł, że szczęście, jakiego tu kosztował, dwa razy nie powraca w życiu. Chmura przesunęła się po czole i zawisła nad niem, ścisnęło się serce.

Nie dojeżdżając do zamku, rozweselił się znowu; widać było, że Gniewosz go tu poprzedził. Starzy słudzy, dawny dwór, ludzie, co pamiętali minione czasy, konno i pieszo wybiegli na spotkanie.

Pomimo opowiadań i zaręczeń Gniewosza, nie chciało się im wierzyć, aby książę-mnich, zrzućwszy kaptur, po latach tyłu do nich powracał.

Z Białym dobrze się im działo. Miał wprawdzie dziwactwa swoje, a łaska jego bywała nietrwałą i zmienną, lecz nie był nigdy zbyt okrutnym, pamiętano mu, co dobrego czynił.

Zoczywszy nadciągający orszak, ludzie gniewkowsy podnieśli okrzyk wielki. Niektórzy z nich na

gościńcu popadali na kolana, ręce podnosząc, inni do strzemion jego biegli, chwytając i całując nogi.

— Książę nasz! książę nasz! — krzyczano, biegnąc za koni, wyprzedzając się, czapki podrzucając do góry.

Buśko, który dotąd kwaśny był i zasepiony, uległ zarazie tego rozczulenia, które wszystkich ogarnęło. Puciołowata twarz jego i szerokie usta uśmiechem się rozjaśniły, podniósł sokoła na rękę, który mu się mიაł, tak nieostrożnie, że kapturek, źle przymocowany, spadł mu z głowy, a ptak, który pęł na nogach nie miał, korzystając z chwili, skrzydła rozwinął i swobodnie puścił się w powietrze. Niewielka była nadzieja, aby teraz do ręki, do której był nienawykły, powrócił.

Strata mogła się odbić na plecach Buśka, lecz uniesienie i radość były tak wielkie i powszechne, że on wcale na to nie zważał, książę o czem innem myślał. I jego ogarnęło wzruszenie.

Stał znowu na tej ziemi, którą za swą spuściznę, za ojcowską uważał. Lud go tu witał jak pana swego rodzonego, z którym wieki związek utrzymyły.

W podwórzu zamku, opuszczonego bardzo, który mu się wydał ruiną — nietylko Gniewosz stał, nietylko cała starszyzna miejska, ale kilku ziemian zwołanych naprędce. Oprócz tego gmin cały wysypał się na powitanie. Zapał, jaki się objawił we Włocławku, nie mógł być porównanym do tego uniesienia, z jakim go tu witano.

Jest w naturze ludzkiej to przywiązanie do wspomnień przeszłości. Niejedno serce potrzebuje lat długich rozłąki i zapomnienia, aby żywiej uderzało, niż naówczas, gdy się ta miłość zawiązywała. Książę pod wrażeniem tryumfu, który odniósł, zsiadł z konia.

Tak, był to ten sam jego dworzec stary, u którego progu niegdyś z młodą żoną stał, witany tak samo; u tego progu, który potem po zabójstwie Kiwały, po osieroceniu swem opuścił bez żalu. Był tu znowu i miał drugie rozpocząć życie.

Nie dano mu długo myśleć ani wspomnieniami zachmurzać — twarze dawniej znajome, postarzałe, jakieś inne, choć te same, gdyby widma zachodziły mu drogę. Stare niewiasty, które porzucił tu młodem i jeszcze prawie, płakały. Z dawnej jego służby, która wyglądała świetnie, niedobitki zjawily się odarte, w łachmanach.

W izbach, do których go prawie na rękach wniesiono, ledwie ściany nagie też same pozostały — odarte, zczerniałe, zbrukane. Tylko tęsknica i smutek przyległ do nich; radość, co tu mieszkała, uleciała. Pustką wiało i stęchliwą grobową. Radosne okrzyki dziwnie jakoś odbijały się o te ściany.

Rękami ujął się za głowę... i mimowoli na myśl mu przyszło, że był postrzyżonym mnichem, który zakon porzucił i Panu złożone śluby połamał. Dlaczego właśnie w tej chwili to przypomnienie ubodło go w serce?...

Nie dano mu się rozżalić. Stary Gniewosz, który się już tu jakby za wojewodę i marszałka razem książęcego uważał, cisnął się do niego.

Ziemianie: Skóra, Zlazły, Dziegiel, Zaraza, Szaszor — otaczali go z pokłonami i pozdrowieniami. Wszyscy wyrażali z prostą, jak byli szczęśliwi, że im powracał. Książę, wbity w pychę tem powodzeniem, już myślał tylko, jakby z niego korzystać.

— Gniewoszu mój — odezwał się — nie potrzeba tracić czasu. Nim pójdzie głos o mnie, trzeba zająć, co tylko się da pochwycić. Lepiej zagarnąć więcej, niż za mało. Dzielnicę mi muszą dać, jaka Piastowi przystała. Ludzi z sobą przywiodłem z Włocławka; póki czas, potrzeba na Złotoryę co przędzej.

— El miłościwy książę — pośpiesznie odezwał się Szaszor — z Romlikiem sprawa będzie ciężka. Ja go znam, on tak łatwo zamku nie puści. Choćby i listy królewskie widział — nie posłucha. To kamień, nie człek, a porósł tam w pierze, ho! ho!

— Na Romlika jest sposób — przerwał Sikora.

— Jaki? — pochwycił razem Gniewosz i książę.

— Romlik się na święta wybrał do brata do Podgórk — rzekł Sikora. — Niema co myśleć, trzeba go nocą dziś jeszcze porwać, a gdy się go ściśnie, musi Złotoryę nam poddać.

Książę w ręce klasnął.

— Natychmiast Szaszor z Sikorą weźcie ludzi, i do Podgórk! Związanego Romlika mi tu dostawić. Oszczędzim krwi i zachodu.

— Mało tego — odparł Szaszor, który znał dobrze miejscowości, — nawet gdybyśmy we dwójnasób ludzi mieli, Złotoryi nie dobędziemy tak łatwo. Zamek mocny, a dwie rzeki go oblewają, ani Wisły, ani Drwęcy nie odwrócimy od niego, oblegaćby trzeba, a i osaczywszy, niełatwo się dostać.

— I właśnie dlatego nam ją wziąć jest koniecznem — zawołał książę. — Kto wie, co może wypaść. Mieć w ręku zamek tak...

Książę nie dokończył, aby się nie zdradzić, ale tego tłumaczenia nie potrzebowali Szaszor i Sikora. Oba byli ludzie młodzi i na przygody łasi; Romlik starosta zdawna obu był nienawistny, bo się górą nosił i raz był Szaszorowi zagroził, a ten, jako ziemianin i do rodu starego należący — przebaczyć mu tego nie mógł. Samby się do odwetu na własną rękę nie porwał, ale mając księcia za sobą, rad był upokorzyć starostę.

Sikorze nocna wycieczka, napaść na dwór, bójka po długim wypoczynku smakowała także; rozkaz więc księcia przyjęli z oznakami radości, natychmiast pobiegli po ludzi i konie.

Środek gwałtowny tak był w obyczajach owego wieku, że nikt przeciwko niemu ani myślał stawać. Gniewosz znajdował go słusznym, a Lasota, choć może za śmiałym go sądził, przeciwko księciu się odezwąć nie śmiał.

Nie do poznania zmieniony był nieśmiały i wahający się książę, a choć obchodząc swój stary dwór opuszczony i podupadły, kilka razy się zachmurzył i oczy mu zasły łzami, męstwo wracało, zuchwalstwo nie

zmniejszało się. Było ono za gwałtownem, za gorączkowem, by długo trwać mogło, lecz nikt nie badał głęboko stanu księcia, a Buśko nawet pod wrażeniem starych wspomnień, dał się im równie jak pan upoić — i nie zaglądał w przyszłość...

V.

Zamek w Złotoryi, panujący i strzegący okolicy, który położenie i nowo wzniesione mury mocnym a warownym czyniły, zdany był staroście Romlikowi nie bez przyczyny. Człowiek i gród przystawali do siebie.

Stary wojak, który od pieluch rycersko służył i nigdy zbroi nie zrzucił, a sąsiedztwem krzyżackiem wiele się nauczył i skorzystał, na takiego dowódcę pogranicznej twierdzy był stworzony. Surowy dla swoich ludzi, ale o ich chleb troskliwy i nieubłagany, gdy o karność i posłuszeństwo chodziło, bystrego oka i ucha, wglądający w najmniejsze szczegóły, mordował siebie i podwładnych, nieustannie się około swego zamku krzątając.

Ten trud stanowił życie jego; gdy mu zabrakło roboty, stawał się zły, gderliwy i nieznośny. Wiek uczynił go zgrzytliwym i podejrzewającym, gadatliwym nad miarę, i choć w gruncie serce miał dobre, z obowiązku udawał okrutnego i nieubłaganego. Ludzie, co z nim dłużej żyli i lepiej go znali, przywiązywali się do niego, kochali starego i nie pomienialiby byli na łagodniejszego z pozoru.

Obcy mieli o nim to przekonanie, że tyranem był srogim, bo odgrażał się nieustannie, słowy cierpkimi szafował, a lajał od rana do nocy. Swoi uśmiechali się z tego, wiedząc, że burze te zawsze się cichym deszczem kończyły.

Nigdy Złotorya tak dobrze nie była opatrzoną i obwarowaną; a choć się żadnego napadu nie obawiano, dostatek był wszelkiego przyboru do obrony, stra-

że dzień i noc dokoła chodziły. Na murach kamieni, drabin, haków, kół zębanych, belek gwoździami nabijanych, smoły beczek całe stosy leżały.

Wały i opasanie od rzek i od lądu w najlepszym znajdowały się stanie, brona podnosiła się, chyba gdy tego była konieczna potrzeba. Żołnierz z załogi nie mógł się potajemnie wykraść na miasto, bo go miano ciągle na oku.

Wychowaniec starego Romlika, zastępcą jego i prawa ręka, młody Łukasz Gozdowczyk naśladował go we wszystkim. Jemu to zdał zamek Romlik na zbliżające się święta wielkanocne, dawszy się uprosić bratu do Podgórek, nie więcej nad półtorej milki oddalonych.

Starosta niegdyś był żonaty, ale żonę stracił młodo; dzieci nie miał, i rodzinę braterską, która mu własną zastępowała, kochał bardzo.

Wprawdzie na takiej wycieczce na wieś — tęsknił za murami zamku, za ludem swym i codziennem zajęciem, ale, i tu próżnować nie mogąc, gospodarstwo brata brał pod swe rozkazy i starał się wojskową karność parobkom zaszczerpić. Utrzymywał on, że po wsiach nie inaczej wszystko iść było powinno, tylko tak, jak w obozie i twierdzy.

Brat Janko dawał mu się tu urządzać jak chciał, był on powolniejszego charakteru i wołał wesołe towarzystwo a gadaninę szlachecką przy kubku, niż zbyt nie krzatanie się około gospodarstwa.

Prawdę rzekłszy, naówczas nie było też tak daleko co robić po wsiach. Pół bardzo mało obsiewano, wieśniacy dawali z łanów gotowy osyp ziarna do dworu, ziemianin konie hodował, bydło rozmnażał, owce dla sukna trzymał, zresztą z barci i łowów korzyści ciągnął! Niewielu jeszcze mniej zamożnych a zabiegliwszych do roli się brali na swą rękę.

Rozrodzeni tylko a ubożsi ziemianie, pierwsi, kmieci naśladować, rolę się porać zaczęli, a tych możniejsi za wzór brali sobie. Ziemianin, rycerz majątniejszy wojenno służył i czasu wojny miał korzystać z lu-

pów i żołdu. Janko szczególnie w koniach się kochał i około stadniny pilnie chodził.

Dwór w Podgórkach otwarty był i gościnny; gospodarz pośmiać się i słuchać wesołego gwaru rad był bardzo. Ubożsi ziemianie, których się naówczas dość już namnożyło, tak zwani prości panosze, zjeżdżali się chętnie do niego, bo ich karmił, choć niewykwintnie, ale szczerze. Cały dzień prawie u niego jadło i napój ze stołów nie schodziły.

Żona, do obyczaju jego stosując się, pilnowała, aby na niczem nie zbywało. Ona i starsza córka jej, która, zamąż wyszedłszy, wprędce straciła męża, a owdowiawszy, do rodziców powróciła, tak były gościnne, jak Janko. Dom na wiecznie otwartą gospodę wyglądał, a choć mienie było niezbyt wielkie, na niczem nie zbywało.

Stary Romlik, od dni już kilku bawiąc w Podgórkach u brata, choć święta były za pasem, zaczynał się niepokoić o opuszczoną Złotoryę.

Choć Łukosz swego był pewnym, niedowierzał jego czujności, posądzając go, że od niejakiego czasu do ładnej mieszczki chętnie zbiegał wieczorami. Chciał niespodzianie go najechać, ale brat nie puszczał, sprzeczał się z sobą śmiejąc. Wreszcie Janko pochował konie Romlikowi, siodła pozamykał i zaklął się, że nie da mu wyjechać aż po świętach.

Wieczora tego, przeciw zwyczajowi, w Podgórkach nie było nikogo z gości, bo każdy przed świętami miał coś do czynienia w domu. Nagadawszy się dwaj bracia do syta, z kurami spać poszli. Prawda, że wstawali też, gdy drugie kury piałły, o brzasku.

Romlik sypiał w świronku osobnym na podwórzu, izby zadusznej nie znosząc, bo był do wolnego powietrza w obozach nawykły. Jak to podówczas po staroświecku wszędzie prawie się działo, na noc żadnych drzwi nie zasuwano, we dnie też, choć wszyscy ze dworu wyszli, sromem było kłódki przywieszać i o zamki się troszczyć. Napaście się trafiały, ale kradzieże nigdy.

Romlik, który sen miał bardzo czujny, zbudził się, leżąc na swem sianie, otulony opończą tylko, bo mu się zdało, że tętent jakiś usłyszał, a potem ciche w dziedzińcu szeptanie, które w głośniejszy gwar przechodziło.

Nie mógł zrozumieć, coby się przygodzić mogło w tak zwykle spokojnym dworze, ucha nadstawił pilno — bo wołania i pokrzyki dochodziły go coraz wyraźniej. Poznał już głos brata i wodzenia kobiece.

A że nigdy bez miecza u boku nie sypiał, bo to był zwyczaj ziemiański, że go przy łóżku kładziono, równemi nogami chwyciwszy się z pościeli, kord porwał i wybiegł ze świronka.

Dziedzińczyk był pełen konnych ludzi i pieszych, którzy już do dworu wtargnęli. Napaść nocna widoczna.

Sam jeden Romlik nie przeciw gromadzie tej nie mógł, ale nie rozważając, wprost rzucił się na ludzi, co się do dworu cisnęli.

Noc była ciemna, nie postrzegliby go byli i nie poznali napastnicy, gdyby w tej chwili jeden z nich, z chaty, w której czeladź spała, nie wyniósł zapalonej drzazgi, biegnąc z nią do dworu.

Właśnie Romlik z kordem dobytym cisnął się do progu, chcąc sobie torować drogę, dla obrony brata. Szaszor, który stał we drzwiach, postrzegł go, poznał i natychmiast rzucił się na niego. Inni, za tym przykładem idąc, wnet otoczyli, ścisnęli starego, który bronić się nie miał czasu; z tyłu ktoś, przypadłszy, miecz mu wyrwał, cała gromada opasała go, powalono na ziemię i jeden z pachołków, u pasa mający sznury, zaraz niemi krępować począł, ręce mu w tył wyłamawszy.

W mgnieniu oka na barki go wzięto, na konia wrzucono i przymocowano do niego; napastnicy ode dworu odstąpili, zaczęli koni dosiadać, więźnia pomiędzy siebie zabrali i śpiesznie uchodzili z Podgórk.

Zbudzony nagle, ledwie oprzytomniawszy, Janko w jednej koszuli wybiegł ze dworu, gdy już nie było nikogo, i tętent tylko uchodzących a wrzawę posłyszal.

Co się stało z Romlikiem, który ani przyczyny, ani celu tej napaści zrozumieć nie mógł, a jako wojak znieważony, wpadł we wściekłość, opisać niepodobna.

Nie miał on osobistych nieprzyjaciół, do żadnej zemsty nie dał nikomu przyczyny, sądził, że go chyba omyłką porwać musiano, za kogo innego wzięwszy, i krzyčeć zaczął okrutnie, że jest Romlikiem starostą i że sroga kara czeka tych, co się na niego targnąć śmieli. Wtem Szaszor pochylił się ku niemu.

— Wiemyć my dobrze, kto jesteś — krzyknął — ciebieśmy tu właśnie szukali. Stul głowę, stary, i milcz. Ale Romlik wołał ciągle:

— Czegoż wy chcecie ode mnie? zbójce nikczemne...

Sikora z drugiej strony jadąc przy nim, nie sądził, aby trzeba było tajemnicę z tego czynić, dla czego został ujęty.

— Do Złotoryi z tobą, panoczku, musimy — rzekł — abyś przykazał swoim natychmiast ją poddać księciu Władysławowi Białemu. Jest na to rozkaz króla. Włocławek już wziął, Gniewków swój odebrał, a wy mu Złotoryę musicie oddać.

— Niedoczekanie jego i wasze, buntowniki jakieś! — krzyknął Romlik. — Rozkaz króla! Gdyby rozkaz króla! Gdyby rozkaz był królewski, nie potrzebowalibyście chwytac mnie podstępnie. Zdraycy jesteście, ale ja nim nie będę.

Szaszor się rozśmiał.

— Jak cię przypieczem, zobaczmy — zawołał. — To nie moja sprawa. Co mnie przykazano, spełniłem. Każą cię ściąć lub powiesić, prosić za tobą nie będę.

— Choćbyście mi nietylko grozili, ale męczyli — wrzasnął Romlik, — niedoczekanie wasze, abyście ze mnie zrobili takiego łotra, jak wy... Gdyby Białych i czarnych było was nie wiem wielu, Złotoryi nie powąchacie... jest jej komu bronić.

Szaszor już się ujadać z nim dłużej nie chciał; podniósłszy głowę, zanucił znaną piosnkę miłosną.

Dzieweczko miła,
Dzieweczko złota,
Byś otworzyła
Kęs dla mnie wrota...
Stoję na dworze,
Okrutna słota;
Grom zabić może,
Dzieweczko złota...

Ludzie, co pieśń znali, zawtórowali mu, śmiejąc się i zagłuszyli wołanie miotającego się a przeklinającego Romlika.

Tymczasem konie popędzano, nazad z łupem śpiesząc do Gniewkowa. Szaszor rad był i tryumfował, że mu się to tak gracko udało; Sikora utrzymywał, że gdyby nie on, pewnieby Romlik uszedł, ale zawczasu dwór otoczyć radził. Na wołającego i wymysławającego starego nikt nie zważał.

Romlika dobrze że krew nie ubiła. Przypomniawszy sobie teraz, że się gwałtem do Złotoryi wyrwał, że go brat nie puścił, że miał przeczucie złowrogie... To się na nieszczęście ziściło.

Skąd się tu nagle wziął Biały książę, w głowie mu się nie mogło pomieścić, bo dawno żadnego o nim słuchu nie było. Gdyby nie Szaszor, innaby zdradę jakąś przypuszczał. Wszystko to niemal jak sen straszny mu się wydawało, ale czuł się skrępowanym okrutnie, rwał sznur i ciało sobie ranił, nie zmora to więc była.

Pieśń miłosna skończyła się śmiechem i okrzykami, Romlik, korzystając z milczenia — wołać znów począł do Szaszora.

— Prawdę mów, zbójcu, kto cię na to nasadził? Wiesz, że gardłem to przyplacisz?

— Księcia Białego przykazanie...

— Coś ty, w służbę jego wszedł?

— A w służbę — i milcz! — odparł Szaszor. — Rychło zobaczysz, co cię czeka.

Starego nie można było zmusić do milczenia,

klął i wymyslał bez ustanku. Śmiano się z bezsilnego, a to gniew jego powiększało. Szaszor, mając doń złość, uragać począł i znęcać się.

— Przyszła i na was kolej! niemałościę żołnierskom nadokuczali, a ziemianom nadojedli... Nie chcecie gardła dać, Złotoryę musicie.

— To dam gardło! — krzyknął Romlik.

— Jeżeli was wieszać będą — dodał Sikora, — bądźcie spokojni, ja wam spowiednika przyprowadzę...

— A ja postronka dam... — rzekł Szaszor.

Wkońcu znużony, zapieniony, Romlik zaciął usta, zamknął oczy i nie odzywając się ani na szyderstwa, ni na pogrożki, jakby nic nie czuł i nie słyszał, dał z sobą robić, co chcieli. Pacholki, konia jego popędzając, bili go po plecach, śmieli się z tego drudzy, Romlik był już jak kłoda.

Konie zmęczone smagano nielitościwie, nagłąc do pośpiechu; nad bankiem zbliżyli się do Gniewkowa. Tu, choć na dworcu część ludzi spała, niektórzy straż odprawiając, przy beczkach piwa siedzieli.

Na ławie, podesławszy starą opończę, Buśko spał twardo. Gdy Szaszor z Sikorą w podwórce wpadli z wrzawą wielką, pokrzykując i głośnie swę zwycięstwo, wszyscy się ze snu zerwali; Buśko pochwycił się z ławy przestraszony, żegnając.

Szaszor, oznajmując o Romliku, pchał go co prędzej do księcia, aby czasu nie tracić. Biały też, nie rozdziawszy się, jak stał, zbroję tylko z piersi zdjawszy, na ławie przy stole zmęczony, gorączkowym snem niespokojnym odpoczywał.

Wrzawa go obudziła i wybiegł zaraz z mieczem w rękę, nie wiedząc jeszcze, co się stało, gdy w progu mu związanego popchnięto Romlika. Starosta spoglądał nań oczyma zakrwawionemi, ale bynajmniej nie-ulekły.

— Tyś Romlik? — zawołał, podnosząc się, książę, — ty trzymasz Złotoryę? Znasz mnie?

— Romlik jestem, ale ciebie nie znam i znać nie chcę — odparł stary.

Biały spojrzał nań gniewnie.

— Chcesz czy nie, to mnie poznasz! — krzyknął. — Złotoryę mi natychmiast musisz zdać, albo... gardła twego szczerdzić nie będę.

— Za moje gardło swoim zapłacisz... — odparł Romlik. — Złotoryi mieć nie będziesz... Zdrajca jesteś...

Słyszac to, Biały pobladł; miecz, który w rękę trzymał, zadrgał, chciał go podnieść na starca i strzymał się. Przypomniawszy sobie, że mnichem był.

— Na koń! — zawołał głosem donośnym — na konie, do Złotoryi z nim.

Wtem Romlik, któremu znowu rozbudzony gniew spokojnie ustać nie dawał, rzucił się, jakby chciał na księcia wpaść, sznury porwał.

Biały się cofnął.

— Kajdan na niego! — krzyknął — okuć go zaraz!

Starostę obalono na ziemię. Czeladź się po łańcuchy i kowale rozbiegła.

Tymczasem inni konie z szop i stajen wyprowadzali. Lasota, Szaszor, Sikora wołali:

— Do koni! żywo!

Dniało już.

Biały napowrót szedł do dworu; widok obalonego starca niewiedzieć dlaczego przykrym mu był, niepokojącym. Zadumany przeszedł się po pustych izbach — znać w nim było wahanie się jakieś i niepewność.

Na dworze okazywano starego Romlika, który, zęby zaciąwszy, nie targał się już i nie bronił, choć mu ciało szarpano łańcuchem.

Wkrótce potem Biały wyszedł we zbroi i szysza ku na koń siadać; był posępny, z twarzą, na której widać było wymuszoną siłę i energię, która go wiele kosztowała. Buśko płaszcz niósł za nim.

Siadłszy na koń, obejrzał się książę i co konie starczą jechać za sobą kazał do Złotoryi. Okutego starostę rzucono znowu na konia, dwóch pacholków wzięło go między siebie.

W ciągu podróży Biały kilka razy obejrzał się niespokojny, na więźnia, spotykając zawsze wlepiony

w siebie wzrok krwawych oczu jego, tak śmiały i wyzywający, jakby się wcale nie obawiał śmierci, którą mu grożono.

Nie odzywali się jeden do drugiego; książę spodziewał się, iż gdy pod mury twierdzy się zbliżą, naostatkiem starego trwoga ogarnie, ale Romlik jechał jak kamienny.

Już niedaleko byli od wrót zamkniętych, gdy książę stanąć kazał — i groźnie najechał na Romlika.

— Słyszysz, ty! — zawołał — jeszcze raz wzywam cię, natychmiast mi zamkowym poddać się każesz.

Starosta z pod brwi rozrosłych rzucił nań wejrzaniem dumnym, śmiałem i krótko wyjąknął:

— Nie!

— Śmierć cię tu czeka!

Romlik skrzywił usta, odwrócił oczy i patrzył na zamek swój.

i Z murów ludzie spostrzegli byli zbliżających się ku wrotom ciekawie naciskali.

Na wyżki ponad niemi wybiegł przestraszony Łukosz. Wśród gromady łatwo mu było poznać związanego starca — załamał ręce. Nie pojmował, co się stało.

Książę tymczasem trąbić kazał.

Nim się do Łukosza wysłany Szaszor przybliżył ku wrotom, Romlik, uprzedzając go, z wielkiem wysileniem podniósł głos.

— Łukosz — wrzasnął — żebyś mi zamku nie śmiał otwierać, żebyś mi się nie poddawał. Zdrajcy są... bronić się do upadłego!

Nie mogąc zrozumieć jeszcze, ani kto Romlika prowadził, ani co się stało z dowódcą, ni czego chciało od zamku, Łukosz stał osłupiony.

— Bronić zamku! — nie poddawać! — wołał zajądło, głos podnosząc, Romlik.

Milczenie panowało chwilę. Wtem Lasota począł krzyczeć:

— Bramy zaraz otwierać... zamek zdać! chciecie

li życie uchować! Rozkaz króla... gród ma być puszczo-
ny księciu na Gniewkowie.

Łukosz mało co o tym księciu słyszał, nie znał
go wcale, nie wiedział co czynić, ale Romlika rozkaz
był dlań święty.

Tymczasem pacholkiwie pięściami staremu usta
zamykali.

Szaszor, który znał Łukosza i wiedział, że jak
dziecko rodzone był do starosty przywiązany — począł
wołać:

— Jeżeli zamku nie zdacie natychmiast, wyrok
wydany, stryczek gotowy, Romlika tu wam przed bra-
mą obwiesim.

Zbladł Łukosz.

Książę, który na koniu stał, trzymając się nieco
dalej, aby go z łuku lub kuszy nie postrzelono, prze-
rwał Szaszorowi, dodając:

— Bramy zaraz otworzyć, lub śmierć staroście!

Dla większego strwożenia młodego dowódcy,
Szaszor z konia skoczył, jakby szukał miejsca, gdzieby
wyrok miał spełnić. Romlika dwóch ludzi z konia
ściągnęło.

Przed samym zamkiem u mostu stała chata roz-
walona, z dachem zapadłym, z której tylko zrąb po-
został. Zobaczywszy obnażone belki popróżniałe, Sza-
szor począł wołać, że na jedną z nich postronek za-
rzucić było można. Książę stał, nie odzywając się już
i nie przecząc.

Pacholkiwie powlekli nieszczęśliwego na miejsce
wskazane. Łukosz, który na to patrzył, łamał ręce
w rozpacz.

— Stójcie! — zakrzyczał.

Romlik, już pod belką stojąc, począł doń wołać:

— Ani mi się waż!...

Młody dowódca nie słuchał, bo mu szło o życie
starego, który dla niego był tak jak ojcem, więcej niż
o zamek.

— Pokażcie rozkaz króla! — odezwał się do sto-
jących pod bramą.

Romlik chciał się odezwać, pacholek mu szeroką
dłonią usta zatulił.

— Rozkaz króla... ja ci przynoszę... słowem mo-
jem — zawołał książę. — Zamek otworzyć natychmiast,
lub starego obwieszę.

Sposób ten zdobycia Szaszor, który dobrze znał
przywiązanie Łukosza do starca, pewnie doradzić musiał.

Romlikowi już stryczek na szyję zakładano, gdy
Łukosz w rozpacz wołać począł:

— Dziej się wola Boża, nie dam ginąć staremu,
niech król lepiej zamek traci. Ma ich dosyć, a u mnie
on jeden na świecie.

Na twarzy Białego zabłysła radość, pokazał się
uśmiech, spał konia, śpiesząc już sam do bramy.

Wewnątrz podnoszono żelazną kratę, Łukosz biegł
sam, aby co prędzej starca wyzwolić. Złotorya się pod-
dała. Książę Władysław pierwszy wjechał na zamek.

VI.

Tak nadzwyczajne powodzenie, w ciągu bardzo
krótkiego czasu, opanowanie Włocławka, Gniew-
kowa, a na koniec najbardziej upragnionej Złotoryi, nie-
tylko księcia wbiło w dumę i dodało mu niezmierniej
odwagi, ale wszystkich przy nim będących upoiło.

Lasota nie wątpił, że od tej chwili, gdy już z Włoc-
ławka, Gniewkowa i załogi zebranej na zamku mieli
kilkuset ludzi zbrojnych pod swem dowództwem, dal-
sze zdobycze pójdą łatwo.

Pierwszy ten krok, zawsze najtrudniejszy, był
uczyniony. Stary Gniewosz podjął się ziemian i ubo-
gich panoszków z okolicy ściągać pod chorągwie ksią-
żęce. Niektórzy, zasłyszawszy o tem, co się stało, bieg-
li sami, ofiarując usługi swoje.

Białego księcia poznać nie było można, szal go
niemal opanował, już nie Gniewkowskie księstwo my-
ślał zagarnąć, ale bodaj całą Wielkopolskę. Czuł się

bohaterem, sobie przypisując, co było dziwnym tylko składem okoliczności.

Buśko, chodzący za nim i wpatrujący mu się w oczy, rychło-li zmieni się i wybrykiem jakim dzieło dokończy, zaczynał sądzić, że szczęście może go uczynić wytrwałym.

Na zamku, ponieważ dostatek się wszystkiego znalazł, rozporządzano się, nie pomnąc o jutrze.

Ludzie przybyli z Białym gospodarowali, odbijano komory, wyciągano zapasy, wytaczano beczki, chwytano co lepsze zbroje.

Szaszor, który nie bez przyczyny sobie po części przypisywał zdobycie Złotoryi, i niem był podbudzony do nowych jakichś zamachów... gryząc palce, chodził po podwórzu. Nie dosyć mu tego było. Widział się już w przyszłości naczelnym wodzem księcia, dowódcą na zamku, kto wie, jakim dostojnikiem nowego władcy. Chciał dać jeszcze większy dowód swojej przebiegłości i dowcipu.

Książę tylko co był zrzucił szyszak, porozpinał się i zabierał spocząć nieco, a myśleć, co dalej czynić i gdzie się sam ma z dworem i siłą swą mieścić, gdy na progu, wasy kręcąc, pokazał się z miną butną Szaszor.

— Miłościwy książę — odezwał się, — kiedy się wiedzie, trzeba korzystać, szkoda czasu. Później się ludzie opatrzą, ciężiej przyjdzie gródki zdobywać.

Biały wstał z twarzą rozjaśnioną.

— Cóż myślisz? — zapytał.

— Mybyśmy z tą siłą mogli się puścić na Szarlej, i tenby się nam zdał.

— Sądzisz? — spoglądając nań nieśmiało, szepnął książę.

— Jak mi Bóg miły, kiedyśmy Złotoryę wzięli, Szarlej zdobędziem.

— Jakim sposobem?

Szaszor wąsa darł.

— Ja znajdę sposób — rzekł. — Nim konie spoczną i zjedzą, pełną takiego człeka, com go pewien, aby

popłoch rzucił w Szarleju, i oznajmił im, że Złotoryęśmy wzięli. Złękną się. Szarlej, choćby przyszło oblegać, nie taki mocny, załoga mała, — poddadzą się.

Na twarzy Białego razem z radością pewien strach się malował; lękał się stracić, co już trzymał, przez zbytne zuchwalstwo. Zawahał się.

— A jeśli się nam nie powiedzie? — bąknął nieśmiało. — Pokusić się i odejść ze wstydem, gorzej niż się nie porywać.

— Ale my Szarlej weźmiemy, jeśli tylko prędko się nań rzucimy — gorąco wtrącił Szaszor. — Nie może to być, aby się nie ulekli, tylko czasu nie tracić.

Biały wahał się jeszcze, lecz Szaszor drżał i kipiał z niecierpliwości.

— Niechaj wasza miłość nie zwleka, pojutrze będzie za późno. Żelazo bić, póki gorące. Szarlej weźmiemy.

Jeszcze nie mógł słowa stanowczego wyrzec Biały, gdy słuchający rozmowy od progu Lasota, przejęty i zarażony zuchwalstwem Szaszora, krzyknął:

— A czego czekać? iść!

I toby może nie przeważyło jeszcze, gdyby w kącie książę nie postrzegł Buśka.

Ten stał z miną szyderską, jakby mówił oczyma: Oto go mam, już się zawahał — i tchórzy.

— Wzrok ten i wymówka ubodły Białego, zawstydzili się.

— Na Szarlej! rób, jakieś powiedział — iść. Załogi część ze Złotoryi weźmiemy z sobą, a Włocławskich i Gniewkowskich tu zostawić. Ślijże przodem stracha, my za nim.

Szaszor z radości, że mu się księcia namówić udało, przybiegł go w rękę pocałować, kołpak na głowę włożył i wpadł jak szalony w podwórze.

Miał tyle jednak pomiarkowania, że nie okrzyknął jeszcze głośno, dokąd i kiedy iść mają; począł tylko załogę rozdzielać, ludzi wybierać i w imieniu księcia przywłaszczył sobie moc nad wszystkim. Nikt mu się nie sprzeciwiał.

Człowieka, który trwogę miał przodem zanieść, już wybrał zawczasu, do kąta go wziął, naszeptał mu, co było potrzeba, na koń wsadził i z zamku precz z pospiechem wypchnął.

Wieść o wyprawie na Szarlej nie rozeszła się jeszcze była pomiędzy ludźmi księcia; wiedzieli o tem tylko Szaszor, Lasota i Buśko, który był milczący, a niedowierzając przyszłości, starał się tylko z obecnego stanu korzystać. Z Gniewkowa i z Włocławka, co mógł pochwycić, w sakwy pakował, i na Złotorzy też, zawsze w imieniu księcia po kątach wszystkich wietrzył, czyby się co nie znalazło.

Sam książę dotąd niewiele własną wolą działał; niosła go jakaś fala szczęśliwa i dał jej pchać się dalej. Najśmielsze marzenia jego przechodziło to, co się ziściło w przeciągu dni niewielu; zaczynał wierzyć w jakieś przeznaczenie. Jasno jednak nie widział przyszłości; sądził, że ona przyjdzie i narzuci mu się sama. Młodzi towarzysze, Szaszor, Lasota i Sikora z innymi, którzy od Gniewkowa z nim byli, czynili zań wszystko. On marzył. W duszy walka dziwna odbywała się między nadziejami najzuchwalszemi i nieopisaną trwogą. Mnisze śluby, suknia, którą zrzucił, ciążyły mu jak pomsta groźby Bożej. A nuż Bóg na to tylko go podniesie wysoko, aby tem cięższym pokarał upadkiem? Spoglądając na miecz u boku, na zbroję, na szyszak, a przypominając czarną suknię, drżał, lękając się piorunu z nieba.

— Papież, gdy będę moźnym, od ślubów mnie uwolni — mówił do siebie.

Razem z temi myślami, zbliżając się do Drdzenka, Biały mimowolnie przypomniał sobie Frydę Bodczankę. Odpędzał to wspomnienie — narzucało mu się jednak niepozbyte.

Wiedział, że Fryda była w nim rozmiłowaną dawniej. Lasota przyniósł mu od niej pozdrowienie.

Niegdyś po stracie żony, choć lubił ją, nie chciał się do niej przywiązywać; wspomnienie zmarłej tę nową miłość odpychało. Teraz narzucała mu się ona ja-

ko upragnione, odnowione szczęście, po wyrzeczeniu się go, powracające. On, co już ani wzroku na niewiaścę, ani myśli ku niej nie śmiał podnosić, on mógł jeszcze mieć żonę, rodzinę. Serce mu biło.

Tem gwałtowniej pragnął tego i marzył, iż na wieki się był zrzekł wszelkiego zetknięcia ze światem niewieścim, a serce puste domagało się nowego pokarmu. Do pragnień władzy, swobody, wyniesienia się, przybywała żądza, wrodzona człowiekowi podwojenia swej istoty, połączenia z drugą. Wśród ciszy słyszał już głos jej, przypominał piosenki, widział jej wzrok w sobie wlepiony.

W Gniewkowie naprzd to imię Frydy przyszło go we śnie gorączkowym nawiedzić, z niem się obudził, niósł je z sobą przez drogę, nawet gdy cały zdawał się Romlikiem zajęty. Nowe powodzenie marzeniu temu nadało siłę większą.

Zacznął wierzyć w to, iż ono ziścić się może. Papież musiałby przebaczyć... mógł się kapłan znaleźć do pobłogosławienia związku. Łudził się.

Na krótko myśl o zdobyciu Szarleja oderwała go od tych snów niebezpiecznych, lecz zaledwie słowo wyrzekł, rozkaz dał, zostawszy sam, zanurzył się znowu w tych rojeniach o przyszłości.

Władysław Biały był człowiekiem wrażeń silnych, gwałtownych, choć krótko trwających. Pod ich naciskiem głowa mu się zawracała. Myśl raz powzięta w mózgu niespokojnym z szybkością nadzwyczajną rosła, rozwijała się, potężniała, by wkońcu pęknąć jak bańka mydlana.

Tak teraz opanowała go ta Fryda i — przyszłe gniazdo, które fantazyja uścielała.

Nie mógł się powstrzymać od marzenia.

Zapusiwszy się w nie, postrzegł się dopiero nierzycło, iż je całe oparł na jednym jeszcze w Dyżonie rzuconem słowie Lasoty. Chciał jego potwierdzenia, a było mu tak pilno, że spostrzegłszy Buśka, który z sznurkowania po izbach z sakwą na plecach powracał, krzyknął nań, aby mu wołał Lasotę.

Ten niedaleko był i natychmiast pośpieszał.

O ile mu pilno było wezwać go księciu, teraz, gdy go ujrzał przed sobą, znalazł się zakłopotanym i nie wiedział, jak go badać. Nie śmiał rzucić tego pytania, które mu paliło usta. Zarumienił się.

Lasota stał i czekał.

— Wszak się nie mylę — bąknął nieśmiało Biały, — wszak w Dyżonie i później mówiliście mi, przypominam to sobie o Bodczy... Wszak kazał mnie on pozdrowić.

— Tak jest — potwierdził Lasota, — lecz od tego czasu nie widziałem go, anim o nim słyszał.

Księżu pot kroplisty na czole wystąpił.

— Tak — rzekł — cała ta rodzina była mi przyjazna.

Spojrzał na Lasotę, który sobie przypominał Frydę i dorzucił z uśmiechem.

— Nawet Bodczanka naówczas pozdrowić was kazała.

Biały oczy spuścił wstydliwie.

— Tak — dodał — mówiliście mi, że nie wyszła zamaż.

— Powiadano, że też nie myślała ślubować nikomu — rzekł Lasota, który zdawał się myśleć księcia odgadywać.

Biały się przeszedł z głową spuszczoną po izbie.

— Pozdrowienie należy odplacić wzajemnem, — szepnął cicho. — Bodcza, synowie jego Dobrogost, Ulryk i Arnold mogliby mi być pomocni. Chciałbym posłać do nich kogoś...

Spojrzał na Lasotę.

— Miłościwy panie — odezwał się zagadnięty — ja mogę się przydać w Szarleju, kiedy nań iść mamy... Szaszor bardzo dobry do rady, ale gorączka. Nie rad bym go odstąpić.

Słuchał z uwagą Biały i głową dał znak, że się zgadza.

— A więc z Szarleja, da Bóg, pojedziecie do Drdzenka z pozdrowieniem ode mnie.

Przyszła mu zarazem myśl śmiała posłania pięknej Frydzie choćby pierścienia przy pozdrowieniu. Niestety! pomimo zdobycia trzech grodów, księżę nie miał jeszcze nawet złotego kolca, którego by mógł ofiarować!

Zmilczał więc, myśl tę zachowując w sobie.

Szaszor, który się palił do wykonania poddanego planu, nie dał księciu długo zabawiać się marzeniami. Zaledwie konie zostały napasione, załoga przebrana, a siła, która miała iść z niemi, skupiła się, wołał już — do koni.

Księżę z pośpiechem począł zbroję wdziewać i otrząsłszy się z swych marzeń, przybrał bohaterską postawę.

Mało co sam czynił, lecz chciał, aby mu wszystko przypisywano. Począł rozporządzać się głośno i przynaglać.

Chciał Łukosza, który mu się z twarzy podobał, zostawić na zamku przy Sikorze, gdyż on najlepiej go znał, lecz okazało się, że Romlik i on, korzystając z chwili zamieszania, gdy na nich nie zważano, zniknęli.

Łukosz, zaledwie otwarłszy bramę, wymknął się do starego, który ze stryczkiem na szyi, zrozpaczony, leżał na ziemi, widząc zamek stracony.

W pierwszej chwili odepchnął on Łukosza, jako zdrajcę; widziano, że młody długo u nóg jego leżał, o przebaczenie prosząc; co się potem stało z nim? nikt nie wiedział. Oba znikli.

Sikora więc został z załogą napół nową, ale że zamek był mocny, a polecono mu trzymać się bacznie i zapas był wszystkiego znaczny, obawy o Złotoryę nie miano żadnej.

Szaszor, w nowy szyszak, zdobyty w Złotoryi, przybrawszy się i parę piór czaplich zatknąwszy u wierzchu, już sobie zupełnie dowództwo przywłaszczył. Rozkazywał, ustawiał ludzi, mianował starszyznę. Księżę się do tego nie mieszał wcale.

Jechał znów pogrążony w zadumach.

Dzień był już, gdy zamek i miejscina ukazały się nadciągającym pod Szarlej.

Szaszor patrzył pilnie, chcąc wnieść z jakiejś oznaki, czy wysłaniec jego dostał się tu i poprzedził ich postrachem.

Zdawało się to prawdopodobnem, gdyż mimo rannej pory a zupełnego w kraju spokoju, około gródka na wałach, ujrzeni snujących się niespokojnie ludzi. Na jednej baszcie postrzegł Szaszor kilku, którzy zdawali się tam stać na czatach, wypatrując, czy się co w okolicy nie pokaże.

Nowemu dowódcy, któremu nie zbywało na przebiegłości i rycerskim instynkcie, szło o to, ażeby siły, które prowadził, jak najgroźniejszymi się zdala okazały.

Rozporządził więc ludzi swych tak, aby się długim sznurem ciągnęli, zrzadka rozbiwszy się, i wojsko wistocie mogło na pierwszy rzut oka omamić, wydając się liczniejszym, niż było.

Książę, ujrawszy gródek, stanął, odwrócił się i oczyma zaczął szukać Szaszora, który wskok ku niemu przybiegł.

Wzrokiem pytał, co teraz poczynać mieli. Szaszor, nie tracąc wielkiego ducha, którego przez drogę w sobie jak mógł zagrzewał, chciał gwałtownie napaść, i o ile było można, osaczyć gródek, wrzawą i zuchwałością zastępując siłę.

Nie sprzeciwił mu się książę.

Zbliżywszy się więc ku zamkowi, oddziały dostały rozkaz opasania go, a Szaszor na koniu, z kilku dobranymi, nieustraszony, podbiegł pod wrota. Tu już widać było ludu dosyć skupionego, jakby się bronić zamyślał.

W pysznym swoim szyszaku, ale zbroi niezbyt dobrze piersi okrywającej, z mieczem do góry, z głową zadartą Szaszor przyskoczył, wołając:

— Kto tu starszy?

Ponad wrota wystąpił człek przygarbiony, w płaszczu długim, na mieczu sparty.

— Książę Władysław Gniewkowski — począł do-

nośnym grzmiącym głosem Szaszor i wskazał na stojącego na koniu — przybywa zająć wasz zamek. Otwierając wrota!

Głowę podniósł stary, milczał długo.

— Co za Gniewkowski książę? — odparł, — my tu nie znamy żadnego. Jeden co był, to się wyrzekł ojcowizny i sprzedał ją, a kaptur wziął... innego niema.

— Tenci jest... Papież go uwolnił, a król mu oddaje dzielnicę.

Słuchając, stary głową potrząsał.

— Wrota otwierać!

— Idźcie od wrót, bo się bronić będziemy — rzekł stary powolnie.

Z poza niego wystąpił w tej chwili łucznik z ogromną kuszą już napiętą w rękę i bełtem opatrzoną, oparł ją na poręczy ganku i zdawał się czekać tylko, rychło mu dadzą znak puścić bełt, który wprost na Szaszora wymierzył.

Cała kupka, która z nim pod wrota przybyła, na widok tej zuchwałej groźby krzyk ogromny podniosła. Sypały się łajania i groźby. Wołano, że Włocławek, Gniewków, Złotorya już się poddały.

Stary słuchał spokojnie. Zdawało się, że to pewne na nim i na innych, co się pokazywali, czyni wrażenie; wtem, czy przypadkiem, czy umyślnie, ogromny ów łucznik, trzymający kuszę, pociągnął znaczek, bełt świsnął i uwiął w piersi Szaszora przy samym skraju zbroi.

Młody dowódca krzyknął, chwycił ręką za tkwiący w piersi bełt — chcąc go wyrwać, zachwiał się na koniu, pobladł i stoczył z niego na ziemię. Towarzystwo skoczyli do niego ratować, lecz krew mu buchnęła ustami, drgnął jeszcze parę razy — i skonał...

Książę, który nieopodal patrzył na to, cofnął się kilka kroków.

Okrzyk zgrozy rozległ się szeroko. Ludzie, którzy przyciągnęli z Białym, rzucili się ku murom i z łuków do stojących na nich strzelać poczęli. W jednej chwili, bez rozkazu żadnego, ku wałom i ostrokołom

z toporami, z oszczepami posypało się, co żyło. Załoga jeszcze się była nie przygotowała do obrony. Rachowano może, iż ten strzał i trup odstraszą. Stary dowódca zniknął. W twierdzy popłoch się musiał stać.

Drzazga, który był Szaszora przyjacielem i powinowatym, na jego miejscu począł dowodzić, zagrzewali inni. Lasota trąbić kazał i krzyczeć, że gdy zamek zdobędą, nikomu życia nie darują.

Przy pierwszej napaści obrona była słaba, potem zaczęto rzucać kamienie i kilka bali, ale tak niezręcznie, że nikogo nie raziwszy, się stoczyły.

Żołnierz wzięty ze Złotoryi, któremu o to szło, aby Szarlej nie zawstydził go, a spodziewał się też przy zdobyciu łupu, szturmował zajądło. Sam książę, nie zbliżając się, na małym pagórku pozostał widzem bezczynnym.

Wszystko to nie trwało długo jakoś, ponad wrotami wywieszono gałąź zieloną, dowódca wyzywał na rozmowę. Drzazga nie chciał słuchać. Książę kazał pobiedz Lasocie i na wszystko się godzić, byle mu gródek poddano.

Śmierć Szaszora nikogo nie zdawała się obchodzić; czeladź jego trupa uniosła nieco dalej, siadła nad nim i płakała, nikt zresztą na biedną ofiarę nie spojrział.

Lasota, upoważniony przez Białego, który sam przez się nic nie czynił, a ludźmi się posługiwał tylko, dopadł do wrót, i śmiały a zabiciem Szaszora nieustraszony wcale, zażądał, aby go na rozmowę puszczone do środka.

Obleżeni musieli gwałtownym napadem już być przerażeni, gdyż stary, który wprzód występował, i przy którego boku łucznik stał, gdy strzelił, wcale się już nie pokazał; wystąpił człowiek lat średnich, który na dowódcę nie wyglądał, furtę kazał otworzyć i przyjął Lasotę widocznie onieśmielony i pokorny.

Tuż przy wnijsciu była brudna izbica dla straży, z niskim pułapem, zaduszną i zaśmieconą; weszli tu Lasota, a za nim trzech starszych zamkowych.

— Ludzie! — co wy myślicie? — krzyknął porywco Nałęcz. — Macie być lepsi niż Włocławek i Złotorya? Obronić się ani myśleć! Zamiast cobyście mieli ująć sobie przyszłego pana, postrzeliliście mu zdradnie jego przyjaciela!

— Nie zdradnie, nie! — odparł jeden ze stojących, — głupi łucznik wycelował wprawdzie, ale się zaklina, że belt, sam nie wie, jak z kuszy wyleciał.

— Myślicieź się bronić! — wołał Lasota. — Weźmiemy zamek nie dziś, to jutro, a was czeka albo śmierć lub dziesiątkowanie.

Trzej wysłani patrzyli po sobie.

— Gdy się zdamy na łaskę — rzekł jeden, — będzie się książę mścił za swego. Łucznika, który strzelił, niema. Postrzegłszy, co się stało, rzucił kuszę i przez ostrokół się spuściwszy, uszedł, będzieź za niego niewinny odpowiadał?

— Zdawajcie zamek zaraz — odparł Lasota, — otwórzcie bramy, poddajcie się księciu, a ja w tem, mścić się nie będzie.

— Niechże jego słowo usłyszym — odparł jeden, a potem uderzywszy się po głowie — dziej się wola Boża...

Lasota któremu pilno było, rzekł rzeźko:

— Chodźcie za mną!

Zawahali się nieco trzech rozmówcy, poszeptali z sobą, jeden z nich wybiegł, powrócił, naradzali się znowu, Lasota naglił; ociągając się, poszli za nim wreszcie.

Książę stał ciągle opodał, niecierpliwiąc się, aby co prędzej Szarleja dostać, gdy Lasota, wiedząc za sobą wysłanych, zbliżył się do niego.

— Miłościwy panie — rzekł — ludzie ci zaprząsają, że Szaszor został trafunkiem zabity i proszą, aby go nie mszczono, a zamek poddać gotowi Zaręczylem im to — lecz pragną mieć wasze słowo książęce.

Białemu pomsta za Szaszora wcale podobno na

sercu nie leżała, z widocznie rozjaśnioną twarzą, ręką dał znak, że przystaje, a Lasota dodał z siebie:

— Musicie rodzinie za głowę zapłacić — i tyle...

To powiedziawszy, nie dając im czasu do rozmysłu, Nałęcz odezwał się głośno:

— Wrota otwierać — bronę podnieść, a do łańcuchów u brony nasi ludzie żeby byli.

Wysłani pokłonili się księciu, w stronę zamku dając od siebie znak, aby otwierano.

Rozsypani oblegający poczęli się zbierać u wnieścia, książę zatrzymał się jeszcze chwilę na pagórku, spoglądając z wycieczką ku zamkowi. Wrota otwierano, brona zwolna podchodziła do góry - Szarlej był zdobyty kosztem życia jednego człowieka...

Z radosnym okrzykiem pierwszy oddział, w którym byli gniewkowscy ochotnicy i Drzazga, zastępujący Szaszora - wpadł na zamek. Lasota chciał towarzyszyć księciu, który z pewną oględnością, powoli, gdy już znaczniejsza część jego sił była na zamku, skierował się także ku niemu.

Czwarty gród już poddawał się szczęśliwemu zdobywcy, który miecza nawet z pochew nie obnażył... Nie wierzył sam szczęściu swojemu.

Drzazga i Lasota, nie pytając o rozkazy Białego, natychmiast objęli mury, ostawili strażę i przez szpary patrząc na tych co od zemsty uchodzić chcieli, dali się im wymknąć bezkarnie.

Lasota, trochę polityk, rachował na to, że książę, krew rozlewając, nieprzyjaciół sobie przyczyniać był nie powinien.

Stary więc dowódca, łucznik, a z nimi kilku jeszcze wymknęło się, gdy drudzy wchodzili.

Szarlej, choć nie był tak zaopatrzony jak Złotorya, miał jednak zapasy, a, co księciu najpożądane było, dowódca, pośpiesznie uciekając nie miał czasu swych groszy praskich zabrać i dosyć znaczna suma ich znalazła się w skrzyni, której zamek odbito. Oprócz tego, sukna, odzieży, kun, trochę srebra i koni Biały po nim odziedziczył.

Buśko się też pożywił i nazajutrz do kościoła mógł w pięknej, nowej sukni wystąpić, zrzuciwszy ciemną, wyszarzaną, która mu zakonne czasy przypominała.

VII.

W Poznaniu, we dworcu wielkorządcy Sędziwoja z Szubina, który po Ottonie z Pilcy wziął Poznańskie, nie było teraz tak pusto, jak za jego poprzednika.

Wprawdzie Sędziwój ów, Toporeczyk, napoły Krakowianin, do Małopolan się krwią liczył, lecz trzymał województwo Kaliskie, w Wielkoposce osiadły był i rodziną z nią związany.

Przyjęli go Wielkopolanie jako swego dla świętego spokoju, bo nieład, najazdy, rozruchy i krwawe walki już się im naprzykrzyły, a Sędziwój mąż był energiczny i dzielny.

Miał dar rządzenia ludźmi i jednania ich sobie.

Jak wszyscy Toporczyce, oprócz tych, co nieco zubożeli, Sędziwój naprzd miał duchownego w domu nauczyciela, który go przysposobił do podróży, potem jechać musiał do Włoch, do Francji, na dwór cesarski, aby się świata uczyć, języków i obchodzenia rozumnego z ludźmi, bo każdy z Toporów miał się prawo spodziewać, że na wyższe dostojeństwa postąpi i u boku króla w radzie zasiędzie.

Z takich podróży, zwykle z mentorem duchownym odbywanych, powracali do kraju młodzieńcy, z których potem, wedle potrzeby, wojewodów albo i biskupów robiono.

Sędziwój, od natury obdarzony szczodrą, pojętną, bystrą, przytem rycerskiego obyczaju i charakteru, należał do wyboru ludzi w Polsce, do kwiatu i śmietanki. Równych mu było niewielu.

Krwii niegdyś gorącej, ale już wiekiem uśmierzonej wielce, miał powagę i umiarkowanie, a do wszelkiego stanu ludzi zastosować się umiał.

Nie było wówczas łatwo ze wszystkimi temi żywiołami, z jakich się społeczność składała, zarówno się zbratać, dać im zrozumieć i zastosować do ich obyczaju.

Obok panów takich jak Sędziwój z Szubina, którzy na żadnym ówczesnym europejskim dworze nie byliby się zakłopotali, a wszędzie umieliby pozyskać u znanie, stała szlachta nieco ostra obcowaniem tylko z ludźmi, a pełna buty, niżej zaś jeszcze owi panosze i ubodzy szczytowi ziemianie, których mowa i obyczaj mało się różnił od kmieci. Ci spraw kraju, potrzeby jego i zawiłych kwestyi wcale nie rozumiejąc, karmiąc się posłuchami, łatwowierni, namiętni, zawsze byli do poruszenia łatwi, a do uspokojenia trudni.

A było takiego ziemiańskiego, można powiedzieć, gminu, więcej daleko liczbowo, niż głów rozumnych. I gdy z rozumnymi łącznie było porozumieć, z tamtymi niepodobna, bo ich trzeba było zyskiwać sobie, biorąc za serce i za ich słabości.

Sędziwój miał tę wyższość nad innymi, że i z biskupami pany umiał się obejść i z pomniejszą bracią porozumieć.

Wierzyli w niego, a że przytomnym był, uprzejmym i łatwym — więc go i kochali.

Mąż powagi wielkiej, gdy konieczność wymagała, umiał ją na kołku powiesić i był z małymi małym.

W samej tej swej rodzinie Sędziwój miał takich, z którymi jak z dziećmi poczynać sobie było potrzeba.

Za małego niegdy, zuchwałego, wesołego, męznego Krystyna ze Skrzypowa ojciec Sędziwoja wydał był córkę. Lata z tego człowieka, który postawą i butą się odznaczał, czyniły teraz wielki ciężar dla rodziny i niemal zakale.

Ciężkie to było utrapienie, ten szwagier Toporczyka, który ojcowiznę puścił, mienia utrzymać nie mógł — i cały swój czas spędzał w najpospolitszego gminu otoczeniu, byleby mu do kubka i pijatki dostrzymywało.

Gwoli siostry, Toporczyk musiał szwagra to tu,

to ówdzie na zamku sadzić, dawać mu starostwa, aby z głodu nie umarł, a raczej aby pić co miał i zdaleka się trzymał od wojewody, który wstydzić się go musiał.

Sędziwój z Szubina, podówczas niemłody już, nie stary też, był, można rzec, w sile samej, bo w owe wieki konia przed siódmym rokiem nie brano do zaprzęgu, człowiek rzadko przed trzydziestym się żenił, a w czterdziestym i pięćdziesiątym ledwie dojrzewał...

Znać na nim było ród i krew, piękną miał postawę i ta może go zaleciła królowej Elżbiecie, która męską urodę ceniła więcej, niżeli rozum jego i naukę.

Z rodziną możną naówczas w Wielkopolsce Sędziwój był połączony, i to także wpłynęło zapewne, że ten ród na wielkorządach go popierał.

A były one w tym kraju, którego stan wielce niespokojny, wymagał czujności największej — bardzo trudne.

Pierwsze wystąpienie, gdy się Sędziwojowi powiodło, szło teraz z rządami łatwiej coraz. Miał więc nadzieję mądry pan, że powoli tu ład i spokój zaprowadzi.

Na dworze jego gościnnym, bo u wielkorządcy innym być nie mógł, nie przebiegało się ziemian, przyjeżdżających z żałami, prośbami, lub po radę.

Na same święta Wielkanocne tem tłumniej się rodzina, powinowaci i przyjaciele, a słudzy pańscy zgromadzili. Więc i duchowieństwo, któremu biskup Jan Doliwa przewodniczył, i z Krakowa goście i Niemców jakichś paru do stołu wielkanocnego pobłogosławionego zasiadło.

Z prastarych czasów słowiańskich i lechickich przeniósł się był ten obyczaj uczutowania wiosennego o Wielkiejnocy. Pogańską nigdyś objętą duchowni zawczasu zaczęli święcić, aby jej nadać charakter chrześcijański, i tak się nasze owo święcone zrodziło a w obyczaj poszło. Stał tylko obok jaj malowanych starych baranek, obraz Zbawiciela, i krzyżyk nad nim zatarł wspomnienie przeszłości.

Właśnie w wielkiej izbie na zamku zasiadać mia-
no do tej wielkanocnej uczty, która po twardym a ści-
śłym poście, osobliwie ostatniego wielkiego tygodnia,
bardzo była pożądana. Byli tam i tacy, co za grze-
chy i przez wielką pobożność od wielkiego czwartku
wieczery nic w ustach nie mieli.

Sędziwój z Szubina, oprócz biskupa Doliwy, bar-
dzo dostojnych gości miał wielu. Poznański wojewo-
da, Wicek Kępa, zaraz szedł po pasterzu, dalej Topor-
czyk, pokrewny Zaklika z Międzygórza, duchownego
stanu mąż; byli i sędziowie, i kanclerze, i wojennego
stanu ludzie.

Na nieszczęście tegoż dnia, aby się szwagrowi za-
lecić, przybył też i Krystyn ze Skrzypowa, a wojewo-
dzie dosyć go było widzieć w swym domu, zwłaszcza
przy obcych, aby mu się czoło chmurą okryło.

Choć tam wojaków jak on dosyć się znajdowało,
miedzy nimi wszystkimi wcale niekorzystnie się wy-
różniał. Twarz sama wiekuiście płomienista, niekiedy
aż sina, zdradzała nałogowego opoja. Choć na święta
wielkanocne przybrał się jak najpyszniej, suknia i u-
zbrojenie mówiły, że już nie dbał i nie wiedział, co na
siebie włożyć. Krzywo na nim siedział kattan, miecz
u boku wisiał niezgrabnie, a włosy na głowie jak zbo-
że po burzy wyglądały.

Choć mało kto mu się uśmiechał i mile go przyj-
mował, Krystyn był niezmiernie wesołego usposobienia,
oczyma i ustami śmiejąc się do wszystkich, a ze wszyst-
kimi za pan brat sobie postępując.

Niekiedy surowe, ostre spojrzenie Sędziwoja, rzu-
cone nań, trochę go uśmierzało, lecz wkrótce potem
niepomiarłą karczemną wesołością wybuchał.

Biskup sam już był stół pokropił wodą święconą
i jajami się obdzielać zaczął, gdy u drzwi izby jakieś
zamieszanie się stało, gwar i niepokój.

Sędziwój nawet się nie obejrzał w tę stronę, bo
świętecznego dnia zbyt być dla czeladzi surowym nie
chciał.

Tymczasem około drzwi coraz się większa kupka

ludzi zbierała, z pochylonemi głowami słuchających
jakichś szeptów, przerywanych wykrzyknikami.

Niektórzy ze słuchających ręce załamywali. Sta-
ło się widocznie coś, o czym wojewodzie oznajmić nie
śmiano.

Wśród gromadki ciekawych, poza domownikami
dojrzeć było można mężczyznę lat średnich, w odzieży
podróżnej, złocone i obryzganej, z twarzą bladą, o-
powiadającego coś i namiętnie rękami w różne strony
ukazującego.

Był to wojak, który pot z czoła uznojonego o-
cierał, suknie na sobie stargane poprawiał i zamierzał
widocznie wniknąć do izby, a nie śmiał.

Obejrzał się wojewoda ku drzwiom, coś go tknę-
ło i zawołał pacholika.

— Idź zobacz, co tam u drzwi za zbiegowisko.

Chłopak pobiegł, wcisnął się, stanął i jakby przy-
kazania zapomniał, nie wrócił prędko. Sędziwój nie-
cierpliw poślął drugiego, ale i ten u drzwi utkwiał.

Był to znak, że się coś niedobrego przygodzić
musiało; ze zmarszczonem czołem, iż właśnie w tę po-
rę, gdy dar Boży pożywać miano, zaszła jakaś prze-
szkoda, wojewoda wstał już sam i pośpiesznym krokiem
poszedł ku progowi.

Zobaczywszy go, obłocony podróżny szyszak już
cały zdjął, ludzie się rozstąpili.

— Drzemlik? a ty tu skąd i z czym? — zapytał,
patrząc nań surowo, wojewoda.

Wszyscy milczeli. Drzemlik, mając mówić, za-
gryzł usta, oczy jego tylko i twarz oznajmiły, że przy-
woził złą nowinę.

Tego się wojewoda domyślił łatwo; nie spodzie-
wał się jednak nic wielkiego i ważnego.

— Mówże — odezwał się spokojnie.

Zająknął się Drzemlik.

— Coś ty w drodze zaniemiał? — zapytał pan
z Szubina.

— Trudno bo to rzec, z czym przybyłem — o-
dezwał się, wzdychając, żołnierz... — Niewiadomo, skąd

zjawił się Władysław książę, ten, co na Gniewkowie siedział... no, i Włocławek wziął, Gniewków, opanował Złotoryę, Szarlej mu się, słyszę, też poddaje.

Wojewoda uszom nie wierzył.

— Oszalałeś! — zawołał.

— Tak jest, jakom rzekł — smutnie powtórzył Drzemlik, — tak jest... Do Włocławka wpadli... nie wiem, jak w Gniewkowie dawni słudzy go przyjęli. Złotoryę opanował zdradą, bo Romlika porwali zdradą i śmiercią mu grozili, aż Łukosz z obawy o niego bramy otworzył, a Szarlej pewnie mu się też poddał, bo już ludzi kupę miał, a ziemian się dużo z nim połączyło.

Pobladł Sędziwój.

— Kiedyż to się stać mogło? — począł głosem podniesionym. — Cztery zamki opanować, na to potrzeba czasu, ażebyś ty dopiero pierwszy tu przybył z wiadomością?...

— Cztery zamki wziął we dwa dni — odparł, ramionami ruszając, Drzemlik.

Wojewoda cofnął się na krok.

— Kto cię wysłał? skąd? kiedy?

— Ze Złotoryi uciekłem, gdy na Szarlej ciągnęli — odrzekł Drzemlik. — Na to, co się stało, własnie oczyma patrzałem. Nie mówił mi nikt, boby mi nie wierzył...

Gdy wojewoda jak osłupiały stał, badając posła, od stołu, przy którym nań oczekiwano, zaczęto spoglądać nań, i Kępa, wojewoda poznański, zmiarkował, że go tam coś złego u drzwi zatrzymało; wstał i poszedł ku niemu.

Sędziwój się zwrócił do Kępy.

— Patrzajże, wojewodo — rzekł, ten nam krasne jajko wielkanocne przywozi... prędzejby mi się był tatarskiego najazdu spodziewał.

Kępa, niecierpliwy człowiek, krzyknął zaraz do Drzemlika:

— Gadaj! co jest?

— Gniewkowski książę się zjawił i cztery zamki mu poddano.

— Jako mnich?

— Przy mieczu i we zbroi widziałem go pod Złotoryą.

— Złotorya się poddała! — zawołał na głos Kępa.

Od stołu, od święconego, posłyszawszy to, zerwali się wszyscy.

Zmieszali się goście, nikt nie rozumiał.

— Co? napaść krzyżacka? — wołali jedni. — Litwini wtargnęli! — mówili drudzy.

Nikomu Gniewkowski książę na myśl nie przyszł.

— Ktoś chyba postawę jego na siebie wziął — odezwał się Kępa. — Wszak sprzedał swoją dzielnicę, pieniądze od króla wziął, Cystersem, czy Benedykty-nem go postrzyżono...

Biskup się przeżegnał ze zdumienia.

— Nie może to być! — rzekł, — bo wiem, że w Dy-zonie świątobliwy żywot prowadził. Papież nasz uwol-nić go nie mógł od ślubów dla króla naszego... Nie może to być.

Sędziwój dumiał zasmucony.

— Ojcie mój — odezwał się do biskupa — przed-się może to być... bo kto znał Władysława, uwierzy wszystkimu. Ani się dziwię, że on kaptur zrzucił, ale zdumiewam temu, że ludzie się znaleźli, co za nim poszli...

Kępa przerwał gwałtownie:

— Oto macie, com mówił a o czem ostrzegałem. Gotowi nawet takiego księcia wziąć, byle kogo prze-ciw królowi postawić.

— Tak — odezwał się Sędziwój, — tak... ja, co go znałem, powiedzieć mogę, iż nie ważyłby się na taki krok, gdyby go stąd źli ludzie nie pociągnęli. O wyj-ściu z klasztoru słyhać było, a i o tem prawiono, że się bez przyczyny Wielkopolan nie stało; ale na Wę-

grzech, na łasce królewskiej mieszkał i miano mu o-pactwo dać.

— Sam je sobie tu wziął! — rozśmiał się Krystyn, szwagier wojewody, — zuch mnich! I jeszcze się go-tów ożenić.

Żart był nie w porę, namarszczyli się wszyscy. Wojewoda stał posępny. Zwrócił się do gości.

— Raczie daru Bożego zażywać — odezwał się, — ja do ust nic nie mogę wziąć, dopóki do króla gońca nie wyprawię, królowej nie dam znać i ludzi nie każe zbierać. Po czterech zamkach, uzuchwalony, gotów się rzucić na inne. Na warchołach, co się do niego przy-lączyć gotowi, nie zbywa. Radzić potrzeba zawczasu...

Pomimo zaproszenia, goście stali, nie myśląc o chlebie, bo każdy był ciekaw jakichś szczegółów. Wy-ciągnięto od progu Drzemlika, badając go, lecz mało z niego dobyć się dało. Smutną tylko historję Romlika opowiadał.

Ruszano ramionami, podziwiając osobliwą przy-godę; a byli tacy, którzy o niej powątpiewać chcieli, gotowi przypuścić, że przybyłemu we łbie się pomie-szało.

Całe wesele, pociecha i spoczynek dni świątecz-nych strute były; na twarzach wszystkich malowały się obawy o jutro.

Człowiek, który mógł w przeciągu dni kilku tyle dokazać, z pomocą tych przyjaciół, których się domy-słano, pokusić się też gotów był o więcej... Sędziwój z Szubina, nie wyznając tego przed nikim, przewidy-wał już sprzysiężenie jakieś przeciw Ludwikowi Wie-dział, ilu tu miał niechętnych.

On, biskup i Kępa rozmawiali jeszcze pocichu, a drudzy otaczali Drzemlika, gdy pacholę nadbiegło oznajmując, że Romlika też Łukosz ze Złotoryi przy-wiozł.

W ten sposób potwierdzała się wiadomość i sam wojewoda, nie czekając, aż stary dowódca będzie się mógł mu stawić, wyszedł go szukać.

Łukosz, po skrępowaniu i umęczeniu Romlika,

musiał go tu na wozie, sam przy nim jadąc, jęczącego, zboląłego przywlec, bo wojewodzie wielkorządcy chciał się koniecznie tłómaczyć.

Zobaczywszy go, ledwie dźwignąć się miał siłę. Krzepki stary był nagle zmieniony okrutnie, nie mógł sobie przebaczyć, że oddaleniem się swem z zamku był utraty jego przyczyną.

Ujrawszy wojewodę, mimo bezsilności, dźwignął się na pokrwawionych od łańcuchów i sznurów rękach.

— Winowajcę macie przed sobą — zawołał roz-paczliwie. — Tak! trzeba mi było dać się skusić i do brata pojechać na święta. Porwano mnie stamtąd... a oto ten niegodziwiec dla ocalenia mi życia, Złotoryę im oddał w ręce.

Łukosz przerwał żywo:

— Karz mnie, miłość wasza, gdy chcesz. Są-dziłem i sądzę, że łatwiej będzie odebrać zamek dla króla, niż memu dobroczyńcy życie przywrócić.

Stał milczący.

Sędziwój, wysłuchawszy, zwrócił się do starego.

— Nikogo nie winię — rzekł, — napaść była nie-pocziwa, niespodziewana. Przewidzieć jej żadna żywa dusza nie potrafiła. Lecz skądże ten książę? kto z nim?

— Skąd? z piekła! — krzyknął Romlik. — Z nim? tłum i szuja, która do pierwszego lepszego zbója by-łaby się przyłączyła!

— Wiecie, że i Włocławek i Gniewków opano-wali? — pytał Sędziwój.

— I Szarlej pewnie — dodał Łukosz.

— Skądże wziął ludzi? — badał wojewoda.

— Po drodze nam opowiadali ci, co z Włocławka zbiegli, że i dziesięciu koni nie miał, gdy na za-mek tamtejszy wpadł. Krzyknęli, że jest rozkazanie królewskie, aby zamek zdawano.. ludzie się ustraszili.

— Przykazania królewskiego niema i być nie mo-że! — zawołał wielkorządca. — Stawilby się był z niem do mnie.

— Z Włocławka, zabrawszy część załogi, pobiegł do swojego dawniej Gniewkowa — ciągnął dalej Łu-

kosz, — a tam się do niego zbiegło pono różnego ludu dosyć. Zaraz też z nimi popędził na nas, ale wiedział, że zamku inaczej nie weźmie, jak zdradą. Dlatego starego (tu wskazał na wóz) w Podgórkach chwycili i chcieli wieszać.

Około wozu, na którym leżał przywieziony Romlik, gawiedź się zbierała... wojewoda stał nad nim zadumany ponuro. Wtem człowiek się przecisnął ku niemu w odzieży, która zamożnego mieszczanina poznać w nim dawała.

— Naprzód on zawitał do Gniezna — odezwał, kłaniając się wojewodzie. — Bodaj czy nie mieli na myśli tak samo próbować tam, jako później we Włocławku. Ale tu go poznał Hanko, do którego zajechał... i zbył się go.

Wojewoda słuchał z podziwieniem.

Nie było już wątpliwości, że się po opanowaniu czterech gródków, w siłę zbiwszy, rzuci i na inne. Potrzeba było, nie tracąc godziny, zbierać siły i wystąpić przeciwko najeźdźcy.

Znał Sędziwój, jakie były w Wielkopolsce marzenia i zamiary znaczniejszej części ziemian. Powodzenie mogło poruszyć umysły.

Rozkazawszy na zamku pomieścić Romlika, miał już iść wojewoda wyprawiać gońców i bodaj sam usiąść na konia, gdy z rozmaitych stron zbiegowie i ci, co wiernie służyli mu, nadciągać zaczęli.

Co najdziwniejsza, nadjechał i stary Dersław Nałęcz, którego wojewoda wcale się nie spodziewał. Rad mu był więc, chociaż przebiegły spiskowiec, nie po co innego tu przybył, tylko żeby wziąć języka i zobaczyć a posłuchać, jak tu poczynać będą. Udawał obojętnego i lekceważącego.

— Co myślicie, panie wojewodo — odezwał się po przywitaniu. — Dziw to jest, że taki niezdara, jak ten książę, tak szalone miał szczęście... lecz mnie się zdaje, że ono nie potrwa. Przypadek to zrządził.

Sędziwój był małomówny.

— Co się stało, o tem już i mówić niewiele war-

to, a zapobiedz, aby się gorsze jeszcze rzeczy nie działy — odezwał się zimno.

Dersław poruszył ramionami, rad był więcej jeszcze przysłuchiwać się, niż mówić.

— A może się on tam na tych zamkach trzymać? — spytał.

— Nie spodziewam się — odparł Sędziwój; — łatwiej je było wśród pokoju zaskoczyć, niż obronić.

— Ludzie doń, słyszę, kupami się wloką zewsząd — rzekł Dersław. — Mówili mi, że już kilkuset ma.

Sędziwój pogardliwie ruszył ramionami.

— Na cztery zamki nie za wiele — rzekł — a moich stu nie dałbym za jego czterystu, boć to gmin czarny.

— A no... liczba! — bąknął Dersław, który może chciał trochę rzucić popłochu. — Coś sobie pono i Węgrzynów zamówił.

— Tem pilniej trzeba się nam też skupić i iść na niego — zawołał Sędziwój. — Spodziewam się, że i wy mi w tem pomożecie.

Dersław się trochę zmieszał.

— Ze mnie starego przybytek niewielki — rzekł. — Sił macie i tak dosyć, przybyłem tylko, aby was przestrzedz.

Dziękując chłodno, wojewoda wprowadził go do izby. Sam jednak gości tu swych przyjmować nie mógł, a znaczniejsza ich część, wiadomością tą spłoszona, rozchodziła się.

Krystyn tylko ze Skrzypowa, szwagier wojewody, korzystając z popłochu, zasiadł jeść i pić, zapraszając do siebie ochotnych, jako w braterskim domu.

— Ponieważ wojna się zapowiada — wołał, — trzeba się posilić na nią. Głodnemu ani myśl dobra nie przyjdzie, ani ma ochoty wiele. Nalewać kubki! — mówił, do służby się zwracając. — Brat Sędziwój uczynił mnie gospodarzem.

Dersław siadł, nie odmówiwszy miodu, aby się przysłuchać.

— Cóż wy na to? — zapytał Krystyna.

— Ja na to jak na lato! — zawołał, śmiejąc się, już trochę podchmielony Krystyn. — Królowi zamki nie przepadną, jedno książątko gniewkowskie, o Jezul nie straszne, a może dla mnie gdzie na odzyskanym grodzie okroi się służba — rad będę!

— Myślicie, że z gniewkowskim tak łatwo pójdzie! — odezwał się Dersław, — ale to szalona pałka, bez mózgu człek, a takim się szczęści. Wiecie, ile u nas tałałajstwa po gościńcach się włóczyło, wszystko to pójdzie na służbę do niego. Wczoraj nie miał stu, jutro może mieć tysiąc.

— Zapominasz o tem — odparł Krystyn, — że wedle wszelkiego podobieństwa, mieszka nie ma nabi-tego, a bez groszy najemnika nie dostanie.

— Jako? — zawołał Dersław — albo to nie słyszeliście, od czego Łokieć poczynął? Z taką kupką, jak i on, i bez złamanego denara.

Krystyn jakoś nieustraszony, śmiał się.

— Z Czechem miał do czynienia, to co innego było — rzekł; — tamten słabo siedział na tronie... a nasz Ludwik! ho! ho!

Dersław nie śmiał nic rzec w tym domu przeciw Ludwika, ale mruknął:

— Tylko że Ludwika u nas niema, a stara baba...

Krystyn popijał. Dersław sądził, że przez niego najprędzej popłoch rzuci i począł.

— Nie lekceważcie małego. Bieda go wiele nauczyła. Szczęście szalone ma. Nie bez tego, żeby w Złotorii i Szarleju i od gniewkowskich grosza nie dostał. Siła u nas takich jest, co mu gotowi dać.

— To co? — rzekł Krystyn. — Będziemy z mnichem wojowali! Tem lepiej, człowiek się pożywi i ręce zdrętwiałe odżyją.

Zostali w kilku zaledwie przy stole, którego mało kto dotknął, tak wszyscy zajęci byli około wojewody wysyłającego już gońców, posły, żołnierzy, wici.

W podwórzu, mimo dnia wielkanocnego, z kołaczem w jednym ręku, z biczem w drugim, z gębami pozapychanemi, naprędce do ust spragnionych niosąc

kubki, które im czeladź napełniała, pacholkiwie wybierali się na różne strony.

Dersław na wszystko pilne miał oko. Doczekawszy się Sędziwoja, rozmówił się z nim jeszcze i nad wieczór wybrał się nazad do domu.

O kilkoro staj za miastem czekał nań zakapturzony jeździec.

— Jakie rozkazy? — spytał.

— Siedzicie cicho, Sędziwój się ostro bierze do księcia, tamten, wątpię, żeby mu dotrzymał. Trzeba czekać, jak się dalej wątek zasnuje. Nie da mu pono zagrzać miejsca we Włocławku, ani w Złotorii.

Poszeptali coś jeszcze, i zakapturzony jeździec, konia ścisnąwszy, w las się puścił, a Dersław z głową zwieszoną na piersi, powoli nazad do Wielkiej Wsi, odmawiając pacierze i przysłuchując się głosom wieczora — podążał.

VIII.

Starzy przyjaciele księcia Władysława na wieść o jego przybyciu i powodzeniu niespodzianem poruszyli się wszyscy, ale nigdzie radośniej nie powitano nowiny tej, jak w Drdzenku.

Stary Bodecza wprawdzie nie najlepsze miał wyobrażenie o zdolnościach i wytrwałości Białego, jednak kochał go, miał dlań słabość, a politowanie się do miłości tej przykładalo.

Jedna córka Bodeczy, Fryda, broniła księcia, za którą szli niekiedy i bracia Ulryk, Dobrogost, a nawet Arnold. Z tych trzech pierwszy był mu może najprzyjaźniejszym.

Właśnie w sobotę przed Przewodami wszyscy zgromadzeni byli w Drdzenku.

Letni już Bodecza, który piwa wiele pijał, a ruszał się mało, roztył się w ostatnich latach niepomier-

nie i dawnych swych rycerskich obyczajów zaniechać musiał.

Córka Fryda, która zamąż wyjść, jedni powiadali, nie chciała, drudzy twierdzili, nie mogła, wielką nad ojcem miała władzę.

Niewiasta też była, której mało kto, częściej z nią obcując, nie uległ wkońcu.

Niegdyś piękna bardzo, teraz jeszcze przystojna i dość świeża, umysł miała nad krasę, chociaż, jak wszystkie wówczas niewiasty, czytać i pisać nie umiała, właśnie może dlatego w pamięci nadzwyczajnej zatrzymywała wszystko, czem ją obcowanie z ludźmi mogło zbagacić. Pieśni, modlitwy, gadki, przysłowia, wiadomości o krajach obcych — były u niej na zawołanie. Zdumiewała niejednego, co się uczonym być sądził, a miała też tę śmiałość kobiet pięknych, co swą siłę znają, że nikomu nie ustępowała.

Mówiła kilkoma językami wcale dobrze. Dom cały był w jej rękach i na jej głowie, a że ojciec mało mógł się ruszać, i chyba przez okno w podwórze wyjrzał, ona za niego rozkazy dawała i urzędnikom panowała, którzy jej słuchać nawykli.

I szło wszystko ładem wielkim w Drdzenku, tak że Bodecza, który ją z początku zamąż chciał wydać koniecznie, teraz już nikogo nie swatał, bo mu z nią było dobrze, a bez niejby sobie rady nie dał.

Z musu Fryda Bodeczanka pomimo niewieściego wdzięku, o którego zachowanie była troskliwą — rozkazując ciągle, coś męskiego obyczaju przybrała. Ruch jej i postawa czasem wojaka młodego przypominały.

Nie przeskadzało jej to wieczorem, gdy wolną była, do ręki wziąć cytę i przy niej polskie lub niemieckie nucić piosenki; gościom ojcowskim głowy zawracać i zalotnie się uśmiechać.

Jeżeli jednak który z nich wejrzenia wyzywające brał za dobrą monetę, i myślał sobie coś na nich budować, szorstką i szyderską dostawał odprawę.

Twierdzono powszechnie, iż od tego czasu, gdy Biały u nich w Drdzenku przesiadywał, rozmiłowała

się w nim bardzo i zarzekła, że za innego nie wyjdzie, tylko za niego.

Gdy potem przyszła wiadomość, że mnichem został, nie zraziło ją to... upierała się przy swem, iż powróci. Śmiały się z niej niewiasty, z którymi poufała była, lecz lata jej tej wiary nie wybrały z serca.

Gdy się w Drdzenku po raz pierwszy dowiedziano o poselstwie do Białego, piękna Fryda rozpromieniała zwycięsko. Była pewną, że gdy wróci, do niej też powrócić musi. O ważności ślubów zakonnych nie miała takiego wyobrażenia, by one wielkiego rodu męża wiązać mogły. Była pewną, że księcia papież rozgrzeszy i uwolni.

Wprawdzie wszystkie te nadzieje zachwiały się, gdy książę zamiast do Gniewkowa, pojechał do Budy i długo o nim słyhać nie było, lecz Fryda Bodeczanka miała wytrwałość wielką. przeczucie jakieś, upór niewieści.

Drugi raz zwycięsko na ojca spojrziała teraz, gdy nadbiegł poseł po zdobyciu Szarleja, oznajmujący, iż książę cztery zamki zdobył i starych przyjaciół pozdrowia.

Posel ten, Lasota, choć przybył z próżnemi rękami, bo książę podarku kosztownego nie miał, a lada jakiego nie chciał słać, sprawił nadzwyczajną radość. Fryda spytała go, czy się księcia spodziewać mogą, lecz bacznym Lasota nie obiecywał go, tłumacząc, że wiele będzie miał do czynienia około odzyskanej dzielnicy, aby ją do stanu takiego przyprowadzić, by się obronić mogła.

Włocławek, Gniewków, Złotoryę, Szarlej trzeba było w żywność opatrzyć, w ludzi, w maszyny i pieniądze. Fryda zrozumiała to, posłała życzenie szczęścia.

Dumną nim była.

Od tej chwili Bodecza, Dobrogost, Arnold, a szczególnie Ulryk, spędzający święta w Drdzenku, o niczem nie mówili, tylko o Białym.

Wszyscy znali go zblizka i dobrze; stary pono

najlepiej. Ten głową potrzasał, nie obiecując sobie wiele.

Ulryk przeciwnie, łudził się tą energią, którą książę czasem okazywał, tem gwałtowniejszą, że była wybuchem słabym właściwym.

Dobrogost też nie rozpacział o nim.

Było to wieczorem już i przed gośćmi dla towarzystwa Bodeczy, który przez cały Boży dzień piwo pijał, stały spore kubki, przy których wiodła się rozmowa o Gniewkowskim księciu; Fryda się do niej nie mieszała, wchodziła i wychodziła przysłuchując się tylko. Na podwórzu mrok był, w izbie mroczniej jeszcze. Stary na podesłanej miętko ławce w kącie, u rogu stołu odpoczywał.

Fryda właśnie była wyszła.

— Mówcie wy, co chcecie — począł głosem nieco ochrypłym, jakając się i spluwając, — ja kocham go, to pewna, ale mu nie rokuję dobrego nic. Jest jak to konisko, co zaprzężone bryka, wierzga, rwie się, a najpierwsze ustanie.

— Tak to było, gdy młodszym bywał — przerwał Ulryk, syn Bodeczy, chudy i słuszny mąż, twarzy wesołej, o nizkiem czole i wejrzeniu jasnem, a niegłęboko sięgającym. — Znaliśmy go w tych dniach żywota, gdy go boleść szarpała, więc zmienionym był, ale mu na męstwie i na rzutkości nie zbywa. Juści to zdobycie zamków... nie lada sprawa.

— Daj mu Boże jak najlepiej — szepnął Bodecza, popijając, — ja się boję o niego. Gdyby jeszcze Otto z Pilcy był wielkorządcą, ale z Sędziwojem...

— Tak, Sędziwój rozum ma i męstwo i umiejętność zażycia ludzi — przerwał Dobrogost, — lecz nie ma w Wielkopolsce miru. Znają go ludzie wiernym Ludwikowi i Elżbiecie, a tych mało kto lubi.

— I — dodał Arnold — cichaczem ci, co po niego posyłali, pomagać będą Władysławowi.

Chłopię przyszło w kominie ogień naniecić, aby izbę rozświecił, gdy zatętniało na moście zamkowym i trzech konnych wpadło szybko w dziedziniec.

Arnold oknem wyrżał.

Fryda, która od bytności Lasoty codzień chodziła strojna, z utrefionemi włosami, z łańcuchem na szyi, niby dla świąt, a wistocie dla jakiejś nadziei, do której się nie przyznawała, wbiegła żywo do izby... rumieniec miała na licu, i drżącym głosem odezwała się:

— Ktoś przybył.

Kończyła wyrazy te, gdy w progu ukazała się postać rycerska, mąż w płaszczu na ramionach, lekki szyszak zdejmujący z głowy.

Mimo upłynionych lat poznali wszyscy w nim księcia Białego. Fryda, zbladła, o stół się oprzeć musiała.

Otęły Bodecza dobywał się z siedzenia. Dobrogost, Ulryk i Arnold śpieszyli na spotkanie.

Książę stał długo, jak posąg, w progu, z oczyma wlepionemi we Frydę, która, drżąc całą, witała go też wejrzeniem.

— Przyjaciele moi — odezwał się wreszcie gość głosem, w którym wielkie odbijało się wzruszenie — przyjaciele moi, przybyłem do was... Zbiegłem choć na godzin parę.

To mówiąc, płaszcz z ramion zsunął i z wolna począł się ku środkowi izby posuwać. Bodecza ze łzami go ścisnął. Dobrogost i Ulryk wyciągnęli ręce, on się precisnął między nimi do stojącej dalej Frydy.

Lecz jej i jemu na powitanie wzajemne wyrazów zabrakło. Dziewczę sromało się i ulękło, czując, że ją może nie taką znajdzie, jaką pamiętał. W nim wspomnienie jej z widokiem zmienionej i zwiędłej nieco — walczyło. Przyniósł w pamięci obraz świeżej, rozkwitłej, a znajdował choć jeszcze w kwiecie, lecz już dojrzałą, poważną niewiastę.

Nim te obrazy zlały się z sobą i rzeczywistość zatarła pamiętkę zbladłą, Białý nieporuszony stał na przeciw niej. Ujął jej rękę i powoli do ust przycisnął.

Fryda zarumieniła się i odżyła, wyprostowała, zwyciężkiem znowu wejrzeniem mierząc przytomnych.

Radosne głosy Ulryka, Dobrogosta, Arnolda mieszały się z sobą.

— Wina na powitanie gościa naszego! — począł Bodecza natarczywie. — Frydo! każ podać, co dom ma najlepszego, bo gość to wielki, a Bóg świadek, nie spodziewany.

Biały, który zjawił się tu nie bez pewnej obawy, zasepienia i troski, wnet się ożywił. Twarz rozweselona odmłodziła i zatarły się na niej widoczne ślady przebytych lat w celi klasztornej.

— Pokruszyłem więzy, które mnie przykuwały — odezwał się — i spodziewam się nie dać ich już włożyć na siebie, bym stanął u celu.

— A! tak! — westchnął, w pół go obejmując otyły Bodecza — z Sędziwojem sprawa...

— Nie tyle się o nią troszczę — zawołał książę — jak o to, aby w Budzie mi królowa siostrzenica dotrzymała słowa.. Mam jej obietnicę, że mnie popierać będzie. Jeżeli się czas jakiś utrzymać potrafię tu, królowa to wyrobi u Ludwika, że mi odda dzielnicę.

Słowa te wyrzucone z taką śmiałością, jak gdyby prawdą były, uczyniły radosne wrażenie na słuchaczach.

Książę wistocie łudził się... Jeżeli miał obietnicę królowej ogólne, co do zapewnienia losu swego, nie stosowały się one wcale do obecnego położenia, którego nie mogła przewidywać, ani pochwalić, ani uniewinnić.

Lecz Biały dla dodania sobie męstwa zmyślał przed sobą samym to, co go pocieszać mogło. Zapewnienie to o opiece królowej przyszło w porę i powitano je kubkami, które właśnie przyniesiono. Fryda drżącą ręką, z uśmiechem sama mu najpiękniejszy becherek podała, a książę, patrząc jej w oczy, wychylił go do kropki.

Bodecza, który na nogach z ciężkością się mógł utrzymać, do siedzenia zapraszał. Dobrogost już mu krzesło przysposabiał.

Wtem książę zwrócił się ku drzwiom i pozostałemu przy nich Lasocie dał rozkaz, aby konie popasł

i o wschodzącym z północy księżycu miał je do odjazdu gotowe.

Bawić nie mógł, jak powiadał.

Wszyscy się w niego z wielką wpatrywali ciekawością, a najpilniej Fryda, która śledziła z twarzy, czy się jego uczucia i charakter nie zmienił.

Znajdowała go wistocie innym, starszym może, lecz takim, jakim wprzód nie był nigdy, podniesionym na duchu, mężnym, ufającym sobie i szczęściu swojemu. Ten wyraz oblicza wkrótce usprawiedliwiły słowa, które w początku powoli, potem coraz żywiej i goręcej z ust jego płynąć zaczęły.

Ulryk i Dobrogost winszowali mu odzyskanej dzielnicy.

Uśmiechnął się lekceważąco.

— Moja dzielnica — rzekł — tylko na to mi służy, abym miał gdzie pierwszą postawić stopę.

Podniósł głowę dumnie do góry i spojrzał na Frydę.

— Moja dzielnica — dodał — będzie dla mnie obozowiskiem, miejscem dogodnem, z którego robić zamierzam wycieczki.

Słuchano go z uwagą; on z lekkomyślnością człowieka, który tajemnicy w sobie utrzymać nie umie, począł niewyzywany mówić z zapalem.

— Wiecie, że niegdyś chodziłem z Krzyżakami na Litwę, miałem nawet myśl jakąś wstąpić do ich zakonu. Mam z nimi dobre stosunki, kilku towarzyszków broni; sędzę, że gdy się do nich odezwę, zrozumieją interes swój i będą mi pomocą. Wielkopolscy ziemianie niecierpią Ludwika, chcą Piasta, przecież nie kto, tylko oni z klasztoru mnie wydobyli. Mam więc świętniejsze nadzieje, niż błahe księstwo Gniewkowskie. Szczęście mi się wyraźnie uśmiecha, jest w tem palec Boży.

I wsparłszy się jedną ręką na stole, mówił ciągle z tem zaufaniem w siebie.

— Zaprawdę życzę dobrze mężowi mojej siostrzenicy, a lepiej jeszcze jej samej i jej córkom, ale one

nie utrzymają się na polskim tronie. Dość im będzie Węgier i Włoch do podziału.

Milczeli słuchający, najmocniej zdumionym był stary Bodecza. Nie poznawał tego człowieka, którego pamiętał zniechęconym do świata i wzdychającym do spoczynku.

Ulryk i Dobrogost z czią spoglądali na niego.

— Wszystko to — rzekł Bodecza powoli — możliwe przy łasce Bożej, lecz wiele potu i krwi na to potrzeba.

— Ludzie płyną do mnie, cisną się, mam ich więcej, niż się spodziewałem — rzekł Biały. — Grosza mi brak trochę, ale go Wielkopolska dostarczyć musi. Ludwik, zajęty Włochami, sił wielkich przeciw mnie wystawić nie będzie mógł, tymczasem ja się w nie wzmogę. Złotorya mocna jest, Włocławek także trzymać się będzie.

— Masz księżę wodza wybranego? — przerwał Arnold, — na tem wiele zależy.

Księżę znowu się uśmiechnął.

— Dopóki go nie mam — rzekł, — sam nim będę! Prawda, że z mnicha nagle nim zostać byłoby innemu trudno, ja mam we krwi to, żem do wojny stworzony... Teraz dopiero czuję, że to było przeznaczenie moje.

Tak się przechwalał księżę, a gdy parę kubków wychylił i wejrzenie pięknej Frydy zagrzało go więcej jeszcze, nie tail już, że się o koronę polską dobijać myśli.

Mówił to z takim zaufaniem w losy swe i siłę, że wszystkim, nawet Bodeczy, powątpiewającemu o nim, zamknął usta.

Na twarzy Frydy odbijało się każde jego słowo. Chciałaby była nie stracić żadnego, móżd nie odchodzić i nie spuścić oczów z niego, przybliżyć się doń, lecz starania o wieczerzę zmusiły ją do wyjścia.

Zaledwie kilka kroków zrobiła w korytarzu, gdy przy słabym blasku ogniska, które przez otwarte drzwi kobiecej komory wpadało tu, ujrzała maleńką a pęka-

tą postać jakąś, cisnącą się jej do kolan i usiłującą pochwycić rękę.

Śmiech, towarzyszący tej napaści, przypomniał jej i dał poznać Buśka, który tu niegdyś z księciem przesiadywał i uprosił się dziś za towarzysza, aby miłe powitać wspomnienia.

— Buśko! to ty chyba! — zawołała Fryda, której wszystko, co do księcia należało, miłem było.

— Ja to, ja — odparł zadyszany mały. — Takem go prosił, że mnie wziął tu z sobą. O, moja królowo! jakże tu u was dobrze i miło!

Fryda go wprowadziła za sobą do izby.

Spojrzała nań przy świetle ogniska... Wydał się jej bardzo nabrzęklým, zbabiałým i starym ten dawniej wesoly i pocieszny śpiewak i bazarz.

On ją znajdował jak dawniej piękną i całując rąbek jej szaty, powtarzał to. Fryda śmiała się rada.

— Twój pan, Buśku — zawołała — także zyskał na męskiej urodzie, a urósł na takiego bohatera. Jak rycersko wygląda!

Ruszył ramionami służka, który znał dobrze swojego pana.

— Królówko moja — szepnął poufnie — niema się go co bać. Jemu takie bohaterstwo przychodzi i odchodzi łatwo, a że się nie odmieni wcale, ja za to ręczę.

— Przecież dokazaliście cudu! — zawołała Fryda.

— My? — szepnął Buśko, — ani on ani ja się do tego nie przyznamy. Samo się to zrobiło.

Fryda się zmarszczyła.

— Niedobrze słuzysz swemu panu — rzekła, — kiedy mu ujmujesz sławy.

— Ja? ja go kocham jak własną wątrobę! — zawołał Buśko; — nikt go jak ja nie kocha, ale nikt lepiej go nie zna. Najwięcej o niego się boję, gdy mu najlepiej, bo tylko co nie widać, gdy on sam psuć zaczyna.

Rozgniewała się piękna Bodeczanka i nóżką tupnęła.

— Niegodziwy jesteś! — krzyknęła.

Buśko pocałował rąbek jej sukni.

— Królowo moja... wy mnie sądźcie surowo — odezwał się, — ja to mówię, abyście wy go trochę otrzeźwili. Zdobył, sam nie wie jak, cztery zamki... więc już o koronie marzy, i króla chciał z tronu zrzucić; a jemu gdyby Gniewków dali, dośćby dla nas dwu było.

Fryda popatrzała nań groźnie.

— Rozum swój zachowaj dla siebie — rzekła surowo.

Buśko odstąpił krok i widząc, że się wdał w nie-swoją rzecz, począł szeptać ciszej.

— Królowo moja, gdybym ja wam mógł opowiedzieć, jak on przez te lata ciężko za wami wdychał, a często wspominał... jak mi wasze pieśni w klasztorze sobie nucił kazał. A myślicie, że byłby swoją celę opuścił, gdyby go tu wasze nie wabiły oczy! Wszystko to, co on czyni, tylko dla was... byle wytrwał.

Tu usta sobie dłonią, jakby napuchłą, zamknął, śmiejąc się.

— Przecież sam mówisz i dowodzisz, że wytrwać umie — odparła Fryda.

— Ale nie we wszystkim — westchnął Buśko. — Z Dyżonu pojechaliśmy do papieża, tam nam nie chcieli nic dać i nie zrobić. Żeby był zaraz puścił się do Polski, jużbyśmy wszystką biedę przebrnęli, ale do Węgier, do siostrzenicy jechał. Cośmy tam czasu zmarnowali. Król omal go znowu w kaptur nie ubrał. Szczęściem, że o was pamiętał, piękna Frydo.

Bodczanka milczała, słuchając.

Dziewczynie kubek przynieść kazała i podała sama Buśkowi, który oddawna pożądliwymi oczyma do-koła rzucał.

— A! królowo moja — westchnął, kubek przyjmując — musiało mu w Dyżonie być bardzo tęskno... kiedy takie wino dobre porzucił. Ale on go tam czasem do ust nie brał, tak był stęskniony. Bywało, siedzi w nocy, nie śpi, wdycha, a gdy posłysz, że czu-

wam, albo o was rozpowiadać, lub waszą jakąś pieśń nucić mi każe.

Fryda była by słuchała chętnie opowiadań pochleb-
cy, który, skutek ich obrachowawszy, rad był ją kar-
mić niemi, lecz z izby gościnnej dochodził ją głos Bia-
łego. Pośpieszyła tam pod pozorem przygotowań do
zastawienia wieczerzy.

Rozmowa była bardziej jeszcze ożywiona, niż
przedtem. Biały na jawie marzył i zapalał się swemi
snami.

— W Gnieźnie — powiadał — mam moich przy-
jaciół; przekonałem się, że o mnie nie zapomnieli. Z ja-
ką serdecznością witał mnie tam pocziwy Hanko, i ja-
kiego mi pysznego darował sokoła!

To mówiąc, nagle zmarszczył się. O sokole zu-
pełnie był zapomniawszy wśród wypadków, żywo po sobie
następujących. Sokół, którego nie widział, wprawił go
w niepokój jakiś.

Wstał i postąpił ku drzwiom.

— Wybaczcie — rzekł — zapomniałem był o tym
sokole, a właśnie ze mną jest ten, któremu go powie-
rzyłem. Co zrobił, wiedzieć muszę.

I książę, cały już sokołem tylko zajęty, nie zwa-
żając ani gdzie był, ani na to, że nań wszyscy, zdzi-
wieni tą zmianą, patrzali, pobiegł ku drzwiom, woła-
jąc na głos Buśka.

Był gniewny i zapłoniony.

Buśko, który kubka dopijał w komorze nieco od-
dalonej, nierychło wołanie usłyszał i przybiegł z twa-
rzą wesołą. Na myśl mu nie przyszło nawet, ażeby
książę się miał o sokoła troszczyć i upominać.

Z twarzą groźną, głosem gniewnym Biały posko-
czył ku słudze.

— Trutniu! coś zrobił z Hanki sokołem? mów?
powierzyłem ci go? Gdzie się podział? kędyś go zo-
stawił?

Buśko dał mu się wyburezyć, milcząc nieco, znał
go dobrze. Wiedział, że ten gniew gwałtowny niebez-

pieczny jest, ale przejdzie rychło. Zmuszonym był skłamać na razie. Przybrał minę poważną.

— Miłościwy książę — rzekł z przybraną pokorą, niemal szydersko — nie mogłem razem pilnować osoby waszej i sokoła, zwłaszcza, że sokół był niespokojny, jak gdyby także myślał gniazda zdobywać... Zostawiłem go we Włocławku.

Książę ochłonął, odszedł go gniew, dał znak Buśkowi, aby szedł precz. Śpiewak się do ziemi pokłonił i zniknął.

— Sokół ten — powracając od progu, począł książę — jest wielkiej ceny, króla godzien... Nigdzie, nawet we Francji i we Włoszech takiegom nie widział sokoła. Buśko się nie zdał na niańkę dla tego wychowańca... muszę go tu do was odesłać, bo mnie teraz nie czas się nim zabawiać.

Wieczera była bardzo wesoła. Piękna Fryda, sama nie siadając, krążyła około biesiadników, stając najczęściej u krzesła księcia. Bodecza pił tyle, że mu się kleiły oczy, Dobrogost żywy spór wiódł z Arnoldem, mieli więc sposobność Fryda i Biały szeptać z sobą poufale.

Dziewczę było śmiałe.

— Buśko mi po swojemu baśni prawil — rzekła, — jakobyście wy mu moje pieśni śpiewać kazali. Nie wierzę temu... Gdybyście tęsknili za mną, nie zostawilibyście samej tak długo.

Książę-mnich był cały pod urokiem czaru, jaki kobiety wywierają, gdy dawno nie obcowało się z nimi poufalej. Wydawała mu się tak piękną, a nade wszystko tak ponętną tem, że mu jej oczy o miłości mówiły.

— Frydo — zawołał — Buśko nie kłamał, tęskniłem i dla was wyrwałem się stamtąd, gdy mi oznajmiono, że wolną jesteś. Frydo — dodał ciszej — jak skoro jeden z mych zamków umocnię, porywam cię...

Zarumieniała się Bodeczanka.

— Przywieź tylko z sobą księdza, któryby nam ślub dał... pojadę.

Książę zaczerwienił się i zmieszał.

— Stanie się to po twej woli — rzekł, — a gdy to dopełnię, uczynisz mnie niezwyciężonym, bo mojego szczęścia bronić będę...

Cichym szeptem skończyła się rozmowa.

Wtem przez okno przewlekłe, za błonami, wyjrzał czerwony, przekrojony nawpół księżyc wschodzący. Biały porwał się od stołu.

U progu stał Lasota, a za nim opończę okryty, rozkołysany napojem i uciśną rozmową, Buśko.

— Na koń! — zawołał Biały. — Musimy przededniem być w domu.

I dwie dłonie wyciągnął ku gospodarzowi i jego synom, ścisnął rękę Ulryka, a cofając się do progu w cień, Frydę ujął wpół i w czoło pocałował.

Lekki stłumiony okrzyk dał się słyszeć, na moście tętniało. Biały, świszcząc piosenkę jakąś, pędził z powrotem na zamek.

IX.

Upłynęło dosyć czasu, wiosna była w pełnym rozkwicie, upały letnie się zbliżały, książę i jego przyjaciele gotowali się do obrony na zamkach zdobytych.

W pierwszych dniach padła na nich trwoga; z Wielkopolski do Poznania głoszone o niezmiernych przygotowaniach Sędziwoja z Szubina, spodziewano się go co chwila. Z pośpiechem dopełniano liczby ludzi, potrzebnych na załogach, zwożono pochwytnane u wieśniaków zboże, siano i zapasy. Żale i skargi rozlegały się wszędzie, lecz ani Biały, ni jego ludzie nie zważali na nie.

Tymczasem dnie, tygodnie, miesiące płynęły, a Sędziwój z Szubina znaku życia nie dawał.

Wódz był cierpliwy a mądry. Rachował on na to, że długa obawa i próżne oczekiwanie zmoże i znu-

dzi nieprzyjaciela. Nie chciał krwi daremnego przelewu w domowej wojnie.

Czasu jednakże nie tracił.

Posłańcy jego przekradali się pod rozmaitemi pozorami do obozu Białego, wielu z nich zaciągało się w służbę jego, aby podpatrzeć, co się tam gotowało. Z tych ochotników niektórzy potem znikali, do Poznania zbiegając z językiem.

Wojewoda był najlepiej o wszystkim zawiadomiony.

Wahał się jeszcze, od czego i kiedy rozpocząć, lecz przygotował siły przeważne tak, aby być pewnym zwycięstwa.

Z rachuby jego wypadło na ten zamek naprzód uderzyć, który był pierwszy zdobyty.

We Włocławku wojewoda miał najwięcej oddanych mu ludzi. Gotowano wcześniej gmin i załogę, groźbami zemsty odbierając jej ducha.

Książę przebywał z kolei to w Złotorzy, to w Szarleju, to w Gniewkowie.

Z początku ściągali się różni z ochotą; zwolna jednak, gdy zapłata zalegała, niedostatek się okazał, przyjaciół ubywać zaczęło.

Stary Gniewosz tylko, Drzazga, Sikora, Lasota i kilku młodzieży, którym wojna pachniała, dwór księcia składali.

Trwał jeszcze książę w usposobieniu rycerskiem, w nadziejach najświetniejszych — i gdzie bez niebezpieczeństwa energię bezkarnie okazać było można, posuwał ją do gwałtowności i przesady.

Lecz po tych wybuchach często opanowywało go znużenie. Czas mu się wydawał długim, beczyność go wysilała. Na krok żaden napastliwy, choćby był chciał, porwać się nie miał czem. Ledwie było czem gródki poobsadzać.

Buśko, wpatrując się w niego, w twarzy chmurnej widział już symptomy blizkiej zmiany i zwrotu. Głową potrząsał, węzłki tem skrzętniej zbierał i zabezpieczał... ale nie śmiał mówić nikomu.

Zabawiano się tymczasem na zamkach, bo książę potrzebował podbudzających rozrywek. — Stoły zastawione były po całych dniach, a często i nocą. Gardłował przy nich Buśko, a czasem i ściągnięte z różnych dworów dziewczęta śpiewnice... Z Torunia dostarczano wina, które Krzyżacy z piwnic swych sprzedawali, przywożono przyprawę i wymyślniejsze przysmaki.

Chciał Biały oprócz tych zapasów i coś więcej u Krzyżaków dostać... i posłał do nich potajemnie, ofiarując się im jako hołdownik zakonu, jeśli mu pomogli do odzyskania dzielnicy. Zakon, czy niewiele rachował na takiego sprzymierzeńca, czy oszczędzał króla Ludwika, — czy inne miał rachuby, zbył księcia milczeniem. Nie przybył nikt stamtąd, i Białego na rozmowę nie zapraszano.

Książę obrażony, bo był wielkim zakonu wielbicielem i obrońcą, zwolna wymyślać nań zaczął, a lekce go sobie ważył.

Do książąt mazowieckich tajemne posły wróciły też z odprawą, obelżywą prawie.

Wszystko to, choć nie odebrało jeszcze całkiem odwagi księciu, zachwiało jego nadzieję, zaćmiło marzenia jasne... Pokrywał tajemnicą i milczeniem te niepowodzenia — lecz wieść o nich przeciskała się do przyjaciół i odbierała im ochotę służenia osamotnionemu.

Mieli też sposobność przez ten przeciąg czasu przekonać się, że Biały, który mówił i obiecywał wiele, do czynności niebardzo był skory.

Władał nim, kto chciał, tak rad był, ażeby go ktoś zastąpił i część ciężaru wziął na siebie... Gniewosz, Drzazga, Lasota rozkazywali, rozporządzenia ich często były sprzeczne; — książę, wzywany do rozstrzygnięcia sporu, zdania własnego nie miał.

Najulubieńszem zajęciem jego było, u stołu zasiadłszy, odgrażać się i, przyszłość odgadując świetną, nią się upajać.

Niekiedy zamykał się z Buśkiem, kładł na pościeli, ręce pod głowę, i śpiewać kazał, albo go ze słó-

wem jakim posyłał do Frydy i na odpowiedź czekał niecierpliwie.

Zdawało mu się, że ociąganie się Sędziwoja z Szubina było spowodowane postrachem jego imienia i znaczenia.

— Wie pan wojewoda — mówił, — że za mną Wielkopolska cała... i tylko na hasło czeka... a ruszy się. Ho! ho! mądry pan... Zna, że nie pożyje mnie łatwo!

I śmiał się, spozierając po swoich, z których wielu mu potakiwało; a gdy Gniewosz lub Lasota ozwali się czasem, że zbyt ufać nie można powolności Sędziwoja, książę się gniewał i bezmózgimi ich nazywał.

Zarozumiałość ta rosła jeszcze, lecz znużenie już z nią walczyło. Aż jednego poranku od Sikory przybiegło pacholę z oznajmieniem, że Sędziwój ciągnie na Włocławek. Sikora, którego tam osadzono świeżo, błagał o siłę większą, albo o odsiecz przynajmniej.

Jak piorun padła ta wieść na księcia i dwór jego...

Biały, który się jej wcale nie spodziewał, na czas jakiś oniemiał, zdrętwiał, obezwładniał... Nie umiał radzić — wygodniej mu było uznać to bajką, próżnym popłochem, niedorzeczną plotką.

Parę dni upłynęło na zupełnej beczynności. Lasota gotów był odsiecz prowadzić; Biały się pogniewał, ludzi od swego boku dać nie chcąc. Szło mu o własne bezpieczeństwo.

Posłano na zwiady pod Włocławek... Biały z niedowiarka stał się niespokojnym.

Przyjaciele, co mu patrzyli w oczy, spostrzegli, iż się zachwiał i nie wiedział, co poczynąć. Nie chciał się zamykać ani w Gniewkowie, ani w Złotoryi, ni w Szarleju. Wahał się to za jednym, to za drugim gródkiem, naostatek umyślił pozostać z oddziałem swym w polu, w obozie niby, aby przyjść z pomocą na zawołanie, gdzieby się potrzeba okazała.

Włocławek był już oblężony. Przybywający stamtąd opowiadali, że siły wojewody były wielkie, rycer-

stwo zbrojne doskonałe, a zamek tak opasany i zagrożony, iż niechybnie poddać się będzie musiał.

Wszystkiemu temu książę zaprzeczył, złażał posłańców, zamknął się w swym namiocie, a Lasocie rzucił tylko, by uczynił, co chce, ku obronie, bo go za nią odpowiedzialnym czyni.

Buśko głowę zwiesił. Godzina zmiany się zbliżała... Książę jeszcze się odgrażał wieszaniem zdrajców, karami okrutnymi na tych, co by się go ważyli opuścić — lecz... głowę tracił.

Było to codzień widoczniejszym.

Do obozu księcia pocichu dostała się wiadomość o groźnych listach królewskich, które ziemianom zapowiadały za pomoc daną księciu karę główną i zabór majątków.

Zwolna płochliwsi zbiegać zaczęli — szeregi się przerzedzały.

Od Sikory wreszcie przyjechał goniec, oznajmujący, że zamek tak był już opasany — iż od dni już dziesięciu żywności brakło, i głód do poddania się zmuszał.

Biały lajał i kłał tylko... odpędził posłańca — krzycząc, że się bez Włocławka obejdzie, jeżeli go nie poczcziwi zdradzą słudzy...

We dwa dni potem Sikora sam przybiegł, bo zamek mieszczenie i załoga do poddania się zmusili — a on, z murów się spuściwszy, gardło ratując — uszedł.

Gdy się ukazał, nie śmiano go prowadzić do księcia, nie wiedziano, jak mu o tem oznajmić. Gniewosz stary nie chciał brać tego na siebie, aby być zwiastunem klęski. Lasota odmawiał pośrednictwa. Przed dworem stał z głową spuszczoną, z rękami w kieszeniach Buśko. Ponieważ czas naglił, a wiedziano, iż staremu śpiewakowi wiele było wolno, napędzono go, aby on szedł Białemu o przybyciu Sikory oznajmić.

Zrazu słuchać nie chciał, opędzając się tem, że, jak mówił — jemu do tego nie! zawrócił się jednak, pomyślawszy, i poszłał do izby księcia.

Ten leżał na pościeli wyciągnięty, z rękami pod-

winiętami pod głowę i oczami w pułap wlepionemi. Ponieważ po chodzie poznawał Buśka, wzroku nań nawet nie zwrócił, posłyszawszy kroki.

Buśko siadł na swem miejscu zwykłym, na pieńku niskim, pokrytym gunią, i — westchnął.

— Jest tam gość — rzekł mruklawie — ale nie śmie wniknąć.

— Kto?

— Niedobry gość — zawołał Buśko, — ja nie chcę go oznajmować.

Podniósł się trochę książę i popatrzał nań.

Jak pałką po głowie Buśko go uderzył.

— Włocławek dyabli wzięli...

Zmarszczony książę opadł na posłanie.

— Wzięli — dodał, — no to co? Mieliśmy czterech, zostało trzy... i tego jeszcze aż nadto...

Biały milczał.

— Ja się tem nie zgryzę — mruczał Buśko, — a i książę nie powinien... he? Gdyśmy żadnego nie mieli, dlatego nadzieja była i nie rozpaczało się. Włocławek, prawdę rzekłszy, zawadzał nam... na co on był księciu?

Patrzal, mówiąc.

Biały, który łatwo się dał, gdy potrzebował bodźca, prowadzić lada komu, podniósł się z pościeli i odezwał:

— Na Boga, ten błazen ma więcej rozumu, niż my wszyscy... Nie ma od czego siwieć, ani czego rozpaczać...

Buśko głową kiwnął.

— Niechże panisko wyjdzie i pokaże im, że do serca nie bierze takiego bzdurstwa — rzekł Buśko. — Oni wszyscy księciu w oczy patrzą i co w nich czytają, to śpiewają.

— Kto przybył z tego Włocławka? — zapytał książę, który się wysilał na okazanie obojętności.

— Sikora! — rzekł Buśko, — głód ich zmorzył. Musieli pierwszych dni strasznie jeść i ogromnie pić... więc na krótko stało.

Książę z wolna podniósł się z posłania, suknie potargane na sobie ociągnął, pomyślał trochę, miecz, stojący u łóżka przy ścianie, przypasał, szyszak na głowę nałożył, w bok się wziął, rozprostował i począł iść ku drzwiom.

Buśko włókł się za nim.

Na przedsieniu stał Sikora, upokorzony, z rękami zwieszonymi, jak winowajca. Biały, zobaczywszy go, stanął naprzeciw. Udał, że o poddaniu się nic nie wie.

— Ty tu? — zawołał — pewnie zamek głodem wzięli? Ja to dawno przewidywałem. Nie przybyłem na odsiecz, bo o Włocławek nie tak wiele stoję, a siła na to szafować nie mogę.

— Mieszczanie i załoga winna wszystkiemu — odezwał się Sikora, — ja... trzymałbym się był jeszcze.

Książę ręką zamachnął obojętnie.

Wszyscy przytomni, patrząc nań, dziwili się krwi zimnej i przytomności księcia. Wistocie był już w takim stanie, że się musiał przed ludźmi ratować kłamstwem. Mówił, czego nie myślał.

W duszy miał wszystko za stracone, poczynął znużony szukać sposobu ratowania się z tej toni...

Nie przypisywał tych skutków swej bezczynności i zaniedbaniu, ale brakowi poparcia, na które rachował.

Obejrzawszy się dokoła, z miną dumną skinął na Gniewosza i poprowadził go do wnętrza.

— A co? — rzekł do niego — spuściłem się na was, pięknieście mnie pokierowali. Rachowałem na Wielkopolskę, zdradzili mnie... wywiedli w pole.

— Księciu przecie jeszcze Złotorya, Szarlej został i Gniewków! — odezwał się Gniewosz.

Biały ruszył ramionami.

— Sam nic nie zrobię — rzekł, — Wielkopolskanie mnie zdradzili.

Przeszedł się po izbie.

— Będę się bronił do upadłego — zawołał nagle. — Wezmą Złotoryę, zamknę się w Szarleju; zabiorą Szarlej, pójdę do Gniewkowa... dam się ubić na stosie gruzów!

Spojrzał na starego, śledząc jego myśli.

— Będziemy się bronili — odparł stary, nabierając ducha — ludzi na tyle grodów było za mało. Jesteśmy teraz silniejsi.

— I ja tak sądzę, silniejsi teraz jesteśmy — powtórzył książę.

Pomyślał trochę.

— Słuchaj, Gniewosz. Hm? o tobie mało kto wie, że byłeś ze mną. Gdybyś ty tam podjechał i u Sędziwoja dostał języka, dokąd myślisz ciągnąć?

Gniewosz drgnął trochę — niezbyt sobie życzył dostać się w ręce Sędziwoja.

— Ja bo jestem za stary i za ciężki — rzekł zwolna, — obrotniejszego potrzeba.

— Ale ty tu jeden rozum masz — przerwał Białły, — jedź, głowy ci nie zdejmą.

Gniewosz podumał, pochwlebiało mu poselstwo, nie sprzeciwiał się.

— A no — bąknął — kiedy trzeba, popróbuje.

Poszedł się przysposabiać do podróży. Książę kazał sobie kubek wina grzanego przynieść, wypił je i legł znowu do pościeli. Coś musiał robić — a ocho-ty nie miał do niczego. W sobie już nie czuł ani woli, ani mocy.

Buśko wszedł i siadł znowu na pieńku. Białły spojrzał nań.

— Słuchaj — rzekł cicho — wszystko to na nic... Namby sobie parę koni wziąć i ruszać nazad do Budy. Ja wiem, że Ludwik-by mnie dobrze przyjął.

Zawczasu jeszcze pokręcił głową Buśko.

— A cóż będzie z panną? Szkoda jej — i znowu każą w habit się oblec.

— I to prawda! — odparł książę, — masz rozum, ja zawsze mówiłem, że ty rozum masz!

Rozśmiał się mały.

— Ja też to samo mówiłem sobie zawsze, a to bieda, że oprócz księcia nikt mi wierzyć nie chciał.

— Ludwik — przerwał Białły — nie jest zły czło-

wiek, ale mu się zdaje, że jest taki wielki, iż drudzy przy nim nic nie znaczą.

— Ludwik? — powtórzył Buśko — zły nie jest, ale jak mu się robak nawinie pod nogą, to—zgniecie.

— Przecież ja nie jestem robakiem! — ofuknął Białły.

— Alboż ja to mówiłem? — odparł Buśko. — A zawsze mu się pod nogą nawinać niebezpiecznie.

Nagle porwał się książę z pościeli.

— Nie! nie! — zawołał — niema nic jeszcze straconego? Błazeństwo ten Włocławek... Przecie ja go wziąłem we czterech ludzi!

Rozśmiał się.

— Tak, a Sędziwój paruset potrzebował, aby mi go odebrać. Prawda?

Potwierdził Buśko, książę coś zanucił, śpiewak mu zaczął wtórować, lecz urwał nagle i spojrzał groźnie.

— Cały ten świat — krzyknął — panowanie, moc, bogactwo i baby, wszystkie błyskotki marne, garści kłaków niewarte... Plunąć na to! Niema się o co dobijać.

Zaczął się śmiać siedzący w kącie.

— Ja to jeszcze w refektarzu czasu postu u Benedyktynów, gdy śmierzdzącą oliwę dawali, powtarzałem — rzekł poważnie, — powtarzałem to nieraz, mając buty dziurawe, a książę się śmiał ze mnie.

Białły już może myślał o czym innym, fantazyja jego ciągle się na nowe przerzucała drogi.

Po wieczery był wesół bardzo, kazał grać i śpiewać Buśkowi, kazał ludziom wytoczyć piwa, być dobrej myśli, krzyczał głośno i naśmiewał się, ciągle powtarzając jedno, że gdzie on czterech ludzi potrzebował, to Sędziwój kilkuset.

Nazajutrz dodnia po tem rozweseleniu sztucznem, zrana wstał Białły wybladły, zestarzały, bezmówny, i na rękach sparłszy głowę, wzdychał. Pocichu znowu przyznał się Buśkowi, że wszystko było — stracone.

Tymczasem Gniewosz, wyprowadzony na zwiady, pościągnął ku Włocławkowi.

Przez cały dzień wlokąc się w słotę, która nagle go zaskoczyła po upałach, nie spotkał nikogo, z kimby się mógł rozmówić. Po gospodach przejezdni mówili, że Włocławek był wzięty, ale że przy oblężeniu go Sędziwoja nie było, tylko z ręki jego Jaśko Kmita. Zawczasu stanął na nocleg Gniewosz w wiosce kościelnej i na probostwo poszedł do znajomego plebana.

Zdziwił się, znajdując tu, choć już było po Zielonych Świątkach, świeżym tatarakiem wysłane izby, umiecione podwórko i jakieś przygotowania jakby na przyjęcie gości.

Proboszcz, ks. Wawrzyn, powitał go z uśmiechem.

— Nie wiecie, rychło wojewoda nadciągnie?

— Jak?

— A no, przecie go pewno poprzeczacie, nasz pan Sędziwój.

— Ale ja o bożym świecie nie wiem — odparł, cofając się, Gniewosz, — a jeśli się go spodziewacie, nie będę wam natrętnym.

— Owszem, zostańcie — prosił ksiądz Wawrzyn, — tylko co go nie widać.

Chciał złapany tak stary wysliznąć się, ale, nim go proboszcz puścił, już wojewoda z dworem swoim nadciągnął. U wnijsia zobaczywszy i poznając Gniewosza, zawołał nań:

— Chodźcie na plebanie, dobrze, żem was napytał, mam mówić z wami.

Stary trochę ścierpl, lecz strachu po sobie pokazać nie chciał.

Chwila upłynęła, nim wojewoda się rozłożył, przywitał, rozmówił z księdzem i mógł do Gniewosza zwrócić.

Był spokojnego umysłu, nie okazywał najmniejszej troski, i swobodnie tak poczynął sobie, jakby sprawy Gniewkowskiego księcia na świecie nie było.

Uczyniło to na starym wrażenie; wtem Sędziwój rzekł, rękę mu kładąc na ramieniu.

— Słyszę, byliście u ks. Władysława i musicie

wiedzieć, co on zamierza? Zli ludzie złą mu myśl podali, gubi się biedaczysko. Żal mi go...

Gniewosz tylko coś niewyraźnego przebaknął.

— Wiecie co, Gniewosz? byliście z nim dobrze, póki czas, ratujcie go.

— Cóż ja mogę, panie wojewodo? — zamruczał stary.

— Będziecie mogli, gdy zechcecie, powiedzieć mu słowa prawdy — ciągnął dalej poważnie wojewoda. — Dawno się od kraju oddalił, nie zna go, nie widzi tego, że się na żaden sposób nie utrzyma, gdy ja na niego pójdę; król nań zagniewany, mógłby go rozbroić pokorą, a tak nie otrzyma nic, życie może stracić, lub pójść na długoletnią niewolę. Włocławek wzięty, ten sam los Złotoryę i inne zamki czeka.

Ruszył ramionami.

— Nakazano mi największą surowość — mówił, — nikomu przebaczonem nie będzie... Głowy na karku niepewien.

Choć nieco przestraszony i otwartą mową Sędziwoja wywiedziony ze złudzeń, Gniewosz chciał spróbować stanąć w obronie Białego.

— Panie wojewodo — rzekł — trzeba bo mieć liść nad nim i pomiarkowanie. Przecież w jego żyłach krew naszych królów płynie...

— Tak — przerwał Sędziwój, — ale się ona tak zmieszała przez wieki z różnemi ścieki, że jej już tam nie poczuć i nie poznać.

— Żal go ..

— A co to pomoże, gdy sam sobie szkodzi i nie żałuje siebie — podchwycił Sędziwój. — Mnie go też żal... a dlatego, gdy moi żołnierze go ubijają, nie powiem słowa. Niema dlań ratunku, tylko pokora i prześląganie króla, którego zdradził.

— Wywłaszczono go niesprawiedliwie — rzekł Gniewosz.

— Jako żywo — sam on się wywłaszczzył i wyprzedził, pieniądze wziął od Kazimierza.

— Innym ponadawano dzielnice — odparł stary.

— Przecież mnichy nie panują, a on habit wziął, i choć go zrzucił, nie przestał być mnichem.

Zamilkł Gniewosz.

— Przyjacielem mu jesteście — rzekł, przybliżając się do starego, wojewoda. — Zaprawdę, powinniście do opamiętania go przywieść. Gdy nas do ostateczności doprowadzi, zły go los czeka. Poddawszy się, miałby we mnie orędownika.

Stary się namyślał.

— Naprawdę to mówicie? — spytał.

— Żart-by mi nie przysłał — odezwał się z powagą Sędziwój, — sprawa nie na drwiny, bo w niej o żywot i poczciwość chodzi. Bronić się może miesiąc, dwa, ale wkońcu osaczę go, wezmę, a gdy mi się w ręce dostanie...

Tu zamilkł nieco.

— Cóż go czeka? — spytał Gniewosz.

— U mnie sprawa króla i pokój kraju pierwsze oko w głowie. Jeśli warchoł ma nam wiecznie pokój mącić... — ręką pokazał na szyję — rzecz skończona.

— Okrutnikiem nie będziecie — szepnął Gniewosz.

— Sprawiedliwym być muszę — ciągnął Sędziwój, — a sprawiedliwość litości nie zna.

Gniewosz, pod którym nogi trochę drżały, przysiadł się w progu na ławie.

Wojewoda tymczasem z plebanem rozmawiał, śmiejąc się. Żartował z niego, że go obje ze swym dworem.

Zwrócił się potem do gościa, który powoli z ławy się poruszył. Stał naprzeciw niego.

— Wiesz co — rzekł — nie tak ja jestem serca okrutnego, jak sądzisz. Znasz księcia, jedź do niego, powiedz mu, niech w pokorę uderzy... będę sam za nim do króla przemawiał. Niech nie roi o Piastowskiej swej krwi, — ma przykład na Mazurach, którym rozumu nie brak, że najbezpieczniej siedzieć spokojnie. Król mu pewnie coś wydzieli, królowa się za nim przychyli. Niech siebie i ludzi nie gubi.

Tak rozpoczynając od niechcenia, Sędziwój, wi-

dzając, że Gniewosz powoli mięknie i przekonać się daje, nastał nań silniej, goręcej, namówił wreszcie, żeby do księcia jechał, a zaręczył mu, iż pokorą jedną się ocali.

Cały wieczór trwały o tem rozmowy — a nazajutrz, gdy Sędziwój ku Włocławkowi dalej ciągnął, Gniewosz się zawrócił szukać Białego.

Nie był pewien, gdzie go znajdzie, bo z księciem z dnia na dzień nic nikt przewidzieć nie mógł. Wśród nocy nagle wyciągnął w pole... zawracał i, coraz co innego wymyślając, natychmiast przyprowadzał do skutku.

Gniewosz śpieszył niespokojny. Wojewoda zupełnie go przekonał, iż opór i walka były próżne. Sam stary teraz, zbliżka się przypatrzwszy księciu, niewiele sobie po nim obiecywał. Chciał go ratować, gdy Sędziwój tak litościwym się okazał.

Właśnie książę tego dnia udał się był do Gniewkowa, stamtąd mając wielką ochotę nocą dobiedz do Drdzenka dla pomówienia z Ulrykiem i Dobrogostem. Już miał konie kazać siodłać, gdy Gniewosz zmęczony nadjechał.

Poszli z nim natychmiast do komory osobnej, lecz nim przybyły miał czas zdać sprawę ze swej wycieczki, Biały mu przerwał wykrzyknikiem:

— Wiesz, Gniewosz... ptak, którego mi w Gnieźnie darowano, przepadł! Buškę muszę kazać wsadzić w dyby.

Dziwny ten wykrzyknik pozostał bez odpowiedzi, książę też już zapomniał o pytaniu, o ptaku i o Bušku.

— Cóż przywozisz? — rzekł żywo.

Gniewosz z pewnem wahaniem rozpoczął ostrożnie opowiadanie. Biały słuchał go z pozornie natężoną uwagą. Brwi mu się ściągały.

Gdy stary w ostatku poselstwo swe sprawił, porwał się książę zapalczywie.

— Nigdy w świecie o łaskę ich prosić nie będę. Ginać raczej, ginać, jak mnie przysłało, z mieczem w dłoni. Sędziwój się mnie lęka. Jakże ty, stary nie-

dołego, nie dopatrzyłeś się tego, nie zrozumiałeś. Chcą mnie na lep ładajaki pochwycić... Nie — nie! To, co mówisz, dodaje mi otuchy. Czuje, że mam siłę, że za mną kraj cały! Włocławek! myślą, że się ulękne tego, iż mi go odebrali. Zrobili wysiłek, aby mnie przestraszyć.

Gniewosz zamilkł, nie mogąc przemówić słowa, tak prędko i zapalczywie książę, sam się podbudzając, coraz zasypywał go słowami.

— Zdrajcy! zdrajcy! wszyscy zdrajcy! ale ja się pokonać im nie dam. Zginę z mieczem w ręku, gołą garścią mnie nie wezmą!

Dał mu się wykrzyknąć stary i zamilkł.

Po chwili jednak zapal już przygasać zaczął, głos cichł, oko się zamgliło, książę padł na posłanie. Zaszła w nim zmiana. Zaczął wypytawać Gniewosza o szczegóły, powtarzać sobie własne wyrazy Sędziwoja.

Badał i nie odzywał się już z tem, co myślał. Trwało to dobry czas. Gdy Gniewosz zamilkł, Biały westchnął.

— Zresztą — rzekł cicho — cóż mi to szkodzi za poręką Sędziwoja na rozmowę się z nim udać potajemnie? Jak sądzisz? Nie pochwyci mnie?

— Słowo dał. Zjechać się możecie gdzieś na uboczu.

Biały głęboko się zadumał.

— Gotówbym z nim mówić — rzekł. — Któż wie? Ja tu tak bardzo na nikogo rachować nie mogę. Lasota mi nie mówił nic, ale Buśko codzień przynosi wiadomość, że ktoś w nocy drapnął. Ludzie mnie opuszczają. Gdym płynął do Ziemi świętej, pomnę, mówili marynarze, iż gdy okręt ma przepaść, szczury się z niego wynoszą. To są szczury... Znużony jestem, mój stary. Gdyby mi mój Gniewków oddali, nie potrzebowałbym więcej. Fryda Bodeczanka pójdzie za mnie. Papież mnie zwolni ze ślubów. Królowa Elżbieta przemówi za mną.

Gniewosz, który tylko co słyszał go zaklinające-

go się, że umrze z mieczem w ręku, popatrzał nań zdumiony.

— Chcesz, książę, bym mu widzenie się z Sędziwojem ułatwił? — zapytał.

Zwrot jakiś znowu nastąpił w umyśle Białego, zaciął usta.

— Sam nie wiem — rzekł. — Zobaczymy do jutra.

Szli spać. Książę sobie piosnki śpiewać kazał.

— Wiesz — rzekł do Buśka, któremu się ze wszystkiego zwierzał. — Możeby nam czas było spocząć. Ta wojna to obrzydliwa rzecz. Z konia na koń, ani zjeść, ni się wyspać. Bitwę rozumiem, ale nim do niej przyjdzie! I na co się to wszystko zdało?

Zamilkł i śmiejąc się, zapytał:

— Buśku — a tybyś się jeszcze ożenił?

Mały rozśmiał się.

— Gdybym księciem był — rzekł — czemu nie, a prostemu człowiekowi na starość!

Oczy się kleiły Białemu, który już dalszego wodu swojego śpiewaka nie słyszał — zasnął.

Jak na świt posłał książę po Gniewosza, musiano go budzić. Kazał mu się zbliżyć do ust swem uchem.

— Jedź do Sędziwoja — rzekł, — chcę mówić z nim — niech mi słowo da... i żeby o tem nie wiedział nikt. — Ptak mi zginął — to zły znak. Sen miałem niedobry — odpocząć pragnę. Niech Sędziwój mi Gniewków wyrobi. Ja tymczasem pojedę do Drdzenka i posiedzę tam. Bodecza i Bodeczanka zawsze mi radzi.

Wysłuchawszy polecenia, stary kazał sobie zgrzać piwa, różaniec na rękę wziął, i zabierał się wyjeżdżać, gdy zawołano go do księcia.

— Wiesz co? — rzekł Biały, wstając z pościeli — możebyś nie jechał. Sam nie wiem.

Gniewosz popatrzał nań zdumiony.

— Nie sądz-bo — nagle zawołał Biały, — że nie jestem pewny, co czynić. Owszem... lecz... — Bądź co

— bądź — dodał — wybrałeś się — jedź. Nie wiem, czy to na dobre wyjdzie, lecz namówiłeś mnie. Rób, jak chcesz.

I legł na pościel znowu. Stary przyjaciel smutny i chmurny siadł na konia.

KONIEC TOMU II-go.

I.

Nie czekał Sędziwój z Szubina na odpowiedź od księcia, którą Gniewosz miał mu przywieźć: nagliły i inne sprawy nie mniejszej wagi, a wedle przekonania jego, w związku będące z Białego napaścią i warcholstwem. Wielkopolanie burzyli się ciągle przeciwko rządowi Ludwika. Spokój przez nich zakłócony nie został dotąd, lecz wojewoda wnosił z pewnych poszlaków, iż lada zręczność wybuch spowodzić może. Gdyby się księciu Gniewkowskiemu powiodło, łatwoby za sobą mnogich mógł pociągnąć, którzy na rządy węgierskie narzekali.

Po ustąpieniu Ottona z Pilcy, po objęciu wielkorządów przez Sędziwoja, umysły się były cokolwiek uspokoiły; nowe rozporządzenie króla Ludwika rozjaśniało je więcej jeszcze, niż narzucenie Ottona z Pilcy.

Chciwy grosza, niezaspokojony tem, co mu rządy matki z Polski przynosiły, król Ludwik wzorem innych krajów, chciał w Polsce powszechną naznaczyć daninę. Nie wyjęte z niej było nawet duchowieństwo, dawniejszymi przywilejami od wszelkich opłat oswobodzone.

Ogłoszono rozkaz Ludwika, mocą którego tak ziemianie, jak dobra duchowne, składać mieli do skarbu «poradlnę», królewską czynsz, z każdego łanu wynosić mającą sześć groszy praskich i w naturze korzec żyta i korzec owsa.

Na owe czasy podatek to był znaczny, szczególnie dla rozrodzonych, uboższych ziemian.

Małopolska, Krakowianie zamożniejsi, zresztą pozyskani już na stronę Ludwika, przyjęli to prawie obojętnie; w Wielkiej Polsce wrzawę podniesiono niezmierną. Była ona zwiastunką tem upartszego oporu, że dotknięte duchowieństwo przyłączyło się do ziemian i jawnie trzymało z nimi

Odgrażano się na wszelki sposób, zjeżdżano, zmańwiano, wiązano i poprzysięgano, że jeśli król pobór ten wyciskać zechce, wówczas córek jego na tron po nim nie dopuszczą.

Stary obyczaj nie znał spadku tronu po kądzieli.

Wrzenie, jakie wywołało poradne w chwili, gdy jeden z Piastów najeżdżał swą dzielnicę i zamki zdobywał, niepokoiły Sędziwoja z Szubina. Należało mu i Białego jakimkolwiek kosztem odwieść od orężnego dobijania się swego księstwa i ziemianom dać jakąś nadzieję, że opór poradnego zostanie zmieniony.

W tym celu po drodze miał wojewoda zamówione spotkanie z Domaratem, kasztelanem poznańskim, w wiosce jego na uboczu położonej. Oprócz nich zjechać tam mieli dla narady przyjaźni królowi.

W kilka koni Sędziwój puścił się do Pierzchna, gdzie Domarat nigdy nie mieszkał, więc i dworu nie miał. Ledwie chatę dla włodarza i szopy dla stada i trzody.

Na łące pod wsią rozbite były namioty. Ziemian zjechało się już dosyć, — Grzymałów, Łodziów i innych szczytów, które królowi były życzliwsze.

Nadawała się wioszczyna niewielka, a na uboczu położona, do tego zjazdu, który nie powinien się był rozgłosić.

Można było sądzić, wjechawszy w zieloną dolinę, otoczoną lasami, w której nad jeziorkiem Pierzchno stało rozsypane, że się tu na jakąś wojenną gotowało wyprawę.

Ziemianie naówczas wszędzie z sobą rycerskie swe powołanie wieźli i gdziekolwiek zebrali się gromadnie, występowali zbrojno. Był to i obyczaj i potrzeba. Szczególniej w Wielkopolsce wiele rodzin od

pra-wieków tu osiadłych i napływowych z ziem innych, było z sobą w nieustannych zatargach. Zwaśnieni, bodaj na gościńcach się spotykając, rwali do mieczów, a ktoby bezbronny lub bez ludzi ruszył z domu, życiem to mógł przypłacić.

Kilkunastu gości u Domarata znaczyło około setnicy koni i czeladzi. Obozik więc zdala był jakby oddziałem, co na wyprawę się sposobił.

Namioty szare porozbijano między dębami, niedaleko jeziora, a że kasztelan izb nie miał na przyjęcie, na trawie i pod gołem niebem częstował po staroświecku.

Ludzie jego, koły powbijawszy w ziemię, wrota na nich od szop i śpichrzów pokładli; za misy służyły deski i łładysze a prosta glina.

Piwo w beczkach na skrzyżowanych kijach, z kubkami drewnianymi i wiadrami, do orzeźwiania przygotowane było.

Kasztelanowie i wojewodowie nie potrzebowali jeszcze wykwinniejszej strawy ni napoju, przynajmniej w podróży i obozie. Obyczaj smacznego ucztowania, korzennych przypraw, umiejętnie zaprawnych, winnych pigmentów i polewek powoli od krzyżaków wchodził, lecz brzydzili się nim ci, którzy w prostocie życia zabytek dawnego ojców obyczaju szanowali.

Sędziwój z Szubina w domu własnym przyjmując dygnitarzy i duchowieństwo, musiał na więcej się zdobywać, lecz w pospolitem życiu, więcej od drugich nie wymagał.

Z czarnego, świeżo wypieczonego chleba krajano kromki potężne, zjadano ser, było pieczone mięso, a przyprawą do tego — weselość.

Zaledwie się zjawił oczekiwany wojewoda, gdy wszyscy się ku niemu rzucili.

Domarat był mężczyzna średnich lat a wielkich sił i zdrowia rycerskiego, rumiany, hoży, krzykliwy, z sercem na dłoni. Witając wojewodę, z którym żyli w przyjaźni, wziął go wpół i niemal do góry na żart podniósł.

— Miłościwy panie! — krzyknął, zwracając się do tych, co go otaczali — należałoby was jako zwycięzcę podnieść na rękach.

— Żywie! — okrzyknęli inni, czapkami podrzucając.

Wojewoda śmiał się ale półgębkiem; czoło miał zmarszczone.

Tuż stali oprócz Domarata, Łodzia zwany Wilkiem, Grzymała Zębacz i kilku innych.

Podkanclerzy poznański Iwo stan duchowny przedstawiał; on też Łodziów szczyt nosił.

— Włocławek się poddał — dodał Domarat, — dobry znak, zatem rychło pójdą i inne zdradą ubieżone grody.

— Daj Boże! I ja się tego spodziewam — odparł zimno Sędziwój, — ale na to pracować potrzeba. Złe nie śpil!

— Uporaćby się z tem jak najrychlej — wtrącił Domarat. — Gdyby Białego który łucznik ustrzelił, — nie gniewałbym się. Bogu ni ludziom z niego nic, a póki żyw, my spokoju mieć nie będziemy.

— Jabym tego przekonania był — rzekł Sędziwój, siadając na pieńku, — żeby mu król dał do życia jaki wydział. Siedziałby spokojnie na nim.

— On? — pochwyił Domarat. — Nie utrzymał się w klasztorze, a miałby na małym kęsie dać za wygraną? Parę miesięcy byłoby cicho... Szepnąłby mu kto... podszczał, — wyrwałby się znowu.

— Przecież go wiek warcholstwa oduczył — westchnął Sędziwój.

— Ja w to nie wierzę! — zawołał Domarat.

Poczęli się wszyscy sadowić, gdzie kto mógł przy wojewodzie, który posępnym był ciągle i w ziemię patrzył.

— Nie w porę nam też król z poradlnem przyszedł — dodał. — Ci, co mu byli niechętni, pono w niebogłosy znów krzyczą.

— I odgrażają się — rzekł Wilk.

— Po dworach się Nałęczę zjeżdżają i wiecuja; krzyku dosyć — mówił Zębacz.

— Bo jest czego krzyczeć, gdy skórę drą, — wtrącił podkanclerzy poznański Iwo. — Niechby król z ziemian i kmieci brał, bo mu się coś należy, ale z duchowieństwa! A toć i nam poradne dawać każe. W coś się obrócić stare przywileje!

Książd, mówiąc to, ożywał się coraz bardziej, a był snąc gorącego terperamentu, bo mu krew na twarz występowała i ręce drżały, miotając się.

— Każą naprzód poradne nam płacić wbrew zwyczajowi, a dalej nas do innych ciężarów wpręgą. Myśmy przecie do tego nie obowiązani, — bo gdy ryccerstwo krew daje, my między ludźmi a Bogiem związek trzymamy... my dusze dajemy nasze... Siedzimy na tej ziemi, ale król i pan nasz w Rzymie jest... Ludwik do nas nie ma prawa, ani do dóbr naszych... Tak ci jest! — dokończył i o stół uderzył.

— Ojczy Iwonie — to i wy przeciw królowi? — odparł Sędziwój.

— Nie przeciw królowi, nie — zawołał Iwo, — ale przeciw tym, co mu źle radzą.

Zamilkł na chwilę książd i począł wprędce.

— Ale to poradne nietylko nam, — wszystkim ono niepomiernie zacięży. Panie Boże odpuść, czy go nie doradził kanclerz Zawisza dla przymilenia się panu, ale mu niem piwa nawarzył.

— Prawda — wmieszał się Domarat, — że wrzawa okrutna, że było ucichło i ulagodziło się, teraz znowu wre... Niechby król pamiętał, że córki tylko ma, a u nas córki nie dziedziczą. Nie dopuszczają ich, ani zięciów do tronu. Głośno to mówią.

— Wiem o tem — rzekł Sędziwój spokojnie — a no, gdy wielka wrzawa zawczasu, to i dobrze... Z wielkiej chmury mały deszcz bywa.

— Nie zawsze — szepnął książd Iwo. — Do pewnej miary człowiek znosi cierpliwie, wkońcu oszaleje...

— Właśnie gdy tak źle jest — począł Sędziwój, —

my, cośmy królowi wierni, powinniśmy starać się radzić i złego nie dopuścić.

— Do Krakowa—by z tem słać—rzekł Iwo, — my sami nic nie zdołamy; albo raczej do Budy, bo z królową Elżbietą o tych sprawach darmo chcieć mówić,— ona odsyła do syna.

— Tak! — szepnął, śmiejąc się, Domarat, — a syn odsyła do niej.

Spojrzeni po sobie, głowami potrząśli i umilkli.

— To bieda — dokończył kasztelan.

Sędziwój potoczył oczyma dokoła, jakby chciał się przekonać, że między swymi jest i otwarcie mówić może.

— Trzebaż było na ten czas właśnie, gdy się tu wszystko burzy u nas, aby Biały przyszedł jakby wyzywać niechętnych. Najmniej mu się poszczęści... gotowi się garnąć do niego. Dlatego wszystko muszę zaniedbać, a z nim skończyć,—inaczej nasza gromadka wiernych królów!..

— Ho! — zawołał Wilk — nie damy się.

— Z tem poradnem naprzód trzeba końca — wtrącił Iwo. — Póki ono nad nami ciężyć będzie, pokuju nie zaznamy.

— O poradne pewnie król zjazd zwołać musi... — rzekł Sędziwój.

— Znowu na Węgrzech? — spytał Domarat.

Milczenie było odpowiedzią.

— Król daleko odjeżdżać nie może, pewnie nad granicą gdzieś miejsce wyznaczy — dodał Sędziwój. — A że się spodziewa burzy od ziemian, woli ją przebyć pod własnym dachem.

Na wszystkich twarzach odbiła się ta wiadomość smutnie.

Ten i ów wtrącił coś jeszcze; troska była widoczna, a ks. Iwo więcej niż wszyscy złego przewidywał.

Z mowy jego już przekonać się mógł wojewoda, że duchowieństwo nawet najlepiej dla Ludwika usposobione, zniechęcone zostało i gotowe było opornym podać rękę. Zafrasował się bardziej jeszcze.

Tak upłynął czas do wieczora.

Gdy się to tu działo, Gniewosz powracał od księcia, szukając wojewody. Nie znalazłszy go, nalegając mocno, od dworu jego dostał wiadomość, że go w Pierzchnie trzeba było szukać i — nie chcąc z niczem powracać, puścił się za nim. Już była noc, gdy nadjechał.

Sędziwój przyjął go bardzo wdzięcznie. Widać, było, iż mu rozmowa z księciem była na rękę, w porę i wielce pożądana.

Z Domaratem pomówiwszy, gdy lepszego miejsca na takie pokątne widzenie się nie było, postanowił tu oczekiwać na księcia.

— Rzeczcie mu, że słowo rycerskie daję, iż ani zasadzki ni zdrady nie ma się obawiać ode mnie. Niech przybywa, wy z nim; czekać na niego będę.

Dano staremu Gniewoszewi przewodnika przez lasy na krótsze drogi, który raz jeszcze puścił się w podróż. Pana Boga prosząc tylko, aby Białego zastał takim, jakim go porzucił. Pomimo swojego przywiązania do niego, widział Gniewosz teraz, że na jego stałość liczyć wiele nie było można.

Przypisywał to i położeniu smutnemu, i rozdrażnieniu.

Niespokojny oczekiwał na przybycie posła księżę...

Ile razy gniewał się na siebie, iż zezwolił zjazd z Sędziwojem, i ile razy sobie winał tego, policzyć nawet nie mógł Buško, który z twarzy jego jak z książki czytał.

Nie przyznał się Biały przed nikim do tego kroku, którego się wstydził i wyrzucał go sobie.

Szczęściem, gdy Gniewosz nadjechał, trafił na chwilę dobrą; księżę postanowił był jechać.

Wyobrażał sobie, iż powagą swą, wymową, dostojnością ujmie i osłupi wojewodę, a wymoże na nim, co zechce... Zdawało mu się, że sprawa teraz dobrze stała, lepiej niż kiedy.

Sędziwój wzywał go do układów; musiał więc od króla mieć wskazówkę i pozwolenie na to.

Myśli tej chwyciwszy się, ksiązę, tryumfujący zawczasu, siadł na konia.

Służbie nie powiedział wcale, dokąd się udaje, a dozwalał domyślać się, że do Drzdenka na krótko jedzie. Nie wziął z sobą nawet Buśka; jeden tylko Lasota mu towarzyszył i parobczak niemy, którego zwykle używał, gdy chciał zataić, co czynił.

Z Pierzchna część gości się rozjechała nazajutrz. Oprócz Domarata pozostał ks. Iwo i Wilk. Ostatni spał dnia tego, bo dużo wprzód pił z wieczora.

Sędziwój, sam na sam chcąc widzieć się i mówić z księciem, namiot sobie osobno rozbić kazał na piaszczystym brzegu jeziora, ludzi poodprawiał i tu niespokojny oczekiwał na Białego.

Szło o to wielce Gniewkowskiemu księciu, ażeby postawą nawet i powagą w wojewodzie poszanowanie obudził. Najpiękniejszą więc zbroję, szaty, łańcuch, płaszcz włożył na siebie, a im biedniejszym się czuł, tem dostojniejszym chciał okazać.

Przyznać mu też to było potrzeba, że na krótki czas złudzić mógł, umiając się postawić, jak na Piasta przystało.

Tylko wpędce to panowanie nad sobą przechodziło; niecierpliwość czyniła go płochym, porywczym, dziecinnym, a powaga cała, przybrana mozolnie, znikła.

Im się bardziej lasami ku Pierzchnu zbliżali, tem ksiązę stawał się niespokojniejszym, konia pędził, nużyło go zbyt dlań długie już oczekiwanie.

Pokazało się nareszcie jeziorko, wioska i rozbity namiot u brzegu.

Ksiązę wysłał przodem Gniewosza. W chwilę potem Sędziwój przyjmował go u progu namiotu swojego.

Byli sami. Biały pomimo wielkiego wysiłku, już ledwie mógł się z krwią zimną utrzymać. Gdy do namiotu weszli, a wojewoda siedzenie ukazał, ksiązę milczący dotąd, spojrzał nań, wyzywając na słowo.

— Wierz mi, miłość wasza — począł Sędziwój spokojnie i chłodno, — iż tylko dobra chęć dla niego

do tego kroku mnie skłoniła... Nie rokując nic pomyślnego dla was, ksiązę, radbym od twardego losu osłonić... od gniewu króla, od wszelkiego nieszczęścia, jakie na siebie ściągnąć możecie...

Ksiązę poruszył się i przerwał.

— Za dobrą wolę dziękuję — ale nie widzi mi się, aby mi wielkie niebezpieczeństwo groziło. Mam przyjaciół, do stracenia niewiele, do zyskania, kto wie, ile... Wy też potrzebujecie pokoju.

Sędziwój wpatrzył się w niego.

— Jeżeli ksiązę łudzić się będzie tem, iż orężem coś na królu wymożesz — niestety, — źle się to skończy!

— Siły moje są aż nadto wystarczające na opanowanie zamków waszych, tak jak wzięliśmy Włocławek.

— Ubiedz je niespodzianie łatwo było; nikt nie przeczuwał naówczas żadnej napaści. Utrzymać się ksiązę nie będziesz mógł.

Przymuszony uśmiech przebiegł po ustach Białego.

— Król Ludwik jest tak na miłość waszą zagniewany, iż w listach swych rozkazuje mi postępować bez miłosierdzia, bez żadnego względu. Ani na życie wasze ręczyć nie mogę...

Pobladł, słysząc to, ksiązę.

W najgorszym razie — rzekł — królowa mnie obroni.

— Nie wiem, — odparł Sędziwój. — I za to ręczyć mogę, iż królowa srogi żal ma do miłości waszej. Możesz się ksiązę trzymać nie wiem, jak długo, wkońcu wpadniesz w ręce moje — to niechybna.

Próbował Biały uśmiechnąć się jeszcze, lecz nawpół zarysowany uśmiech jego zmienił się w wyraz troski, nim rozkwitnął.

Sędziwój, stojąc, mówił ciągle.

— Wierżaj mi, ksiązę, słowo rycerskie daję wam, ocalić was pragnę, a ocalenia innego nie widzę nad pokorę i zwrócenie się o łaskę i przebaczenie dla króla.

Biały porwał się z siedzenia.

— Ale ja chcę, ja muszę mieć dzielnicę moją! — zawołał. — To, co mi Kazimierz zapłacił za nią, sztyderstwem było, nie ceną. Należy mi się Gniewków! Kazimierz niechętnym był dla mnie, uciekać musiałem od gniewu jego. Dzielnica mi się należy.

— Nie przeczę, że żal i prawo jakieś książę mieć możesz — rzekł Sędziwój, — ale łatwiej zyszczesz wyrozumienie i łaskę, gdy prosić zechcesz, gdy do serca króla się odezwiesz, niż wyzywając go. Potężnym jest, obraża go to... Król Węgier, Dalmacyi i Polski mocen jest przecie pokonać was, a jeśli nie wywiera całej siły, to dlatego tylko, iż nadto jest jej pewnym.

Biały podparł się na rękę i zadumał.

— Niech miłość wasza rozważy, porachuje, co lepsze — dodał Sędziwój. — Ja zmuszać go ani chcę, ani mogę, ale proszę, byś litość miał nad sobą.

— A wy mi za króla ręczycie? odda Gniewków mój? — zawołał nagle Biały, podnosząc oczy.

— Ja ręczę za to tylko, że waszą sprawę całą siłą moją popierać będę — odezwał się Sędziwój. — Nie polecono mi nic; to, co czynię, z własnego serca i popędu robię, — król nie wie o tem. Użyję wszelkich środków, abym wymodlił u Ludwika przebaczenie...

— Przebaczenie — podchwycił urażony książę. — Ale ja ani łaski ani przebaczenia nie żądam — chcę sprawiedliwości!

— Król jest w swem prawie — odparł Sędziwój. — On wam nie odebrał Gniewkowa, spadkiem po Kazimierzem go wziął. Nie pokrzywdził was, — ale litościwym być i względny może.

Zachmurzyło się oblicze książęce.

— Wierz mi, wojewodo — rzekł, — tak mówiąc, my nic nie sprawimy.

— Boleć mnie to będzie — rzekł Sędziwój, — a no, inaczej ja nie mogę.

Przerwała się rozmowa na chwilę; wojewoda nalał kubki, podał je księciu, a widząc, że do ust niosąc swój, zawahał się Biały, jakby czegoś w tym napoju się obawiał, uśmiechnął się dumnie.

— Oto piję sam — rzekł urażony. — Masz więc książę dowód, iż mu nie podaję trucizny, a kubki zamiełmy.

Zarumienił się Biały, zmieszał i żywo kubek podany wychylił.

Roztargniony był, niespokojny i smutny. Sędziwój pozostał takim, jakim był, uprzejmością tylko nagradzając nieprzyjemne wrażenie, jakie na księciu słowa jego uczyniły.

Biały nie poczynił na nowo rozmowy.

Siedział czas jakiś milczący i zatopiony w sobie.

— Najuboższy z ziemian — odezwał się wreszcie — ma kawał gruntu, na którym panem jest; miałabym ja ojcowizny mojej być pozbawiony?

— Miłość wasza wyrzekł się jej sam — rzekł Sędziwój — wstępując do zakonu i poprzysięgając ubóstwo. Z tych ślubów, jak u nas mówią, papież go nie rozwiązał i król stoi przy tem, że książę do zakonu powróć.

— Nie, papież mnie uwolnił! — zawołał książę, — nie myślę wracać, nie!

— I w tem król by być mógł pomocnym, wstawiając się do Rzymu — rzekł wojewoda, — lecz potrzeba, byś książę go przejednał, a na to sposobu innego niema, tylko oddać mu zamki i prosić o przywrócenie łask i względów.

Książę potrząsnął głową, lecz poznać było można iż się te nadzieje, z którymi przybył, rozchwiały, że osłabł i niepewien był, jak ma postąpić.

Sędziwój powtarzał stale toż samo. Biały coraz się słabiej opierał, naostatek przedłużona aż pod wieczór rozmowa zamknęła się tem, że nie dając żadnej stanowczej odpowiedzi, książę prosił o dni kilka do namysłu i śpiesznie konia dopadłszy, uciekł od wojewody.

W drodze Gniewosz napróżno się chciał czegoś dowiedzieć od niego. Schylony na kark konia, rzucał oczyma dziko, zżymał się przez drogę całą, a przybywszy do Gniewkowa, rzucił się na pościel, na żadne nie odpowiadając pytania.

Nazajutrz wstał rano i poszedł oglądać zamek, liczyć swych ludzi, gniewając się i burcząc. Powróciwszy do dworu, legł, zawoławszy Buśka do siebie. Śpiwak i baśniarz siedział długo, nim się od niego słowa doczekał.

Zerwał się z łoża nagle i zawołał:

— Buśku! to są wszystko zdrajcy... Oni mnie wkońcu ubijają, albo w ręce królowi dadzą. Wolę sam mu się poddać.

Buśko aż podskoczył ze swego siedzenia.

— Poddać się? — krzyknął. — Mając trzy zamki? Poddać się?

— Jutro będzie ich może dwa, a pojutrze żadnego — rzekł książę szydersko. — Ludzie uciekają, z ziemian już połowy nie stało. Wielkopoleanie, co mnie tu wyciągnęli, opuścili... znikli. Wolałbym być Boga chwalić u św. Benigna!

Zdumiał się bazarz stary.

— A! tak — rzekł, — wino było dobre, ale strawa brzydka i księża surowi. Wolę tu, albo we Drzdenku, choć tam mnie piwkiem poją.

Przeszedł się książę po izbie.

Czas uproszony do namysłu jeszcze był nie upłynął. Jednego dnia napadła go chęć wojowania, kazał częstokoły bić na wałach i natychmiast odwołał rozkaz.

Ciągnęło się tak dni kilka. Nikt już nie mógł odgadnąć, co książę myślał, ale ci, co do niego przystali, coraz mniej mając w nim ufności, uchodzili.

Jakieś tajemnicze przygotowania zaczęły się około księcia; wysłał Gniewosza, nie pytał już ani o Złotoryę, ani Szarlej i... niespodzianie zniknął w nocy.

Tą razą Buśko mu towarzyszył, — Lasoty nie brał z sobą.

Jednego ranka siedział w Wielkiej Wsi Dersław, od skwaru schroniwszy się do chłodnej izby, w której ciemność panowała — i, prawdę rzekłszy, drzemał, gdy usłyszał w progu powitanie:

— Niech będzie pochwalony.

Przetarł oczy; przed nim stał Lasota.

— A ty co tu robisz? — zawołał, porywając się, Nałęcz.

— Przybywam was o gospodę na jakiś czas prosić — odezwał się Lasota.

— Książę cię odpawił?

— Nie... ale nam uszedł do swych przyjaciół, do Drzdenka, a zamki królowi poddać kazał, choć na rok żywności miały i bardzo się w nich mógł bronić, gdyby chciał i umiał.

Uderzył w szerokie dłonie Dersław.

— Otóż masz! Piastowska krew i nadzieje nasze na nich! — krzyknął rozgniewany i oburzony.

Trwało to chwilę; uspokoił się natychmiast Nałęcz.

— Ha! — rzekł — indziej sobie i kogo innego szukać będziemy musieli. Jeżeli Sędziwój sądzi, że tem już skończy wszystko, to się myli. Jeszcześmy nie dali za wygraną.

To mówiąc, wychylił się, przeszedłszy do drugiej izby, przez otwarte okno pięść złożył i zatrałił w nią znanym sposobem.

Nadleciał chłopak.

— Niech mi wnet siwego kulbaczą — krzyknął Nałęcz a żywo.

— A no, wieczór nadchodzi — odezwał się Lasota.

— Tem lepiej, bo skwar przejdzie — odparł Dersław. — Trzeba się Nałęczom naradzić, co czynić. Prawdę rzekłszy, rachowaliśmy na Białego; już, już a byliśmy go podparli i pomagali mu, ale na słomie się nie opierać!

Splunął stary.

— Konia! — powtórzył raz drugi i zwrócił się do Lasoty.

— A i ty musisz ze mną — dodał. — Żeś tylko co zsiadł z konia, to nie szkodzi w twoim wieku nic, będziesz mi potrzebny.

Nie pożegnawszy żony ani córki, Dersław wdrapał się na konia z pieńka u wniścia i oba ruszyli wyciągniętym kłuszem.

II.

Rok upływał, jak książę beczynny na zamku w Drzdenku gościł. W początku miał nadzieję pewną, że król ujęty jego pokorą, co najmniej mu Gniewków powróci. List pokorny i błagający wyprawił do królowej Elżbiety; zdawało mu się z dnia na dzień, iż goniec powinien nadjechać z Budy. Słabł nieustannie do Sędziwoja, domagając się skutku jego obietnic; wojewoda odpowiadał, że od króla nie było nic.

Jawnem się wreszcie stało, że król Ludwik, odebrawszy swe zamki, uspokojony, niedowierzający, żadnej siły nie chciał dać temu, który jej mógł nadużyć.

Gdy po zdaniu zamków, którego się nikt nie spodziewał, bo powodu do tego kroku jawnego nie było, Biały ze swym dworem, wozami i końmi zawitał po raz pierwszy do Drzdenka, prosząc Bodczy o gościnność i spowiadając mu się z tego, co uczynił. Fryda, dowiedziawszy się o tej dobrowolnej abdykacji, wybiegła rozniewana, bez mowy, drżąc, z rękoma załamaniem. Nie chciała wierzyć tak niecnemu poddaniu się, nie mówiła do księcia, odwracała się od niego.

Niemalby trud miał Biały, nim ją potrafił ubłagać, uspokoić i wytłómaczyć jej, że w ten sposób tylko dzielnicę swą odzyska.

Śmiała i przenikliwa kobieta rzuciła mu w oczy wymówkę najboleśniejszą tchórzostwa i łatwowierności.

— Nie dostaniecie teraz nic! — zawołała mu — nic! bo was się nie lękają i nie potrzebują.

Jednakże oczekiwano, choć niecierpliwie się zżyając, odpowiedzi.

Biały pozostał w Drzdenku, pił i rozprawiał z Ulrykiem i Dobrogostem, ściągał do siebie potajemnie przyjaciół na przemiany rojono nadzieje i obmyślał plany zemsty, gdyby się nie ziściły.

Po kilku miesiącach, po coraz zimniejszych odpowiedziach Sędziwoja nie było już wątpliwości, iż księcia zbywają niczem.

Byłby się może dał zrażony i zniechęcony zamknąć

gdzie w klasztorze i przyjął opactwo na Węgrzech, gdyby nie Fryda.

Ona mu nie dawała pokoju... Ona ściągała do Drzdenka ludzi, kupowała sprzymierzeńców, wymyślała różne środki rozpoczęcia na nowo tego, co raz tak nieszczęśliwie się skończyło.

Łatwy do przekonania, zmienny a słaby, książę poszedł pod jej rozkazy.

Drzdenko stało się gniazdem nieustannych narad i przygotowań. Dniami i nocami przyjeżdżali tu posłańcy i biegli słudzy na różne strony. Zaciągano ludzi, których oddziały w sąsiednich lasach utrzymywano, dopóki ich nie zebrało się tyle, aby coś z nimi rozpocząć można.

Stary Bodcza, synowie jego Ulryk, Dobrogost i Arnold czynnie księciu pomagali. Nie było dnia bez zjazdu w Drzdenku lub okolicy. Ociągającego się księcia sromem wypędzała Fryda, zmuszała do czynności, i naostatek rozbudziła w nim ducha aż do szaleństwa.

Znowu mówił o mieczu swym, o waleczności, o tem, że musi być zwycięzcą lub umrze.

Dawnych pomocników z Gniewkowa, ze Złotoryi ściągano pieniędzmi i obietnicami.

Cały ten ruch nie uszedł baczного oka Sędziwoja z Szubina. Niepokojono się nim nieco w Poznaniu i nąglądano zdaleka.

Szczęściem, wielkopoleanie, zawezwani na zjazd do Koszyc, gdzie się o królewską przysięgę mieli z Ludwikiem rozprawić, — przewodzący ruchu, głowy, bez których się nie poczynano — nie byli w domu; nie mógł więc Biały wielkich sił z Wielkopolski ściągnąć, choć na niechęć kraju tego coraz jawniejszą rachował.

Pomimo to, z różnego ludu waleśającego się po nad granicą z ludzi luźnych, gawiedzi chciwej zarobku, a lekko ceniącej życie, kupka się jakaś zebrała.

Szpieszy Sędziwoja donieśli mu o niej; podsłuchano, że Biały miał nadzieję naprzód napaść Złotoryę.

Rachowano na to, że dowództwo nad nią oddał był Sędziwój szwagrowi swemu, owemu Krystynowi ze

Skrzypowa, któregośmy u niego widzieli. Wymodlili on je sobie na klęczkach.

Gdy niebezpieczeństwo zagroziło Złotoryi, Sędziwój postrzegł, iż niewiele może liczyć na szwagra, ani na jego czujność, ani na odwagę. Doniesiono mu, że Krystyn, po całych dniach z ładu pachółkami pijąc, zabawiał się. Postanowiono więc zastąpić go kim innym.

Wszystko, co się działo w sprawie Białego księcia, naprzód szło do Frydy Bodeczanki, a przez nią dopiero dostawało się do niego.

Książę siadywał rycersko i starannie ubrany po całych dniach w jej izbie, słuchał, co mu mówiła, napawał się tem, rozgrzewał, i posłusznie kroczył, gdzie mu wskazała.

Dnia tego nad wieczór znajdujemy go także w komorze Frydy, która chętnie trzymała przy sobie księcia, z obawy, aby zostawiony sam sobie, nie zmienił usposobienia.

Na przemiany, śpiewając mu rycerskie pieśni, opowiadając dzieje bohaterów i szczęśliwych zdobywców państw i królestw, śmiejąc się z nim, przynosząc mu czasem upiękzone wiadomości i nie całkiem prawdziwe z kraju poselstwa, Fryda umiała go zagrzewać tak, aby się do nowego trudu nie zniechęcił. Obiecywała mu powodzenie niechybne.

Podbudzony przez nią książę, nietylko już w nie wierzył, ale śmiało nadziejami ją wyprzedzał.

Uległy tej kobiecie, którą za narzeczoną swą uważał, bez której żyć nie mógł, jak powiadał, głośno oświadczał, iż ją poślubi, że gotów jest sam iść o to prosić papieża.

Fryda pierwsza obmyśliła opanowanie Złotoryi, budując je na nieopatrzności i pijaństwie Krystyna. Miała tam już swoich ludzi, stosunki, przekupionych w załodze, którzy wrota otworzyć mieli.

Patrzając na ich dwoje, gdy razem z sobą byli w tej komorze Frydy,—na niego rozpartego na wygodnem siedzeniu, pobrzękiwającego na cytrze, zapatrzonego

w pułap, bawiącego się albo jej różańcem na stole rzuconym, lub rąbkiem zapomnianym, rozprawiającego o przyszłości, jakby baśń układał,—a na nią żywo poruszającą się, odpowiadającą krótko i rzeźko, spoglądającą nań z góry, rozkazującą—można było posądzić, że on był przebraną niewiastą, a ona,—mężczyzną.

Biały coraz większe miał dla niej uwielbienie, chciał się podnieść w jej oczach, bo mu często dokuczała szyderstw, aby go do czynności pobudzić.

Dnia tego Fryda wyszła była z komory swej na chwilę, bo ją często odwoływano. Niespokojną była i rozdrażnioną. Na zapytania księcia nie chciała jednak odpowiadać, bo zwykle tała przed nim wszelkie trudności i małe niepowodzenia, aby go nie zrażać niemi.

W czasie niebytności jej Biały w myślach się zatopił, zachmurzył. Nie lubił być sam z sobą, bo go złe przeczucia ogarniały. Potrzebował zawsze kogoś, coby w nim wygasający ogień podniecał.

Najmniej do tego przydatnym był Bodecza, mało-mówny i ociężały, zabawiający przyszłego zięcia namową do kufła, bez którego sam obejść się nie mógł. Ulryk, Dobrogost lub Fryda najmiłsi mu byli, a w niedostatku ich, choćby Buśko, który śpiewał lub śmieszył go, albo słuchał niedorzeczności, które prawił.

Na dłuższy nieco czas pozostawiony sam sobie, książę zaczynał tęsknić i znajdować, że niepotrzebnie narazić go chciano na nowe niebezpieczeństwa.

Sądził, że jadąc do Budy, do królowej-siostrzenicy, daleko tam więcej i łatwiej mógł sprawić nad to, co mu kazano takim trudem zdobywać.

Myśli te już go całkiem zaczynały opanowywać, gdy drzwi otworzyły się z łoskotem i Fryda weszła krokiem zwycięskim, z piosenką na ustach.

Wzięła się rękami w boki, postawę przybrała męską i stanawszy naprzeciw księcia, zawołała:

— No... rozbudźcie się! widzicie, że wam dobrą wieść przynoszę!

Książę, który był rozciągnięty niedbale na siedzeniu, porwał się.

— Dobrą? — zapytał.

— Tak... bo ja tylko dobre zawsze wam przynoszę! Toście już wiedzieć powinni!

Nie mówiąc nic, — czekał ksiązę na spełnienie obietnicy. Fryda patrzała nań z rodzajem politowania.

— Dwa dni — zawołała wesoło — chodziłam z kamieniem na piersi. O mało nie rozbiło się wszystko o przenikliwość tego przekłętogo kłamcy Sędziwoja, który raz już was uwiódł. Wiecie, że w Złotoryi dowodzi szwagier jego, Krystyn, który pije po dniach całych, a po nocach, jeśli nie pije, to śpi pijany. Takiego nam tam właśnie było potrzeba! Sędziwój precz go chciał wziąć ze Złotoryi, bo już coś czuje i obawia się o nią.

— O! niegodziwy! — zawołał ksiązę — ale cóż na to poradziliście?...

— My nic, ale Krystyn sobie poradził. Srom dla niego okrutny być wyrzuconym. Dobiegł do szwagra, pojechała z nim żona, jeli modlić i błagać...

Fryda w ręce klasnęła.

— Wrócił Krystyn nazad do Złotoryi, poprzyśiągłszy tylko, że jej do zdechu bronić będzie.

— No! i na ostrożności się teraz mieć musi! — zawołał Biały. — Cieszyć się niema czem.

— Oh! on, stary pijanica! — zaśmiała się Fryda. — Oprze się nieprzyjacielowi! nie wątpię, że z mieczem w rękę bilby się do ostatniej krwi kropli, ale miecz mu wytrącimy z dłoni. Przykaż ksiązę swym ludziom, aby pod Złotoryę byli gotowi i... zbliżyli się ku niej.

Zdumiony patrzył na nią Biały, Fryda się śmiała.

— Mam tam — rzekła — dobrze opłaconych ludzi, rybaków, którzy mu jutro wieczorem dobrą baryłkę mocnego wina z Torunia przywiozą i... pić je z nim będą.

— Z rybakami, on? — zapytał, powątpiewając, ksiązę.

— Piłby choćby z parobkami, byle pić, aby wino było dobre — podchwyciła Fryda. — Przysięgli mi, że go na śmierć spoją.

Naówczas, gdy jak kłoda leżeć będzie, mamy ludzi, co nam wrota otworzą. Zamiast krwi przy zdobyciu Złotoryi, poleje się... tylko wino.

To mówiąc i uderzając w ręce, zawróciła się z podskokiem i zawołała nakazująco:

— Ale rozbudźcie się, ksiązę! Wstań, idź, każ ludzi pozbierać, bo się pewnie po wioskach rozleźli. Nie trać czasu, żywo!

Ksiązę chciał już odchodzić posłuszny, gdy Fryda, kładąc rękę na ramieniu, zatrzymała go.

— Złotoryę tak jak mamy! — rzekła, — jestem swojego pewną! Nie popsuj-że mi, ksiązę, znowu tego, cośmy ledwie w części mogli naprawić.

Biały słuchał z pewnym rodzajem upokorzenia.

— Tak! — dodała. — Ksiązę jesteś nadto dobrym... nadto łagodnym. Potrzeba być nieubłagany, trzeba być okrutnym. Niech wszyscy drżą przed księciem. Pamiętaj!

Stał jeszcze zadumany ksiązę, jakby ważył, co mu powiedziano... i chciał coś odpowiedzieć na to, gdy Fryda wyciągnęła rękę z uśmiechem.

— Daj mi na to rękę i słowo! — zawołała — będziesz srogim! Wielkie dzieła nie dokonywują się miękką ręką, — krew łać się musi. Kto chce panować, musi walczyć, a co mu na drodze staje — sprzątać... Tylko grozą dokazać coś można!

Palily się jej oczy, gdy to mówiła, rozjaśniła twarz, pierś poruszała się żywo, uczucie odmłodziło ją, stała się piękniejszą, niż była.

Biały pod urokiem tego blasku, który twarz jej rozjaśnił, — wyciągnął dłoń, objął ją drugą ręką i chciał do piersi przycisnąć, ale mu się wyrwała.

— Idźże, ksiązę — zawołała natarczywie, — dość będziemy mieli czasu na słodkie słowa... gdy zostaniesz zwycięzcą, gdy będziesz tym, kim być powinienes... Idź.

Jak popchnięty słowy temi, ksiązę upojony, rozżarzony, wybiegł żywo, wołając na swych dworzan.

Wprędce potem zatętniało. Fryda, patrząca z ok-

na widziała, jak siadł śpiesznie na konia i ku lasom się oddalił.

W Złotorzy wistocie dowodził znowu Krystyn ze Skrzypowa, ale, choć przysiągł bratu żony, iż nie zaśpi godziny jednej, że czuwać będzie dniem i nocą, a za Złotorę gardłem ręczy, powróciwszy do domu, zażądał napoju, którego mu żona odmówiła.

Powstała kłótnia małżeńska; pojono go wodą, dając jeść, co chciał. Krystyn był wściekły; żona stała na straży.

Wtem wieczorem znać dano, że rybacy przynieśli mu podarek. Ogromny szczupak wzbudzał podziwienie wszystkich, ale oprócz niego pod połą siermięg ukryta była barylka wina.

Krystyn wziął ich na rozmowę do siebie. Tu się dopiero okazało, jak poczcwi ludzie byli ci rybacy!

Na widok barylki starosta odżył. Natychmiast musiano skosztować napoju. Wino było z krzyżackiej piwnicy z Torunia, i, jak upewniał Sumak, starszy z rybaków, to właśnie, które tylko sam mistrz pijał z marszałkiem.

Nalano kubki.

Za późno dowiedziała się o tem żona! Chciała barylkę zabrać, ale Krystyn postawił się jej tak groźnie, iż ze łzami ując musiała; aby nie była przeszkodą wesołej chwili, zamknęto płaczącą babinę.

Zaczęli pić natychmiast na złość upartej niewieście.

Sumak i Trzysz, dwaj wybrani do upojenia Krystyna rybacy, sławni byli z głów twardych, lecz i starosty lada czem powalić nie można było. Barylkę dopijano, gdy jeszcze stary szermierz przytomnym był i trzymał się na nogach. Trzysz na dany znak, wskok popłynął po drugą. Tymczasem Sumak pilnował, aby pierwsza wysuszona była do dna.

Starosta i rodem i stosunkami wielki pan, przy kubku najlichszego człeka do siebie przypuszczał i tak się z nim godził, jak gdyby nigdy z lepszymi nie bywał.

Z prosta go żartami zabawiając grubemi, Sumak pilnował, aby na jego jeden kubek starosta dwa i trzy wychylał.

Więc, choć głowę miał dobrą, gdy barylkę kończyli, już w niej nie było bardzo jasno, tylko humor coraz lepszy przychodził.

Trzysz, który po wino do Torunia popłynął, oprócz tego, jakie dla starosty miał przywieźć, beczkę miodu starego, mocnego dla czeladzi z sobą zabrać postanowił, a starosta, sam pijąc, dla załogi też piwa kazał wytoczyć z odbitej gwałtem piwnicy.

Starszyna zamkowa piła w jednej izbie, rybacy ze starostą w drugiej, czeladź na podwórcach, i jak się wzięła ta pijatyka z wieczora, końca jej nie było.

Krystyn, gdy raz sobie podchmielił, obyczajem nałogowych pijaków, pragnienia dostawał nienasyconego, lał w siebie i w drugich bez miary i końca.

Zagrzano winem, które mu coraz lepiej smakowało, gębę też rozpuścił i płótł, co miał na sercu, a że na niem kamieniem leżało to, iż mu Sędziwój niedowierzał i z zamku chciał wyrzucić a innemu go dać, ciągle powtarzał:

— Ogadali mnie źli ludzie, że ja już do niczego i nawet tej dziury obronić nie potrafię. I od kogo? od takiego trutnia, jak ten Biały książę, który garść ludzi ma ledwie, ciurów, włóczęgów, żebraków!

Otóż, niech przyjdzie, niech spróbuje, a ja mu; tu pokażę, co Krystyn ze Skrzypowa może! Ja im pokażę!

Sumak i przybyły z nową barylką Trzysz potakiwali mu w najlepsze.

— Co tu się bać? kogo! Tego wywłoki, który ani pieniędzy, ani wojska nie ma!

Starosta się odgrażał.

— Jabym chciał, żeby on się na Złotorę porwał; dałbym co za to... bobym go zbił, albo może i pochwylił. Mówią na mnie, że stary niedołęga i — piję. A pewnie, że piję, gdy jest co pić, bo mnie to życie daje. Słuchaj, Sumak — dodał, — ty, choć prosty

rybak, ale człowiek dobry i na winie się znasz. Ja prze twoje piję.

Pił potem prze zdrowie Trzysza, a później i Krzyżaków, co mieli rozum i takie wino sprowadzali.

Śmieli się i podśpiewywali. Sumak i Trzysz patrzyli tylko, rychło go upoją. Byłci dobrze oszołomiony, lecz jeszcze zmysłów nie stracił.

Nalewano więc dalej a zachęcano, aby w baryłkach nic nie zostało.

Czeladź i starszyzna już w znacznej części była snem zmorzona i legła, gdzie kto mógł: na ławach, na stołach, w przedsieniach i w podwórzu pod ścianami. Na zamku coraz się robiło ciszej; noc była późna, a starosta jeszcze opowiadał swym towarzyszom dzieje dawne, szczególnie wypadki, w których on wszystkich pogrzebłszy przy pijatyce, sam został prawie trzeźwym i ani go potem zabolala głowa.

Jednakże wśród tych gadek i śmiechów Sumak postrzegł, że starosta chwiał się na jedną i drugą stronę, głowa mu opadała na piersi, usta stały otworem, a oczy się mimowolnie kleiły.

Widząc to, rybacy jeszcze mu kubek naleli, namówili, że wypił i pokłoniwszy się do nóg, a polecając łasce jego, na co im bełkotaniem odpowiedział, odeszli.

Miało się na brzask, gdy wszystko w zamku we śnie głębokim pogrążone zostało. Była to wigilia Wniebowzięcia Najśw. Panny, więc nikt dla tak świętego dnia nie potrzebował nazajutrz do pracy się spieszyć i zasypiali wszyscy szczęśliwie.

Sumak i Trzysz chcieli się wydobyć z zamku, aby dać znać, iż pora nadeszła kusić się o zdobycie jego, lecz nie mogli znaleźć i dobudzić się nikogo, aby im furtę otworzył. Sami zaś nie umieli i nie mogli sprostać zamkowi, kluczków nie wiedzieć kędy było szukać.

O mało więc cały ten postęp i zachody nie spełzły na niczem. Czas upływał, ludzie mogli, wypawszy się, przetrzeźwieć.

Tymczasem ci, którzy obiecali dopomagać, tak

spali jako i drudzy. Sumak nadaremnie szarpiąc ich i bijąc, usiłował rozbudzić.

Musiał więc ostatecznego użyć sposobu; wlaższy na blanki, że się spodziewał kogoś z ludzi Białego w pobliżu, poczał wołać:

— Bywaj!

Jakoż, gdy trzykrotnie na różne strony powtórzył wołanie, posłyszał sykanie i lekkie huczki od dołu.

Pochyliwszy się, znowu nawoływać poczał.

— Drabiny przystawiajcie, a rącko, bo teraz wszyscy śpią. Wrót otworzyć nie ma kto!...

Znalazły się śnać przygotowane drabiny i w chwili potem na blanki drapać się zaczęli co najśmielsi. Tu ich Sumak i Trzysz przyjmowali, napędzając, aby się nie ociągali.

Wszystko było we śnie pogrążone.

Ze dwudziestu naprzód ludzi po drabinach wpadło na zamek, i zaraz po podwórzu się rozsypali wiążąc pijanych a broń im odbierać, co się tak szczęśliwie udało, że nikt prawie nie krzyknął, a wielu nie czuło, co się z nimi dzieje. Kilku do furty się dostało, i kluczy nie szukając, wyłamano ją łatwo.

Stał tedy zamek otworem dla reszty, i cała gromada Białego pod dowództwem Drzazgi na zamek wtargnęła.

Nie śpieszono do starosty, bo Sumak ręczył, że leży jak kłoda i ani go wiązać, ani się o niego lękać nie potrzeba.

Zabierało się na dzień, gdy wszystko było skończone, a dwaj rybacy pośpiesznie uszli.

Drzazga, mając sobie wskazaną izbę Krystyna, postawił u drzwi straż. Umówionem było z księciem, który sam się narażać nie chciał, pewnym nie będąc powodzenia, iż miał w miejscu bezpiecznem oczekiwać na wiadomość.

Posłano do niego, gdy wszystko było skończone, a nawet załogę pobraną w niewolę i powiazaną do lochów sprzątnięto.

Książę nadjechał zdyszany, rozgrzany i uradowa-

ny. Utkwiło w nim to słowo Frydy, które obiecywał sobie wziąć za wskazówkę i być mu posłusznym—słowo, zalecając nieubłaganą surowość.

Przypisywał teraz sam wszystkie swe niepowodzenia zbytnej powolności i pobłażliwości.

Przez cały więc czas, gdy do zamku jechał, najuroczystsze sobie samemu dawał słowo, poprzysięgał, iż będzie postrachem, będzie tyranem okrutnym, gdy na nieszczęście, inaczej nie można było być zdobywcą...

Pierwszy przykład srogości tej chciał zaraz dać na Krystynie ze Skrzypowa.

Nic mu ten winien nie był, ale jako szwagier Sędziwoja z Szubina, przeciw któremu książę pałał największą żądzą zemsty, musiał za niego pokutować.

Biały, który miał przy sobie jednego Buśka, do którego mógł mówić otwarcie, potrzebując wywnętrzenia i przechwałki, odwrócił się do niego.

— Słuchaj, Buśku, z Krystynem starostą co zrobić? Powiesić go? he?

— Paneczku... na Chrystusa Zbawiciela, a toż za co?

— Za co? lądak jest! pies jest! niegodziwiec. Odgrażał się przeciwko mnie, bezcześcił, nazywał wywłoką... Są ludzie, co słyszeli!—wołał Biały gorąco.—Dosyć wreszcie, że Sędziwoja szwagier... za to wisieć powinien.

— Miłościwy panie — rzekł, — jak wy zaczniecie wieszać, to oni nas potem będą też ciągnęli do góry. A, uchowaj Boże, mnie wezmą...

Książę się po swojemu zadumał.

Buśko głową kręcił.

— Paneczku — rzekł Buśko. — Wieszać to z tego nikomu nic nie przychodzi... chyba krukowi i robactwu. Czy nie lepiej okup wziąć, a teraz go do ciemnicy posadzić?...

— Na Boga! rozum masz! — krzyknął książę. — Rzucić go okutego do więzienia i niech Sędziwój ratuje męża siostry... tysiąc kop...

Buśko się rozśmiał.

— Tyle on nie wart — rzekł, — jabym go za pięćset dał, wygłodziwszy...

Biały nic nie odpowiedział, bo właśnie stanął u otwartej bramy.

III.

Piękny ranek sierpniowy oświecał obraz, który oczom księcia mógł się wydać bardzo uroczym a malowniczym był wistocie.

U wrót otwartych, których brona była podniesiona, stała kupa wesołych, śmiejących się, pokrzykujących ludzi.

Ktoby nie wiedział, z czego się składało wojsko Białego, spojrzawszy na tych ciurów, łatwoby poznał zbiegów, włóczęgów, warchołów i hołyszów po gościńcach i lasach pozaciąganych.

Wprawdzie ledwie dostojniejsze dwory i pułki naówczas jednostajnem uzbrojeniem i strojem pochwalić się mogły, lecz najlichszy dwór biedniejszego nawet ziemianina czyściej i porządniej wyglądał, niż Władysławowskie ciury.

Ani wzrostem, ani twarzami, ani postawą dwu prawie nie było do siebie podobnych; tylko włóczęga, tułanie się po lasach, niewygody i ubóstwo czyniły ich z sobą pokrewnymi.

Nie było na jednym opończy całej, kołpaka niepomiętego, zbroi niepotłuczonej, a uzbrojenie każdy miał różne; wszyscy najlichsze toporki, mieczyki, ladażkie cepy, łańcuszkami związane, oszczepy stare, łuki swojej roboty, taczki z drzewa, nędznie skórąmi, co się same na powietrzu wyprawiały, powleczone.

Na nogach od skórzni podartych do łapciów i chodaków, przez które palce patrzyły, wszystko tam było, prócz porządnego obuwia.

Dwóch czy trzech chlubili się żelaznemi garnuszkami na głowach, staremi i bez nosów. Inni głowy mieli powiązane chustami, z pod których rozczochrane włosy widać było.

Pomiędzy tą osobliwą gromadą i jasne, jak len kędziory i czarne jak smoła, i strzyżone, i długie się mieniały, tak jak wzrosty od najogromniejszego olbrzyma do przysadzistego karła.

Chociaż przy zdobyciu Złotoryi do żadnego krwi przelewu nie przyszło, niektóry z nich krwią byli pomazani pozasychałą, inni mieli świeże blizny i pozallepiane liśćmi zielonemi rany. Stojąc dosyć długo w lesie, gawiedź ta karmiona i pojona staraniem Frydy, przy kościach i przy misach tłukła się i zabijała, ledwie ich starszyzna mogła od tego powstrzymać.

Wszystko to w dzikim lesie, w pół cieniu, a mroku mogło się wydawać mniej strasznem, mniej wstępnem, ale teraz o białym dniu, w blasku poranka — ohydne było.

Książę, spojrzawszy na to wojsko swoje, którego dowódcy, z wyjątkiem Drzazgi, nie lepiej się przedstawiali, zarumienił się ze wstydu; serce mu się ściśnęło, — upokorzony był tem, że zszedł na taką szuję.

On, co na dworach cesarskim i papieskim, Ludwika i tylu innych napatrzył się pięknego rycerstwa i sam wytworność lubił, zmuszony będąc posługiwać się tymi zbójami, pozbieranymi po lasach — uczuł gniew w sercu do tych, co byli jego upadku przyczyną.

Na myśl mu też przyszło, jak on z taką zbierająką odpadków ludzkich, ze śmietniska zgarniętą, potrafi się oprzeć wojsku Sędziwoja i króla Ludwika, jak będzie mógł ład i karność wśród nich utrzymać?

Na okrzyk wrzaskliwy, którym go powitano, książę ledwie dumnie głowy skinieniem odpowiedział, koniowi dał ostrogę i przebywszy most, wpadł na podwórze...

Tu, jeszcze z konia nie zsiadłszy, groźnie zawołał, gdzie był Krystyn, starosta.

Drzazga, stojący tuż, odparł, że śpi upojony, a straż ma u drzwi.

— Okuć go natychmiast i do najgłębszego wrzucić lochu — na chleb i wodę pana szwagra wojewody...

Z okna zamku usłyszała ten wyrok okrutny stara żona; z krzykiem boleści, z załamanemi rękami wybiegła do księcia, rzucając się przed nim na kolana.

Cała we łzach, napół omdlała niewiasta wzbudziła politywanie w każdym, i książę-by też może miał nad nią miłosierdzie, gdyby świeżo nie poprzysiągł sobie, że okrutnym będzie...

To też kazał ją, odwracając się, pachołkom wziąć pod ręce i precz wieść a zamknąć.

Rozległy się jęki i szlochanie, lecz książę był w takim usposobieniu, iż boleść ta jeszcze go uczyniła zjadlejszym. Przypomniawszy sobie, iż ta kobieta była Sędziwoja rodzoną.

— Zamknąć mi i tę babę — zawołał, — żebym wrzasku jej nie słyszał.

Gdy się to w dziedzińcu działo, pachołkowie, którym dano rozkaz okuć starostę, rzucili się z bydlęcą radością na niego, zrzucili uśpionego z łoża i ledwie rozbudzonego poczęli targać, miotać nim, naigrawać się, wiązać, wołając o łańcuchy.

Krystyn oprzytomnieć nie mógł; jeden z pachołków wylał na wiadro wody na głowę. Aż na dziedzińcu dochodziły wściekle jego krzyki.

Wrzawa ta, z którą się mieszały śmiechy oprawców, szczęk mieczów, brzęk niesionych kajdan, wcale nie raziła Białego. Zdało mu się, że teraz dopiero szło, jak iść było powinno.

Buśko, który, z konia się stoczywszy, poszedł pod ścianę pot z czoła ocierać, patrzył na swojego księcia i poznać go nie mógł. Białą nadzwyczaj był czynnym; sam się we wszystko mieszał, rozporządzał, rozkazywał.

Natychmiast kazał bronę spuścić, wrota zamknąć, strażę postawić, nikogo nie wpuszczać. Przy sobie z lochów powiązaną załogę dał po jednemu wyprowa-

dzać, razem z Drzazgą wybierając z niej ludzi, którychby użyć można.

Zajęty był właśnie tem przebieraniem ludzi, którzy, ze strachu do nóg mu padając, sami się w służbę prosili, gdy okutego już Krystyna, otrzeźwionego strachem i wodą, wywiedziono w podwórze.

Stary opój chciał, gwałtem się wyrwywając, ku księciu się zbliżyć, o miłosierdzie go prosząc, lecz na znak dany, pacholki mu gębę zatknęli i pchając gwałtownie, a bijąc, do pobliskiej ciemnicy wrzucili, z której tylko wprędce stłumiony krzyk się dał słyszeć.

Czas jakiś Biały jeszcze sam po podwórcach się kręcił, chcąc koniecznie czynnym się okazać, poszedł na blanki, włożył na wrota, opatrywał bronę, okrążył mury, włożył do pustych komór, kazał sobie otwierać izby i szopy, sam przez się wszystko sprawdzając, aż w ostatku znużony, Drzazdze dał ręką znak, aby resztę za niego dopełnił i na zamek do izb starościńskich prowadzić się kazał.

Tu Buśko gorliwy zawsze o własną i pańską wygodę, już go był poprzedził.

Znali trochę Złotoryę z pierwszego jej zdobycia, lecz teraz lubiący wczasy Krystyn i żona jego lepiej ją na przyjęcie nowego pana przygotowali.

Buśko znalazł sługi Krystyna, spiżarnię, zapasy i już w nich gospodarował. Ze strachu spełniano rozkazy.

Sam on, prawem zdobywcy, splądrował zakątki wszystkie, powyciągał z nich, co tylko wartość jaką miało, zagrabił jako łup, a babom jadło i napitek gotować kazał.

Znalazł więc księżę, wszedłszy do wielkiej izby, co potrzeba było na przyjęcie i Buśka marszałkującego bardzo poważnie i stanowczo.

Wielki wysiłek, na jaki się zdobył księżę, znużył go mocno, byłby swym zwyczajem rzucił się na posłanie spoczywać, gdyby mu Fryda i jej rozkazy na myśl nie przyszły.

Siadł więc do stołu.

Buśko chciał go zabawić pociesznem opowiadaniem o wielkiej trwodze żony Krystyna i o nim, lecz księżę słuchać go nie chciał... Potrzebował być czynnym.

Podano jadło; kazał wołać Drzazgi, który natychmiast się stawił. Znał on księcia dość dobrodusznym i powolnym, zdumiał się, słysząc odzywającego się głosem zmienionym i nakazującym.

— Na czas powierzę wam Złotoryę, ale mi głowę za nią odpowiecie.

Drzazga spojrział nań tylko.

— Tak—mówił z zapalem księżę.—Nauczyło mnie doświadczenie, że surowym być potrzeba... Będę okrutnym—będę nielitościwym,—i wy powiniście nim być także... Na krótki czas zmuszony będę się oddalić... bo na jednej Złotoryi nie poprzestanę. Ulryk tam czeka na mnie. Jadę natychmiast... Wy zostajecie tu... Powierzam wam tego lotra Krystyna... Z ciemnicy mu nie dać wyrzeć! Chleb i woda! I za niego mi odpowiadacie.

Pilno słuchawa Drzazga, lecz księżę nagle sparł się na rękę, oczy utopił w podłogę, zamilkł... Zabrakło mu już dalszych rozkazów... Począł wołać o konie, dziesiątek ludzi miał tylko zabrać z sobą.

Buśko na ten raz pozostawał na straży przy Drzazdze.

Pilno było księciu pochwalić się swem powodzeniem przed Frydą, a oprócz tego przyrzeczone miał, gdyby Złotorya wziętą została, posiłki od Ulryka, Arnolda i Dobrogosta, którzy się razem z nim ofiarowali inne gródki iść zdobywać.

Fryda ręczyła za braci, a przez ojca Bodecę, którym władała, pewną była, iż ich zmusi do podania posiłków narzeczonemu.

Z równym prawie zapalem, z jakim biegł do otwartych bram Złotoryi, polecał teraz księżę do Drzdenka, wiedząc, że tam niecierpliwie nań lub na wieść od niego czekają.

Wistocie Fryda, która go na tę wyprawę uzbroiła w oręż, w ludzi i w męstwo, nie mogła na chwilę

spocząć, wyglądając niespokojna końca wyprawę, którą sama przygotowała.

Była pewną, iż Krystyn da się upoić, że rybacy dotrzymają danego słowa, lecz lękała się czegoś nie-spodzianego, a najwięcej lekkomyślności i zmienności Białego. Najmniejsza przeszkoda mogła go tak łatwo zrazić, jak się dał na krok ten namówić.

Wyglądając ciągle posła, Fryda wyszła na wyżki nad bramą, skąd daleko okolicę widać było.

Zabiło jej serce, gdy zobaczyła kupkę jeźdźców, pędzącą wprost ku zamkowi.

Nie ulegało wątpliwości, że wieźli jej upragnioną wiadomość; poznała zdala samego księcia i przerażiła się w początku. Zdało się jej, z pośpiechu wróćąc, że mógł uciekać. Zagryzła usta i oddech wstrzymała;— jeźdźcy zbliżali się szybko.

Wtem księżę spostrzegł ją, a raczej po białej zasłonie na głowie domyślił się, że to ona była, podniósł rękę do góry, dając znak, którego jeszcze nie rozumiała.

Pochyliła się ku bramie, gdy nadjeżdżający głosem wielkim zawołał:

— Złotorya nasza!

Fryda zbiegła na jego spotkanie, a tuż i Ulryk i Dobrogost, oczekujący także, nadciągnęli.

Powtarzał im coraz głośniej:

— Złotorya nasza!

Fryda rzuciła się ku niemu z okrzykiem radosnym.

Księżę z wielką dumą i pewnością siebie uśmiechnął się.

— Widzicie — zawołał, — że nie jeden raz tylko umiem zamki zdobywać... Złotorya moja, Krystyn wzięty w niewolę, a pan szwagier będzie musiał za niego dobry okup zapłacić, jeżeli mu życie ocalić zechce. Teraz Ulryk ze swymi Sasami musi mi pomódz do dalszych zdobyczy.

Fryda zwróciła się żywo ku bratu.

— Gotów jest, idzie z wami!

Ulryk stał, choć może niezbyt chętny, lecz zre-

zygnowany spełnić wolę siostry, uśmiechało mu się po spoczynku spróbowanie czynne rycerskiego rzemiosła.

— Dokądże myślicie? — zapytał.

— Nim pojedziemy na Gniewków — począł Biały bardzo żywo i z wielkim zapalem, który Frydę wielce uradował — bo ja Gniewkowa jestem pewny, jakbym go już wziął, wszystkich tam po sobie mając. Wiesz bracie, myślę się tam rzucić, gdzie mnie się wcale nie spodziewają, na biskupi zamek Raciąż. Księżę gród w żołnierza niebardzo musi być opatrzony, a skrzyżnie w nim pełne. Pożywimy się na dalszą wyprawę.

Ze śmiechem popatrzał na Frydę, wywołując pochwałę, której mu nie poskapiła.

Ulryk potrząsnął nieco głową.

— Raciąż nie jest tak łatwy do wzięcia, jak myślicie — rzekł; — mury ma dobre, zamek okolicy panuje, podejść go trudno.

Księżę, który w zapale nigdy się nie rachował z niczem, oburzył się i ręką zamachnął.

— Moi ludzie i wasze Sasy rady mu dadzą.

Ulryk uśmiechnął się, ruszając ramionami.

— A no, chętnie! — rzekł — na Raciąż... jam gotów.

Natychmiast posłano zbierać Sasów, a Fryda dumna swym narzeczonym i jego męstwem, zarazem się zajęła przyjmowaniem go, żywieniem, dopytywaniem o Złotoryę i wyprawę brata.

Biały powtarzał, nalegając, że musi na Raciąż pośpieszać.

Czuł, że na długie wytrwanie przy jednej myśli nigdy rachować nie może i śpieszył z wykonaniem, aby jej nie porzucić. Znał tę swą słabość, iż lada co mogło go zbić z drogi, a na raciański skarbiec rachował wiele, gdyż ktoś mu o nim plótł przesadzoną baśnię.

Fryda, która przez czas pobytu jego w Drdzenku nadto go dobrze poznała, sprzeciwiać mu się i osłabiać jego męstwa nie myślała.

Ona też, zarówno jak brat Ulryk, wątpiła może, by zamek w Raciążu do zdobycia był łatwym, ale gdy-

by mu to odradziła, czuła, że całą sztuczną energię jego zachwiać mogła.

Powodzenie go uzuchwalało, napaść niespodziana udać się mogła, a najmniejsze przeciwieństwo go zniechęcało.

Natychmiast rozesłano gońców po gromadkę Sasów, których miał Ulryk dostarczyć. Niewielu ich było, lecz wszyscy doskonale zbrojni, każdy z nich stał za kilku takich włóczęgów, jakimi Biały książę się posługiwał.

Sam zresztą Ulryk był wielkiego serca, lubił przygody rycerskie, porywy śmiałe, a im niebezpieczniejsze były i dziwniejsze, tem więcej go nęciły. Zamek, w którymby mógł być walczyć z olbrzymami i wojować smoki, był mu najmielszym.

Dla niego ta awanturnicza wycieczka pod Raciąż była zabawką doskonałą, z której sobie obiecywał uciechy wiele, choćby nawet skutku pożądanego nie odniosła.

Książę karmiony i pojony przez Frydę, która starała się go zagrzać jeszcze i ducha w nim obudzić, śmiał się a puszczał cugle marzeniom, jak zwykle coraz zuchwalszym.

— Z Raciążą — wołał — dobrze się tam pożywizy, idziemy na Gniewków mój, na Włocławek; może potem na inne gródki i włości sąsiednie. Zobaczycie, byłem ich kilka opanował, a tego pewny już jestem, obudzi się szlachta wielkopolska, posypią się mi ochotnicy. Zmieni się położenie moje natychmiast. Sędziwoja powoli opuszczają wszyscy, przechodząc do mnie. O! teraz my się inaczej będziemy trzymali i lada obietnicami nie-damy ułudzić! Król Ludwik musi się ułożyć ze mną, bo mu koronę na głowie jego zachwieję.

Fryda, śmiejąc się, potakiwała.

— Gdy was tak mówiącego słyszę — szeptała, pochylając się ku niemu, — serce mi rośnie! Wytrwajcie tylko, wytrwajcie!

Tem upomnieniem, które było zarazem wymówką, Biały się uczuł dotkniętym i żywo począł się bronić.

— Przecież powinnaś, jasno czytając w mej duszy, wiedzieć, że niema na świecie upartszego nade mnie człowieka. Po latach tyłu powróciłem do mojego Gniewkowa, gdy każdy inny zapomniałby go i wyrzekł się. Odebrali mi go podstępem, wyłudziли obietnicami fałszywymi, — idę powtórnie; nie jestemże wytrwały? żelazny?

Wśród tej rozmowy Ulryk wszedł do izby, cały we zbroi świecącej, od stóp do głowy nią okuty, z szyszakiem wspaniałym w rękę, i nogą nogę uderzywszy, aż ostrogi długie zabrzęczały, zawołał rażno:

— No! Sasi moi nadciągną, ślijcie po waszych ludzi, aby się stawili na miejscu, w którym połączyć się mamy. Na Raciąż? Wiem, że tamtejsze mnichy doskonały miód dla biskupa płockiego sycą. Napijemy się go...

Fryda nie myślała ich wstrzymywać. Aż do wsiądzenia na koń towarzyszyła księciu, opinając na nim zbroję, podając rękawice, wesołą twarzą otuchę wlewając w niego.

— Gdy Gniewków zdobędziecie — rzekła cicho, — gotowam tam was odwiedzić.

Biały rozśmiał się wesoło, konie prychały wróżbą dobrą, Ulryk przemawiał do swych Sasów, Fryda powiewała chustą białą, — ruszyli więc bardzo żwawo i ochoczo.

Przez całą drogę księciu się prawie usta nie zamykały. Bawił Ulryka opowiadaniem o tem, co ma czynić, a choć ten niebardzo ufał w ziszczenie świetnych nadziei przyszłego szwagra, bawiły go one.

Razem z tem żadnej potrzebnej ostrożności przy najściu na Raciąż nie zachował książę.

Niecierpliwy, nie usłuchał rady Ulryka, aby w lesie spocząć do nocy, a potem niepostrzeżonym podkraść się pod mury.

W biały więc dzień, gdy się orszak złożony z Sasów i zbieranej drużyny księcia ukazał na równinie otaczającej gródek, postrzeżono ich zawczasu i na gwałt uderzono.

Ludzie biskupi przestrzeżeni byli, albo się mieli na bacznosci, bo nim podstępiono pod mury, ludu się na nich zebrało siła i wrota były zamknięte.

Tu się okazała wielka nieporadność bohatera, który nie wiedział, co poczynąć i odgrazając się a krzycząc tylko wołał, aby mu natychmiast zamek poddawano.

Ulryk tymczasem okrążył go dokoła.

Tuż do zamku przypierał kościół z dzwonnica, do której biskup Zbylut przybudował był ogromną izbę sklepioną, dla przyjmowania duchowieństwa, które się do niego zjeżdżało. Dzwonnica wprawdzie grubemi skarpami podparta stała za mur ogólny, lecz były w niej nieopatrzenie zostawione okna bez krat i żelaznych okiennic, o których, zdaje się, zapomniano.

Na skinienie Ulryka, któremu to dobywanie stało za najmilszą zabawkę, Sasi się zgromadzili około niego, ludzi księcia i jego samego zostawiając u wrót, nawołujących nadaremnie dowódców i ucierających się próżno słowami.

Sasi na skinienie Ulryka rzucili się natychmiast z drabinami do okien dzwonnicy, których nikt nie bronił. W mgnieniu oka kilkunastu ich wdrapało się do jej wnętrza, drzwi wyłamali i znaleźli się w rodzaju pustego sklepionego kapitularku, z którego łatwo już na zamek dostać się było. Ulryk sam wytrzymać nie mógł, i z konia zsiadłszy, poszedł z resztą swych ludzi. Sasi wtargnęli już wszyscy do pustej izby i zabierali się żelazne drzwi, dzielące ją od zamku, wyłamywać, gdy załoga się opatrzyła, jakie jej zagrażało niebezpieczeństwo.

Bratanek biskupi, niejaki Jarosz, był naówczas starszym na zamku; był to chłop dzielny i nieulekniony a przytomny. Gdy z tej strony krzyki się słyszeć dały, a on właśnie u wrót stał, porzuciwszy tu Białego i jego gromadkę niesfornie biegającą około mostu, aby się dostać ku bramie, huknął na swoich i sam na ich czele popędził ku kapitularkowi i dzwonnicy.

Sasi, którzy przed chwilą byli następującymi, zna-

leźli się obłążonymi. U okien i drzwi rozpoczęła się bitwa zacięta, chłop z chłopem. Poleciały okna świeżo wprawione z blon w olów oprawnych, rozrąbano drzwi, zmieszały się dwie kupki, okładając razami mieczów, cepów i toporów, tak, że za chrzęstem broni i dźwięczeniem zbroi żelaznych, a krzykami walczących nie było słyhać rozkazów dowódcy, ani kto wiedział, co miał czynić.

Załoga naciskała, Sasi zajądło się bronili i na przemiany, to jeden zastęp, to drugi brał górę. Sam Ulryk, trafiwszy na dobrze uzbrojonego Jarosza, serdecznie się począł z nim ucierać, znajdując w tem rycerską uciechę, że mu się bratanek biskupi dzielnie bronił. Ludzi z obu stron nie było wielu, lecz tak dobrze kopa wojujących, jak tysiąc rozstrzyga o losie bitwy. Sasi mieli wyższość uzbrojenia, Raciąscy walczyli na swych śmieciach i to im większą pewność dawało.

Gdyby był Biały, zamiast stać u wrót, łajając i krzycząc, podstąpił pod dzwonnice i swoich ludzi w pomoc Sasom podesłał, mógłby się być Ulryk utrzymać w kapitularku, wtargnąć na zamek i zdobyć go.

Tymczasem Sasi, pozostawszy sami i widząc, że im posiłek nie przychodzi, gdy jeszcze śmiały dzwonnik wpadł na wieżę i wielki dzwon poruszywszy, całą ludność okoliczną zwoływać począł na obronę — musieli myśleć o odwrocie.

Odcinając się załodze mężnie, wraz ze swymi wpadł Ulryk nazad do dzwonnicy, tu drzwi zatrzaśnięto i zaparto kłodami, aby Sasi mieli czas nazad się po drabinach wydobyć z zamku. Ulryk, chociaż we zbroi, skoczył wprost z okna, śmiejąc się, tak zręcznie, iż mu się nic nie stało, a gdy pod murem począł liczyć Sasów, okazało się, że mu z nich brakło tylko jednego, który dopiero później nagonił uchodzących.

■ Po tej przygodzie, która go w wesoły humor wprawiła, Ulryk pośpieszył szukać Białego.

On i jego ludzie stali jeszcze, zabawiając się u

wrót, rzucając na nie kamieniami i klątwami, a dziwując się, że im nikt na to nie odpowiadał.

Przypadł Ulryk do Białego.

— Do kata — krzyknął — wyście winni, żeśmy zamku nie opanowali. Byliśmy już niemal w dziedzińcu... czemuście na pomoc mi nie szli?

Książę o bożym nie wiedział świecie; — ruszył się dopiero, Ulryka z sobą ciągnąc nazad pod dzwonnice, ale za późno już było. W oknach jej stała załoga z kuszami, z kamieniami, ze smołą, tak swoim zwycięstwem zagrzana, tak pełna zapału, że się nie można już było pokusić o zdobywanie wieży po raz drugi.

Biały z konia zachęcał swych ciurów, lecz ci nie okazywali nadzwyczajnej ochoty narażenia się ani na strzały, ani na inne pociski obłożonych.

Nałajano się tylko z obu stron słowy najplugawszymi, i Ulryk, pierwszy widząc, że tu już niema nic do czynienia, odstąpił na pobliską łąkę, aby dać Sasom swoim odpocząć.

On też tego potrzebował, bo choć go miecz Jarosza nie tknął, zbroję mu w kilku miejscach powbił niemal w ciało. Potrzeba ją było zdjąć i szukać człowieka, któryby młotkiem jako tako mógł odprostownać. Szyszak też był potłuczony.

Ulryk mimo to śmiał się ciągle i radował męstwem a zręczności swych ludzi, chwając się tem, że on wyszedł tak, jak cały, a Jaroszowi krwi upuścił. Wistocie bratanek biskupi zręcznym razem Ulryka raniony był w ramię, gdzie się dwie schodziły blachy.

Na Białego prawie nie patrzył Ulryk, tak gniewnym był, iż mu zwycięstwo wyrwał z rąk.

Gdy nadciągnął książę, wesoly szwagier zaczął żartować z niego. Ten miał doń żal nawzajem, iż nie dał mu znać, aby przybywał.

Byliby się posprzeczali może, jak Sasi z ludźmi książęcymi, gdyby Ulryk nie miał dobrego serca i wyrozumiałości dla Białego.

Ten chciał szturm przypuszczać do Raciążka, o

którym ani pomyśleć z małą liczbą ludzi nie było podobna.

— Wiesz co? — odparł — księżemu zamkowi dajmy pokój! Kościelnej własności siła może jaka nieznamna i niewidoczna broni... powiadacie, że Gniewkowa jesteście pewni, jedźmy tam się pobawić.

Rad nierad, Biały, któremu markotno było opuszczać Raciążek, przynajmniej okupu z niego nie wzięwszy, — zgodził się iść do Gniewkowa.

On i Ulryk nawzajem sobie niepowodzenie to przypisywali, chociaż wina była Białego, który inaczej jak zdradą lub groźbami nie umiał zdobywać nic.

Po omyłce popełnionej tu, potrzebował powodzeniem łatwem ją powetować. Gniewków najlepszym był teraz, bo tu mnogich mając przyjaciół, książę się go samym widokiem swym wziąć spodziewał.

IV.

Starostą na zamku w Gniewkowie był Gerard ze Słomowa.

Niedarmo go tam posadzono, bo Sędziwój z Szuoina obawiał się zawsze niespokojnego umysłu księcia, i pokuszenia się o gród ten, w którym miał sobie oddanych ludzi, a Gerard należał do najdzielniejszych i najczujniejszych dowódców.

Inny byłby się uląkł takiego zadania, otoczonym będąc niechętnymi, i w dodatku nie mając zamku tak obronnego, aby w nim być bardzo bezpiecznym.

Gerard, tak prawie jak Ulryk, bawił się tem, gdy mu wojować się, bronić, czuwać, zabiegać było potrzeba.

Miała to do siebie sprawa rycerska, że roznamietniała ludzi, którzy w niej szukali tych żywych wzruszeń, jakich do życia potrzebowali. Tacy rycerze ochotnicy, gdy w domu nie było co robić, ciągnęli w niedostatku krucyaty do Krzyżaków i z nimi na Litwę, jak na łowy.

Nawyknienie do bojów, do pochodów, do dzielnych zapasów, gonitw, do wymyślania wojennych podstępów — czyniło je potrzebą.

Dla Ulryka z Drdzenka, dla Gerarda ze Słomowa dostać się jednemu na niebezpieczną a szaloną wycieczkę, drugiemu do zamku lichego, zagrożonego, który się tylko mógł dzielnością i nadzwyczajnym wysiłkiem obronić, było najpożądańszą rzeczą. Wyzwać się na rękę, okazać męstwo i zręczność — stawało się zadaniem życia — tęskniono za tem.

Gerard ze Słomowa niemłody już, bo miał dwu synów dorosłych, był takim łakomym na ciężkie zadania. Sam on się wprosił do zagrożonego Gniewkowa, zabierając z sobą do niego obu synów i namówiwszy brata Bartosa.

Obejrzawszy nowy zamek, starosta spostrzegł dopiero, że wistocie na baczności się w nim mieć było potrzeba. Nie uszło to oka jego, że miasteczko, podzamecze, okolica duszą całą była oddana księciu Władysławowi. Otoczony był jawnymi nieprzyjacioły, którzy milczeli ponuro, a niejeden z nich, podchmielewszy, odgrażał się pocichu. Płatano mu sztuki różne podstępnie, — winowajcy poszlakować nie było podobna.

Na takie usposobienie wielką tylko surowością można było zaradzić. Gerarda obawiać się musiano; znano go ze sławy, jaką miał, że nikomu nie przepuszczał.

Trudniej było naprędce zamek ubezpieczyć. Brakło mu murów okólnych w części znaczniejszej; zastępowały je starodawne ściany z drzewa, obyczajem odwiecznym grubo tylko gliną pooblepiane. Gdzieniedzie przekopy się pozasypywały, a i w pośrodku nie stawało wiele rzeczy do odpierania silnego napadu.

Gerard, objawszy zamek, obszedłszy go w milczeniu, natychmiast wziął się do tego, co najpilniejsze było.

Ludzi z miasteczka kazał spędzić do przekopów... i swoich nad niemi dziesiętników postawił. Zaczęto oprawiać ściany i lepić je, zatykać w nich wyłomy,

umacniać bramę i przystęp do niej czynić trudniejszym. Z miasta też nakazano wozić kamień, gruz, wszystko, co do obrony służyć mogło.

Przyjaciele Gniewkowscy księcia byli zmuszeni przeciw niemu dostarczać broni. Nie było rady, czyniono to niechętnie, lecz musiano.

W bardzo prędkim czasie zamek wyglądał lepiej, niż kiedykolwiek był za księcia, ale mrucząc i utrapieni podwodami a służbą zamkową mieszczenie, odgrażali się szydząc, że mimo to wszystko — byle ich pan przyszedł, — nie utrzyma się Gniewków ze swą załogą.

Złemi oczyma spoglądano, gdy Gerard z innych zamków począł sprowadzać do Gniewkowa przybory wszelkie, których tu brakło.

Jakimi siłami naówczas napadano i broniono się, można mieć z tego wyobrażenie, iż nie licząc czeladzi, pacholków i gawiedzi lichu zbrojnej, która nie na wiele się przydać mogła, Gniewków miał dwudziestu dwu dobrze zbrojnych ludzi, — a doliczając do nich dowódcę, jego brata i dwu synów, było ich razem dwudziestu sześciu. Z tą siłą mieli pewność, — iż nie zajdzie-li zdrada jaka, obronić się potrafią.

Wprawdzie Sasi Ulrykowi i kupa lichu zbrojna Białego znacznie była silniejszą, lecz nigdy tylu do obrony nie potrzeba, co do napaści.

Gerard ze Słomowa nie spodziewał się w najgorszym razie, ażeby ksiązę mógł zebrać wielkie wojsko. Wiadomo było, z czego się ono składało, a pomocy Ulryka się nie domyślano, choć wiadano, że ksiązę oddawna w Drdzenku bawił.

Nim nadciągnęli Sasi, Gerard miał już pewne posłuchy, że się coś nań zbierać może. Zwołał starszyznę miejską i po żołniersku się z nią obszedł, zapowiadając, że, uchowaj Boże, najmniejszego zdrady poszlaku, wieszać każe i ścinać — bez sądu.

Gniewkowskich mieszczan więcej to podrażniło, niż nastraszyło. Wiedzieli już, że ksiązę nadciągał,

umyślili siedzieć cicho do jego przybycia, lecz jednomyślnie postanowiono pomagać mu, gdy się tylko ukaże.

Biały rachował też na to. Wyprowadził on Sasów i choć niewielką miał gromadę z sobą, wszedł z nią do miasteczka.

Czekano nań — ruszyło się, co żyło naprzeciw, i co tylko drąg okuty, pałkę, topór dźwignąć mogło, ogromną kupą stanęło przy nim, okrzykując go.

Godzina była ranna, — dzień skwarny; Gerard, choć czujnym był, nie spodziewał się napaści w tej porze.

Natychmiast bramy zawarto, ludzi porozstawiano; wrzawa od miasteczka łatwo się domyślać pozwoliła, co zwiastowała.

Obyczajem swym Biały ruszył naprzód, prowadząc za sobą owo pospolite ruszenie wprost do wrót, wywołując na rozmowę.

Gerard wysłał mu tysiącznika prostego.

Od księcia nakazywano poddać się pod karą główną — i otwierać bramy.

Tysiącznik odpowiedział zrazu tak nieprzychylnym ruchem, iż dalsze z nim układy stały się niepodobieństwem.

Nadciągnęli tymczasem Sasi z Ulrykiem, który, nie bawiąc się w żadne gawędy, zaraz zamek objężdżać zaczął i upatrywać, skądby był najprzystępniejszy. Z miasteczka drabin, kozłów, rusztowania wszelkiego dostarczono obficie.

Chociaż książę jeszcze się spodziewał, że dowódca zda mu gródek, widząc, że całe miasteczko z nim było, Ulryk, nie zwłócząc, wziął się do szturmu.

Sasi już przystawiali drabiny i mieli się drapać na ściany, gdy starszyzna miejska, przybiegłszy do księcia, poczęła wołać, iż niepotrzeba było darmo ludzi narażać. Ofiarowali się natychmiast ściągnąć tyle chróstu i drzewa, aby dokoła zamek otoczywszy, podpalić go.

Stary, złamany, o kiju ledwie się wlokący, sługa jeszcze dziadowski księcia, poddał tę myśl pierwszy,

zaręczając, że glina ze ścian odleci, drzewo się zajmie i załogę zmusi do poddania się.

Białemu żal było trochę zamku, zawahał się, wołał go posiąść innym sposobem, Ulryk zaś podpalenie pochwalał i namawiał na nie.

— Niema tu czego żałować — wołał. — Zamek się odbuduje, a ludzi nadto nie mamy, i widzi mi się, że niełatwo ich ściągniemy, bo — uderzył, śmiejąc się, po przywieszonej do pasa tobołce, w której mało co pobrzękiwało... i nie dokończył.

Książę, wahając się jeszcze, kazał jednemu ze swoich zagrozić obleżonym, że im ogień podłożą — ale groźba ta nie poskutkowała.

Tymczasem mieszczenie gniewkowscy, nie pytając już, poczęli drzewo, chróst, susz i co tylko palnego mieli pod wyschłe od skwarów ściany przyciągać i gromadzić.

Szło to z nadzwyczajnym pośpiechem, a stary, który doradził ten sposób okrutny — przestrzegł też, aby nie podpalano póty, dopóki by jak największa ilość drzewa nie była dokoła zwieziona. Ludzie miejscowi wiedzieli dobrze, gdzie ściany były najsłabsze, spróchniałe, stare, i tam właśnie stosy największe popodkładali.

Chociaż szło to bardzo żywo, z ochotą wielką, jednakże nim dokoła obwodu narzucono suszy dosyć — wieczór nadszedł.

Sasi i ciury książęce obozowali, odpoczywając dokoła, książę i Ulryk w domu sołtysa znaleźli wygodną gospodę. Mrok już padał, gdy dano znać, że podpalać czas, aby wojsko było w pogotowiu.

Z uporu Gerarda, którego dobrze znał, Ulryk wnosił, że gotów rozpaczliwą uczynić na nich wybieczkę.

Biały, gdy przyszła chwila stanowcza, stał się ponurym i milczącym. Ogień podkładać pod własne gniazdo swoje zdawało mu się świętokradztwem, lecz uległ namowom, lękając się szyderstw Ulryka.

Wieczór był pogodny i cichy — głuche milczenie na zamku panowało; gawiedź miejska, jak każda jej

podobna, radująca się szkodzie i złemu, zaczęła biedz, niosąc pozapalane głównie i drzazgi smolne. Dokoła migwały te rozsypane ogniki, a wkrótce gęste kłęby dymu poczęły się podnosić u ścian i długo wiły się, okrywając je, nim błysnęły jasne płomienie i lizać poczęły czerwonymi języki osmolone grodu ściany.

Widok był straszny nawet dla tych, co ze śmiechem złym biegli nań patrzeć. Pożar w początkach częściowy, zaczynał się zlewać w jeden wielki wał płomieni i dymu. Stosy drzewa objęte ogniem, coraz wyżej rzucały iskrami i pasami ognia, który wzbijał się ponad ściany i żarł już przyparte do nich z drugiej strony chodniki, rusztowania, budy i wieże.

Miejscami, jak przepowiadał stary, osypywała się przepalona glina, stare drzewo spróchniałe zaczynało się żarzyć krwawo... Cały zamek, którego budowlę rozeznąć już nie było można, stał jako jeden stos ogromny objęty rzeką płomieni. Nie ulegało wątpliwości, iż nie tylko zewnętrzne ściany padną ofiarą, ale i wszystek gród spłonie, a mężni jego obrońcy zginą w tym ogniu.

Białemu ścisnęło się serce i gniewem wielkim poruszył się przeciwko Gerardowi, który gniazdo jego rodzinne na to zgłiszczce zamieniał...

Ulryk znajdował środek wyśmienitym, przyklaskiwał i stanął tylko z Sasami naprzeciwko wrót, aby, jeżeliby załoga ratować się chciała, nie wypuścić jej wolno...

W początkach, co było ludzi wewnątrz zamku, leli wodę, starając się gasić stos zażegnity, lecz usiłowanie to było próżne. Przytłumiony nieco z jednej strony pożar, wzmagał się gdzieindziej.

Czas jakiś trwał ogień, a z zamku znaku życia nie dawano... Niecierpliwił się książę, Ulryk dziwił, Sasi podbiegali pod wrota, które płomienie obejmowały.

Naostatek krzyk i trąbienie dało się słyszeć z nad brony, i Biały poskoczył ku temu miejscu, skąd one wychodziły. Z za dymu ukazała się postać starego Gerarda, który zieloną gałąź trzymał w ręku...

Dla trzasku palących się bierwion i szumu płomieni nie można było usłyszeć, co mówiono.

Biały, któremu szło o ocalenie gniazda, rozkazał mieszczanom gasić ogień.

Dał znak, aby wrota otwarto... ażeby ludzie w nie wolę się poddali.

Stary dowódca, gdyby był sam, nie uległby pewnie do ostatka i dałby się być zżec z zamkiem razem, lecz synowie na klęczkach go błagali, aby życie swe ocalił, a brat niemal zmusił do wywieszenia zielonej gałęzi.

W chwili, gdy już zdobycia był pewien, chmurny i gniewny książę całe swe zuchwałstwo i pewność siebie odzyskał.

U wrót postawiono w dwa szeregi Sasów i ciurów.

Podniosła się brona, odwalili płonące wrota i stary Gerard w całej zbroi wystąpił wiedziony przez dwóch synów.

Za nim szedł brat, a tuż dwudziestu i dwu zbrojnych... czeladź i pacholki.

Gerard wziął zrazu stojącego na koniu Ulryka za księcia i ku niemu się zbliżył, gdy ten mu na Białego wskazał.

Nawzajem, dla ujęcia przyszłego szwagra, — odesłał książę do niego, a sam na kilka kroków odskoczył, wołając, aby ogień gaszono.

Ulryk po rycersku chciał się obejść z jeńcami i byłby ich przez cześć dla męstwa, uwolnił, gdyby Biały nie podesłał doń z żądaniem, aby wszyscy uwięzieni zostali dla okupu.

Mieszczanie, którym teraz równie o ocalenie dla ich księcia gródka ojczystego chodziło, jak wprzód szło o podpalenie dla zdobycia — rzucili się gasić i rozrywać ogień... lać wodę, zarzucać go ziemią.

Po zgłiszczach płonących jeszcze, z głową spuszczoną wjechał Biały na gród swój, na którego dachach gdzieindziej gonty i dranice gaszono.

Smutny to był widok. Gerard do ostatka nie rozpaczając, w pośrodek przestronnych podwórzy zgro-

madził był konie, rynsztunek, zapasy — wszystko, co wartość jaką miało. Kupami leżały tu sprzęt, broń, odzież, skrzynie, wory, a wpośród nich przerażone ogniem rwały się rozhukane konie...

We dworcu pootwierane okna i drzwi, poodrywane okiennice, jakby po rabunku i spustoszeniu, оголonym go czyniły i smutnym.

Książę stanął i ze zgryzoty jakiejś a smutku wpadł w niezmierny i niepohamowany gniew, którego nie miał na kim wyrzucić; padłby ofiarą jego Gerard, gdyby nie ta myśl, iż za niego okup znaczny uzyskać może... a zyskanie grosza było dlań pierwszą potrzebą.

Spiesznie tłumiono ogień i ku północy dymiły tylko pozalewane węgle, a w środku zamku Sasi i ciury wesoło obchodzili zwycięstwo, do którego mało się przyczynili.

Biały siedział podparty za stołem, który dlań przyniesiono, i razem z Ulrykiem dopijał wydobytego kędyś ze schówki tajemnej miodu.

Misa strawy, którą przyniesiono z miasteczka, stała pomiędzy nimi. Milczeli oba.

Ulryk, dla którego pono ciekawą zagadką był ten człowiek, któremu pomagał uproszony przez siostrę, badał twarz księcia mieniącą się najrozmaitszymi wrażeniami myśli, które po nim przechodziły.

Można było wistocie śledzić te fale zwątpienia i zapалу, dumy i obawy, które uderzały w piersi księcia i wiły się po głowie jego.

— No, cóż dalej? — zapytał wesoło z obojętnością prawdziwie rycerską Ulryk. — Co dalej zamýślacie?

Biały zaciął usta — dumał, — spojrział. — Ulryk na myśl mu przywiódł siostrę swą Frydę, a ona była najsilniejszym bodźcem do czynu...

— Co dalej? — powtórzył książę — to samo z siebie się rozumie.. Wprawdzie nie powiodło się nam w Raciążu, lecz powetowaliśmy to na Gniewkowie, mamy dwa zamki. Na tem poprzestać nie myślę!...

Spojrział w oczy Ulrykowi.

— Chcę się tu nieco obwarować, aby mi lada

kto nie odebrał Gniewkowa, którego zresztą mieszcza nie strzedz i bronić mi pomogą; trzeba wzmocnić Złotoryę, a potem...

— A potem? — spytał ciekawie Ulryk.

— Potem — pójdę na Szarlej, a może i na Inowrocław. — odparł Biały z dumą i pewnością siebie.

— Nim to nastąpi — odezwał się Ulryk — ja z moimi Sasami muszę do Drdzenka... Spocząć trochę im dać trzeba i koniom; — a kto wie, może się przyjdzie bronić w domu, bo mnie gotowi karać za to, żem wam pomagał.

— Nie będą śmieli — żywo począł Biały, który sam się potrzebował ludzi. — Widzicie sami, że mi ludu co chwila przyrasta.. Jak tylko pójdzie wieść, żem Gniewków wziął, że Krystyn i Gerard w moich rękach, popłoch padnie na nich... nie będą śmieli..

— Lecz, choćby nie dla obrony Drdzenka, a dla spoczynku potrzebuję do domu — dodał Ulryk, wstając. — Może też, gdy wam napłynie ludzi, a i Gniewkowscy z wami pójdą, mnie nie będziecie potrzebowali.

Biały, któremu się zdawało, że wistocie obejdzie się bez pomocy Ulryka, o którego był nieco zazdrosnym, aby jemu i Sasom zwycięstw nie przypisywano, nie rzekł nic.

I tak nad rankiem, obdarzeni Sasi, obdarowany z łupu Ulryk, wyciągnął nazad do Drdzenka.

Szczęściem dla Białego, wieść o jego napaści na Złotoryę, o zdobyciu rozeszła się już była i Lasota w Starej Wsi, dowiedziawszy się o tem, po krótkiej naradzie z Dersławem, ruszył naprzód do Białego.

Wysłano go może więcej na zwiady niż w pomoc, ale Lasocie dokuczyła bezczynność, rad był cokolwiek-bądź przedsiębrać, byle darmo nie jeść chleba u starego.

Biały rozmyślał właśnie nazajutrz rankiem, kogo przy sobie uczyni prawą ręką, której czuł wielce niedostatek, gdy ujrzał w progu Lasotę.

Powitał go z wielką i może aż nadto wyrazistą radością. Brzemień mu z ramion spadało, miał na kogo je zrzucić.

— Lasota! — zawołał, podchodząc — przybyłeś mi w porę, mam ludzi dość, ale mi dowódców braknie... Bóg ci zapłaci, żeś o mnie pamiętał, a ja starać się będę odwzajemnić. Co słyszać w Wielkiej Polsce?

— Cicho i pusto — odparł Lasota. — Co było ruchawszego, pojechało do Koszyc walczyć z królem Ludwikiem językiem, nie mogąc kordem... Póki nie powrócą, na Wielkopolskę niema co liczyć; musimy sobie tu na Kujawach sami radę dawać!

Książę spojrzał nań.

— Jak? — zapytał.

— Prosta rzecz! — zawołał Lasota. — Co tylko jest ludzi, którzy mogą dźwignąć miecz, dosiąść konia, — musi iść z nami. Gniewkowscy księciu sprzyjają, — niechże idą!

— Muszą iść, pójdą! — odparł ożywiony już książę.

Zadumał się chwilę i postąpił ku Lasocie.

— Daję ci moc — rzekł. — Co uczynisz, wiem, że dobrem będzie, rozkazuj w moim imieniu!

Lasocie dwa razy tego mówić nie było potrzeba; skłonił się zlekka i zawrócił, oczy mu się zaiskrzyły.

— Jeżeli mi nie będzie psuł, co ja pocznę — pomyślał, — nawarzym piwa królowi Ludwikowi, które mu niebardzo będzie smakować.

Biały uspokoił się zupełnie; — wiedział, że na Lasocie mógł polegać.

Rozpoczął sam na starem swem zamczysku gospodarzyć, rozkładając się i usiłując je do dawnego przyprowadzić stanu.

Jednym z najbardziej dolegliwych braków, który mu się mocno czuć dawał, było osierocenie po Bušku... Błazna tego, do którego mógł mówić, co mu na myśl przyszło, który mu bez ogródki i strachu odpowiadał i często myśl jego naprostował, nie dostawało — tęsknił za nim...

Jednem też z pierwszych rozporządzeń książęcych było wysłanie po niego.

Niecierpliwie wyglądał przybycia... Buško, który również był do swego pana stęskniony, dał się wziąć,

i choć nie lubił na koniu kłusować, przybył dosyć prędko.

Zobaczywszy go, książę, śmiejąc się, wyszedł aż do podsieni, poklepał go po głowie i wprowadził z sobą do izb. Do nikogo tak mówić nie umiał szczerze, otwarcie, co ślina do ust niosła, jak do starego swego bazarza i trefnisia.

— Patrz, co oni mi z Gniewkowa zrobili! — zawołał — szczęście, że nie spalili jeszcze!

Buško obchodził kąty, wachał i znajdował, że spaleniznę jeszcze słyszać było.

Oba razem powlekli się po zakomórkach, mrucząc, rozglądając się, przypominając, jak to tu dawniej bywało.

Zyskał na tem Lasota, któremu zostawiono zupełną swobodę rozporządzenia się około przyszłego wojska...

Gniewkowscy mieszczenie, lud ze wsi i osad okolicznych, przywiązany do dawnych książąt, a obawiając się zemsty Sędziwoja, gromadnie się zaciągał pod chorągiew Białego. Zbiegały się też owe włóczęgi i ludzie bez chleba a zajęcia, zasłyszawszy, iż się księciu wiodło.

Jednych wypędzano z chat gwałtem, drugich ujmowano obietnicami, inni się garnęli, nie mając nic lepszego do robienia.

Co wieczór mógł Lasota uwiadomić księcia, iż mu rosły jego siły. Oręż chwymano, jaki tylko dał się zdobyć, a często taki, co imienia tego wart nie był. Szło więcej o lik ludzi, niż o uzbrojenie.

Zdawało się wistocie szczęście uśmiechać wygnańcowi... Sędziwój z Szubina nie miał dosyć rycerstwa pod ręką, aby natychmiast przeciwko niemu wystąpić, a zyskany czas wzmagał odwagę i istotne siły księcia.

On sam już się nie chwiał w postanowieniach; był pewien, że cel osiągnie.

Dana mu przez Frydę nauka, którą ona przez posłów jeszcze kilkakroć mu powtórzyła, aby był surowym i nieubлагanym, utkwiała w głowie i w sercu księcia. Powtarzał ją sobie, przejmował się nią, po-

przysięgał nie zmięknąć i nie pofolgować nikomu; pilno mu było tylko co najrychlej czynem jakim okrutnym a głośnym przekonać Frydę, iż miał w sobie ten przymiot, tak zdobywcom potrzebny.

Lasota, który tu wszystkiem rozporządzał teraz, musiał go powstrzymywać od porywów niebacznych, któreby ochotników zraziły.

Biały spostrzegł, że w Gniewkowie, pomimo że się krzątano około naprawy zamku, mniej mu było bezpiecznie, niż w Złotoryi. Cekał tylko na przyobiecane posiłki Sasów Ulryka, aby z niemi udać się tam, gdzie postanowił główną swą umieścić stolicę.

Lecz o Ulryku jakoś słychać nie było. Pomimo nalegań i próśb siostry, nie chciał on narażać siebie, Drdzenka i przyszłości dla człowieka, który coraz mniej obudzał w nim zaufania.

Uległby był może wielkiej zawsze ochocie do awanturniczych wypraw i temu błaganu Frydy, za którą ojciec się też wstawiał, gdyby Dobrogost i Arnold, bracia jego, nie nadbiegli.

Oba oni sprzyjali Białemu, lecz doszły ich wieści o odgrazaniu się Sędziwoja, o zewsząd ściąganych siłach przeciw niemu i jego pomocnikom.

Od progu wchodząc, Dobrogost krzyknął, zobaczwszy Ulryka:

— Ani się waż krokiem stąd! Musimy umyć rękę i więcej się do sprawy księcia nie mieszać, inaczej my wszyscy za niego pokutować będziemy.

Fryda, stojąca we drzwiach, z krzykiem się rzuciła przeciw braciom, ale jej mówić nie dali.

— Słuchaj, Frydo — odezwał się Dobrogost — ojca i nas trzech na zgubę narażać nie możesz dla twojego mnicha-kochanka! Całą siłą ciągną na niego i zginią go, a nas razem z nim.

Arnold przerwał, opisując przygotowania i donosząc, że z Sieradza Jaśko Kmita ciągnie w pomoc Sędziwojowi z Szubina, i że Biały pomimo największych wysiłków utrzymać się nie potrafi.

Fryda ściągnęła brwi, spojrzała na Ulryka, który siedział milczący, na ojca, który się już nie śmiał odzywać.

— Opuszczacie go więc? — zapytała głosem, w którym drgał gniew i męstwo razem.

— Musimy — rzekł Dobrogost zimno.

— Toście podli! — krzyknęła Fryda, rzucając wejrzenie groźne.

Na tę obelgę z ust kobiecych bracia nie odpowiedzieli; Fryda popatrzała znowu na milczącego ojca, jakby się od niego czegoś spodziewała, postąla chwilę i krokiem powolnym cofnęła się z izby.

Po wyjściu jej Ulryk poruszony, chciał wziąć jej i Białego stronę — zakrzyczano go.

Dobrogost rzekł stanowczo:

— Nie puszcze cię, choćbym się bić miał z tobą, a jużci braterskiej krwi dla tego warchoła, który źle skończy, lać niewarto. Fryda wypłaczę się i ukoi.

Nadeszła chwila wieczery, ale Fryda się nie ukazała.

Ulryk szedł po nią, — nie zastał jej w izbie, w której znalazł skrzynie pootwierane, suknie rozrzucone i nieład jakby pośpiesznego z domu wyjazdu.

Frydy na zamku nie było.

V.

Od przybycia do Złotoryi Białego księcia, który, w Gniewkowie małą zostawiwszy załogę, sam z głównym taborem swym przeniósł się do mocniejszego grodu; — niezmierny ruch i czynność tu panowała.

Przypisać je należało nietylko Białemu, co tajemniczemu jakiemuś wpływowi, który go teraz innym czynił człowiekiem.

Lasota, będący prawą ręką jego, przypisywał zmianę szczęściu; Buśko, słysząc o tem, uśmiechał się, a zapytany, usta sobie zatulał.

Nikt prawie wśród nieustannego przypływu i odpływu ludzi rycerskich, którzy do Białego przyjeżdżali i wyprawiani byli w różne strony, nie spostrzegł jednego wieczora nadbiegającego rycerza ze spuszczoną przyłbicą, w lekkiej zbroi, z dwoma pacholkami, który do księcia samego żądał być dopuszczonym, wszedł na zamek i więcej go już nie postrzeżono. Znikł, jak gdyby potajemnie go wypuszczono.

Buśko jeden coś o tem wiedział. Dwie komnaty odległe stały teraz zaparte, tak, że do nich nikt oprócz księcia i Buśka wchodzić nie miał prawa.

Biały zamykał się bardzo często, a gdy coś stanowczego potrzebował obmyśleć, siedł tam rozważać, odosobniał się i po jakimś czasie powracał z energią nową i zawsze z postanowieniem, jakiego się po nim nikt nie spodziewał.

Można było powiedzieć, że w tem zamknięciu czerpał natchnienia jakieś i zdobywał się na męstwo, które go nie opuszczało.

Szeptali niektórzy, że się modlić chyba musi, — Buśko ruszał ramionami. On jeden wiedział, co się w tych zapartych izbach mieściło i gdzie podział się ów zagadkowy rycerz, który, na zamek przybywszy, znikł w nim, nie ukazując się więcej.

Szło też Białemu na Złotoryi lepiej, niż kiedy. Ludzie kupami garnęli się i ściągani byli przez Gniewkowskich przyjaciół.

Ostre więzienie Krystyna i zamknięcie Gerarda ze Słomowa, których głodem morzono, nie szczędząc ni kajdan, ni cuchnących ciemnic, głoszone umyślnie, — zmusiło Sędziwoja na prośby siostry do wykupienia nieszczęśliwego opoja. Ale Sędziwój sam grosza dać nie chciał i nie dał, gniew mając do szwagra; dozwolił tylko powinowatym i przyjaciołom złożyć sześćset kóp groszy, gdyż Biały taniej wypuścić go nie chciał.

Za Gerarda z bratem i synami nie mniej nad tysiąc żądał Biały i pozostał przy swoim, pomimo błagania i wstawiania się wielu.

Te tysiąc kilkaset grzywien skarb zupełnie wy-

ciężczony zasilili. Część ich rozdzielono pomiędzy nowozaciężnych, część użyto dla ściągania innych, zadatkami i obietnicami ich kusząc.

Z groszem, który się tu ukazał, gorliwość ochotników wzmożła się wielce. Lasota porozdzielał ich na dziesiątki, na seciny, powyznaczał dowódców, i gdy jedna część ich na zamku spoczywała, druga krążyła ciągle około niego, snuła się po gościńcach, wprost po okolicy rozbijała i zabierała co mogła, do Złotoryi ściągając.

Żaden dwór i wieś nie utrzymały się nietknięte przez nich. Szerzył się strach; wszystkie sąsiednie gródki, na które obawiano się napaści, co prędzej opatrywano i załogami obsadzano.

Biały przebąkiwał o najeździe na Służewo, na Szarlej, na Inowrocław, na wszystkie niemal gródki bliższe, w których się spodziewał zdobyczy. Nie śpieszył jednak z wyruszeniem ze Złotoryi, którą naprzód, już z siebie mocną i murami warowną, jak najpilniej, na długi czas w żywność i środki obrony chciano zaopatrzyć.

Nowy duch jakiś wstąpił w księcia; czuli to wszyscy: nagle te zniechęcenia, zmiany usposobień, zubożenie, na które dawniej chorował, ustały. Był dobrej myśli i w drugich wlewał otuchę. Nie mówił już o żadnych układach, nie przewidywał nic złego, gotów się był kusić na najśmielsze kroki, i sam nawet brać w nich udział.

Tajemnicą tego zwrotu w charakterze było przybycie Frydy, która, nie mogąc nakłonić braci, aby mu pomagali, wiedząc, że księżę nie potrafi wytrwać bez nieustannego podżegania, poświęciła się dla niego, wykradła się dla niego do Złotoryi i pozostała w niej, czuwając nad Białym, będąc jego doradcą i nadzorczą. Jej winien on był to męstwo i wytrwałość, które okazywał.

Z izdebki, w której była zamknięta, mężna i czynna kobieta rządziła nie tylko Złotoryą, ale kierowała wszystkimi krokami przyszłego męża. Ukryta, aby

nie jej, ale jemu przypisywano wszystko, cicho poddawała mu myśli, kazała sobie donosić szczegół najmniejszy i z trafnością zdumiewającą korzystała ze wszystkiego, cokolwiek dało się zużytkować.

Córka ojca, który niegdyś rycersko służył, siostra trzech wojaków, wychowana wśród ciągłych zajęć wojennych, obeznana z niemi, lepszym była wodzem, niż Biały, który nigdy rycerskiego ducha nie miał, a resztę rzeczy rycerskich w klasztorze zapomniał i pozbył się ich.

Baczny postrzegacz byłby może zrozumiał, z postępowania księcia wnosząc, że ktoś stał po za nim, że mu dyktowano to, co czynił i kierowano nim, ale w gorączce, jaka panowała na zamku, nie tak bardzo na drobne odcienia zważano.

Lasota zaczynał wierzyć w księcia i więcej mu ufać; inni też, patrząc nań, mężnieli. Tylko gruby Buśko, gdy o tem mówiono, milczał głupowato.

Fryda była jakby w gorączce nieustającej; przebrana po męsku wyrwała się wieczorami na zamek, opatrując wszystko, domagała się ciągłych doniesień liku ludzi; w jej głowie niespokojnej leżały się ciągle jakieś wymysły nowe.

W czasie, gdy Złotoryę opanowano, razem z załogą i ludźmi do niej należącymi, schwyciono człowieka, którego Biały nie umiał zużytkować. Był to niejaki Hanko, zamożny właściciel młynów Brzeskich, słynny w owe czasy z umiejętności budowania wszystkiego, co wymagało pewnej umiejętności i znanstwa mechaniki.

Młyny wodne oddawna już naówczas były znane i rozpowszechnione w Polsce; od pół wieku wznosiły się już w wielu miejscach wiatraki. Budowa tych przyrządów prostą była zapewne i bardzo pierwotną, potrzebowała jednak znajomości rzeczy i wprawy.

Hanko uczył się owego młynarstwa w Niemczech, budował potem w Polsce dla drugich wiatraki i rzeczne młyny, folusze i stępy, naostatek zubożony swym kunsztem, otrzymał pozwolenie i wzniósł dla siebie

słynne młyny Brzeskie, z których wielkie ciągnął korzyści.

Oprócz tego, gdzie tylko sztuki pewnej potrzeba było, używano Hanka do kierownictwa i porady. Niejeden raz już dawano mu na wzór tych, których używali Krzyżacy, budować maszyny wojenne; umiał też i statki po rzekach krążące bardzo misternie i pięknie odrabiać.

Powszechnie też uważano go, szanowano, a trochę nauki, jaką miał, kazała się domyślać daleko więcej może, niż było. Głos ogólny powiadał, że Hanko potrafił wszystko co zechce, że zna... bardzo wiele. Stary się tego nie wypierał, bo mu z tem dobrze było.

On i zięć jego Frydrusz, któremu naukę swoją Hanko wszczepił, znajdowali się na zamku, gdy go Biały opanował.

Naówczas mnodzy przyjaciele młynarza, korzystając z zamętu, wyrobili to, że go na słowo do Brześcia odpuszczono, wraz z zięciem. Rzecz się zdawała skończoną; Biały o nim zapomniał.

Przybycie Frydy, która się gorącą obroną Złotoryi zajęła i chciała, aby przygotować na rzecze statki ku obronie, a na zamku wojenne maszyny na wypadek oblężenia, poddało komuś myśl o Hance i imię jego księciu przypomniano. Fryda natychmiast sprowadzić go kazała.

Wyprawiono oddział ludzi, aby go po woli lub niewoli na zamek dostawili.

Młynarz, choć nie miał wcale ochoty mieszać się do spraw Białego, aby potem nie odpowiadał za niego, nie mógł się opierać, i z pokorą, niby z dobrej woli, pojechał, zięcia z sobą zabierając.

Stary młynarz nienawidził wojny, niepokoju i wszystkich tych, którzy byli jej przyczyną, niecierpiał księcia i burzył się przeciwko niemu, przewidując, ile on klęsk na Kujawy z sobą ściągnie.

Udał jednak uniżoność, pokorę, najgorliwszą chęć służenia, chociaż wściekał się w duszy.

Nakazano mu wnet z ludźmi się zabierać do ro-

boty, a przedewszystkiem do statków, z którymi wyprawy po rzekach przedsiębrać miano. Myśl się zdawała wyborna.

Oddział żołnierzy, który prowadził Hanke, miał za dowódcę niejakiego Bylicę, drugi już raz będącego w służbach księcia. Oslawiony to był zbój i warchoł, który z kupką ludzi tak zuchwałych, jak on sam, oddawna ponad granicą dokazywał. Na rękę mu było służyć księciu się obłowić, i przyjść może do dowództwa.

Bylica miał lat czterdzieści kilka; średniego wzrostu, krępy, gruby, silny jak żubr, karku twardego, ręki jak topór strasznej, był przytem przebiegłości wielkiej. Połowanie na kupców i przejezdnych po gościńcach wyuczyły go lisich zasadzek, podkradania się, podsłuchów. Podsuwać się umiał, pełznąć pocichu a spadać jak piorun. Ludzi swych, gdy się bić mieli, podpajał chętnie, ale sam tak jakby nie pił.

Chciwy był na grosz, a łasy na białogłowy, a że od dzieciństwa włóczył się z mieczykiem, potrzebował już do życia przyprawy niebezpieczeństwa i walki.

W Brzeskich młynach zastawszy ludzi, bo zawóz był wielki, Bylica przysłuchiwał się ich rozmowom. Tu mu w ucho wpadło, że z Sieradza ciągnie w pomoc Sędziwojowi Jaśko Kmita, i że już nawet przodem wyprawili swoje wozy, namioty, ludzi, skrzynie, bo pan był zamożny.

Od niechcenia zaraz wybadał Bylica, kędy mogły się znajdować te tabory Kmity i jaką one drogą prawdopodobnie iść miały a kiedy się do Kujaw zbliżą. Lud, skłonny zawsze do opowiadania, szeroko o tem rozpowiadając, dał Bylicy wskazówki.

Nie pokazywał on tego po sobie, jakby mu one na co przydać się miały lecz w duchu pomyślał, że Hanke zaprowadziwszy do Złotoryi, musi na obóz Kmity uczynić zasadzkę.

Bylica byłby ją, nie mówiąc nie nikomu, sam Przedsięwziął, aby nie mieć świadków i liczby nie zdawać, lecz swoich ludzi miał za mało, a porwać się na Próżno nie było w jego obyczaju.

Dzielić się sławą tą, że tabory starościńskie pochwycił, nie po myśli mu było.

Jak tylko stanął na zamku, poszedł do Lasoty. Wydać mu, o co szło, nie chciał, bo ani dowództwa, ani pokierowania nie rad mu był ustąpić.

— Potrzeba — rzekł, przystępując do niego — dobrym oddziałem puścić się na zwiady. W Brześciu na młynach ludzie powiadali, że się tu gromady przeciw nam zbierają. Rozbićby je a przepłoszyć. U mnie moich trochę za mało; dajcie mi w pomoc ludzi, pojedę, może się uda co chwycić lub rozbić.

Lasota, znający sprawność warchoła, zgodził się natychmiast.

Bylica, ledwie koniom dawszy wytechnąć, nie czekając drugiego dnia, zaraz z zamku wyciągnął.

Miał już w głowie wszystko obrachowane; miejsce, w którym zaskoczyć będzie najłatwiej tabór, czas i sposób. Nie zwierzając się nikomu, pośpieszył.

Wozy Jaśka Kmity, na których dużo nie tylko zbroi, ale srebra było i złota, pieniądze dla opłaty ludziom, różnych kosztowności własnych starosty, szły pod osłoną małego oddziału, powolnie, a tak bezpiecznie, jakby żadnego się nie obawiały nieprzyjaciela.

Gościńiec, którym ciągnęły, był znany Bylicy, bo on na nim niejednego już złupił. W głuchym lesie musiał nad łąką i rzeczulką przypaść nocleg, albo popas. Tu na dwa oddziały ludzi swych rozpołowiwszy, w gąszczach zasiadł Bylica. Nieszczęście chciało, by istotnie tabór na noc tu przyciągnął.

Stary zbój dał mu się rozłożyć, konie popuszczać, ognie rozpalić, a potem prawie bez straży usnąć.

Po podróży i wieczery sen zawsze twardy bywa. Ludzie Bylicy otoczyli tabór, objęli namioty, a ci, co w nich byli, nie obudzili się, aż im na kark siedli. Zwycięstwo łatwem było. Ci, których nie ubito, rozpierchli się po lasach, a Bylica opanował całe miejsce Jaśka Kmity.

W Złotoryi nie domyślano się i nie przeczuwano szczęścia tak wielkiego. Gdy Fryda wieczorem z Bia-

łym razem wyszedłszy na jedną z baszt, postrzegła na gościńcu ku zamkowi ciągnący długi sznur wozów, koni i ludzi. Wskazała go księciu.

— Co to może być? — rzekła.

— Siano lub zboże do zamku ciągną, bom kazał, aby zapasy gromadzić — odparł Biały obojętnie.

Bodczanka milcząc przyglądała się zbliżającemu orszakowi.

Rozeznać w nim było można ludzi zbrojnych, wozy skórąi pookrywane, wreszcie jeńców przy nich idących z rękami w tył pokrępowanymi.

Fryda zapłonęła przeczuciem jakiegoś wypadku szczęśliwego i zdobyczy.

— Ale, patrzcie — krzyknęła, — prowadzą niewolnika. Jedzie dowódca na przedzie.

Biały wpatrzył się, zdziwił mocno i począł z baszty zbiegać niecierpliwie. Fryda niezwykła była z nim razem ukazywać się w podwórcach, pozostała więc, wróciła do swej izdebki i czekała.

Wkrótce ogromnym okrzykiem rozległ się zamek. Nie było wątpliwości, iż łupy i jeńcy jacyś przybywali.

Nie mogąc wytrzymać, Fryda wybiegła do podsienu i tu jej, cały w płomieniach, uniesiony, szczęśliwy książę zwiastował, że Bylica zabrał niezmiernie dostatki, cały obóz i skarb Jaśka Kmity.

Nie znający miary w niczem książę, prawil już o mianowaniu Bylicy wodzem naczelnym, swą prawicą, swym hetmanem.

Fryda, która o wszystkich ludziach służących Białemu wiedziała dobrze i umiała ich ocenić, ledwie zapalczywego mogła powstrzymać.

Zwycięstwo to, które zasililo skarbiec księcia, było nietylko pożądanem dlań, bo jego gromadom nowe natchnęło męstwo, lecz wistocie przeciwników na chwilę strwożyło.

Sędziwój, któremu znać o nim dano, Jaśko Kmity też ciągnący z oddziałem Sieradzan, uznali po raz pierwszy, iż Białego lekceważyć nie było można.

Zdał się im groźnym, tem, czem był wistocie, że

zgrupował do siebie wszystkich niechętnych, wszystkich rozproszonych warcholów.

Należało co najrychlej z nim kończyć.

Narazić się wszakże na drugą klęskę groziło niebezpieczeństwem. Sędziwój z Szubina zgromadził około siebie wszystkich na radę. Polecono zamki i gródki osadzać, ściągac ludzi, skąd tylko było można.

Urósł Biały książę.

Sam on był nawet poczuł to, że był silniejszym i że powinien był korzystać z czasu, Fryda wzmogła to jego przekonanie, zagrzewając i nie dając mu spoczynku.

Dnie całe teraz upływały na naradach wojennych, na planach coraz śmielszych.

Lasota radził najechać na zamek z wieżycą w lasach u Służewa, bo mu się zdawało, że Jarosław, który tam władał, osadę miał szczupłą i nie spodziewał się pewnie najazdu.

Posłano na zwiady Bylicę, którego też używano do wszystkiego, lecz wrócił ze złą wiadomością, bo Jarosław się uląkł był, a Sędziwój mu ludzi podesłał. W innych gródkach także załogi powiększono.

Biały, który teraz o niczem już nie wątpił, upierał się iść na Inowrocław. Była to własna myśl jego, i do niej, jako do swej, uparcie się przywiązywał. Fryda, choć z obawą, nie chciała mu się sprzeciwić.

Wstrzymywano tylko wyjście pod pozorem ściągania większej liczby ochotnika.

Lasota jak mógł, gawiedź, którą spędzano potrosze, wprawiał do rzemiosła jej obcego.

Parobcy byli pobrani od pługów, od trzody, z lasów, niewprawni do żadnego oręża — niewielce ochotni do wojowania. Lik się ich pomnażał, gąb było coraz więcej do żywienia, ale prawdziwego żołnierza mało.

Biały niecierpliwił się, a że już groziło mu zniechęcenie, Fryda po upływie kilku miesięcy nie sprzeciwiała się wyprawie.

Miedzy innymi Bylica przepowiadał jej powodze-

nie. Nie spodziewano się ich pewnie pod Inowrocławiem, trzeba było iść i napaść nieopatrznych.

Dzień nareszcie został oznaczony.

Książę, który się dotąd gorączkowo wyrwał, gdy nadeszła chwila stanowcza, począł chodzić chmurny i zamyślony; przed Frydą udawał wielce mężnego i niezachwianego, sam na sam z Buśkiem podpierał się na stole, oburącz brał za głowę i sumitował smutnie.

— Co ty myślisz, głupi Buśku? jak się tobie zdaje? weźmiemy my Inowrocław?

— A waszej miłości jak się widzi? — odparł bazarz, — bo mnie coś w oczach ciemno.

— Otóż i mnie ciemno!

Buśko wskazał na drzwi, za którymi była Fryda.

— A tam co mówią?

Biały potrząsnął głową, dał palcem znak towarzyszowi, aby nie mówił głośno.

— Różnie — szepnął. — Ja... ja... — zająknął się i nie dokończył.

— Trzeba iść — dodał po chwili. — Wielki czas.

Gdy my na nich nie wyjdziemy, oni wystąpią przeciwko nam. Ten Jaśko Kmita bodaj przepadł; powiadają, że sobie dobrał Bartosza z Więzburga.

Pokręcił głową i począł marzyć.

— Pobiwszy ich, wzięwszy Inowrocław, Szarlej, niema co odpoczywać, — na Brześć musimy. Co najmniej całe Kujawy! Dopiero się Wielkopoleanie opatrzą! bo oni czekają tylko a na mnie się oglądają; ja to wiem.

Buśko ręką machnął.

— Oni czekają! — rzekł kwaśno, — a my na nich nie? Gdyby oni ruszyli...

— Ruszą się — zawołał książę — gdy im pokażemy, że wojować umiemy.

Wstał książę, nie postrzegłszy, że bazarz ramionami zżymnął i poszedł do komnaty Frydy.

Buśko siadł na przypecku i spuściwszy wyłysiałą głowę, którą pokrył czarną czapeczką, pono jeszcze z Dyżonu wywiezioną, śpiewać począł bardzo cichutko:

Wybiera się czajka za morze,

A no, coś tam przeszkadza nieboże...

Co podleci do góry, to padnie...

I na jutro znów podróż odkładnie.

Biały stał w progu, patrząc długo na siedzącą w oknie Frydę, która z brwiami namarszczonemi, smutna kiedyś uleciała z myślami daleko za mury zamkowe.

Czuła ona, że książę się zbliżał i zdawała się nie chcieć spojrzeć ku niemu.

— Wiecie co — zawołała nagle, — gdyby nie wstyd i nie to, że w Złotoryi też trzeba kogoś, coby czuwał, gdy wy wszyscy wyciągniecie — siadłabym na konia z wami.

Biały głową potrząsnął.

— Na tobym nie pozwolił — bąknął.

— Lękam się — rzekła powoli Bodczanka, — lękam się...

Książę nie dał jej mówić.

— Cóżto, w moje męstwo nie masz wiary?

— Owszem, gdy do walki przyjdzie, nie wątpię o niem, ale trzeba być panem siebie, wiedzieć, kiedy przyjąć walkę i strzymać się od niej, gdy źle wypaść może!

— Tak, gorączka boju opanowuje mnie łatwo — przerwał książę, — lecz będę się starać hamować ją.

— Potrzebna i ona jest — odparła Fryda — ale nadewszystko potrzebne ci to przekonanie, iż choćby się nie powiodło, ducha zachować i wytrwać powinienieś.

Książę nie mógł nigdy znieść, gdy mu o niepowodzeniu mówiono; poruszył się zaraz.

— Nie może mi się nie powieść — odrzekł gwałtownie — na cóż czynić takie przypuszczenia? Oni wielkich sił nie mają, a moi już się im dali we znaki! Bylicę znają! Pamięta go Kmita.

Rozśmiał się głośno.

Frydę ta zarozumiałość trwożyła.

— Tak, mój książę — odezwała się. — Bylica jest zrzeczny napastnik, twoi ludzie są to śmiałe łotry, ale nie żołnierze prawdziwi. Wolałabym dwudziestu Sasów mego brata Ulryka, niż ich całą secinę.

Dotknięty tem lekceważeniem swych ludzi, Biały rzucił się niespokojny i prawie gniewny.

— Obejdę się bez Sasów waszych — krzyknął; — stoją w boju twardo, to prawda, ale ciężcy są i obrać się nie umieją.

— A takichby ci właśnie było potrzeba, aby ustali tam, gdzie murem stać powinni. Twoi tego nie umieją.

Biały niecierpliwił się coraz mocniej.

— Tak — zawołał, — pierzchną może, aby powrócić i nieprzyjaciela napaść; — to ciury wytrzymałe i szalone.

Fryda poruszyła zlekka ramionami. Z czoła jej zmarszczonego widać było, że o przyszłość narzeczonego niezupełnie spokojną była. Książę przeciwnie, śmiał się, mówił, roił i usiłował w sobie utrzymać wiarę sztucznie pobudzoną.

Najmniejsze sprzeciwienie się mogło nią zachwiać i obalić; — nie pozwalał więc na nie nawet Frydzie.

Wyprawa za Wisłę była już przygotowana. Wszystkich niemal ludzi musiał zabrać z sobą, bo mu się zdawało, że ich miał zawsze za mało, choć tak bardzo ufał ich męstwu.

Fryda pozostawała w Złotoryi pod opieką Buśka, który równie smutno jak ona na odjeżdżającego pana swego poglądał. Mała garść załogi i robotnicy młynarza Hanki, którzy na brzegu łodzie ogromne budowali, stary cieśla i zięć jego mieli też zostać na zamku, którego dowódcą mianował Biały Drzazgę, zabierając z sobą Lasotę i Bylicę.

Nałęcz, który był w początku zdumiony wielką rzutkością i przytomnością księcia, obcując z nim codziennie w różnych wypadkach, patrząc nań zblizka, znacznie osłabł w swej wierze i zmienił przekonanie o charakterze jego. Służył mu z dawną gorliwością,

robił, co mógł, lecz nie widział w nim człowieka, któryby się mógł stać zdobywcą i bohaterem.

Teraźniejszej wyprawie nie sprzeciwiając się, Lasota prawie ją odradzał, a przynajmniej chciał uczynić ostrożną, nie radząc wszystkiego stawić na kość jedną. Natomiast Bylica, pochlebając panu, zachęcał, podżegał i obiecywał wielkie podboje. Książę skłonniejszy był do słuchania go niż do dania ucha radom Lasoty.

I wyprawa na Inowrocław ruszyła.

VI.

Sama jedna na zamku Fryda nie mogła się ani spocząć, takie przeczucia złowrogie ją dręczyły. Wyglądała oknem ku rzeczce, gdzie Hanko z cieślami koło machin i statków chodził i ten jeden widok cokolwiek ją rozrywał.

Zdala nie mogąc słyszeć rozmów tych ludzi, widziała ich wejrzeniami bojaźliwymi zarazem i niechętnymi oglądających się ku zamkowi, szepczących coś z sobą, — Hankę na tajnych z zięciem rozmowach i chodzącego niespokojnie.

Niewieściego serca przeczuciem poczęła się obawiać tych ludzi, nieprzyjaciół w nich czując.

Jednakże przypisywała to smutkowi swemu i niepokojowi, który ją ogarnął a swą barwą wszystko pociągał.

Żyjąc od kilku miesięcy z tym, który niegdyś przed laty takim jej się wydawał pięknym, szlachetnym, pełnym uroku, bo wówczas bolał po stracie żony, — Fryda nie mogła się oprzeć rozczarowaniu.

Chciała jeszcze mieć wiarę w niego, przyoblekała go w to wszystko, czego mu brakło, lecz codziennie nędzniejszym, słabszym, prawie pogardy godniejszym się jej pokazywał.

Cierpiała okrutnie.

Niechby był choć dla ludzi, choć dla świata ta-

kim, jakim go ona mieć chciała dla siebie! I to było niepodobieństwem.

Widziała z oburzeniem, że Buško, kochając go, litował się nad nim, a w niego i w jego charakter nie wierzył.

Uczyła go mówić, obchodzić z ludźmi, — codzień wypytywała, co powinien był poczynić, jak się stawić; książkę słuchał jej wprawdzie, lecz nie dobyło to z niego iskry życia.

Siadał lub kładł się z rękami założonemi pod głowę, kazał sobie śpiewać, bając, bawił się żartami płochemi, prawił o niemożliwej przyszłości, o skarbach, o królestwach, o wielkości, a nie umiał nic zrobić, aby te sny urzeczywistnić.

Nieustannie podbudzany, rzucał się gwałtownie i opadał na siłach.

Z myślami temi o człowieku, dla którego dawna jej miłość stygła, chodziła Fryda po pustym zamku.

Przyszłość wydawała jej się straszną, bo na nim polegać nie mogła. Mówiła sobie ze łzami w oczach: — Pójdę do klasztoru, zamknę się gdzieś w murach i umrę.

Po wyjściu znaczniejszej części załogi i ciurów, którzy zamek przepełniali, zrobiło się pusto, cicho, grobowo.

Zdala dochodziło tylko powolne u brzegu rzeki ciosanie robotników Hanki i niekiedy ich głosy.

Drzazga, czując się na zamku słabym i bojąc napadu... miał się na baczności.

Po całych dniach obchodził mury, wdrapywał się na baszty, opatrywał strażę, zaglądał ku wrotom.

Wszystkich zarówno, jak Frydę, opanował niepokój; Buško pił, płakał i siedział w kłębek zwinięty, przysłuchując się najmniejszemu szmerowi.

Fryda, która nad wszystkich była niespokojną, miała zapewnienie, iż gońcy jej będą znać dawali, co się stanie z wyprawą.

Parę dni jednak upłynęło bez żadnej wiadomości. Na zamku nikt się nie zjawił.

Hanko tylko pod jakimś pozorem wysunął się ze Złotoryi, zniknął. Powrócił potem, a zięcia wysłał. Oba chodzili tak przybici, niespokojni, a tak się mało troszcząc o powierzoną robotę, jakby wcale co innego mieli na myśli.

Czeladnicy ciągle coś ciosali, lecz i liczba ich się zmniejszała i budowanie szło coraz opieszalej.

Na to mało kto zważał, bo wszyscy myśleli tylko, co się dzieje z księciem i jego ludźmi. Głucho o nich było.

Fryda kładła się do łóżka z gorączką, sen ją odbiegał, wstawała chora. Na chwilę zdrzemnąwszy się, widziała w marzeniach najstraszniejsze obrazy.

Jednego ranka, tak, nie mogąc zmrużyć oka, zerwała się z pościeli, otworzyła okno i wlepiła oczy w mglisty obraz jesienny.

W dali podnosiły się opary z łęgów, jak zasłona, rzeka płynęła wezbrana i mętna.

Okolo poczętych statków zaczynali zbierać się ludzie, którym do roboty nie było śpieszno.

Nagle na wodach rozlanych ukazała się łódź wielka, pędząca śpiesznie i kierująca się jakby pod zamek. Kilku wiosłarzy, leżąc na wielkich wiosłach, którzy ją pędzili, oglądali się niespokojnie dokoła. Jakiś mężczyzna, otulony oponczą, stał w pośrodku, ludzi kupka go otaczała.

Fryda, zobaczywszy barwę, niepodobną do innych, widywanych co dnia, drgnęła niepokojem i przecuciem jakimś.

Im więcej się zbliżała łódź ku brzegowi, tem oczy jej uparciej w człowieku, stojącym z głową spuszczoną, chciały dopatrzeć podobieństwa z księciem.

Lecz mógłże to być on?

Sam jeden na łodzi — bez wojska... bez orszaku?

Fryda, nie mogąc wytrzymać, zarzuciła na ramiona płaszcz i tylnymi wschodkami wyszła z zamku ku rzece.

Na ścieżce, która ku niej prowadziła, spostrzegła idącego wprost ku sobie księcia.

Dość było nań spojrzeć, aby zgadnąć, co się stało.

Zuchwały ów rycerz, zdobywca przyszedł szedł, chwając się na nogach, blady, a twarz jego wyżyłkła nagle, schudła, oczy wpadły, usta sine... czyniły go podobnym do powstającego z łoża choroby, wracającego od wrót śmierci.

Fryda stanęła, zakrywając sobie oczy, — nie śmiała go pytać.

On zatrzymał się nieco, potoczył wzrokiem błędnym dokoła, tchnął i począł, nic nie mówiąc, ku zamkowi się posuwać.

Trzech ludzi obdartych, porąbanych, wylekłych wlekło się za nim.

Nie mówiąc nic, Fryda zwróciła się nazad. Szli za nią.

Księżę śpieszył do izby, wszedł do niej, za ledwie na Frydę spojrzawszy, odpasał miecz z pochwą otartą, odpiął zbroję i rzucił się na łożo. Buśko już leżał u nóg jego, Fryda przyklękła w głowach.

Cichym głosem zażądał napoju; Buśko pobiegł po wino.

Fryda nie śmiała go wypytywać. Z dziedzica dochodziły ją wykrzyki ciurów, którzy z księciem wrócili, jakiś straszny pogrom opisujących. Lecz potrzeba było co więcej nad widok tego zbiega, aby domyśleć się, że na głowę został pobity?

Po długiej chwili oczekiwania trwożnego Biały, wychyliwszy kubek wina, który mu podał Buśko... podniósł się na rękę, spojrzął dokoła obłąkanemi oczyma i zawołał:

— Pod Gniewkowem — pod samym zamkiem moim była bitwa. Jąsko Kmita i ten łotr Bartek z Więzburga napadli mnie. Siły mieli przemagające. Biliśmy się mężnie... ja sam... wszyscy... Lasota... tylko ten zbój Bylica, zdrajca, za wcześniej pierzchnął ze swymi. Potem... trupy leżały... poszli wszyscy w rozsypek... samoczwart ledwie wyrwałem się, gdy mnie do niewoli już brać mieli...

— Koń padł około Nieszawy... Szczęściem, czółno się znalazło... ocaliło mi życie.

Obalił się na łożo i jęknął.

Fryda słuchała blada jak mur a drżąc; spoglądała na rozpaczonego i powoli się zaczęła podnosić. Wstała, twarz znowu oblał rumieniec.

— Nie wszystko jeszcze stracone przecie — zawołała głosem drżącym. — Złotorya została wam... Nie wiem, czy Gniewków wzięli! Wszakżeś poczynął z mniejszem... Dla jednej klęski tracić męstwo i nadzieję? Ludzie się pewnie rozpierchli tylko... zaczną się zbierać znowu... padł Lasota?

— Nie wiem — mruknął księżę. — Bylica, nie broniąc mnie, uszedł w lasy...

Widząc, że z zaniemiałego nagle księcia, którego głosu brakło, niczego się nie dowie, Fryda wyszła z izby. Na podsieni stali ci, co z księciem powrócili.

Jeden z nich, Jasiek Zrąb, płakał, opowiadając i spoglądając na ucięte palce u ręki, które w krwawą płachtę zawiązane były.

Fryda przystąpiła do niego.

— Padło wielu? — zapytała go.

— Al! pobojszcze trupami usłali! — krzyknął Jasiek. — Krew się lała strasznie. Myśmy ledwie się przerabiali przez tłumy. Któż mógł podolać takiemu żołnierzowi okutemu w żelazo, gdy nasi i tarcz nie mieli? Cośmy my warci byli przy nich? Rzuciwszy się na nas, odrazu złamali... nikt im nie dostał.

— Lasota? — spytała Fryda, na nim widać pokładając nadzieję...

— On! Ten się bił! — rzekł Jasiek — i porąbali go... widziałem, jak padał. Nie wiem, czy się podniósł...

Na zamku niepokój straszny powstał... Garść załogi trwożyła się, aby Kmita z Bartoszem nie przyszli zaraz pod Złotoryę.

Tymczasem zamiast nich, w kilka godzin nadbiegać zaczęli pojedynczo i gromadkami zbiegli z pogromu pod Gniewkowem...

Coraz to kratę w bramie podnosić było potrzeba i wpuszczać ich, porąbanych, krwawych, rozbrojonych, wlokących pokaleczone konie.

Nadspodziewanie wiele się ich nazad ściągało.

Fryda, nie czekając rozkazu księcia, sama Drzazgę zawołała do siebie.

— Pilno mi strzeżcie zamku — rzekła surowo, — książę zdaje na was wszystko... Niejeden raz wojsko nieprzyjaciół pobije, a jutro ono odwetem zapłaci... Nie dajcie się trwożyć.

Wróciła do Białego, którego Buśko nie opuszczał. Słyszając cicho prowadzoną między nimi rozmowę, przytuliła się do drzwi i zaczęła na progu...

Buśko jęklwym głosem odezwał się do pana:

— Było nam, było rwać się tu na te złowrogie zgłiszczą? Albośmy się tak źle mieli z mnichami? a nie tam, to w Budzie i Wyszehradzie nie można było żyć? Czego nam brakło? Zawierzylesz złym ludziom...

— Bogdajbym był ich nie znał! — zdrajcy, — jęczał książę — wszyscy zdrajcy... Jeden Lasota osłaniał mnie i bronił. Bylica uszedł...

Bartek z Więcburga napadł na mnie... musiałem mu się odcinać. Jeszcze czuję, jak w hełm mnie kordem raził, że mi się oczy iskrami posypały. Lasota mnie wyzwolił...

Tak — Buśku, — tak, mądrym jestem za późno; dobrze było w Budzie... Odurzyli mnie... i opuścili...

Frydzie dosyć było tego urywka rozmowy, ażeby zrozumieć, co się z księciem działo. Drgnęła z trwogi, aby nie wyrzekł się wszystkiego; wtargnęła żywo do izby. Buśko, zobaczywszy ją, głowę spuścił, nogi zaczął panu obwijać i przypadł milczący.

Bodeczanka, choć w duszy jej było chmurno i krwawo, okazywała twarz wypogodzoną.

Biały popatrzał na nią i niemal się zasromał. Ruszyła ramionami.

— Ludzie rozpowiadają — zawołała, — że tam więcej zbiegło niż padło. Co dziwnego? Nie inaczej się żołnierz wojować uczy, tylko klęskami. Drugi raz

lepiej bić się będą. Już powracają — brama się nie zamyka, tyle ich przybiega zewsząd... Potrzeba tylko silnej ręki, aby ich ujęła... Lasota, szkoda Lasoty...

— Padł — rzekł krótko książę.

— Drzazga go zastąpił — podchwyciła Fryda żywo.

Zbliżyła się do łóża.

— Ranni jesteście? — zapytała.

Książę, jakby nie wiedział sam, spojrzał po sobie, na ręce swe i nogi, nie umiał dać odpowiedzi, wskazał tylko głowę, którą sina pręga napół przedzielała.

Szepnąwszy coś Buśkowi, Fryda wyszła.

Dosyć niezgrabnie zabrał się stary sługa wraz z przywołanym pacholęciem do rozebrania księcia. Biały miał na sobie dobrą zbroję, nie doszły go więc wymierzone ciosy, ale przez nią niemal każde cięcie czuć się dało.

Blachy zgięły się pod razami i cisnęły ciało, które krwią zaskórnią nabiegało.

Ręce, plecy, ramiona, głowa były sińcami okryte. Przyniesiono wina z ziołami gotowanymi i zaczęto niem okładać potłuczonego, który, zapominając już o klęsce i o wszystkim, głębokim snem usnął.

VII.

Gdy pod Gniewkowem Jaśko Kmita z Bartkiem z Więcburga zadali klęskę tak wielką Białemu księciu, wieść o niej rozchodząca się po Wielkiej Polsce, właśnie w chwili, gdy ziemianie i dygnitarze ze zjazdu w Koszycach wracali, poruszyła umysły również jak nowiny, które z Węgier przysły.

Dersław Nałęcz, zawsze niby bezczynny, pustelnik, siedzący w swej Wielkiej Wsi na uboczu, a wiedzący lepiej od innych, co się na świecie działo, zbierał się jechać do Poznania.

Z tego, co do niego doszło zdala i głucho, miar-

kował, że Wielkopolanie nie zyskali w Koszycach, czego chcieli, że tam, jak zawsze, krakowski panowie, Topory i Leliwy, Zawisza z Kurozwęk z ojcem i bratem wyrobili, co chcieli, a Wielkopolan do milczenia zmusili.

Tyle tylko wnosił z opowiadań, a chciał wiedzieć więcej...

Stary więc, mimo pochmurnego dnia, już konia sobie podawać kazał i zabierał się nań siadać, gdy nędzny wóz chłopski, parą koników ciągniony, wtłoczył się na podwórze, powstał nieco u bramy, a potem skierował się ku dworowi.

Na wozie, wysłanym sianem, nikogo siedzącego widać nie było; — stał więc Dersław, czekając. Gdy konie przyciągnęły wreszcie furę, podniosła się z niej blada, obwiązana szmatami głowa Lasoty...

Dersław aż krzyknął z podziwu, a na krzyk ten — wnet jego niewiasty z domu wybiegły; na wozie leżał okryty siermięgą, okrwawiony, biedny Nałęcz...

— Z pod Gniewkowa! — krzyknął Dersław, zalamując ręce.

— Ledwie żyw — odparł Lasota. — Chciałem się tu zwlec, abyście mi choć pogrzeb chrześcijański sprawili.

Dersław się odwrócił, wołając:

— Hej — śłać po babę, po Truchlicę i po owczarza! Oni mu radę dadzą.

I przystąpiwszy do wozu, pytać zaczął po wojskowemu:

— Ucieli ci rękę albo nogę? Nie, — chwalić Boga! — Wnętrznosci całe? Głowę pokaż?... Kość nie przerąbana... Ran dużo, ale mięsnych... Krew się odrobi...

Zajął się zaraz gorąco.

— Na ręce go wziąć i na posłanie moje — krzyczał. — Truchlicę choć za włosy mi ciągnąć, aby z ziemi tu była — a raźno!

Gdy Lasotę ludzie podnieśli, choć zęby ścisnął, krzyk mu się wyrwał. Niewiasty zawtórowały jękiem.

— Wstydz się! — zawołał Dersław. Co ból zna-

czy, gdy człowiek w sobie serce ma? Śmiej się! Będziesz zdrow jak ryba. Truchlica ma zioła, co goją, choćby ogień był w ranie. Dawajcie Truchlicę!...

Może lepiej, niż zioła baby podziały na Lasotę — piękne, łzawe oczy Piotruszy, która z matką za chorym poszła.

Dersław konia odprawił i został przy Lasocie, po męsku się nim zajmując.

Gdy Truchlica oglądała rany i okładała je a lepiła, ów opowiadał, jak niegdyś posiekany, leczył się i wylizał dzięki temu (wedle jego przekonania), że miał rozum, bo jadł i pił ciągle, a nie dał życiu w sobie zagasnąć.

Wnet krupnik kazał warzyć tłusto dla Lasoty, a tak był pewien, że z pomocą Truchlicy, owczarza i krupników zdrowie rychło powróci, iż chciał czekać z podróżą do Poznania, ażeby się Nałęcz dźwignął.

Być może, iż zawsze podejrzewając powinowatego i Piotruszę o serdeczniejszy, niż sobie życzył stosunek, wołałby był chorego z niewiastami samymi nie porzucać.

A tu znowu sprawa ogólna na sercu mu leżała.

Z Lasoty dobywszy, co tylko on wiedział o księciu i jak o nim sądził, dłuższy czas z nim spędziwszy, Dersław zawyrokował:

— Na tego Piasta znoska niema co się nam oglądać... darmo! Trzeba się wyrzec wszelakiej myśli o nim. Sprzeciwiałem się temu, gdy Przedpełk, Szczepan z Trłaga i Wyszota powrócili i zawyrokowali o nim, że z niego nic nie wyrośnie... myślałem, że wprost podrażnił ich i źli nań byli; ale teraz widzę, że to duda jest, w którą dąć potrzeba nieustannie, aby jaki taki głos wydała.

Więc precz z tymi dudami! niech się na nią nie oglądają nasi... trzeba Ziemowita Mazura uprosić... Ci wiedzą, czego chcą i dokąd idą.

Właśnie z tem postanowieniem pilno było na zjazd Dersławowi, lecz do Poznania, czekając na wyzdrowienie Lasoty, opóźnił się, a niechętni królowi

mieli się zebrać na obrady w Gnieźnie. Tam i stary pośpieszył.

Nie był na zjeździe w Koszycach na Węgrzech, i mało co wiedział o skutkach jego; chciał się i o tem dowiedzieć i wniesć, aby się już Białego a na nim pokładanych wyrzeczono nadziei.

Gniezno wybrali sobie wielkopolscy malkontenci dlatego może, iż tam najliczniejszy ich zjazd mógł przejść niepostrzeżony, bo go bodaj niedziela, święto i pobożność usprawiedliwiała.

Zaleciwszy więc żonie, aby na Truchlicę zdała pilność około chorego, a Piotruszy do niego na straż nie posyłała, z dodatkiem, że młody, choć posiekany, niebezpieczny, Dersław, podjadłszy dobrze, napiwszy się i pożegnawszy, do Gniezna wyruszył.

Znalazł tam już ludzi znacznych wielką gromadę i niemal wszystkich tych, którzy z Węgier powracali.

Ponieważ na zamku arcybiskupim, ani w żadnym gmachu widoczniejszym nie mogli się zebrać przybyli, musiano obradować w szopie...

Jedną z nich przy gospodzie, obszernej, oczyszczonej z wozów i śmiecia, wysypano tatarakiem i jedlinką, poustawiano stoły i ławy, podesłano słomę pod nogi, i niewymyślne rycerstwo ówczesne, jakby w najwykwintniejszych gmachach, znajdowało się pomieszczonem wygodnie.

Krom tych, którzy stronę króla i starej królowej trzymali, a z Krakowianami byli związani, znalazło się tu prawie wszystko, co Wielkopolska miała najdoszniejszego.

Nałęczów szczególnie, rozrodzonych bujnie, było mnogo.

Duchowieństwo też z różnych stron licznie się zjechało.

Domagano się naprzód od tych, co w Koszycach byli, aby o przebiegu sprawy z królem Ludwikiem dali wiadomość.

Wieść już była tu doszła, że król naprzód, nie mając męskiego następcy po sobie, żądał, aby się Po-

lacy zgodzili na przyjęcie za królową córki Katarzyny, przeciwko czemu opór był wielki. Tymczasem Katarzyna zmarła i po niej znowu na Maryę przelać chciał król jej prawa.

Z tych, co z Koszyc powracali, za najwymowniejszego uchodził Pobożanin, imieniem Spytek, na którego też zakrzyczano zaraz, aby głos zabrał, może dlatego, że choć mąż był poważny i słowa łatwego, mawiał tak zawsze wesoło o największych sprawach, że raczej do śmiechu, niż do roznamiętnienia pobudzał.

Spytek wstał, w boki się wziął, spojrzął po zgromadzeniu i począł:

— Miłościwi moi—rzekł—radbym był, gdybyście mi z powodzenia i zwycięstwa kazali sobie liczbę zdawać a nie z pogromu; — tymczasem i biedę a upokorzenie własne trzeba znać, aby się z nich dźwigać. Wiecie to, że naprzód nami bez nas chciano rozrządząć i nawet do Koszyc na zjazd nie powołano Wielkopolski, aby co Dobki i Zawisze postanowią, my przyjęli z pokorą.

Wrzawa mu przerwała, Spytek pomileczał, brodę poprawił, węża pokręcił i mówił dalej:

— Rozmyślili się potem i zawołali nas do Koszyc. Jechaliśmy tedy tłumnie, a z tem postanowieniem, żeby poradnego nie dać i córki na tron nie dopuścić.

Zwołano nas, zrazu słodkimi słowy biorąc na lep, którym Krakowianie aż się obliżywali.

Gdy przyszło do głosów, a Dobkowi wszyscy za soczewicę ofiarowali się sprzedać tron, — myśmy się oparli.

Huknięto znowu i przykłaśnięto wołaniem.

— A opierać się będziemy... po kądzieli tron nie pójdzie. Piast się znajdzie.

Spytek poczekał, dał znak ręką i mówił znowu:

— Gdy Dobkowie zobaczyli, że przy swoim stoimy twardo, że nas ni starostwy, ni pieniędzy, ni łaskami nie kupią, — poczęli naprzód grozić... niełaską króla.

A no, kto łaską wzgardził, ten i na niełaskę zważać nie będzie.

Chodzili koło nas, chodzili... nie zmoгли. Codzień spodziewali się, że zmiękniemy, a napróżno. Jeden drugiego pilnował. Duchowieństwo błogosławiło.

Ciągnęło się tak już dni kilka, aż naostatek Jurga stary (tu wskazał na siedzącego) wniósł, że w Koszycach nie mamy czego siedzieć dłużej, byśmy Krakowian bodaj porzuciwszy, tłumnie odjechali... ażali bez nas co poczną.

Musiała o tem wieść zaraz prysnąć po mieście, bo oni zawsze ludzi na posłuchach mieli, — ułękli się naszego postanowienia. Dobiesław z synem, spłoszeni, pobiegli do króla, wołając, że wszystko się wniwecz obróci, gdy Wielkopoleanie precz pójdą.

Dopieroż radzić!...

A wiedzieć trzeba, że to miasto Koszycy zewsząd jest warownemi murami opasane; ani do niego wleźć, ani z niego wyleźć nie można, ino przez wrota, u których i mosty zwodzone i brony są, i strażę.

Prawda, że pierwszych dni otworem dla nas stały, a kto chciał kupić, czego mu w mieście niełacno było dostać, — wyjeżdżał na wioski.

Zawisza widać poradził królowi, aby ze strachu tłumnego odjazdu naszego, wszystkie wrota pozamykać i strażę mocne ustawić.

Pacholków nawet naszych po siano i obroki, o które w mieście ciężko było, nie chciano za miasto puszczać.

Strach nas ogarnął, bo dalej śmiercią głodową ginąć-by przyszło. Pobiegli niektórzy do Zawiszy na zwiady.

Temu niewola w Koszycach-słodką była, bo król go żywił, a Węgierek pięknych siłą miał, do których, mimo sukni swej, mógł się przysiąść.

Szli do niego Wąż i Mleczek.

Przyjął ich podkanclerzy z uśmiechem drwiącym na ustach.

Na wołania i skargi jedną miał odpowiedź:

— Posiedźcie w Koszycach, aż wam się naprzy-

krzy, konie wyzdychają, a wy schudniecie i dobremu panu przestaniecie się sprzeciwiać. Dla jednej Wielkopolski, że ma muchy w nosie, kraj cały cierpieć nie może. Cóż wy lepszego od Krakowian? Czemu to, co nam dobre, wam nie do smaku? Przemysława się wam chce osobnego w Poznaniu, ale tego mieć nie będziecie.

Za stołów zaczęto wołać:

— Zobaczymy!

Lecz zamilkli wnet i słuchali.

— Poszliśmy z mieczem raz i drugi, i trzeci — mówi Spytek. — Niektórzy chcieli z Koszyc przebojem iść, ale panowie duchowni nie radzili. Niejeden zmiękł i powiedział: podpiszmy, co siłą wymódlę chęć, a potem zaprotestujemy.

Tu zaś do nas Krakowianie biegać zaczęli, modląc a prosząc, że wielkie wolności i przywileje dla rycerstwa i ziemian król daje, i na wszystko się pisać trzeba, aby je zyskać, bo ich potem już nikt odebrać nie potrafi.

Prawdę rzec — dawał król wiele, ale nie to, co myśmy chcieli.

Wymogli na nim Krakowianie wolność zupełną od wszelkich danin, opłat i posług, krom dwu groszy z łanu na św. Marcina; obiecał ich na służbę rycerską nie wołać za granice, chyba za sowitem wynagrodzeniem; o wszelką sprawę rady pytać, bez niej nic nie stanowić; urzędników nie mianować, ino swoich, a książąt i z krwi ich nikogo; po miastach też sądzić tylko ojczyków tych ziem, w których one leżą. Naostatek i podwody królewskie darował.

Słuchano w milczeniu.

— A no — zamruczał Dersław, — obiecał łatwo; zobaczymy, co strzyma... Małopolany się otacza, oni radę jego stanowić będą, po ich myśli pójdzie wszystko, — a my, jak byliśmy, tak będziemy upośledzeni.

Spytek westchnął.

— Dajcież dokończyć — rzekł; — trzeba dopić kwaśnego piwa, które nam nawarzano.

Za te wszystkie łaski a swobody córkę na tron

z mężem, jakiego jej wybiorą, przyjąć musimy; więc choćby Niemiec był czystej krwi, która nam jest truczną — kłaniać mu się będziemy musieli.

— Ho! ho! — wołano po bokach.

— Zobaczymy! — śmiejąc się, dodawali inni.

— Tu nam już i głód dawał się czuć potrosze i tęsknota wielka — ciągnął dalej Spytek, — a bramy w Koszycach jak stały tak stały zaparte.

Rada w radę, przystać musieliśmy, aby nam je utworzono.

Wstał sędzia Janko z Ostrowa i rzekł grubym głosem:

— Z musu się na to wszystko pisało, nie po dobrej woli, więc zgoda niewarta nic, a myśmy tako wolni, jak przedtem byliśmy.

— I córki jego nie chcemy! — krzyknął stary Nałęcz, a za nim podniosła się burza głosów wołających:

— Nie chcemy!

Powstała wrzawa taka, że Spytek, obejrzawszy się i widząc, że darmoby chciał przyjść do słowa, siadł na ławie, ręką machnąwszy.

— Miłościwi — zagadnął Pobóg jeden, — przywilejem królewskim, jaki on jest, pomiać się nie godzi. Mnie się widzi, że byleśmy umieli, pętlę z niego zrobić można, na której i Ludwika i następców jego wodzić będziemy mogli, jako się nam zda.

Zważcie i to, że król Kazimierz ziemian zgniótł, chłopów głaskał, mieszczan wynosił, cudzoziemców sprowadzał, że rycerstwo za niego nie mogło nic, bo je, jak Maćka Borkowicza, głodem morzył i ścinał. — a Koszycki przywilej ziemian podnosi tak, że teraz bez nich nie ruszy się nikt, i jak oni zaśpiewają, wszyscy skać będą musieli.

Przeciągłe odpowiedziało milczenie; wstał Dersław.

— Między słowem, pismem a czynem — szerokie pole — rzekł. Król, co takie swobody wielkie nadawał, w Koszycach przecie głodem was morzył i więzieniem zmuszał, abyście te łaski przyjęli.

Panowie piszą inaczej, a inaczej czynią. Wiatr

to te obietnice. Co nam po nich? Pan nie swój, oby-
czaj mu nasz i kożuchy śmierdzą, córka też obcą nam
będzie, mąż jej obcym — pójdziemy pod panowanie Niem-
ców. Nam trzeba Piasta, nam trzeba do ich krwi
powrócić!

Nikt nie przeczył, lecz wielu mruczało:

— A skądże go wziąć?

Odezwał się z kąta jeden:

— A cóż? gromadą iść do Białego! pomagać mu.

Niech się potrzyma... weźmiemy go sobie. Warchoł
niczego.

Wstał Dersław.

— Mów raczej, że warchoł do niczego — krzyk-
nął. Pytajcie tu przytomnych Wyszoty, Przedpelka
i Szczepana, co go z Dyżonu wywieźli, jako mącił
a płał im, codzień co innego pragnąc. Widzieliśmy,
jako się rzucił na zamki, zdobył ich kilka, a potem
poddął, gdy się mógł trzymać. Teraz go Jaśko Kmi-
ta z Bartoszem potłukli haniebnie u Gniewkowa. Sę-
dziwój weźmie go znowu, bo go ma jak w garści
w Złotoryi.

— Ja sam — dodał Dersław — patrzałem nań i ra-
chowałem na niego; miałem powinowatego u jego bo-
ku, co każdy krok śledził i powiadam wam, że tam
z tej krwi Piastowskiej ino woda została. Niema się
co na niego patrzeć, nie godzi mu się pomagać. Sła-
by jest a okrutny, gwałtowny a nieporadny, i mieni się
jak księżyc, który raz wraz chudnie i rośnie.

Nam innego pana potrzeba.

— Skądże go wziąć? — rzekł sędzia. — Ślascy Pia-
stowie — Niemcy czyste.

— Mazurów mamy — rzekł Dersław. — Ziemowita
ciągnąć musimy. Mówi, że się opiera, bo się Ludwi-
ka lęka, a no — z czasem może nie stać go, nawróci
się Ziemowit.

Gdy Dersław mówić przestał, żaden głos nie dał
się słyszeć ani za Białym, ani przeciwko Ziemowitowi.

Naradzano się raczej, jak go sobie pozyskać, bo
wiadomo było, że go już napróżno kuszone.

Bartosz z Odolanowa, na którego się oglądało wielu, słuchał, spozierał, lecz choć go się wyzywać zdawano, nie chciał głośno przemówić.

Siedząc tylko na ławie, a rękami szeroko na stole się rozparłszy, rzekł najbliższym:

— Czasowi to zostawcie... i nie myślcie o innym... zyszczy go. Teraz o tem mówić, a króla i królewskich oczy nań ściągać... nie potrzeba. Już wiem, że— gdy pora nadejdzie, — gotowym go znajdziemy!

Dersław, który pochyłony słuchał, zamknął cichą naradę słowy:

— Gniewkowskie książątko... aby ludzi nie bałamucilo, głów darmo nie zawracało i krwi nie kosztowało napróżno, potrzeba zdać na jego własne losy.

Nikt się za Białym nie ujął, owszem, Wąż rzekł, pogardliwie ramionami ruszając:

— W Złotoryi się on nie utrzyma długo. Jaśko Kmita, Bartosz z Więcburga, a pono i Każko Szczeciński, który im w pomoc ma iść, zmożą wywołkę, ani mu ci z Drdzenka będą posiłkowali, choć siostrę ich, słyszę, wziął sobie... bo się ulegną. Zbójów i włóczęgów tylko kupę ma.

Zatem niektórzy z poważniejszych o Mazurach szeroko i długo mówić poczęli, jako był ród ludzi surowych, ale rządnych, mocnej dłoni.

Wspomniał ktoś Opolskiego Władysława, ale przeciwko temu zaraz się głosy ruszyły, Niemcem go zwąc.

Każko Szczeciński, choć wielu miał przyjaciół, na pana też nie widział się im stworzony, bo miał to, co i Białą — gwałtowność wielką, a niestałość jeszcze większą. Lepszym od niego ludziom się wydawał, jednak z Mazurami mierzyć się nie mógł.

Staęło na nich jednogodnie.

Dopieroż na kupki i gromadki rozdzielili się różni, rozpytując o Koszyce i o ów sławny przywilej, nie dowierzając, a szukając w nim złego. Już to jedno, że pochodził od Krakowian, że Topory go wycio-

sały a Leliwa im przyświecała, szlachcie wielkopolskiej podejrzanym go czyniło.

Zjazd Koszycki nie tylko nie złagodził nieprzyjaźni między dwiema Polski połowami, ale ją podniósł do najwyższej potęgi.

Wogóle też nie tylko Małopolska do walki z Wielkopolską się gotowała, ale w tej nawet na dwa obozy rozpadało się ziemiaństwo; bo kto z królem trzymał, do Krakowa jeździł, łaską się jego chlubił, tego odstępowano i za wroga uważano.

Z tych, co ani czarnymi, ni białymi nie byli, a stali na boku, trochę się na zjazd do Gniezna przywlokło; niektórzy Nałęczom się ująć dali; ci, co się czuli więcej pociągnięci do Sędziwoja, do Grzymałów, wprędce szopę opuścili.

Im liczba w niej się zmniejszała, tem narada popufalszą, otwarciej nieprzyjazną dworowi i jego stronnictwu się stawała.

Liczono siły, wymieniano tych, co króla i królowej stronę trzymać mogli, a Dersław Nałęcz dowodził, że przewagę mieć będą ci, co Piastą żądali.

Pomiędzy nimi Bartosz z Odolanowa, wielu równie możnych a mężnych i silnych się znajdowało. Mieli też za sobą znaczniejszą część duchowieństwa, które, choć głośno się nie odzywało i czynnie nie występowało, sprzyjało Nałęczom, bo je pobór z łanu zniechęcił, a poddanie ogólnemu prawu stanowisko jego zachwiało.

Tak ów zbiór długo w noc jeszcze obradując w szopie, nazajutrz słowem związany mocnem, powoli się na różne rozproszył strony.

VIII.

Zamek w Złotoryi, którego mocne mury i dwie rzeki broniły, pomimo usiłowań Sędziwoja z Szubina, Jaśka Kmita i innych ściągniętych dokoła, aby nie dać

Białemu księciu więcej się rozpościerać, bronił się przez zimę całą, bronił wiosną jeszcze.

Książę, chociaż najmniej się może przyczyniał do tak wytrwałego oporu, był nim dumny i sobie go przypisywał tylko.

Nawet przed Frydą, która go dobrze już знаła, rad był odgrywać rolę bohatera, a że mu wstyd było porażki pod Gniewkowem, której zapomnieć nie mógł, przypisywał ją właśnie o tym czasie w uzbrojeniu polskiego rycerstwa zaszłej zmianie.

Wistocie Racowie, którzy z Ludwikiem Węgierskim na służbę do Polski przybywali, uzbrojeni byli drzewcami i tarczami.

Dawniejsze rycerstwo polskie jeździło z kuszą, miało haki u pasa i schyliwszy się na koniu, kuszę o nogę oparłszy, naciągali ją. Zbrojne też było w rohatyny, uwiązane na koniu przy lęku i wlokące się za niemi, stąd zwane włóczykami; a u boku nosiło miecze. Rohatyny te, a nawet i kusze dla drzewców rzucone. *)

Książę użyciu ich pod Gniewkowem, a brakowi u swoich żołnierzy, całą klęskę przyznawał. Powtarzał codzień:

— Gdyby nie drzewce! gdyby nie te drzewa ich przekłete!

Ale ku obronie zamku ani włóczyki ni drzewca użyć nie było można. Postawiono pod murami zbudowane przez Hanke młynarza tarany i różne do rzućcia pocisków ciężkich porobione maszyny, gromadzone kamień, smołę, miano się na baczności wielkiej.

Tymczasem, gdy Bylica, który był uciekł sromotnie z pod Gniewkowa, powrócił, tłómacząc się i uniewinniając, przyjął go książę i do dawnej łaski dopuścił, a nawet nad Drzazgę i innych go przekładał.

Bylica przypochlebiać się umiał, rozum i wielką umiejętność księcia wynosił bardzo. Białe też powiadał o nim, iż człek był rozpuszczony, zuchwały, ale do

*) Bielski.

wypraw niespodzianych, do napadów śmiałych równego sobie nie miał.

Wistocie Bylica miał węż drapieżnego zwierza, zręczność rysia lub żbika, który zasadza się w gąszczu i pada na swą pastwę jak piorun z góry.

W ciągu tych kilku miesięcy z kupkami ludzi, jak on sam zwinnych, wyrwał się z zamku wielokrotnie, i, choć na niego czatowano, nie dając się pochwycić, napadał na sioła, na dwory, na małe oddziały wojsk, nie dając im spokoju.

Grabieże te udawały mu się szczęśliwie, a wiele szkód przyczyniały Sędziwojowi z Szubina.

Przyszło do tego, że oddziały prowadzone przez Bylicę, posuwały się z Kujaw w głąb Wielkopolski, porzywały, co mogły, a gnane, schraniały się w mury zamkowe.

Książę z nich równie korzystał, jak dowódca, który zawsze lwia część łupu umiał sobie przywłaszczyć. Największym jednak zyskiem było to, iż się Złotorya obraniała i opędzała.

Sam książę w grabieżach tych i wycieczkach nie brał czynnego udziału, lecz zdało mu się, że niemi rozporządzał. A że, gdy mu się powodziło, rósł na duchu wielce, Fryda miała tę pociechę, iż ciągle prawie widziała go zajętym swą sprawą, wcale nie myśląc o tem, aby uległ przewadze Sędziwoja i ułakł się siłą jego.

Książę rachował wiele na umiejętność Hanki, na pomoc, jaką mu mogły dać maszyny coraz nowe i czołna przez niego budowane. Temi niekiedy także zbrojne kupy puszczały się Wisłą i nadbrzeżne osady plądrowały.

Nie wypuszczano więc bogatego młynarza, ani zięcia jego ze Złotoryi, chyba pojedynczo i to na krótko, jednego zawsze zatrzymując, jako zakładnika.

Hanko, który oko miał przenikające i widział, że się to wszystko źle skończyć musi, rad był co najprędzej się stąd wydobyć i powrócić do swych młynów, a zyskać łaskę wojewody Sędziwoja.

Począł się coraz częściej wymykać, posyłać ludzi w różne strony; wreszcie zauważono, że opieszale chodził około tego, co mu powierzono.

Fryda z przenikliwością niewieścią oddawna zdracy się w nim obawiała; książę się śmiał z tej obawy.

Na tydzień jakoś przed Zielonemi Świątkami, powziąwszy podejrzenie większe, gdy znowu Hanko się do Brześcia prosił, Boczanka potajemnie wysłała za nim człowieka, który kroki jego miał śledzić.

Ten powrócił wprędce, dając znać, że młynarz mu się wysłiznął, znikł, lecz, że najmocniejsze miał podejrzenie, iż do obozu Kmity, ku któremu i inne siły się ściągały, musiał się udać.

Czekano go z powrotem.

Biały, któremu zdradą nieochybną głowę nabito, gdy się tylko stary młynarz z powrotem zjawił, natychmiast do siebie wołać go kazał.

Było to w naturze słabego a gwałtownego człowieka, iż gdy wziął co do serca, stawał się okrutnym. Szło mu też o to, aby Fryda słabości się jego nie urągała...

Sam książę zszedł do izby na dole, w której już pacholkowie przywiedzionego młynarza trzymali.

Blady był i drżał stary opasły człek, ale z oczów jego, oprócz trwogi i gniew okrutny tryskał.

Biały wpadł nań rozszropany jak dzik.

— Mów prawdę! — krzyknął. — Wiem wszystko! Uknułeś zdradę ty z zięciem twoim... Znosicie się z wojewodą, chcecie wydać mnie i zamek.

Hanko, złożwszy ręce, bełkocząc, wypierał mu się.

Zuchwałe wejrzenie, będące w sprzeczności z postawą uniżoną, zaparcie się, rozjątrzyło Białego.

— Na męki cię każę wziąć — zawołał.

— Męczcie mnie jak chcecie — jęknął Hanko, — jestem niewinny.

U księcia, gdy wpadł w stan szaleństwa, od słowa do czynu nie było daleko.

Chciał natychmiast dać go na męki, ale się oka-

zało, że tych klub, sznurów i całego przyrządu, jakiego naówczas używano do wyciągania stawów, nie było na zamku.

Uszedłby może podejrzany Hanko, gdyby w progu zbój ów Bylica, który wszędzie się nastęczał, nie pokazał się ze złym uśmiechem na skrzywionych ustach.

Miał on do młynarza srogą urazę, że mu się obe-drzeć nie dał i obchodził się z nim lekceważąco.

— Miłościwy książę — rzekł, przestępując próg i kłaniając się nisko. — Nie potrzeba ani klub, ani żadnego przyrządu; my umiemy i bez tego z ludzi prawdę wyciągać...

Biały słuchał.

— A jak?

— Niech mi miłość wasza pozwoli, ja go tu zaraz, jak należy, wypowiadam.

Hanko spojrzał nań, jakby o miłosierdzie błagał, ale już było za późno. Bylica zemsty pragnął.

W pośrodku izby stał ciężki, ogromny stół dębowy. Na dany przez księcia znak Bylica z wielką rozkoszą i wesoło, jakby na zabawę szedł, z pachółkiem ujął Hanke, związał go i na ów stół wyciągniętego położyć kazał.

Nieszczęśliwy starzec drżał, nie wiedząc, co z nim poczną, błagając księcia o miłosierdzie i przysięgając, że jest niewinny. Nic to nie pomogło...

Bylica pachółkom kazał przynieść świecę i pochodnię, nogi obnażył staremu, i — gdy książę, nieco strwożony, cofnął się w bok od tego widoku, sam począł z czeladzią piec stopy młynarza...

Czas jakiś Hanko jęczał tylko, wyrwały mu się krzyki bóleści, które cały zamek ściągnęły pod okna... zbiegli się ludzie...

Bylica, który serce miał okrutne... swoje robił; nogi się skwarzyć poczęły, Hanko rzucał się w boleściach okrutnych, naostatek krzyknął, że powie wszystko.

Natychmiast książę dał znak i pochodnie od popalonych już stóp odjęto.

— Mów — zawołał, przystępując, Biały.

Wejrzenie, które Hanko rzucił na niego, pełne było wzgardy i gniewu.

— Tak! — krzyknął młynarz. — Zamek i ciebie poddać chciałem; ale ja nie jestem zdrajcą, tylko ty, coś przeciw królowi swemu i mężowi siostrzenicy swej szedł zdradą! Tak! ślałem do Sędziwoja, byłbym mu wrota otworzył, aby dla ciebie ludzie darmo nie ginęli...

Biały, gdyby nie wstyd jakiś, sam byłby się rzucił na młynarza; ludzie bić go poczęli, Bylica głębiej mu policzkiem zamknął.

Widok był straszny i przejmujący.

Zwiększyło okropność to, że wpadł na krzyk zieć, Mańko, który jak szalony rzucił się naprzód do teścia, potem na kolana przed księciem, błagając go za starym, i ofiarując okup, życie swe, wszystko, byle życiem go darował.

Hanko zamilczał.

Księciu oczy dziko zaświeciły.

— Masz jeden sposób ocalenia jego i siebie—zawołał podniesionym głosem.— Pójdiesz natychmiast do obozu Sędziwoja i powiesz mu ode mnie—rozumiesz! ażeby jutro się tu stawił z ludźmi niewielu, a ja otworzę mu zamek i poddam. Powiedz, że głód nas do tego zmusza... Puścim ich tu... puścim, a potem wyrzeczemy do nogi!

To mówiąc, książę zatarł ręce i śmiał się.

Kłęczący Mańko objął nogi jego i poprzysiągł, że sprawi, jak mu przykazano.

Hanę, który na popalonych nogach stać nie mógł i jęczał z bólu strasznego, kazał książę pachołkom wziąć i rzucić do więzienia.

Sam, jak gdyby już był zwycięzcą, wyszedł zaraz chwalić się tem, co uczynił, do Frydy.

Krzyk i wrzawa w czasie tego okrutnego męczeństwa, na dole dokonywającego się, już były Bodczankę zaniepokoiły; domysławiając się jakiegoś wypadku, biegła szukać księcia.

Drżący z gniewu i szału, w jaki wpadł, Biały po-

czął żywo, jaskając się, belkocząc, śmiejąc dziko, opowiadać, jak wielkiego dokonał czynu.

Czekał od niej pochwały i uwielbienia dla rozumu swego i okazanej siły; Fryda zmarszczyła się, ramionami poruszyła i odparła sucho:

— Wolałabym, abyście w polu i po rycersku walczyli...

To mówiąc, odwróciła się i poszła zamknąć się w swojej komorze.

Nie zraziło to ani powstrzymało księcia; rad był z siebie, a wielkie rzeczy obiecywał sobie z tego podstępu, który obmyślił. Wyobrażenia malowała mu już pochwyconych w pułapkę najczynniejszych dowódców, najniebezpieczniejszych przeciwników, wojewodę, za którego spodziewał się ogromnego okupu, Bartka z Więzburga, na którym pragnął się pomścić, Kmitę bogatego i mogącego się mu opłacić, a choćby siostrzeńca, Każka Szczecińskiego, bo o nim słyszał, że siedł tak-że przeciwko niemu.

Wnet Bylica, Drzazga i co było najulubieńszych zauszników wezwani zostali na radę.

Bylica pański rozum pod niebiosą wynosił, cieszył się i zaręczał, iż nic łatwiejszego nie będzie, jak wszystkich wpuścić, bronę ciężką spuścić, otoczyć i powiązać...

Gdy się to działo na zamku nieszczęśliwego Mańka wnet wypędzono, aby do obozu jechał. Dano mu nawet klucze od wrót na znak, że zamek gotów się poddać...

Młynarz i zieć jego znani byli w obozie wojewody; puszczone więc przybyłego natychmiast, jako chciał, do samego Sędziwoja, który podczas w namiocie z jednym tylko Frydruszem z Uścia się znajdował.

Rycerz to był odważny, dzielny, w sile wieku a wojewodzie wielce ulubiony.

Mańko, choć pragnął się nie wydać z boleścią, która go tu przygnała, aby teścia ocalić, stanął przed wojewodą tak pomieszany, iż zaledwie mógł mówić.

Sędziwój, usłyszawszy wesołą nowinę, nie zważał

na to, jakim głosem była wypowiedziana. Ucieszył się niepomniernie...

— Cichoż!—zawołał. — Oprócz mnie i Frydrusza nikt o tem nie powinien wiedzieć. Pójdziemy sami i zabierzemy tego warchoła, który oto już czasu tyle na nogach nas trzyma! Bogu niechaj będą dzięki.

Mańko na dowód klucze okazywał.

Rzecz się zdawała tak prawdopodobną, iż najmniejszego podejrzenia i wątpliwości nie obudziła.

Sędziwój nie przez zazdrość, aby drudzy w sprawie tej udziału i zasługi nie mieli, ale aby nie poruszać obozu i niepotrzebnie go w niepokój nie wprowadzić, zamilczał o tem przed innymi dowódcami...

Drugiego dnia on sam z Frydruszem i seciną ludzi wyruszył ku Złotorzy, jakby tylko na zwiady szedł...

— Nareszcie ta głupia i niepocziwa wojna się skończy—mówił uradowany po drodze...—lecz jeśli Biały się spodziewa, że ja go wolno puszczać, myli się srode... Odeśle go królowi,—niech z nim czyni co chce... gotów mi raz jeszcze powrócić i wicherzyć.

Zmierzchać zaczynało, gdy się ukazał zamek, nie objawiający żadnego znaku życia, jakby w nim wszystko usnęło...

Na murach nikogo nie było.

Widok oddziału, posuwającego się jawnie ku wrotom, nikogo nie zbudził. We wrotach wielkich ciężka brona żelazna, która je zawierała, była podniesiona.

Frydruszowi z Uścia aż serce rosło; Sędziwój też się cieszył, a rycerstwo z pośpiechem ustawiło się przy wrotach, które Mańko kluczami, jakie miał, odemknął...

Podwórze zamkowe, w które wzrok mógł sięgnąć, puste się zdawało.

Chciał zaraz Sędziwój sam wyjechać na zamek, gdy przodem jadący nacisnęli się i poczęli wciągać.

Tuż za nimi jechał Frydrusz Wedel i właśnie znajdował się przed wzniesioną kratą, obciążoną dwoma głazami, gdy Biały, który niespokojnie patrzył na wchodzących, aby ich zbyt wielu nie puszczono, dał znak i ciężka brona żelazna z trzaskiem padła z góry,

brzęcząc łańcuchami i gniotąc męznego rycerza, który z rozdzierającym krzykiem padł z koniem razem rozbity na miazgę.

Cisza, która dotąd panowała na zamku, przerywaną została wrzaskiem, podniesionym w pozostałym wojsku wojewody i tem, które wpadło do Złotorzy.

Na murach zjawili się ludzie, rzucając pociski, w podwórzu napastowano dwudziestu kilku pochwycenych i wylekłych.

Sędziwój stał skamieniały z boleści, szczególnie po Frydruszu, którego miłował bardzo. Łza mu się zakręciła w oku.

— Pomszczę go, lub żyw nie będę! — zakrzyczał, wołając do powrotu.

Książę tryumfował, na całe gardło wrzeszcząc:

— Zdrada za zdradę! Ząb za ząb!

Sędziwój nie miał się czasu oddalić, gdy Biały wypadł na blanki i pięść mu pokazując, począł go lżyć i odgryzać mu się.

Wojewoda wzgardził tem i milczący odjechał.

Ci, co weszli na zamek, musieli się poddać. Rwało im oręż z rąk, zabierano zbroje, ogałacano z odzieży, naigrawając się nielitościwie.

Bylica, śmiejąc się, chwycił, co było najlepszego przy rycerstwie, przywłaszczając sobie łup chciwie.

Ludzi obnażonych w części do więzienia zamknięto, częścią pod straż do usług przy zamku naznaczono. Mańka młynarza też książę zaraz do ciemnicy, w której teść jego jęczał, rzucić kazał.

Część nocy zeszła na obchodzeniu pijatyką odniesionego łatwo zwycięstwa, z którego książę się szczególnie cieszył, nie mogąc pojąć, dlaczego Fryda jego radości nie podzielała.

Jak szalony biegał po zamku, śpiewał i choć mu się owych wodzów nie udało pochwycić, o których marzył, rad był temu, co uczynił. Chwalił się nawet przed Buśkiem; ten ramionami ściągnął.

— A no — rzekł — dobra psu i mucha, ale żebyś

był książę nie krzyknął — kratę spuszczać, byłby i wojewoda w naszych rękach.

Biały o mało nie uderzył ulubieńca, że śmiał mu to powiedzieć. Buśko tylko zręcznym zwrotem unikał wymierzzonej na swą głowę pięści.

Fryda zimno jakoś słuchała opowiadania.

— Niedalek jak jutro — odezwała się — gotuj się obłężenie odpierać.

— Nie będą śmieli! — krzyknął Biały. — A zechcą li spróbować, — jam gotowy i sprawię im dobrą łaźnię.

Spojrzała nań Bodeczanka i zamilkła. Codzienne obcowanie z księciem, jego porywczosć i niestałość, gorączka i odrętwienie, przychodzące z kolei, oziębiły dlań Frydę: miłość jej wystygła już była, a Biały wydawał się jej gorszym może i mniej godnym przywiązania i współczucia, niżeli był wistocie.

W tej chwili życia swojego właśnie stara krew rycerska raz jeszcze w nim zakipiała wielką potęgą; zdolnym był do czynu i pragnąc być czynnym, gotów był stawić gardło dla czci swojej. Niestety, była to chwila tylko, może największej energii, do jakiej kiedykolwiek był zdolnym, ale za trwanie jej nic nie ręczyło. W żywotach ludzi, najmniej znacznych, trafiają się godziny takie, podnoszące ducha i niemal przetwarzające człowieka.

Przepowiednia Frydy po krótkim namyśle zdała mu się trafić, a przynajmniej możliwość jej urzeczywistnienia prawdopodobną; potrzebował też być czynnym. Wybiegł też natychmiast sam, rozkazując przysposabiać wszystko do wścieklej, rozpaczliwej obrony.

Drzazga sam już był wpadł na tę myśl, że Sędziwój bezkarnie spełnionej zdrady nie przepuści i czuwał nad zamkiem, a osławiony Bylica, wiedząc, że go za rozboje nie minie surowy sąd, od którego okupem żadnym nie będzie się mógł uwolnić, biegał już, ludzi zagrzewając, i na mury wynosząc co tylko mogło przeciw szturmowi służyć.

Właśnie Hanko, który dziś w męczarniach wił się w ciemnicy, zbudował im dwa ogromne rzucające po-

ciski kamienne tarany, które za działa starczyć mogły. Ustawiono jeden z nich przy wrotach, drugi w miejscu najslabiej obronem.

Oreż, odebrany jeńcom, posłużył do uzbrojenia męniejszych ludzi. Postawiono czaty, a Bylica pomimo niebezpieczeństwa, na jakie się narażał, wybiegł konno, aby dostać języka.

Po kilku godzinach powrócił cwałem zdyszany, niosąc księciu, który z podwórca nie schodził, wiadomość, że wszystkie siły Sędziwoja i Kmita, pomnożone zastępem, który przywiódł z sobą Każko Szczeciński, ruszyły z obozowisk i ciągnęły na Złotoryę.

Nie strwożyło to księcia; pragnął tylko, aby co najrychlej rozpoczęła się walka, dopóki czuł ogień w duszy.

Nie zdejmując zbroi, którą był wdział we dnie, nie myśląc o spoczynku, zapominając o Frydzie, książę spędził noc całą na obchodzeniu blanków, baszt, murów i przemawianiu do ludzi, którym kazał beczki wytoczyć.

Sam upojonym był jakimś rozpaczliwym zemsty pragnieniem. Przychodziło mu już na myśl, że nie potrafi się dłuższy czas ostać. Chciał ze czcią zginąć przynajmniej.

Dręczyło go i to, że Każko Szczeciński, tak blizki powinowaty, siedł przeciw niemu, zamiast być pomocą; że wszyscy, nawet bracia Frydy opuszczali go... że pozostał sam — i bezsilny. Burzył się w duszy, żądał boju, któryby go mógł upoić i nasycić.

Ranne brzaski zapowiadały dzień chmurny, lecz wiosna ma słoneczną siłę, która roztopia chmury i rozpędza śloty. Z oparów poranku zaczęło się wybijać słońce, gdy tętent i wrzawa nadciągające pułki Sędziwoja oznajmiły.

Biały z założonemi na piersiach rękami stał i patrzył z baszty wierchołka. Cóż znaczyła garść jego ludzi przeciwko temu tłumowi dobrze zbrojnemu, wypoczętemu, nieznuzonemu walką żadną.

Wielkopolanie i Sieradzanie szli, śpiewając i cho-

ragwiami powiewając, gromadami, które natychmiast zamek opasywać poczęły.

Można już było rozpoznać dowódców. Książę widział poważną postać Sędziwoja, wyrwywającego się ogniście naprzód, Bartka z Więcburga, a naostatek poznał Każka Szczecińskiego, panię dumne, śmiałe, ulubieńca wszystkich, co mu służyli, sławnego ze swej szczodroty, co do ostatniego kubka rozdawał, co miał, przyjaciółom, tak, że sam czasem niedostatek byłby cierpiał, gdyby go królowa nie wspomagala.

Każko ten mężny, ochotny do każdej wyprawy, wybrał się na tę, jak na łowy. Widać go było podbiegającego pod mury, wskazującego je ludziom i czynnego, jakby mu o własną sprawę chodziło.

Białemu żółć serce zalała na widok człowieka, który mu tak był blizkim, a niczem niezmuszonym do powstania przeciw niemu. Nie uczynił mu nigdy nic, za cóż szedł cisnąć go za gardło?

Z baszty swej rzucił nań takim wzrokiem, jak gdyby on był bełtem, co go miał przebić.

Z ogromnym wraskiem, wedle zwyczaju, Sędziwoja rycerstwo rzuciło się ku murom, wlokąc z sobą drabiny, niosąc topory do rąbania, ogień do rzucenia pod wrota.

Wiedziano, że Białych ludzi miał skąpo; rozproszono się więc, gdzie tylko przystęp był możliwy, aby nieprzyjaciela siły rozdzielić.

Drzazga to był przewidział i słabsze miejsca osadził tam, gdzie mur potężny sam się bronił, postawił tylko strażę. Zużytkowano wczorajszych jeńców, dając ich po jednemu i dwóch między oddziały i pod gardłem nakazując dźwigać kamienie i poruszać sznurzy taranów.

Pierwszy szturm, na który czekała cierpliwie załoga, odparto z wielką siłą.. padło oblegających wielu.

Z machin Hanka jedna wyrzuciła kamień ogromny, który w oczach Białego obalił z koniem Szczecińskiego księcia.

Zdało mu się, że przekleństwo, jakie nań rzucił, zobaczywszy go, ręka Boża spełniła.

Obalony, pomimo rzucania się, podnieść się nie mógł. Ludzie na rozesłanej opończy ponieśli go do namiotu.

Nowy ten cios wprowadził w rozpacz prawie Sędziwoja, który nadbiegł zaraz; krzyknął, ażeby wszelkiemi siłami zamku dobywać.

Rzucili się rozwścieczeni Sieradzanie, osłaniając tarczami, sypali pod mury, usiłując wdrapać się na nie, lecz załoga, powodzeniem rozzuchwalona, broniła się mężnie i zwycięsko. Pociski z murów obalały ludzi stosami, kaleczyły i zabijały.

Po kilkakroć powracały coraz nowemi posiłkami dopełniające się oddziały i musiały pobite cofać się.

Białych szalał z radości. Własnymi rękami spychał kamienie, naciągał kusze, rzucał bełty... nie dał się oderwać na chwilę.

Kilka strzał odbiło się o jego zbroję, kilka utkwiło w sukniach, drasnęła go któraś; na krew spojrział z dumą i uśmiechem.

Spostrzegłszy biegającego na koniu i kierującego szturmem Bartka z Więcburga, książę nie mógł się powstrzymać, aby, pochyliwszy się ku niemu, nie cisnął nań obelgą i klątwą.

Bartko podniósł głowę i rękę mieczem zbrojną.

— Miałem cię już raz—zawołał.—Wyśliznąłeś mi się jako tchórz i ratowałeś ucieczką, lecz drugi raz nie ujdiesz mi, wywłoko!

Książę zatrząsł się z gniewu i obie pięści podniósł, pieniąc się ze złości. Przypomniła mu się bitwa pod Gniewkowem, a gorzej jeszcze raniło go wspomnienie mniszego kaptura. Rzuciłby się był na zuchwalca, gdyby mury ich nie dzieliły.

Do późnego wieczora trwały coraz odnawiane porwy z różnych stron i próby wdrapania się na mury, wszędzie ze szkodą odparte.

Książę ciągle latał, podżegając, obdarowując, zachęcając i sam na żadne nie zważając niebezpieczeństwa.

Wieczorem, gdy oblegający cofnęli się już do

obozu, który już u zamku się rozłożył, i szeroko rozciągnął tak, aby żywa dusza wymknąć się nie mogła z niego, załoga, obawiając się niespodzianego jakiego napadu, pozostała, z murów nie schodząc.

Fryda, która przez cały ciąg dnia tego stała na baszcie, zarówno z Białym rozgrzana widokiem walki, wkońcu osłabła i znużona, musiała pójść spocząć. Oko jej, które policzyło wszystkich bojowników i własną moc, przewidywało, że najrozpaczliwszy opór nie podoła przemagającemu wojsku Sędziwoja.

Cud tylko mógł ocalić Białego.

Lękała się, aby i on nie strwożył się wkońcu. Lecz chwila tego opadnięcia na siłach jeszcze nie była dlań nadeszła. Biały wbiegł za nią do komory, pierwszy raz dnia tego zdejmując szyszak z głowy potem oblanej.

Miał pogodną twarz zwycięzcy i postawę dumną.

— Dzień pamiętny w moim życiu — zawołał. — Poznali, że wywłoka potrafi walczyć, i serca mu z pierśsi nie wyjęły mnichy. A jutro... zobaczą, że bezkarnie zdrady, choćby zamierzonej, nie puszczę.

Fryda podniosła głowę i pytającym okiem nań rzuciła.

— Tak — ciągnął dalej Biały — kazałem u murów pod przekopem naprzeciw obozu nałożyć stos. Na śniadanie upiekę im na nim Hankę i jego zięcia!

I wyrazy te i głos, jakim wymówione były, zdumiały i tak przestraszyły Bodeczankę, że się z posłania porwała.

Widząc niedowierzającą, księżę powtórzył:

— Tak, jutro dodnia obu ich na stosie spalić każe! Niech widzą, że się poddawać nie myślę i do ostatka bronić będę. Przyjaciele Sędziwoja i jego sprzymierzeńcy niech giną!

Fryda nie zebrała się na odpowiedź, gdy Biały, popatrzywszy na nią, nie chcąc spoczywać, chwycił tylko ze stołu dzbanek z winem, nalał kubek, wychylił go duszkiem i wyszedł, z trzaskiem drzwi zamykając za sobą.

Wistocie niespodziany ten widok nadaremne go okrucieństwa przygotowany był na ranek następny...

Z obozu widziano nakładany stos, nie mogąc zrozumieć, do czego on mógł służyć. Białe w pośrodku dwa pale, widne z daleka, sterczały dla patrzących zagadką...

W nocy Sędziwój się nie kusił pod zamek. Ludzie jego, którzy pod przekop podchodzili i ze stojącymi na murach mieniali obelgi i pogroźki, krzyczeli, że choćby do zimy tu stać mieli, od Złotoryi nie odejdą.

Ciemności dopiero sprowadziły krótką ciszę, gdy na brzask w obozie ruszać się poczęto.

Tę chwilę przygotowania do nowego szturm wybrał właśnie Biały na ukaranie zdrajców.

Sędziwój z Bartkiem, starostą kujawskim, tylko co byli wyjechali od namiotów dla obejrzenia murów i narady co dalej poczynąć, gdy wielką furtą Bylica z pachółkami wyprowadził młynarzy na stracenie. Hankę, który na nogach popalonych stać nie mógł, dwaj pachółkowie, pod pachy ująwszy, nieśli do zgotowanego nań słupa. Oprawca na stryczku ciągnął Mańka do drugiego... Czeladź niosła zażegniete pochodnie.

Widok ten dziwny i straszny wstrzymał wojewodę i starostę.

Hanko ku nim błagając ręce wyciągał... na próżno.

Nad wrotami naprzeciw stał Biały i niecierpliwie na stos wskazywał.

Wnet skazanych sznurami przykrępowano do słupów, suchy chróst i łuczywa u nóg ich podpalono. Dym kłębami wznosił się do góry...

Sędziwój, nie chcąc patrzeć na to widowisko, zawrócił do namiotów. Tu także czekała go boleść nie mała. Rażony wczoraj kamieniem z zamku, mężny książę Szczeciński dogorywał. Książdz wyszedł był od niego, a ranny z obojętnością rycerską czekał ostatniej godziny...

Sędziwój blady, pożegnawszy go, wyszedł z namiotu i mierzył zamek oczyma.

— Tyle ofiar — zawołał, — tyle krwi i żywotów dla jednego czelaka, który Boga, przysięgłszy Mu, zdradził, i nikomu wiary nie strzyma...

Starosta Kujawski ręką wskazał na mury.

— Ujść mu tym razem nie damy—zawołał,—od rzeki kazalem mieć baczność pilną, aby się nocą na lada czołnie nie wymknął. Stać trzeba, głodem go weźmiemy.

— Za długoby było czekać końca—odparł Sędziwój.— Mylę się może... lecz sądzę, że po rozpaczliwej obronie i tej wściekłości, w jaką wpadł, niedługo o miłosierdzie prosić będzie. Takim jest.

Bartek z Więcburga zżymnął się tylko i bluznął znowu obelżywem:

— Wywłoka!

Dnia tego nie szturmowano.

Spokój ten, który mógł się zdawać dla obleżonych pożądanym, był wistocie dla nich zgubnym.

Przypadek czy rachuba sprawiła to, czego żądał wojewoda.

W walce, we wrzawie, kąpiąc się Biały, byłby wytrzymał z tym zapalem, jaki go unosił chwilowo; w spokoju wytrwać długo nie umiał.

Pod wieczór już rzucił się na łożo i twardym snem usnął, mając swojego Buśka u nog.

Fryda przyszła, spojrzała na niego i zachmurzona powróciła do swej komory. Przeczuciwała, co się w duszy jego dziać musiało.

Dopiero następnego dnia zbudził się Biały, przetarł oczy, i zobaczywszy Buśka, zapytał go:

— Szturmują?

Chciał już zbroję wdziwać i za oręż pochwycić.

— Nie, siedzą cicho—rzekł błazen, wdychając.—

Pewnie Każka, który zmarł, grzebać będą.

— Każko? umarł? — krzyknął książę.

Buśko głową potwierdził.

— I koń zdechl, co pod nim był, i on w nocy skończył—odezwał się.—Szkoda! taki pan był, co sam

z drewnianego kubka pijał wodę, a służba ze srebra wino...

Zmilczał zasępiony książę. Rzucił się na łożo i oczy wlepił w pułap. Wyczekawszy trochę, jeść i pić podawać kazał.

Milczący pił i jadł, gdy weszła Fryda. Spojrzeli na siebie. Kobieta spostrzegła zmianę na twarzy, która była u niego zawsze wiernem ducha zwierciadłem. Oblicze ostygłe było, brwi nawisłe, oczy zagasłe.

— Każko zabit!—rzekł cicho... — Widziałem, jak go kamień przywalił...

Dźwięk głosu osłabły, zachrypły, potwierdził to, co powiadały oczy.

Nie mówili prawie z sobą; Fryda każdy ruch jego śledziła. Gdy Buśko, który ustąpił, powrócił do izby, książę wysłał go na mury dowiedzieć się, czy walka nie rozpocznie się na nowo.

— Darmo stać — rzekł bazarz—darmo... Szturmu już oni przypuszczać nie będą.

Spojrzał nań Biały.

— Zwijają obóz?— spytał.

— Nie! — zamruczał Buśko. — Nie, mówią, że ludzi darmo tracić nie chcą, gdy i tak wezmą nas głodem.

Książę się rzucił na siedzeniu.

— Nie pleć, głupcze! — zawołał.

— Oni to plotą, nie ja — szepnął Buśko i westchnął.

Wstał Biały od stołu i po izbie się przechadzać zaczął; reszta energii drgała w nim, mając skonać...

— Drzazgi zawołać! — krzyknął.

Stawił się dowódca, z twarzą niewesołą i zalepioną blizną od strzały.

— Na wiele czasu żywności mamy?—zapytał, stojąc naprzeciw niego, książę.

Oczy Drzazgi, zwrócone ku panu, odpowiedziały wprzód niż usta...

— Dwie niedziele nie pomrzemy—rzekł—ale nie utyjem... maki mało... gąb przybyło... boć i jeńców dwudziestu kilku karmić trzeba...

Stali naprzeciw siebie milczący; ksiązę się nagle odwrócił i dał mu odprawę ręką.

Popatrzył w okno, przeciągnął się i jak kłoda obalił się na swe łożo, rękę podkładając pod głowę. Fryda chodziła po izbie, Buśko siadł w kącie i spoglądał ku niemu...

Czuła Bodeczanka, że była to chwila stanowczego przełomu; spróbowała słowem wlać w niego męstwo.

— Gdy się spodziewać nie będą, wycieczkę niech zrobi Bylica... Żywność skądby podwieźć można.

— Gdyby była — odparł Biały. — Zamek ścisnęli jak w garści; nie wymknie się i mysz z niego. Dwie niedziele... a potem!...

Nie dokończył.

Zerwał się niespodzianie z łoża.

— Dwie niedziele!... — począł głosem zwątpienia. — Wszyscy mnie opuścili, wszyscy, twoi... moi... Każkę Pan Bóg skarał... tak, ale królowa Elżbieta kochała go bardzo, król także; — większy jeszcze gniew mieć będą ku mnie...

Ręce rozłożył szeroko.

— Nawet pocziwie zginąć nie mogę! — dokończył.

Padł znowu na łożo, oczy zakrył i Fryda słowa już z niego dobyć nie mogła.

IX.

Tydzień upływał, wojsko, obozem stojące dokoła, zbliżało się wprawdzie ku przekopom walczyć na słowa z załogą... lecz szturm ani napaści nie przedsiębrało...

Biały stracił zupełnie odwagę, nadzieję i cierpliwość. Z każdym dniem słabł więcej.

Fryda chłostała go szyderstwem, znosił je z obojętnością, milczący.

Chciał się z zamku ratować ucieczką przez rzekę;

okazało się, że pilnowano wszędzie i strażę się na barakach dzień i noc związały.

Nietylko one, lecz załoga też w tym przymusowym, złowrogim spoczynku straciła siłę swą i znużyła się nim.

Drzazga z obawy głodu karmił ją coraz gorzej. Skargi i narzekania słyszeć się dawały.

Najzjadlejszy obrońca, Bylica, przez dni kilka pochodziwszy zasępiiony, jednej nocy zniknął, jakby wpadł w wodę.

Domyślano się, iż z murów spuścić się musiał, a że po nim wszystkiego się można było spodziewać, ksiązę uląkł się zdrady... Podwojono czujność.

Następnej nocy, cicho bardzo, Biały obudził Buśka, który spał przy nim.

Długo rozespany bazarz nie mógł po śnie twarzym odzyskać przytomności.

— Trudno! — zawołał ksiązę, schylając mu się do ucha. — Słuchaj! Na ciebie nikt nie zważa, boś ty ani żołnierz, ni wódz... puszczą cię wszędzie... każ sobie do dnia furtę otworzyć, idź do wojewody.

— Aha! przerwał Buśko... — jam wiedział, że się to tak skończyć musi.

Biały udał, że nie słyszy.

— Głodem nas wezmą — dodał. — Ty nie ode mnie, ale od siebie mu się nastęrcz... Zobaczym, co powie...

Niebardzo rad narzuconemu pośrednictwu, zasępił się Buśko, poskrobał, lecz musiał spełnić przykazanie.

Głód i dla niego był straszny.

Ksiązę, odprawivszy posła, położył się w łóżku, kryjąc przed Frydą z tem, co uczynił. Posunął do tego stopnia udanie, że wstawszy, pilno i głośno począł się dopytywać o starego sługę i gniewać, że się gdzieś zawieruszył.

Wszystko to nie oszukało Bodeczanki, która ciągle chodziła milcząca, dumna, nie okazując jak dawniej, ani czułości dla księcia, ani zbytniej troskliwości o los jego.

Książę też był dla niej ostygły, jakby mu ciężała, lecz wiązały go przyrzeczenia, słowo dane, a trochę potrzeba serca, które się do nikogo nie przywiązało, a do niej — nawykło...

Z Buśkiem mówił otwarcie, nie potrzebował grać żadnej bohaterskiej roli, bo ten znał go nadto; z Frydą bawił się w bohatera tragicznego, sądząc, że masce tej uwierzy.

Wiedzieli wszyscy w twierdzy, że stary kłębek (tak nazywano książęcego bazarza) był wiernym sługą, a co czynił, to z polecenia jego pewnie.

Z rana, gdy zażądał, aby go puszczone, choć się to podejrzanem wydawało, otwarto mu furtę. Drzazga przez okno w murze popatrzył, dokąd się uda, i widział, że zakręciwszy się trochę, bokiem ku obozowi zmierzzył. Dało mu to do myślenia.

Buśko musiał dobrze rozważyć, jaką przybrać postać, wchodząc do obozu, co mówić i w jaki sposób.

Śpiewak, trochę trefniś, bazarz, mógł łatwiej, niż kto inny, pół żartem, na próbę, rzucić, coby pospolitemu nie uszło człowiekowi. Nieszczęściem, przychodził w złą godzinę, gdy w obozie panowało rozdrażnienie i smutek, żal po zabitym Frydruszu i po zmarłym z rany Każku Szczecińskim.

Nie zapytał go nikt, gdy się do obozu wsuwał, ani kim był, ni skąd i z czym szedł. Namioty stały popodnoszone dla gorąca, ludzie pokotem odpoczywali, czynności nie było widać wielkiej, tylko czaty pod zamek chodzili.

Z namiotu Szczecińskiego księcia zdjęto jego chorągiew a zawieszono czarną; widać w nim było trumnę już zabita i osmoloną, przy której świece się paliły i księża śpiewali.

Sędziwoja wielki namiot z chorągwią hetmańską łatwo poznać mu było. On też sam w losiowym kaftanie, bez zbroi, siedział na pniu u wnijscia i z Bartkiem z Więcburga rozmawiał.

Zobaczywszy Buśka, który miał całem życiem wyrobioną i fizyonomię i postać stanu swojego, Sędziwój

się namarszczył. Nie widział go w życiu, ale się domyślił posła od księcia i jego dworaka.

Buśko raz i drugi krąg zrobiwszy, wkońcu zbliżył się i zdjawszy kołpaczek, pokłonił.

— Skąd? — zapytał wojewoda.

Buśko na zamek wskazał.

— Od księcia? — cóż za obowiązek sprawujesz przy nim?

Buśko skromną przybrał postawę.

— Jak kiedy — odparł. — Gdy wesoło nam, to ja mu śpiewam, gdy smutno, to z nim płaczę, a gdy głodno, mrę jako i on.

— Posłano cię, czyś sam z zamku uszedł? — pytał wojewoda.

— Sam, sam — bijąc się w piersi, poczał bazarz. — Nudno mi się zrobiło siedzieć tam zamkniętemu...

Wojewoda i Bartek ciekawie mu się przypatrywać zaczęli, a badawcze ich spojrzenia poniekąd zmieszaly Buśka, chociaż starał się butno stawiać.

— Z czemżeś to przyszedł, mój czlecze — odezwał się Sędziwój.

Po krótkim namyśle, Buśko rzekł:

— Z prośbą, z prośbą, ino nie od pana, bo on nadto hardy, aby prosił o co... ale od siebie, królu mój...

Milczał, patrząc nań pilno wojewoda. Buśko też cedził wyrazy, badając, jakie robią wrażenie.

— Z prośbą, z prośbeczką — rzekł. — Mnie się wdzia, panie wojewodo, królu mój, że gdyby księciu kto dobre słowo powiedział, cała ta niepotrzebna wojna by się skończyła.

Sędziwój podumał.

— Alboż na słowa z nim można co uczynić? — odparł. — Poddał się raz i nie strzymał przyrzeczenia.

— Panie mój, a król też dał mu co! choć na obwinienie palca? — podchwycił Buśko. — Cóż biedota ma robić? Kaptur mu zaciężył, ojcowizny tylko pragnie... więcej nic.

— Króla pana naszego obraziwszy tak srogo! i tyle krwi wylawsz! — krzyknął wojewoda.

Buśko wydał tłuste policzki i pogłaskał się po głowie łysej.

— Jużci mu coś dać trzeba — szepnął.

— I nie nie dawsz, go weźmiemy — przerwał Bartek.

— Pewnie... za rok, za dwa — rozśmiał się trefniś — i nabije wam jeszcze ludzi.

Sędziwój, który po stracie Frydrusza nie mógł się uspokoić, westchnął.

— Ja go znam — poczał Buśko powoli — dobrem słowem wiele z nim zrobić można... Poślijcie doń kogo.

Strząsnął głową wojewoda.

— Próżno kłamać — rzekł. — On ciebie posłał do mnie — więcej posłów nie potrzeba... Powiedz mu, żeby mi się poddał... a może u króla przebaczenie otrzymać, i jeśli nie swoje księstwo, bobyśmy, gdyby siedział na niem, nigdy spokoju nie mieli, to okup zań...

Ze spuszczoną głową słuchał zakłopotany poseł.

— Poślijcie kogo — powtórzył.

— Aby uwięził lub na męki dał, jak tego nie-szczęśliwego Hanke. Nie! ja nie poślę nikogo.

— To będzie się tak ciągnąć długo — odparł Buśko, — boć trzeba go przekonać, namówić trzeba. On ani myśli o poddaniu się i — będzie do ostatka walczył.

— Do ostatka chleba — przerwał Bartek szyderczo — a tego, my wiemy, że już niewiele macie.

— Do głodu daleko — rzekł Buśko. — A no — jak wola wasza.

To mówiąc, na kółpak, który w ręku trzymał, popatrzał i cofać się zaczął.

Wojewoda, choć tak ostro go zbył, nie rad puszczał z niczem. Wistocie chciał skończyć co rychlej z warchołem i gotów był do umowy przystąpić, godność swą tylko musiał poszanować i nie okazywać żądzy zbytnej ani pośpiechu.

Buśko już szedł, gdy zawołał za nim.

— Powiedz księciu swojemu, że dobrze uczyni, gdy rychlej się podda, bo prędzej czy później musi to uczynić, a dziś możeby król łaskawszym był.

Zawrócił się bazarz.

— Ode mnie co posłysz, niewiele ważyć będzie — rzekł cicho; — wezwijcie na rozmowę.

Wojewoda potrząsnął głową.

— On niech o nią prosi — rzekł krótko i wszedł do namiotu.

Tak z małym czem Buśko musiał powracać. W drodze, ci, co go poznali, jako sługę księcia, پوستurgali go trochę. Obronił się im blaznując.

U furty pilnujący Drzazga kazał mu otworzyć.

Książę sam leżał na dole. Od wrót idącego do izby jego zobaczyła Fryda — i już pewną była prawie, że książę znowu knuje coś, myśląc o poddaniu się. Jej krew się na to burzyła.

— Ni żyć, ni umierać nie umie! — powtarzała do siebie, miotając się.

Na widok Buśka zerwał się Biały, kazał mu przyjść blisko, aby ich nie podsłuchano i uważnie nastawił ucha opowiadającemu.

Oburzenia nie widać było na jego twarzy, prawie się wypogodził, nie rzekł nic. Położył palec na ustach... i wstał, aby pójść do Frydy.

Spodziewała się go może, zastał ją chodzącą niecierpliwie po komorze.

— Oni nas głodem zamorzą! — odezwał się, siadając.

— Do tego jeszcze daleko — wybuchnęła kobieta. — Gdy głód przyjdzie, z załogą można wyjść i przebić się.

Ruszył ramionami książę.

— W golem polu nasza garść się im nie ostoi.

— To wybija nas i umrzemy rycersko, a g... nie — zawołała Fryda.

Biały spuścił głowę.

— Ale ja mam nadzieję, że mi król G... wków puści, gdy...

Nie dokończył. Fryda rzuciła szyderstwo.

— Gdy mu się poddasz i poprzestaniesz na jałmużnię? Nie sądz, by ci dał choć piędź ziemi... zapłać ci za nią—a na księstwo nie puści!

Biały zamilkł.

— Śmierć z głodu albo od miecza!—zamruczał,— oto, co zostało... ja żyć chcę!

— Choćby z kajdanami na nogach?— spytała Bodczanka.

Nie dając odpowiedzi, wyszedł gniewny.

Z południa zatrabiono u wrót, książę jednego z jeńców wyprawił, prosząc o rozmowę z Sędziwojem. Lecz, sam raz zdradą go podszedłszy, obawiał się też napaści jakiej. Chciał rozmowy na moście u wrót, lub za przekopem i żeby sami byli.

Wojewoda odparł, że on ma więcej powodów niedowierzania, chciał rozmowy w polu, przed obozem.

Biały się lękał.

Zawieszono układy, posłać nie miał kogo. Drzazga się bił dobrze, ale mówił nie do rzeczy.

Uszedł dzień, Biały zaczął już niecierpliwie się i zżymać. Cokolwiek poczynął, pilno mu było; jutra się obawiał, bo siebie nie czuł pewnym.

Połowę niemal załogi wzięwszy na most, aby być od napaści bezpiecznym, wyszedł do Sędziwoja na pół drogi do obozu.

Wojewoda wyjechał z małą kupką pięknie zbrojnych ludzi. Pozsiadawszy z koni, zeszli się, nieufnie patrząc sobie w oczy.

Wzrok Sędziwoja z Szubina miał tę siłę, jaką daje charakter męski: Biały nie mógł go znieść, spuścił oczy pierwszy, — drgnął, buta, z jaką chciał wystąpić, opuściła go.

Zabelkotał, że radby wojnę skończyć.

— Ja także—odparł Sędziwój. — Lecz ja księcia mam w ręku. Chcecie-li zdać się na mnie?

— A cóżeście mi wyrobili pierwszym razem, gdy tak pięknie otrzymałem obietnice? — zapytał książę.

— Nie obwiniajcie mnie — rzekł Sędziwój. — Ja

wam nie mogę nic dać, ni przyrzec, wszystko od króla zależy, lecz słowem rycerskim ręczę, że się starać będę, aby los wasz osłodził.

Ze zwieszoną na piersi głową słuchał książę; widać było, że się wahał, że gotów był się już poddać.

Sędziwój dodał jeszcze:

— Czyniłeś miłość wasza, coś mógł, sromu nie ma zdać się, gdy inaczej być nie może. Weźmiem-li Złotoryę, wówczas prawo wojny zawyrokuję o was... łaski się spodziewać nie możecie.

Dumny książę nie odparł już ani żalem, ani groźbą, stał to cofając się, to podchodząc, otwierając usta i nie wiedząc, co powie.

— Dajcie mi słowo wasze rycerskie, że się ze mną obejdziecie nie jak z jeńcem i z więźniem, ale jak krwi mojej przystało.

Wojewoda zwolna rękę wyciągnął.

Biały, który miał żelazną rękawicę na rękę, zdjął ją i bladą wychudłą dłoń podał.

Jedno słowo rzekł tylko ponuro i cicho:

— Jutro...

Tak nad wszelkie spodziewanie wojewody, skończyło się rokowanie prędko i stanowczo. Uległ Biały, sam nie wiedząc, jak do tego został doprowadzony; lecz gdy zawrócił się ku zamkowi, gdy pomyślał o sromocie, jaką musiał znieść, o wyrzutach Frydy, o upadku własnym, wstrząsł się cały, zapragnąwszy raczej śmierci.

I ten poryw trwał niedługo. Do wrót doszedł już ostyglejszy.

— Do klasztoru już nie powrócę, — mówił, sam się pocieszając.

Do dolnej izby wszedłszy, znalazł tu Buśka, który wiązał jakieś sakwy, jakby się wybierał w drogę. Ten pewnym już był końca. Mruczał sam do siebie, nie patrząc nawet na pana, nie pytając go o nic.

Fryda też nie zeszła z komory swej, a on iść do niej nie śmiał.

Pod noc piosnkę jakąś kazał zaśpiewać Buśkowi, ale ten głową potrząsnął.

— Bij, kiedy chcesz — rzekł, — nie będę śpiewał, płacz mnie dławi.

Na zamku, choć nikt nie wiedział, że się poddać miano, gotowali się do tego wszyscy.

Twarze prawie były wesołe. . . bój bez nadziei dokuczył wszystkim.

Podniósłszy się z łoża, niespokojny książę myślał, co uczyni z Frydą.. jak jej powie, iż poddać się przyrzekł, jak namówi, aby do ojca wracała. Na to potrzeba było odwagi, której nie miał. Lękał się wyrzutów, trwożył własną słabością. Przecież słowo jakieś wyjęknąć było potrzeba.

Kilka razy szedł i powracał. Gwałtownie potem wpadł do izby Bodeczanki. Ta siedziała odziana napół po męsku, gotowa do podróży, z twarzą zestarzałą, smutną i bladą.

— Muszę się poddać — zawołał książę, — umowa stanęła.

Czekał na odpowiedź — Bodeczanka milczała wzgardliwie.

— Wracajcie do ojca... ja nie mam kąta — dodał Biały.

— Nie opiekujcie się mną — zawołała suchym głosem bólesci Fryda; do ojca nie powrócę, bo i ojciec i bracia sztydziłiby ze mnie. Nie! w Gdańsku klasztor mnie czekał.

Odwróciła się od niego.

— Frydo — odezwał się z wyrazem rozpaczliwym Biały.

Wskazała mu na drzwi, milcząc... Zwróciła się ku oknu — i płakała może, lecz łez jej nie widział nikt.

Książę, postawszy u progu upokorzony, wysunął się pocichu.

W obozie, w którym już poddania się spodziewano, ruch był widoczny — książę po kilkakroć szyszak kładł, wychodził i wracał.

Wstał potem, wybiegł i kazał otwierać wrota.

W tejże chwili z komory swej zbiegła Bodeczanka, na którą czekał koń i sług jej dwoje.

Nie oglądając się, nie pytając o księcia, który wyjść do niej nie śmiał, siadała na konia.

Zaledwie podniesiono brong, ona pierwsza, nie zakrywając twarzy, wybiegła z zamku. Sędziwój, który stał niedaleko, Bartek z Więburga, wiedzący, kto była, przepuścić ją kazali, nie zatrzymując.

Pominawszy ich, mając wolną drogę przed sobą, Fryda uderzyła konia i puściła się cwałem.

Oblegający już się do wrót zbliżali, mając na czele Sędziwoja i Bartka, gdy Biała cały we zbroi swej najlepszej, w płaszczu szkarłatnym, w pasie rycerskim ukazał się na koniu.

Buśko z węzłkami na plecach szedł za nim.

Bartek z Więburga, którego ta pycha książęcia przy zdaniu się na łaskę oburzyła i rozśmieszyła, buchnął szyderskim śmiechem.

Posłyszawszy głos ten, książę drgnął, konia strzymał i zdarłszy z ręki żelazną rękawicę, cisnął ją w twarz kujawskiemu staroście.

— Na ostrze! — krzyknął — na ostrze!

Niespodziewanego wyzwania tego Bartek nie mógł odrzucić. Wziął rękawicę i zawołał:

— Na ostrze!

Książę się z miejsca nie ruszał.

— Natychmiast! — krzyczał głosem drżącym, obracając się do swoich, aby mu drzewo podano.

Wstrzymać go nie było sposobu. Chciał coś mówić Sędziwój, Biały przerwał rozpaczliwem wołaniem:

— Na ostrze! Na ostrze!

Kupa ludzi, która otaczała ich, na dany znak rozstępować się zaczęła.

Bartek z Więburga jechał na plac spokojny i obojętny; Biały rzucał się rozwścieczony, miotał na koniu i ledwie się mógł utrzymać.

Widowisko było dziwne.

Niektórzy śmieli się, inni ciekawie cisnęli patrzeć

końca tej walce, w której łatwo było Bartkowi wywróżyć zwycięstwo.

Zaledwie stanęli w odległości, jaka zwykle do takiego spotkania wyznaczoną była, ledwie podnieśli drzewa i złożyli jak należało, gdy Biały, wraziwszy ostrogi w bok koniowi, jak szalony się puścił, zniżając kopię na Bartka.

Ruszył się i on z miejsca, lecz rozważniej; drzewo jego wymierzone dobrze, uderzyło w ramię Białego, gdy jego kopia ośliznęła się staroście po zbroi i w ziemię zaryła.

Książę, nie mogąc się utrzymać na koniu, rzucił kopię i padł nawznak obalony. Z rany krew buchnęła.

Sędziwój natychmiast dał znak, że walka była skończona: podniesiono księcia i zaniemiałego z bólu na rękach zaniesiono do zamku.

Złotoręę zajęły wojska królewskie.

X.

Zbliżała się już zima, a Biały pod pozorem rany, z której go leczono i wyleczono, jeszcze się na nią i na bóle srogie uskarżając, — leżał w Złotorii, wypraszając się ciągle wysłaniu do Węgier.

Niezbýt nalegał na to Sędziwój, który pod strażą go trzymając, poznawszy lepiej, nie obawiał się już wcale. Chociażby był chciał coś przedsięwziąć niespokojny ów jeniec, nie miał z kim, bo wszyscy go odstąpili, oprócz wiernego Buśka.

Życie na zamku płynęło dosyć smutnie, jednostajnie, lecz dla zleniwiałego księcia było znośne może.

Wolał je niż wygnanie do Budy, spotkanie oko w oko z królem Ludwikiem i wyrzuty, jakieby musiał znosić od niego.

Żądania swe posyłał królowi, królowej siostrzenicy, wszystkim znajomym, których pośrednictwa się spo-

dziewał, lecz w odpowiedzi otrzymywał tylko, że Ludwik gotów był mu coś za Gniewków zapłacić, a oddać go odmawiał stanowczo.

Zamiast wdzięczności za tę powolność i obietnice, Biały śmiertelny w sercu żywił żal przeciwko królowi i starej królowej Elżbiecie, przypisując jej i otoczeniu a doradcom to, że mu Gniewkowa dać nie chcieli.

Raz jeszcze pewnie byłby się porwał napróżno za oręż, do którego nie miał szczęścia, gdyby najmniejszą mógł mieć nadzieję, że mu kto stanie do boku. Po pierwszych doświadczeniach wzdragali się wszyscy, słuchać nikt nie chciał.

Sędziwój bez straży puścić się go obawiał, parę więc dni upłynęło, nim orszak mu taki dobrano, aby się drużyną zdawał, chociaż był wistocie dozorem.

Prowadzić miano Białego na Kraków, gdzie właśnie znowu stara królowa bawiła i króla się pono spodziewano. Tu mógł się jego los rozstrzygnąć, jak on pochlebiał sobie jeszcze, oddaniem mu Gniewkowa, a wistocie, wedle postanowienia króla, nową za ten dział jałmużną.

Kraków był bardzo ożywiony, gdyż ilekroć stara Elżbieta ze swym dworem zamieszkała tu, lub w innem mieście, płynął za nią próżniaczy tłum młodzieży, śpiewaków, pochlebców, młodych jej ulubieńców, wesołego ludu, którego obowiązkiem było rozrywać ją i nie dać jej na chwilę się zachmurzyć.

Z rana modliła się gorliwie i szła na nabożeństwo, potem na chwilę już samą jej zostawić nie godziło się; niewiasty, panice, dworacy, komornicy, cytarzyści, muzykanci, skoczki i tretnisie mieniali się przez dzień cały i część nocy. Nie mogąc pisać sama, lubiła choć patrzeć na zwijającą się młodzież.

W tym pustym tłumie zuchwałych ulubieńców królowej, których się jak ognia obawiano, bo pewni bezkarności, dokazywali straszliwie i dopuszczali się burzających gwałtów, mniej było Polaków niż Węgrów. Ostatni właściwie składali towarzystwo najulubieńsze królowej, do którego była nawykła.

Przez tych faworytów wszystko było można wyrobić, bez nich nawet dojść do niej nikt nie mógł.

Nie było dnia bez muzyki i śpiewów na zamku, a bez jakiejś zamieszki na mieście, bo Węgry zawsze się tu znajdowali, jak w zawojowanym kraju.

Ze skargami na nich docisnąć się do królowej nie było można, a docisnąwszy, nic się nie wskórało.

Przybywszy do Krakowa, Biały, drogą znużony, choć go na zamek prowadzić chciano, oparł się temu, nie życząc sobie ze starą królową się spotykać. Zażądał gospody w mieście i, gdy mu ją wyznaczono w pobliżu Wawelu, zabrał się tu odpoczywać.

Widok życia, gwaru, wesołości, jaka tu panowała, rozwielnionych Węgrów, tłumnie przybywających ziemian i wszystkiego, co znamionowało potęgę króla i jego spokojne panowanie, rozjątrzył księcia.

Na złe jego usposobienie wpłynęło i to, że znalazł tutaj Jaśka Kmitę z Wiśnicza, przypominającego mu starostę sieradzkiego tegoż nazwiska, który się do pokonania go przyłożył.

Najrzał też z okna, jak mu się zdawało, Lasotę, który go opuścił, a miał doń żal w sercu. Cóż dziwnego, że sam więźniem będąc, wśród wesołych i rozhu-kanych, wszystkim zarówno, na których patrzył, życzył jak najgorzej.

W dzień św. Mikołaja, dość uroczyste obchodzony, Biały do kościoła nawet iść nie chciał: leżał na pościeli, Buśka wysyłając po plotki, lub, jeśli dzień był niezbyt mroźny a pogodny, w bramie stawał i przechodzącym się przypatrywał.

To go jedno cieszyło, że Węgrowie przesuwający się tędy z zamku, wszyscy z Polaków się naigrawali, w czym on im dopomagał, bo się był języka ich w Budzie nauczył, a Polacy narzekali na ucisk Madziarów, czemu też potakiwał, jęcząc jednym na drugich.

Bawiło go to przez dzień cały.

Nazajutrz rano wyszedł znowu przed wrota, aby się podobnem widowiskiem rozerwać, — lecz tylko co się usadowił na czatach, gdy od strony bramy Bocheńskiej,

do której nie było daleko, dał się słyszeć tumult i wrzawa, zapowiadająca coś groźnego.

Książę za miecz porwawszy, ciekaw, co się stać mogło, natychmiast pobiegł, gdzie się już krzyki coraz głośniejsze i wyraźniej słyszeć dawały.

Do Bocheńskich wrót ani się można było docisnąć.

Wśród ogromnego zbiegowiska gawiedzi, pomiędzy którą łąco było Węgrów rozpoznać, — stała fura siana, wysoko się piętrząca.

Ludzie powiadali, że siano to, należące do Przedbora z Brzezia, który je dla koni swych sprowadził, stało się przyczyną zgiełku i okrutnego zajścia. Węgrzy chcieli je sobie przywłaszczyć; straż, którą Przedbór postawił, broniła. Z jednej i drugiej strony do oręża się rwano.

Książę uradował się niezmiernie. Z wielkim trudem przebił się pod ścianami domostw jak mógł, najbliżej wozu i do Polaków wołać począł:

— Bijcie Węgrów... co ich żałować będziecie!

I natychmiast do Madziarów w ich języku krzyknął:

— Co wy lachom dajecie rozkazywać? Albo to wy nie panowie tu? Alboście nie królewscy?

Żgał tak jednych i drugich na przemiany, a niewiele potrzeba było, aby ich do walki pobudzić.

Węgrzy nie ustępowali, ludzie Przedbora bronić się zabierali. Niektórzy się już suchymi razami okładać poczęli. Rosło zbiegowisko w oczach.

Z okolicy zamku Węgrzy biegli; — z całego miasta ziemian, pachołków, rycerstwa co było szło, zasłyszawszy, że Węgrzy dokazują.

Rozdrażnienie już przygotowało tak obie strony, że wóz siana starczył, aby wybuchło zajście krwawe.

Zapobiedz by mu może jeszcze mógł ktoś baczniejszy, gdyby Biały, którego tu nikt nie znał, głosu nie podnosił i oliwy do ognia nie dolewał.

W tej chwili, gdy już do utarczki przyjść miało, krzyki doszły na zamek i królowa, domyślając się, że Węgrzy znowu coś splateć musieli, wysłała Jaśka Kmitę z małym oddziałem ludzi, aby porządek utrzymał.

Za późno przybywał. Madziary rozwściekieni tem, że się im opierać i burzyć przeciwko nim śmiano, do-
byli mieczów i naciągali luków.

Jaśko Kmita zbliżył się i krzyczał na Węgrów w imieniu królowej, aby wnet odciągali na zamek, gdy jeden z nich luk napiąwszy, strzelił, a bełt w szyję ugodził starostę tak nieszczęśliwie, iż w miejscu zachwiał się zaraz, — padł z konia i ducha wyzionął.

Ledwie się to stało, a już jak fala burzą gnana, tłum, który dotąd poruszał się i drgał tylko, — pochłoniął Madziarów w sobie.

— Bij, zabij! — wołano ze wszech stron.

Biały też wtórował, krzycząc:

— Bij! — zabij!

Ledwie dwóch z jego straży, którzy pogonili za nim, potrafiło z ciżby wychwycić i uprowadzić z sobą. Ale nie dał się do gospody wieść, bo mu to sprawiało jakąś radość złą, że widział mordujących się z sobą.

Węgrzy już tylko się bronić musieli, takie gromady na nich się rzuciły z zawziętością wielką za zabitego Kmitę

— Bij! — zabij! nie żywić nikogo! — krzyczano po całym mieście i gdziekolwiek winny czy niewinny Węgrzyn się trafił, mordowano.

Była to pomsta krwawa za długo znoszone upokorzenie.

W samym domu Przedbora, chociaż ocalić się ich starał, zginął Słowak ze dworu królowej, Michał Pogan, zgineło dwóch ulubieńców Elżbiety.

Biały mógł się krwawym nacieszyć widokiem, bo co chwila ścigano kogoś w ulicach, a z kamienic, do których się skryli, oknami wyrzucano zabitych.

Nikt już nie miał mocy powstrzymać rozwścieczonego tłumu, który aż do zamku pędził Węgrów, a że tu bramy były zaparte, bo się obawiano napaści na całą dwór starej królowej, kobiety rzucały z okien drabinki dla uchodzących, a lud je strącał i chwytął, nie patrząc kogo, byle się Madziarem wydawał.

Książę, jak gdyby widowisko to dla niego było

sprawione, nie wszedł do izby przez cały dzień, od wrót swych krzycząc:

— Bij! — zabij!

Ludzie go poskromić nie mogli, a Buśko przeległy napróżno targał za szaty, błagając, aby się w ten wrzący tłum nie mieszał i milczał.

Odpychał go Biały, i choć krwawe zajście dla niego nie mogło przynieść żadnej korzyści, przyklaskiwał mu.

Noc dopiero ten uliczny dramat zamknęła, gdy już na mieście ani jednego nie było Madziara, a Wawel był zamknięty i obstawiony strażą, jakby wśród obłężenia od nieprzyjaciela bronić się musiał.

Książę obchodził go i wołał:

— Tak samo królowę oblegają, jak mnie niedawno w Złotoryi... Palec Boży nad nimi, zemsta Boża!! Tak samo też i Ludwik i ona z królestwa tego uchodzić będą musieli, jakom ja uszedł z mojej dzielnicy.

Przez całe trzy dni, dopóki się w Krakowie nie uspokoiło, i królowa w podróż się wybrała, książę pod Wawelem przechadzał się, radując jej losowi. Byłby może i wyjeżdżającej szyderstwem jakim drogę zastąpił, lecz zasnął ranek, a królowa niespodzianie i cicho wymknęła się z miasta.

Tą małą pociechę z cudzej szkody skończył się pobyt Białego w Krakowie. Przysłano mu tu ostateczne słowo króla, iżby zaspokoił się okupem za Gniewków, który mu z łaski dawano, i uroczystą podpisał ugodę, poczem wolność odzyska.

Książę na wszystko się zgodził, poddał, lecz w piśmie, jakie dał, zawarował sobie rychło grzywien przyobiecanych wypłatę. Poczem małą część przyrzeczonego okupu wzięwszy, z dziwną myślą powlókł się do Gdańska, gdzie Fryda do klasztoru wstąpić chciała.

Nie znalazł tu ani jej, ani żadnej o niej wieści, a że go już nigdzie nic nie ciągnęło, w Gdańsku osiadł, czekając na pieniądze od króla.

Tu kilka lat w bezczynności smutnej, zleniwiały,

niezdolny do niczego, ostatnich dziesięciu tysięcy wyglądając, przespał aż do r. 1380.

Król Ludwik wreszcie odesłał mu je przez Piotra Małochę, starostę kujawskiego i podkanclerzego Szymona.

Wieczorem złożyli mu okup, z którego miał na-
zajutrz króla kwitować i podpisać zrzeczenie się wszel-
kich praw do swojej dzielnicy. Lecz nocą myśl mu
przyszła szalona ujęcia bez podpisu do Bukowca (Lu-
beki) .. i nazajutrz go w Gdańsku nie było.

Powiadano, że w Bukowcu książę dworem się
wielkim otoczył i pańsko występować zaczął, odgraża-
jąc się, że Ludwikowej śmierci doczeka i córek jego
na tron nie dopuści.

Czcie to były słowa, z których Buśko nawet się
uśmiechał.

Zawieruszyło się potem w Wielkiej Polsce, a Bia-
ły napróżno oczekiwał, aby go tam wezwano. Zapo-
mnieli o nim wszyscy i po śmierci króla Ludwika, a ci
co nie chcieli córki jego, oglądali się na Ziemowita
Mazowieckiego, nie na niego.

Snując się tak z miasta do miasta, a nie śmie-
jąc, czy nie chcąc powrócić do klasztoru, zmarł Wła-
dysław w podróży, w Strasburgu 1 marca 1382.

W opactwie, z którego uszedł, pamięci niewdzięcz-
nego położono kamień grobowy...

Tak jeden z ostatnich Piastów, marzący o koro-
nie, skończył zapomnianym, zapartym wygnańcem mię-
dzy obcymi.

Krew Piastów, którą niemieckich matek mleko
uczyniło obcą i zimną, nie miała już miłości gniazda
swego, ani nią natchnąć mogła.



K O N I E C .

5554

45030

